



ՃԱՆ SIMMONS
WYDRAՋՕՊԻ
CZŁOWIEK

Prószyński i S-ka

Dan Simmons

WYDRAŻONY CZŁOWIEK

*Przełożyli
Grażyna Grygiel
Piotr Staniewski*

Podziękowania

Autor pragnie podziękować kilku osobom, które zmieniły zadanie niemożliwe do wykonania w zadanie trudne, acz wykonalne:

Sue Bolton i Edwardowi Bryantowi za to, że przeczytali książkę taką, jaką jest, nie kierując się wyobrażeniami innych. Tabithcie i Steve'owi Kingom za długi czytelniczy maraton, a potem za pomocne słowa. Nikiemu Gernoldowi za to, że zademonstrował mi, jak działa telepatia. Betsy Mitchell za odwagę w głoszeniu naszych wspólnych przekonań. Ellen Datlow za to, że jej się spodobało (i kupiła) opowiadanie, będące początkiem tego wszystkiego. Jakże dawno temu, przed dziesięciu laty. Richardowi Curtisowi za zaniechanie aplikowania transcendentnej, ewokującej epatację terminologii.

Matematykowi łanowi Stewartowi za to, że sprowokował pełną pasji reakcję u matematycznego analfabety. Karen i Jane Simmons za ich miłość, wsparcie duchowe oraz tolerancję, kiedy uparcie i perwersyjnie próbowałem zmienić z powrotem zadanie trudne, acz wykonalne, w zadanie niemożliwe do wykonania.

Muszę podziękować nie tylko tym wspaniałym żyjącym osobom, lecz również kilku ludziom, których nie ma już wśród nas:

Dantemu Alighieri, Johnowi Ciardi, T.S. Eliotowi, Josephowi Conradowi i św. Tomaszowi z Akwinu, którzy z elokwencją znacznie większą niż moja zgłębiali obsesyjny motyw:

*Wędrując między dwoma światami, jednym martwym
A drugim bez sił, by się narodzić.*

Matthew Arnold, *Stanzas from the Grande Chartreuse*

*Poznasz następnie, jakie gorzkie gody
Spożywać cudzy chleb; jak uciążliwa
Droga wstępować na nie swoje schody.
Dante, *Paradiso XVII**

*Oczu napotkać nie śmiem w moich snach
W sennym królestwie śmierci
Nigdy się nie ukazą.*

T.S. Eliot, *Wydrążeni ludzie*

CIEŃ, KTÓRY WIECZOREM WSTAJE

[tytuły większości rozdziałów są cytatami z poematów T.S. Eliota i z Boskiej Komedii A. Dantego]

Bremen opuścił szpital, gdzie umierała jego żona, wsiadł do samochodu i ruszył na wschód ku morzu. Szosy były zapchane – filadelfijczycy uciekali z miasta w ten niezwykle ciepły wielkanocny weekend. Musiał więc uważać na ruch i tylko ulotnie dotykał umysłu żony.

Gail spała. Sny miała niespokojne, narkotyczne. W nieskończonej galerii pokoiów zastawionych wiktoriańskimi meblami szukała matki. Bremen jechał przez Pine Barrens, a strzępy tych snów mieszały się z wieczornymi cieniami realności. Gdy wyjeżdżał z miejskiej alei, Gail budziła się właśnie i przez kilka sekund nie czuła bólu. Widział wtedy promienie słońca wpadające przez parawan w nogach łóżka. Potem poczuł zawrót głowy, gdyż żonie przez sekundę się wydawało, że to poranek na farmie.

Sięgnęła ku niemu myślami, gdy ból powrócił i jak cienka, niezwykle ostra igła kłuł ją za lewym okiem. Bremen skrzywił się i upuścił monetę, którą miał opłacić autostradę.

– Coś nie tak, kolego? – spytał mężczyzna z budki.

Potrząsnął głową, wymacał dolara i nie odwracając wzroku podał go mężczyźnie. Resztę rzucił na zagracony wierzch deski rozdzielczej. Skoncentrowany na zmianie biegów w swym niewielkim triumphie, usiłował równocześnie zaekranować się przed najsilniejszymi bólami Gail. Powoli cierpienie łagodniało, lecz oszołomienie żony napływało na niego falą mdłości.

Gail szybko się opanowała, choć na skraju jej świadomości łopotały zasłony strachu. Zwerbalizowała swe myśli, zwięźając zakres posyłanych informacji jedynie do imitacji własnego głosu...

– Cześć, Jerry.

– Cześć, mała.

Przesłał tę myśl, skręcając w zjazd do Long Beach Island.

Na ślimaku przekazał obraz: niesłychanie zielone trawa i sosny pozłoczone kwietniowym światłem, cień sportowego samochodu na nasypie. Nagle poczuł charakterystyczny zapach Atlantyku – soli i butwiejących wodorostów – co również przesłał żonie.

– Jakie to ładne.

Ból i zbyt duża dawka lekarstw rozmyślały myśli Gail.

Wysiłkiem woli, kurczowo chwyciła się obrazów nadsyłanych przez męża.

Widok nadmorskiej kolonii rozczarowywał: zaniedbane restauracje oferujące frutti di mare, drogie motele z suporeksu, nie kończący się ciąg małych przystani. Dla obojga jednak była to kojąco znajoma okolica i Bremen skoncentrował się, chciał zauważać wszystkie szczegóły. Ataki bólu ustępowały, Gail poczuła odprężenie. Przez chwilę jej obraz był tak realny, że Bremen się odwrócił ku fotelowi dla pasażera, by do niej zagadać. Poczł ukłucie żalu i zażenowania – stłumił natychmiast te uczucia, ale już przekazał je żonie.

Przed domkami kempingowymi dorośli z dziećmi wypakowywali z samochodów jedzenie i taszczyli je na plażę. Wieczne cienie przygnały wiosenny chłodek, lecz Bremen jadąc teraz na północ do Barnegat Light, skupił się tylko na rzeźkości powietrza i ciepłe słonecznych smug. Spojrzał na prawo: w wodzie stało kilku rybaków, ich cienie przecinały białe grzywy fal.

– Monet – pomyślała Gail.

Bremen potaknął, choć akurat w tej chwili miał skojarzenia z Euklidesem.

– Matematyk, jak zawsze.

Głos Gail słabł wraz z nawrotem bólu. Urywane zdania rozbiegły się jak bryzgi przybrzeżnych fal.

Zaparkował samochód w pobliżu latarni morskiej i przez niskie wydmy poszedł na plażę. Rzucił na piasek postrzępiony koc, który wielokrotnie w tym miejscu rozkładali. Obok przebiegła grupa dzieci. Piszczwały, uskakując przed nadchodzącymi falami. Miały na sobie tylko kostiumy kąpielowe, choć woda była zimna, a powietrze szybko stygło. Dziewczynka, wyglądająca na dziewięć lat, o białych długich nogach, ubrana w za mały kostium, kupiony zapewne rok temu, tańczyła po mokrym piasku wraz z morzem w zawitym, żywiołowym balecie.

Przez żaluzje wpadało coraz mniej światła. Pielęgniarka, pachnąca papierosami i starym talkiem, weszła do sali, by zmienić kroplówkę i zmierzyć puls. Z korytarza dobiegały głośne, zdecydowane wezwania interkomu, ale trudno je było zrozumieć przez gęstniejącą mgłę bólu. Doktor Singh przybył o szóstej po południu i powiedział coś do Gail łagodnie, ale ona patrzyła tylko na drzwi, przez które miała wejść pielęgniarka z błogosławionym zastrzykiem. Już sam tampon z waty na przedramieniu

zapowiadał ulgę – co do sekundy wiedziała, za ile minut zadziała morfina. Doktor coś mówił.

– ...pani mąż? Sądziłem, że zostanie na noc.

– Tutaj, panie doktorze – odparła Gail. Poklepała koc leżący na piasku.

Bremen nałożył ortalionową kurtkę. Nadciągał nocny chłód. Gwiazdy zniknęły za warstwą wysokich chmur, przez które przeświecały tylko skrawki nieba. Daleko w morzu niewiarygodnie długi tankowiec sunął po horyzoncie. Z okien domków wyciągały się w kierunku wydm żółte prostokąty światła.

Bryza przyniosła zapach smażonych befsztyków. Bremen usiłował sobie przypomnieć, czy coś dzisiaj jadł. Żołądek miał skręcony od przygłuszonego bólu, który Gail nadal odczuwała, mimo że lekarstwo działało. Zamierzał pójść po kanapkę do sklepiku przy latarni, ale przypomniał sobie, że w kieszeni kurtki ma baton – kupiony kilka dni temu w automacie na szpitalnym korytarzu. Zaczął żuć wyschnięty, twardy arachidowy klin i obserwował zapadający zmierzch.

W korytarzu ciągle dudniły kroki, jakby przechodziły tamtędy całe armie. Stukot butów, pobrzękiwanie tac, ciche pogawędki salowych, roznoszących pacjentom kolację, przypominały Gail, jak w dzieciństwie leżała nasłuchując odgłosów organizowanego przez rodziców przyjęcia.

– Pamiętasz tamto przyjęcie, na którym się poznaliśmy? – pytał Bremen.

– Ummm.

Gail prawie nie uważała. Przerazenie czarnymi mackami wpełzało w jej świadomość, ból wygrywał ze środkiem uśmierzającym. Cieniutka igła w tyle oka coraz silniej zaczynała się żarzyć.

Mąż usiłował przesłać migawki z imprezy Chucka Gilpena sprzed dziesięciu lat. Wtedy się spotkali pierwszy raz, w jednej sekundzie ich umysły otworzyły się nawzajem dla siebie i każde z nich pomyślało: nie tylko ja. A potem wniosek: nie jestem wybrykiem natury. Wtedy, w zatłoczonym mieszkaniu Chucka Gilpena, między profesorami, studentami, pośród intensywnego gwaru i jeszcze bardziej intensywnego neurogwaru, ich życie zmieniło się na zawsze.

Bremen wszedł – ktoś wetknął mu w dłoń kieliszek – i nagle wyczuł bliskość myślotańczy. Łagodnie zapuścił sondę i natychmiast, niczym snop reflektora w ciemnym pomieszczeniu, omiotły go myśli Gail.

Oboje byli zaskoczeni. Odruchowo wzmocnili swe myślotańcze, zwinęły się w sobie jak wystraszone pancerniki. Po chwili jednak przekonali się, że

nic nie mogą poradzić na to wzajemne, niemal bezwiedne, podświadome sondowanie. Dotychczas spotykali wyłącznie telepatów o zdolnościach dość prymitywnych, utajonych. Każde z nich uważało, że jest jedynym w swoim rodzaju wybrykiem natury. Teraz stali przed sobą nadzy w pustej przestrzeni. Sekundę później wzajemnie zalali swe umysły falą obrazów, autoportretów, urywkami wspomnień, sekretami, wrażeniami, odczuciami, tajemnymi wstydami, tęsknotami i rozwiniętymi fobiami. Wszystko zostało ujawnione. Najmniejsze popełnione okrucieństwo, każde doświadczenie erotyczne, wszelkie przesady wypływały wraz ze wspomnieniami minionych przyjęć urodzinowych, poprzednich kochanków, rodziców oraz rozmaitych drobnostek.

Chyba żadna para po pięćdziesięciu latach małżeństwa nie wiedziała o sobie tyle, co oni teraz.

Minutę później zobaczyli się po raz pierwszy.

Snop latarni Barnegat przesuwiał się w górze co dwadzieścia cztery sekundy. Teraz daleko w morzu widniało więcej światła niż wzdłuż ciemnej plaży. Po północy zaczął szaleć wiatr i Bremen ciasno otulił się kocem. Gail nie wyraziła zgody na zastrzyk w czasie ostatniego obchodu pielęgniarek, ale jej myślotyk był zamglony. Mąż wymuszał łączność jedynie siłą woli.

Gail zawsze bała się ciemności. Często podczas ich dziewięcioletniego małżeństwa musiał wyciągać ku niej rękę lub sięgać umysłem, chcąc dodać otuchy. Teraz znowu była małą, zastraszoną dziewczynką, pozostawioną samotnie w dużym starym budynku przy Burlingame Avenue. Pod jej łóżkiem, w ciemności znowu czyhały strachy.

Bremen przedarł się przez jej ból i przerażenie, by przekazać odgłosy morza. Opowiedział, co wyprawiała dziś Gernisavien, ich szylkretowa kotka. Leżał we wgłębieniu na piasku, dostosowując swe ciało do pozycji żony na szpitalnym łóżku.

Powoli zaczynała się odprężyć, poddawać jego myślom. Kilkakrotnie nawet zapadła w drzemkę bez dawki morfiny. We śnie widziała sunące wśród chmur gwiazdy i czuła ostry zapach Atlantyku.

Opisał jej tydzień na farmie – choć niewiele przez ten czas zrobił pomiędzy kolejnymi dyżurami w szpitalu – przekazał subtelne piękno równań Fouriera, zapisanych na tablicy w jego gabinecie, oraz radosne uczucia towarzyszące sadzeniu brzoskwini przy frontowym wjeździe. Posłał wspomnienie ubiegłorocznej wyprawy na narty do Aspen i wrażenie nagłego zaskoczenia, gdy jakiś niewidoczny statek przeczesywał reflektorem plażę.

Próbował recytować urywki zapamiętanych wierszy, ale słowa zamieniały się w czyste obrazy i czyste odczucia.

Przekazywał żonie obrazy rześkiej nocy, okrywając je ciepłem swej miłości. Posyłał różne drobiazgi i nadzieje na przyszłość. Z odległości stu dwudziestu kilometrów dotknął ręką jej dłoni. Gdy zasypiał na parę minut, słał jej swe sny.

Nim na niebie zagościło pierwsze blade światło poranka, Gail umarła.

PROPORZEC TAM, NAD MGŁĄ

Dwa dni po pogrzebie do domu Bremena przyszedł Frank Lowell, szef wydziału matematyki na Haverfordzie. Zapewniał, że bez względu na to, co Jeremy zamierza robić przez najbliższe miesiące, praca będzie na niego czekała.

– Jerry, mówię poważnie – powtarzał Frank. – Jeśli chodzi o te sprawy, możesz być spokojny. Pozbieraj się, a gdy powrócisz, posada nadal jest twoja.

Frank błysnął swym czarującym chłopięcym uśmiechem i poprawił okulary. Jego twarz sprawiała wrażenie, że pod warstwą zarostu kryją się pucołowate policzki trzynastolatka.

Szerokie niebieskie oczy wyrażały bezgraniczną szczerość.

Ale satysfakcja! Konkurent usunięty. Nigdy nie lubiłem tego Bremena... za bystry. Przez te badania Goldmanna stał się zbyt groźny.

Obraz młodej blondynki z MIT-u, z którą Frank przeprowadził rozmowę w lecie i sypiał przez całą zimę.

Doskonale. Koniec z okłamywaniem Nell, wymyślaniem jakichś konferencji, wylotami na weekendy. Sheri zamieszka w pobliżu kampusu i do Gwiazdki dostanie posadę, jeśli tylko Bremen przeciągnie swoje sprawy. Doskonale.

– Poważnie, Jer. – Frank się pochylił, poklepał go po kolanie. – Ile czasu potrzebujesz, tyle sobie weź. Potraktujemy to jako urlop naukowy i zatrzymamy twoje miejsce.

Bremen kiwał głową. Trzy dni później wysłał list z prośbą o zwolnienie z pracy w college'u.

Dorothy Parks, z wydziału psychologii, odwiedziła go trzeciego dnia po pogrzebie. Przygotowała mu kolację – nalegała na to – i pozostała do zmierzchu, wyjaśniając mechanizmy rozpacz. Długo siedzieli na werandzie, do środka zagonił ich wreszcie wieczorny chłód. Znowu czuło się powiew zimy.

– Jeremy, musisz zrozumieć, że ludzie, którzy ponieśli dotkliwą stratę, robią błąd, opuszczając swe dotychczasowe środowisko. Długi urlop, natychmiastowa zmiana domu... to wszystko ma pomóc, ale tak naprawdę tylko odsuwa w czasie nieuniknioną konfrontację z rozpaczą.

Bremen potakiwał i uważnie słuchał.

– Teraz jesteś na etapie zaprzeczania – ciągnęła Dorothy.

– Tak jak Gail, wówczas gdy dowiedziała się, że ma raka. Swój bunt wyrażasz w bólu... przebrnij przez to i zostaw za sobą. Jeremy, rozumiesz, co mówię?

Podniósł knykcie do ust i powoli kiwał głową. Dorothy Parks była po czterdziestce, ale ubierała się jak znacznie młodsza kobieta. Teraz miała na sobie męską koszulę, rozpiętą dość nisko, oraz długą kowbojską spódnicę. Buty miały przynajmniej pół metra wysokości. Bransolety na rękach podzwaniały z każdym jej gestem. Ścięte krótko włosy, ufarbowane na rudo z odcieniem fioletu, tworzyły grzywkę nad czołem.

– Gail pragnęłaby, byś jak najszybciej doszedł do siebie i podjął normalne życie. Wiesz o tym, Jeremy, prawda?

Słucha. Patrzy na mnie. Może nie powinnam rozpinąć dziś tego czwartego guzika... pozostać tylko terapeutką... powinnam była nałożyć ten szary sweter. A, co tam. Widziałam, jak patrzył na mnie w klubie. Jest niższy od Darrena... chyba mniej silny... ale to nie ma znaczenia. Ciekawe, jaki jest w łóżku?

Obraz blondyna... Darrena... policzkiem zsuwa się po jej brzuchu.

Nauczy się tego, co lubię. Ciekawe, gdzie tu jest sypialnia?

Chyba na piętrze. Nie, lepiej u mnie w domu... nie, pierwszy raz lepiej w jakimś neutralnym miejscu. Zegar tyka. Zegar biologiczny. Cholera, facetowi, który wymyślił to określenie, powinno się obciąć jaja.

– ...ważne, byś dzielił się swymi odczuciami z przyjaciółmi, z kimś bliskim – mówiła. – Zbyt przedłużony okres zaprzeczania skieruje ból do wewnątrz. Obiecuj, że zadzwonisz, dobrze? Pogadamy.

Bremen podniósł głowę i przytaknął. Właśnie postanowił: farmy nie sprzeda.

Czwartego dnia po pogrzebie zaszli Barbara i Bob Suttonowie, przyjaciele i sąsiedzi. Chcieli jeszcze raz wyrazić swe współczucie. Barbara zapłakała, Bob wiercił się w fotelu. Postawny blondyn, ostrzyżony na jeża, z rumieńcami na okrągłych policzkach, miał krótkie i miękkie palce jak u dziecka.

Myślał cały czas, czy zdąży do domu na mecz Celticsów.

– Jerry, wiedz, że Bóg nigdy nie zsyła na nas losu, którego nie moglibyśmy udźwignąć – powiedziała Barbara między kolejnymi wybuchami szloch.

Bremen zastanawiał się nad tym. W ciemnych włosach Barbary widniało

pasmo przedwczesnej siwizny. Prześledził je: falami biegło od czoła, gdzie przytrzymała je spinka, i nikło za krzywizną czaszki. Neurogwar Barbary lał się jak żar z otwartego pieca.

Dać świadectwo prawdzie. Pastor Miller uzna to za cud, gdy przywiode tego profesora ku Bogu. Jeśli teraz zacytuję Pismo Święte, gotowam go stracić... Darlene by dostała ataku wściekłości, gdybym w środę wieczór na nabożeństwo przyszła z tym agnostykiem... ateistą... jak go zwał, tak zwał... i przyprowadziła go przed oblicze Chrystusa!

– ...daje nam siłę, gdy jej potrzebujemy – ciągnęła Barbara. – Nawet jeśli nie rozumiemy, co się dzieje, wszystko ma swój sens. Gail została zawezwana z jakiegoś powodu i dobry Bóg nam go wyjawí, gdy nadejdzie nasz czas.

Bremen z roztargnieniem kiwał głową. Wstał. Barbara i Bob, nieco zdziwieni również, wstali. Odprowadził ich do drzwi.

– Jeśli coś moglibyśmy... – zaczął Bob.

– Owszem – odparł Bremen. – Czy bylibyście uprzejmi zaopiekować się Gernisavien, kiedy wyjadę na pewien czas?

– Koteczką? No, oczywiście... Gerny dogaduje się z moimi dwoma syjamskimi... z przyjemnością... ale jak długo zamierzasz...

Barbara uśmiechnęła się i jednocześnie lekko nachmurzyła.

– Niezbyt długo. Tyle, by się pozbierać. Wolałbym zostawić Gernisavien u was niż u weterynarza lub w tym kocim pensjonacie przy Conestoga Road. Jeśli nie miałibyście nic przeciwko temu, podrzuciłbym ją rano. – Bremen usiłował być sympatyczny.

– Dobra – rzekł Bob, ściskając dłoń przyjaciela.

Pięć minut do rewii przed grą.

Bremen machał im, gdy zawróciwszy swą hondą znikali na zwirowym podjeździe. Potem wszedł do domu i powoli obchodził pokoje.

Gernisavien spała na niebieskim kocu w nogach ich łóżka.

Gdy wszedł do pokoju, plamiasta głowa odwróciła się, żółte oczy zezowały na niego oskarżycielsko. Była niezadowolona, że ją zbudził. Pogłaskał kotkę po karku i podszedł do szafy.

Podniósł jedną z bluzek Gail, trzymał przez chwilę przy policzku, potem ukrył w niej twarz i głęboko oddychał. Prosto z sypialni poszedł na dół do swego gabinetu. Testy studentów piętrzyły się tam, gdzie je zostawił miesiąc temu. Na tablicy równania Fouriera, które w przyływie natchnienia nabazgrał kredą pewnego dnia o drugiej po południu, na tydzień przed tym,

jak postawiono diagnozę Gail. Wszędzie zalegały stosy odbitek i nie przeczytanych czasopism.

Stał przez chwilę pośrodku pokoju. Tarł skronie. Nawet tutaj, kilometr od najbliższego sąsiada i czternaście kilometrów od miasta oraz autostrady, w głowie trzeszczał mu i furkotał neurogwar. Tak jakby przez całe życie słyszał radio nastawione cicho w sąsiednim pokoju, a teraz ktoś umieścił mu w czaszce kolumnę głośnikową, na maksimum nastawiając wzmacniacz. Tak było od tego ranka, gdy umarła Gail.

A gwar stał się nie tylko głośniejszy, również bardziej ponury. Bremen zdawał sobie sprawę, że pochodził on z głębszych, mrocznych źródeł i nie stanowił tylko przypadkowej powierzchownej zbieraniny myśli i emocji, do których miał dostęp od chwili, gdy skończył trzynaście lat. Jakby ten niemal symbiotyczny związek z Gail tworzył osłonę, buforował ostre dźgnięcia milionów nie do końca sformułowanych myśli.

Do ubiegłego piątku musiał się skoncentrować, by wybierać obrazy, uczucia, na wpół uformowane zdania, składowe części myśli Dorothy, Boba czy Barbary. Natomiast teraz nic nie broniło go przed szturmem. Już nie istniało to, co oboje z Gail uważali za swe myślotarcze – proste bariery tłumiące wszechobecne syki i trzaski neurogwaru.

Dotknął tablicy, jakby miał zamiar zetrzeć równanie, ale odłożył gąbkę i zszedł na dół. Po chwili do kuchni wkroczyła Gernisavien i zaczęła mu się ocierać o nogi. Zapadł już zmierzch, ale Bremen nie zapalił światła. Po ciemku otworzył puszkę z jedzeniem, nakarmił kotkę, która spojrzała na niego z przyganą, że nic nie zjadł i nie zapalił lampy.

Później, kiedy legł na kanapie w salonie, by przeczekać do świtu, kotka rozłożyła się na jego torsie. Mruczała.

Bremen przekonał się, że gdy zamyka oczy, odczuwa zawroty głowy, nie mogąc się pozbyć wrażenia, że za chwilę nastąpi coś strasznego... Gail gdzieś tu jest, w sąsiednim pokoju lub w ogródku, i woła go. Niemal słyszał jej głos. Gdyby zasnął, przepuściłby moment, gdy głos żony przekroczy jego próg słyszalności. Czuwał więc i czekał, aż minie noc. Cały dom, również niespokojny, trzeszczał i jęczał. Tak minęła jego szósta bezsenna noc, przechodząc w siódmą szarówkę bez żony.

O siódmej wstał, ponownie nakarmił kotkę, nastawił w kuchni radio na pełny regulator, ogolił się, wziął prysznic i wypił trzy filiżanki kawy. Zadzwoił po taksówkę, umawiając się za czterdzieści pięć minut przy stacji obsługi samochodów na Conestoga Road. Następnie wsadził kota do klatki.

Zwierzę waliło ogonem, gdyż przez ostatnie dwa lata – od momentu nieszczęśliwego dla kotki lotu do Kalifornii, do siostry Gail – klatki używano tylko podczas transportu do weterynarza. Wreszcie ustawił klatkę na przednim siedzeniu triumpha.

W poniedziałek, nim ubrał się na pogrzeb, przygotował osiem kanistrów benzyny. Cztery z nich zaciągnął teraz na tylny ganek i otworzył zakrętki. Ostre opary mieszały się z chłodnym porannym powietrzem. Niebo zapowiadało deszcz jeszcze przed wieczorem.

Bremen zaczął od piętra. Oblał łóżko, kapę, szafę i ubrania w środku, cedrową skrzynię, potem znowu łóżko. W gabinecie patrzył, jak marszczą się i ciemnieją papiery, gdy chlustał na nie benzyną z drugiego kanistra. Zostawił mokrą smugę na schodach, zwilżył balustradę, którą tak pracowicie pucowali z Gail pięć lat temu.

Dwa kanistry zużył na parterze. Niczego nie oszczędzał, nawet roboczego waciaka Gail, wiszącego na haku przy drzwiach. Z piątym kanistrem obszedł dom, bryzgnął na frontowy i tylny ganek, drewniane krzesła, progi, drzwi. Benzyną z ostatnich trzech kanistrów polał budynki gospodarcze. Volvo Gail nadal stało w stodole, którą wykorzystywali jako garaż.

Zaparkował triumpha pięćdziesiąt metrów dalej przy drodze i wrócił do domu. Zapomniał zapalek, poszedł więc do kuchni i poszperał w szufladzie. W oparach benzyny zaczęły mu ciec łzy po policzkach. Samo powietrze jakby drgało; stół kuchenny, laminowany bufet, wysoka stara lodówka stały się nierealne niczym fatamorgana.

Wydobył wreszcie zapalki z zapchanej szuflady i nagle doznał głębokiej ulgi – już wiedział, jak powinien postąpić.

Stań tu. Zapal zapalki. Połóż się na kanapie.

Wyciągnął dwie zapalki i miał je potrzeć o pudełko, gdy poczuł nagły zawrót głowy. To nie głos Gail kazał mu się powstrzymać, ale sama Gail. Niczym palce skrobiące szaleńczo po oddzielającej ich pleksiglasowej szybie; niczym palce na mahoniowym wieku trumny.

Nie jesteś w trumnie, mała. Jesteś skremowana... zgodnie z twoim życzeniem. Pamiętasz, mówiłaś o tym, kiedy trzy lata temu na Nowy Rok popiliśmy sobie i szlochając gadaliśmy na temat śmierci.

Podszedł do stołu, zamknął pudełko z dwiema wystającymi zapalkami, znów chcąc je zapalić. Coraz bardziej kręciło mu się w głowie.

Skremowana. Przyjemna myśl. Oboje spaleni. Twoje popioły rozsypałem w sadzie za stodołą... może wiatr przywieje tam również trochę mego prochu.

Zaczął pocierać zapalki, ale skrobanie się wzmogło. Czaszka mu pękała od ryku szalejącej migreny, oczy widziały tysiące jasnych i ciemnych kropek, uszy słyszały chrobot szczurzych pazurów.

Gdy otworzył oczy, był na zewnątrz domu. Płomienie harcowały w kuchni i frontowe okna jaśniały odbitą poświatą.

Stał przez chwilę, czując rozsadzające głowę łupanie w rytm pulsującej krwi. Zastanawiał się, czy nie wrócić do domu, ale gdy zobaczył płomienie w oknach na piętrze i dym zaczął walić przez tylny ganek, ruszył szybko w kierunku stodoły. Głuchy wybuch w garażu osmalił mu brwi i cisnął w kierunku gorejącego domu.

Z sadu wzbiło się w niebo stado przestraszonych wron, skrzeczały i gderaly. Wskoczył do triumphu, uspokajająco dotknął klatki ze zdenerwowaną kotką i natychmiast odjechał.

Barbara Sutton miała czerwone oczy, gdy wręczał jej klatkę. Z tego miejsca drzewa przesłaniały widok dymu nad doliną. Gernisavien, drżąca i podejrzliwa, skuliła się w klatce.

Wąskimi oczyma gniewnie patrzyła na Bremena. Uciał podjętą przez Barbarę rozmowę. Stwierdził, że ma pilne spotkanie.

Szybko odjechał prosto do warsztatu przy Conestoga Road, sprzedał mechanikowi triumphu po wcześniej uzgodnionej cenie i taksówką udał się na lotnisko. Gdy wjeżdżali na szosę do Filadelfii, wyprzedziły ich wozy strażackie. Miał tylko pięć minut spóźnienia.

Na lotnisku kupił w United bilet w jedną stronę na najbliższy lot. Boeing 727 był już w powietrzu i Bremen odprężył się w odchylonym fotelu. Myślał, że teraz wreszcie będzie mógł zasnąć, gdy nagle z całą siłą wszystko na niego ruszyło.

I koszmar zaczął się na dobre.

OCZY

To nie Słowo było na początku.

Przynajmniej nie dla mnie.

Może trudno w to uwierzyć, a jeszcze trudniej zrozumieć, ale doświadczamy istnienia światów, które nie zależą od Słowa. Taki był mój świat. Ja byłem w nim Bogiem... albo co najmniej jednym z bogów... ale to nie ma na razie znaczenia.

Nie jestem ani Jeremym, ani Gail, choć pewnego dnia będę dzielił z nimi wszystko, co oni wiedzieli, czym byli i czym chcieliby się stać. Lecz w ten sposób nie staję się nimi – tak jak oglądając program telewizyjny, nie zamieniasz się w ciąg impulsów elektromagnetycznych, które są tym programem.

Nie jestem również Bogiem ani bogiem, choć byłem i tym, i tym aż do owego nieprzewidzianego splotu wypadków, nieoczekiwanego spotkania osobowości, do tego przecięcia równoległych linii – a przecież nie powinny się one przecinać.

Zaczynam myśleć pojęciami matematycznymi, jak Jeremy.

W istocie to, co było na początku, nie było również liczbą. Nie dla mnie. Takie pojęcie nie istniało... ani liczenie, ani dodawanie, ani odejmowanie, ani żadne z tych supernaturalnych zgadywanek, z jakich się składa matematyka. Bo czymże jest liczba, jak nie wytworzonym przez umysł duchem?

Skończę te ceregiele, nim zostanę posądzony, że jestem bezcielesną obcą inteligencją z kosmosu. (Poniekąd nawet dość celne określenie, choć pojęcie przestrzeni kosmicznej wówczas dla mnie nie istniało... a nawet teraz wydaje mi się absurdalne. Jeśli chodzi o obce inteligencje, to nie musimy ich szukać w kosmosie, czego ja jestem dowodem, a o czym Jeremy Bremen wkrótce się dowie. Wśród was na Ziemi jest dość obcych inteligencji, nie dostrzeganych i nie rozumianych).

Kwietniowego ranka, gdy umiera Gail, to wszystko nic dla mnie nie znaczy. Pojęcie śmierci jako takiej nic dla mnie nie znaczy, nie mówiąc już o jego subtelnościach i odmianach.

Teraz wiem, że choć w ten kwietniowy ranek dusza i emocje Jeremy'ego wydają się niewinne i przezroczyste, skrywają ciemność; ciemność zrodzoną z oszustwa i głębokiego (aczkolwiek nieumyślnego) okrucieństwa. Jeremy nie ma w sobie ani krzty okrucieństwa – jest ono równie obce jego naturze,

jak mojej. Jednak przez całe lata, gdy oboje z Gail uważali, że nie dzielą ich żadne sekrety, on ukrywał tajemnicę mającą tak istotne znaczenie dla tego, czego wspólnie pragnęli, a czego zostali pozbawieni. Owa tajemnica sama w sobie jest okrucieństwem, które rani Gail, choć ona nawet nie zdaje sobie sprawy, że ją rani.

Na pokładzie samolotu, udając się w przypadkowym kierunku, Jeremy dochodzi do wniosku, że stracił myślotańczę.

W istocie ma ją nadal. Potrafi zasłonić swój umysł przed losową telepatyczną ingerencją innych osób, ale tarcza nie daje mu zabezpieczenia przed „ciemnymi falami”. To nie wspólna z Gail myślotańcza, ale wspólne z Gail życie chroniło go przed okrutną powłoką rzeczywistości.

Jeremy, schodząc do piekieł, niesie ze sobą inną tajemnicę, ukrytą nawet przed nim samym. I ta druga tajemnica – nazwijmy ją jego ukrytą ciężką, jako przeciwieństwo jego wcześniejszej skrywanej sterylności – w przyszłości stanie się dla mnie bardzo ważna.

Tyle, jeśli chodzi o naszą trójkę.

Teraz opowiem o kimś innym. Tego samego dnia, gdy Jeremy leci samolotem donikąd, Robby Bustamante o zwykłej porze jest zabierany mikrobusem z Diennej Szkoły dla Niewidomych we Wschodnim St. Louis. Robby od urodzenia jest niewidomy, głuchy i opóźniony w rozwoju. Gdyby był bardziej normalny fizycznie, diagnoza zawierałaby określenie „autystyczny”, ale w przypadku dziecka nieuleczalnie niewidomego, głuche go i niedorozwiniętego, określenie „autystyczne” jest redundantne.

Robby ma trzynaście lat, lecz już waży siedemdziesiąt osiem kilogramów. Jego oczy – jeśli nazwać to oczami – są dwiema zapadniętymi, ciemnymi dziurami. Źrenice, ledwo widoczne spod opadających bezwładnie powiek, poruszają się chaotycznie. Fioletowe usta chłopca zwisają luźno; rzadkie zęby zniszczyła próchnica. To trzynastoletnie dziecko ma już ciemny puch na górnej wardze. Czarne włosy sterczą na głowie w niesfornych kępkach; brwi schodzą się nad szerokim nosem.

Otyłe ciało Robby’ego balansuje niepewnie na brudnobładych, wychudzonych kończynach. Chłopiec zaczął chodzić w wieku jedenastu lat, ale potrafi zrobić zaledwie parę chwiejnych kroków, po czym pada. Kołysząc się na szpotawych nogach, składa pulchne ramiona jak złamane skrzydła, nadgarstki dziwacznie wygina, wyciągnięte palce rozczapierza. Jak dla wielu niedorozwiniętych niewidomych, tak i dla Robby’ego ulubionym gestem jest wachlowanie dłonią przed zapadniętymi oczami – napędzanie cieni do

ciemnych otworów.

Chłopiec nie mówi. Wydaje jedynie zwierzęce chrząknięcia, czasami bez sensu chichocze, z rzadka piszczy w proteście, co przypomina operowy falset.

Jak już wspomniałem, Robby jest upośledzony od urodzenia. Jego matka zażywała narkotyki podczas ciąży, również łożysko źle funkcjonowało, więc kolejne zmysły dziecka zostały wyłączone – podobnie tonący statek izoluje grodziami kolejne komory, zanim odda je na pastwę morza.

Chłopiec od sześciu lat jest w Dzielnicowej Szkole dla Niewidomych we Wschodnim St. Louis. Właściwie nie wiadomo, co robił przedtem. Fakt, że matka jest narkomanką ujawnił się w szpitalu położniczym. Wówczas władze zleciły pracownikowi socjalnemu opiekę w domu, ale z powodu biurokratycznego przeoczenia przez siedem lat nic z tego nie wyszło. Pracownik socjalny złożył wreszcie wizytę, jednak nie z troski o dziecko, a z polecenia sądu, nakazującego matce terapię metadonem. W istocie wszyscy: sąd, władze i szpital zapomnieli, że dziecko w ogóle istnieje.

Drzwi do mieszkania były otwarte i pracownica socjalna usłyszała jakieś dźwięki. Mówiła później, że nie weszłaby, ale odgłosy przypominały jej skomlenie nieszczęsnego zwierzątka. I w gruncie rzeczy jej odczucia najzupełniej pokrywały się z prawdą.

Robby'ego ktoś zamknął w łazience. Przybity do dołu framugi kawałek sklejk blokował drzwi. Na nie wykształconych kończynach dziecko nie mogło chodzić ani nawet raczkować.

Miało siedem lat. Na kafelkach walał się mokry papier. Nagi chłopczyk, umazany własnymi odchodami, najwidoczniej tkwił tam od paru dni, może nawet dłużej. Z odkręconego kurka ciekła woda; pomieszczenie zalane było na parę centymetrów. W tym brudzie Robby nerwowo się przetaczał, kwilił, usiłował utrzymać twarz ponad powierzchnią wody.

Hospitalizowano go przez cztery miesiące; pięć tygodni spędził w okręgowym domu dziecka; potem wrócił pod opiekę matki. Zgodnie z nakazem sądu, odwożono go autobusem do Dzielnicowej Szkoły dla Niewidomych, na pięć godzin dziennie, przez sześć dni w tygodniu.

Gdy tego kwietniowego poranka Jeremy wsiada na pokład samolotu, ma trzydzieści pięć lat i jego przyszłość jest przewidywalna jak eleganckie równanie ruchu jo-jo. Tego samego ranka, ponad tysiąc dwieście kilometrów dalej, trzynastoletni Robby Bustamante odbywa mikrobusem krótką podróż do Dzielnicowej Szkoły dla Niewidomych; jego przyszłość jest prosta i gładka

jak linia ciągnąca się donikąd, bez nadziei na przecięcie z kimkolwiek lub czymkolwiek.

Z NIEŻYWEJ KRAINY

Zgasł podświetlony napis *Proszę zapiąć pasy* i kapitan ogłosił, że pasażerowie mogą teraz bezpiecznie chodzić po pokładzie, ale siedząc powinni na wszelki wypadek nadal mieć zapięte pasy. W tym momencie dla Bremena zaczął się prawdziwy koszmar.

Przez chwilę myślał, że samolot eksplodował, że terroryści podłożyli bombę. Aż tak jasno rozbłysło białe światło, aż tak głośno wybuchło w jego umyśle sto osiemdziesiąt siedem przeraźliwych wrzasków. Miał wrażenie, że spada, i że samolot rozpadł się na dziesięć tysięcy kawałków, a on jest jednym z nich – koziółkuje w stratosferze wraz z krzyczącymi pasażerami. Zamknął oczy, przygotowując się na śmierć.

Nie spadał. Częścią świadomości wyczuwał, że ma pod sobą fotel, pod stopami podłogę, a słońce świeci przez okno z lewej strony. Wrzaski jednak trwały. Stawały się coraz głośniejsze.

Uświadomił sobie, że za chwilę sam się przyłączy do tego chóru, włożył więc pięść do ust i wbił zęby w zgięte palce.

Podczas rutynowego startu samolotu stu osiemdziesięciu siedmiu mózgom przypomniano nagle o ich śmiertelności. Niektórzy z przerażeniem się do tego przyznali, inni całkowicie zaprzeczali, popijając alkohol lub chowając się za gazetami. Jeszcze inni, ukołysani standardowym przebiegiem lotu, zepchnęli do głębszych pokładów umysłu strach, że są zamknięci w długiej, ciśnieniowej trumnie i zawieszeni kilka kilometrów nad ziemią.

Bremen, samotny w pustym rzędzie, wił się i kurczył, a sto osiemdziesiąt siedem rozkołysanych umysłów tratowało go podkutymi kopytami.

Jezu, przed odlotem powinienem był zadzwonić do Sarah...

Ten skurczybyk wiedział, co jest w umowie. Powinien wiedzieć. To nie moja wina...

Tato... tato... przepraszam... tato...

Jeśli Barry nie chciał, żebym z nim spała, nie powinien dzwonić...

Była w wannie. Woda czerwona. Miała nadgarstki białe i otwarte jak rozcięte kłaczki...

Pieprzyć Fredericksona! Pieprzyć Fredericksona! Pieprzyć Fredericksona i Myersa, i Honeywella! Pieprzyć Fredericksona!

A jeśli samolot spadnie, o w dupę, do cholery, jeśli spadnie i znajdą to draństwo w walizce, o w dupę, popiół, stopione żelastwo i ja w kawałkach, i

jeśli znajdą forszę i uzi, i zęby w sztruksowej torbie, i torebki jak kiełbaski w moich bebechach, błagam, Jezu... jeśli samolot runie i...

To były łatwe do zniesienia, zwerbalizowane fragmenty.

Cięty Bremena jak odłamki tępej stali. Natomiast obrazy rozdzierały go, kroili na kawałki. Obrazy niczym skalpele. Bremen otworzył oczy i zobaczył najzwyczajniejszą kabinę samolotu; z okna po lewej stronie padało słoneczne światło, dwanaście rzędów z przodu dwie stewardesy w średnim wieku roznosiły śniadanie, ludzie rozparci w fotelach czytali lub drzemali... ciągle jednak napływały pełne przerażenia obrazy.

Bremen dostał strasznego zawrotu głowy, odpiął więc pas, podniósł podłokietniki i skulił się na sąsiednim pustym fotelu. Cały czas okładały go dźwięki, chropowatości i szaleńcze barwy tysiąca cudzych, nieproszonych myśli.

Zęby na kafelkach. Zapach palonego ozonu i emalii z wiertła dentystycznego zbyt długo borującego w zepsutym zębie. Sheila!

Na boga, Sheila!... Nie miałem zamiaru... Zęby powoli przesuwają się po kafelku.

Dłoń miażdżąca pomidor, między poplamionymi palcami przecieka miąższ. Ale to nie pomidor, to serce.

Frykcja i lubrykacja, powolne, rytmiczne pchanie, seks w ciemności. Derek... Derek, ostrzegałam cię... Rysunki w toalecie: penis i pochwa, w technikolorze, wilgoć, trzy wymiary. Pochwa powoli zwiera się, otwiera z przodu jak rozpadlina między wilgotnymi portalami. Derek... ostrzegałam, że ona cię pożre!

Wrzaski przemocy. Przemoc koni. Przemoc ciągła, bez granic.

Twarz otrzymała cios, jak gliniana figurka walnięta i ponownie spłaszczona, tylko że to nie jest twarz z gliny... kość i chrząstka pękają, rozkładają się, ciało pęka, roztarte na miazgę... pięść wali nadal.

– Dobrze się pan czuje?

Bremenowi udało się usiąść, zacisnąć prawą dłoń na podłokietniku i uśmiechnąć do stewardesy.

– Tak, doskonale – odpowiedział.

Kobieta w średnim wieku, opalona, miała zmęczoną, pomarszczoną cerę przykrytą makijażem. Trzymała tacę ze śniadaniem.

– Jeśli czuje się pan niedobrze, mogę sprawdzić, czy na pokładzie nie ma przypadkiem lekarza.

Cholera, a to pech... jakiś głupek z epilepsją albo nawet gorzej.

Nigdy nie nakarmimy tego stada, jeśli przez cały czas do Miami będę musiała trzymać go za rękę, a facet będzie się kulił i pocił.

– Jeśli pan źle się czuje, poproszę kapitana, by sprawdził, czy nie ma tu lekarza.

– Nie, nie. – Bremen uśmiechnął się, odebrał śniadanie i odchylił stół z siedzenia przed nim. – Naprawdę, czuję się świetnie.

Cholera, sukinsyn, pieprzony samolot spada, znajdą kiełbaski w mojej dupie, skurwysyn Gallego odetnie Doris cycki i da je na śniadanie temu Sanctusowi.

Bremen odkroił kawałek omleta, podniósł go na widelcu, przełknął. Stewardesa kiwnęła głową i odeszła.

Rozejrzał się, sprawdzając, czy nikt go nie obserwuje, po czym wypluł miękką papkę do papierowej serwetki, położył ją obok tacy z jedzeniem. Ręce mu drżały, gdy składał głowę na oparciu fotela i zamykał oczy.

Tato... och, tato... przepraszam, tato...

Walić w facjatę, aż się rozplaszczy na miazgę, walić w miazgę, aż zamażą się wszystkie rysy i zostaną tylko odciski pięści, walić w miazgę, aż ulepi się z niej twarz i potem znowu w nią walić...

Dwadzieścia osiem tysięcy od Pierce'a, siedemnaście tysięcy od Lordsa, czterdzieści dwa tysiące od Unimart–Selex... w wannie białe dłonie jak pocięte kłaczka... piętnaście tysięcy siedemset od Marxa, dziewięć tysięcy od poplecznika Pierce'a...

Bremen opuścił lewy podłokietnik i kurczowo go schwycił.

Obie ręce naprężyły się z wysiłku, jakby zwisał z pionowej ściany... jakby jego fotel był przymocowany do pionowego skalnego obrywu i tylko dzięki silnemu chwytowi ciało nie spadało w dół. Mógł tak wisieć jeszcze przez minutę... może dwie... trzymać się przez trzy minuty, dopóki nie zmyje go przyływ obrazów czy nieprzyzwoitych myśli, tsunami nienawiści lub strachu. Może pięć minut. Zapieczętowany w tej długiej rurze, kilometry ponad nicością. Nie ma jak uciec, nie ma dokąd pójść.

– Mówi kapitan. Chciałbym państwa poinformować, że osiągnęliśmy pułap trzynastu tysięcy kilometrów, wzdłuż całego wybrzeża panuje piękna pogoda, do Miami dolecimy za... aaa... trzy godziny piętnaście minut. Może moglibyśmy państwu jakoś uprzyjemnić podróż? Proszę nam o tym powiedzieć... dziękujemy, że skorzystali państwo z naszych linii United.

NA BEZRADOSNYCH ŻWIRACH

Bremen nie pamiętał ostatnich godzin lotu, nie pamiętał lotniska w Miami, nie pamiętał, jak wynajmował samochód, a potem jechał z miasta ku Everglades.

Ale musiał to przecież jakoś zrobić. Był tutaj... nieważne, co oznaczało „tutaj”.

Wynajęta beretta stała pod niskim drzewem przy żwirowej drodze. Wysokie palmy i gęstwa tropikalnych krzaków tworzyły przed samochodem zieloną ścianę. Na drodze nie było żadnego ruchu. Bremen drżał. Oparł ręce i czoło na kierownicy. Pot ściekał mu na kolana.

Wyciągnął kluczyki, otworzył drzwi i wytoczył się z samochodu. Chwiejnym krokiem poszedł w zarośla i zdążył paść na kolana, nim dopadły go skurcze i mdłości. Wymiotował w trawę. Wyczołgał się, znów poczuł nudności, podparty na łokciach dalej wymiotował, aż do odgłosów pustego odbijania.

Przekręcił się na bok, odtoczył od tego brudu, drżącą ręką wytarł brodę. Leżał, patrząc przez palce na niebo.

Miało stalowoszara barwę. Ciągłe słyszał w mózgu zgrzyty odległych myśli i obrazów. Przypomniawszy sobie pewną sprzeczkę z Gail na temat tego, czy walka za pieniądze jest jeszcze sportem, czy już nie. Żona zacytowała mu wtedy wypowiedź sprawozdawcy sportowego Jimmy’ego Cannona: „Boks to brudny interes i jeśli przez dłuższy czas bierzesz w tym udział, twój mózg staje się salą koncertową, w której bez przerwy gra chińska muzyka”.

Mój mózg – ponuro zastanawiał się Bremen, z trudnością oddzielając własne myśli od odległego neurogwaru – jest na pewno salą koncertową. Chciałbym, żeby tam grano jedynie chińską muzykę.

Uklęknął, dostrzegł w dole między krzakami zielony błysk wody, wstał, zataczając się zszedł po zboczu. W przyćmionym świetle zobaczył ni to rzekę, ni to bagno. Z nadbrzeżnych dębów i cyprysów zwisał hiszpański mech, w słonawej wodzie również rosły cyprysy. Znów przyklęknął, odgarnął warstewkę zielonej piany z lustra wody, obmył policzki i brodę. Przepłukał usta, wypluwając wodę do zduszonego wodorostami zbiornika.

Pięćdziesiąt metrów na prawo, pod wysokimi drzewami, stał dom, a raczej barak, do którego poprzez krzaki prowadziła kręta dróżka. Właśnie u jej wlotu Bremen zaparkował berettę. Zaniedbana chałupa z wypłowiałych

sosnowych desek tonęła w cieniu, ale na ścianie zwróconej ku drodze Bremenowi udało się odczytać napisy: *ŻYWE PRZYŃĘTY, USŁUGI PRZEWODNICKIE, DOMKI DO WYNAJĘCIA* oraz *ZWIEDZAJCIE NASZ SKLEP Z WĘŻAMI*. Poczłapał w tamtym kierunku wzdłuż zielonobrazowawej wody – ni to rzeki, ni to strumienia, ni to bagniska.

Barak oparty był na betonowych klockach, spod których wydobywał się próchniczny zapach mokrej ziemi. Z drugiej strony budynku stał stary chevrolet. Bremen zauważył dochodzącą tam od szosy szerszą drogę. Zatrzymał się przed szklanymi drzwiami. Wewnątrz panowała ciemność. Mimo reklamowych napisów, dom przypominał bardziej barak jakiegoś prostego trapera niż sklep. Wzruszywszy ramionami, otworzył skrzypiące drzwi.

– Siema – rzucił z mroku mężczyzna, który stał za ladą.

Drugi siedział w przejściu do sąsiedniego pomieszczenia.

– Dzień dobry. – Bremen zatrzymał się, poczuł neurogwar obu ludzi, niczym gorący oddech jakiegoś olbrzymiego stworzenia. Już chciał wyjść, gdy dostrzegł wielką chłodziarkę starego typu z suwaną pokrywą. Butelki oranżady tkwiły w topniejącym lodzie. Miał takie pragnienie, jakby nic nie pił od kilku dni. Na chybił trafił wydobył butelkę – niskokaloryczną colę – i podszedł do lady, by zapłacić.

– Pięćdziesiąt centów – powiedział mężczyzna.

Teraz Bremen widział go dokładniej: wymiętoszone brązowe spodnie, podkoszulek, niegdyś granatowy, obecnie sprany do szarości; ordynarna zaczerwieniona twarz; niebieskie oczy, które nie straciły barwy, patrzące spod daszka nylonowej czapki wykończonyj z tyłu siateczką.

Bremen poszperał w kieszeni, nie znalazł jednak drobnych. Portfel był pusty. Przez chwilę mu się zdawało, że w ogóle nie ma pieniędzy, ale sięgnął do kieszeni marynarki i wyjął zwitek banknotów – na pierwszy rzut oka same dwudziestki i pięćdziesiątki. Teraz sobie przypomniał, że poprzedniego dnia poszedł do banku i ze wspólnego z żoną rachunku wycofał wszystkie oszczędności – po spłaceniu kredytu hipotecznego oraz kosztów leczenia zostało 3865 dolarów 71 centów.

Cholera. Kolejny pieprzony dealer narkotyków. Prawdopodobnie z Miami.

Wyraźnie słyszał myśli mężczyzny, tak jakby ten je głośno artykułował, odpowiedział mu więc słowami, wyjmując równocześnie dwadzieścia dolarów i kładąc na ladzie.

– Nie jestem dealerem narkotyków – wychrypiał.

Mężczyzna zamrugał powiekami, przykrył banknot czerwoną dłonią. Odchrząknął.

– Nie powiedziałem, że pan jest, proszę pana.

Bremen zmarszczył czoło. Złość mężczyzny pulsowała ku niemu jak gorące czerwone światło. Wśród zakłóceń neurogwaru wyróżniał kilka obrazów.

Pieprzone narkomany zabiły Norma juniora. Równie dobrze mogłyby mu strzelić w głowę. Chłopak nigdy się nie słuchał, nie miał oleju w głowie. Gdyby żyła jego mamuska, może byłoby inaczej... Widok dziecka na huśtawce z opony, siedmiolatek śmieje się, brakuje mu przednich zębów. Teraz obraz tego samego chłopca, ale jako ponad dwudziestoletniego młodzieńca... pociemniałe oczy, blada twarz błyszcząca od potu.

Proszę, tato... przysięgam, że ci oddam. Pożycz mi tylko, bym mógł znowu stanąć na nogi.

Stanąc na nogi, to znaczy wziąć kolejną działkę koki, morfy czy jak to się teraz zwie. Głos Norma seniora. Norm senior odwiedza syna w hrabstwie Dade. Norm junior drży. Siedzi w długach z powodu uzależnienia, gotów jeszcze bardziej w nie popadać.

Raczej zdechnę, niż dam ci forszę na to gównno. Wracaj do domu, pracuj w sklepie... tak trzeba. Pójdiesz do szpitala rejonowego...

Obraz chłopca, teraz już mężczyzny – zgarnia jednym ruchem ze stołu talerze, filiżanki i wychodzi dumnie z kawiarni.

Wspomnienie – Norm senior szłocha po raz pierwszy od pięćdziesięciu lat.

Bremen patrzył na Norma, gdy ten wręczał mu resztę.

– Bardzo... – zaczął, ale przecież nie mógł powiedzieć, że mu współczuje.

– Nie jestem dealerem narkotyków – powtórzył tylko. – Wiem, jak to musi wyglądać z boku. Kasjer wypłacił mi dwudziestkami i pięćdziesiątkami... nasze oszczędności. – Otworzył butelkę i długo pił. – Dopiero co przyleciałem z Filadelfii. – Wytarł brodę wierzchem dłoni. – W... w sobotę umarła mi żona.

Wymówił te słowa po raz pierwszy. Zabrzmiały mu płasko, najzupełniej fałszywie. Pociągnął łyk i zmieszany opuścił wzrok. Myśli Norma zakotłowały się, ale czerwony żar zniknął.

Możliwe. Do diaska... facio może być rąbnięty przez śmierć małżonki albo przez narkotyki. Każdego teraz trzeba podejrzewać. Ja też tak

wyglądałem, kiedy odeszła Alma Jean... wygląda strasznie.

– Zamierzał pan trochę powędkować? – spytał Norm senior.

– Powędkować... – Bremen skończył pić, rozejrzał się po półkach zapchanych przynętami, spławikami, kołowrotkami. Pod ścianą stały wędkę z bambusa i włókna szklanego. – Taaa – rzekł powoli, sam zdziwiony swą odpowiedzią. – Chciałbym trochę połowić.

Norm senior kiwnął głową.

– Potrzebuje pan sprzętu? Przynęty? Karty wędkarskiej? Czy może ma pan to wszystko?

Bremen oblizał wargi. Coś powracało do wnętrza jego czaszki. Wyskrobanej, obtłuczonej czaszki.

– Potrzebuję wszystkiego – odparł niemal szeptem.

Norm senior się uśmiechnął.

– W każdym razie ma pan na to pieniądze, proszę pana.

Zaczął pokazywać rozmaite wędkę, przynęty, kołowrotki, ale kupujący nie grymasił – wybrał pierwsze oferowane mu rzeczy. Stos sprzętów rósł na ladzie.

Podszedł do lodówki i wyciągnął drugą butelkę. Miał poczucie jakiejś swobody, gdy pomyślał, że napój dopisany zostanie do rosnącego rachunku.

– Ma pan gdzie zamieszkać? Najlepiej byłoby się zatrzymać na jednej z wysepek, jeśli ma pan zamiar łowić tu w jeziorze.

Czy bagnisko, które wziął za Everglades, to jezioro?

– Zamieszkać? – powtórzył Bremen. W lustrze powolnych myśli Norma zobaczył, że mężczyzna uważa go za nieco kopniętego z powodu rozpaczki po śmierci żony. – Tak, chciałbym się tu zatrzymać przez parę dni.

Norm senior popatrzył w kierunku milczącego dotąd mężczyzny. Bremen otworzył swój umysł ku tamtej ciemnej postaci, ale żadna wypowiedź nie nadeszła. Myśli mężczyzny kotłowały się jak zawartość niewyobrażalnie powolnej pralki. Obracał kilka strzępów i pęczków obrazów, ale prawie nie zawierały one słów. Bremen się zdziwił; była to dla niego nowość.

– Verge, czy tamten facet z Chicago opuścił domek na Drugiej Wyspie Copely'ego?

Milczący osobnik potaknął kiwnięciem głowy. W smudze światła padającej z jedyne go okna stał się wyraźniej widoczny: stary, bezzębny, pokryty wątrobianymi plamami.

Norm senior powiedział:

– Verge kiepsko mówi po ostatnim wylewie... afazja, jak to określił

doktor Myers... ale umysł ma sprawny. Jedną z kabin na wyspie wynajmujemy na bardzo dogodnych warunkach. Czterdzieści dwa dolary dziennie, do tego wynajęcie łodzi motorowej. Albo Verge mógłby pana zabrać... bez dodatkowej opłaty. Nieźle się łowi na samej wyspie.

Bremen kiwał głową. Tak, tak, tak.

Norm również potaknął.

– W porządku, trzy noce co najmniej, razem sto dziesięć dolarów kaucji. Zostanie pan trzy noce?

Gość kiwnął głową.

– Tak.

Norm senior podszedł do zadziwiająco nowoczesnej kasy elektronicznej i wybił rachunek. Bremen wyciągnął kilka pięćdziesiątek z pliku banknotów, resztę pieniędzy schował do kieszeni.

– Aaaa... – zaczął Norm senior, pocierając policzek. Bremen wyczuł wahanie przed zadaniem osobistego pytania. – Chyba ma pan ubranie rybackie, ale jeśli... aaa... jeśli pan potrzebuje się przebrać, albo coś do jedzenia...

– Chwileczkę – odparł Bremen i opuścił sklep.

Poszedł do samochodu wąską ścieżką obok miejsca, gdzie wymiotował. Na siedzeniu dla pasażera leżała stara torba gimnastyczna. Nie pamiętał, żeby oddawał ją na bagaż w samolocie, ale miała przyczepioną etykietkę linii lotniczych.

Podniósł torbę; wyczuwalny w niej był jedynie pojedynczy cięższy przedmiot. Rozsunął zamek.

Wewnątrz, owinięty w bandanę, którą Gail podarowała mężowi ubiegłego lata, leżał rewolwer Smith & Wesson kaliber trzydzieści osiem. Broń dostali od brata Gail, policjanta, gdy mieszkali w Germantown i po sąsiedzku ciągle się zdarzały włamania. Nigdy z niej nie wystrzelili. Bremen zawsze miał ochotę wyrzucić rewolwer wraz z pudełkiem amunicji ofiarowanym im przez Carla, ale nie zrobił tego – trzymał broń zamkniętą w prawej dolnej szufladzie biurka.

Nie mógł sobie teraz przypomnieć, żeby zabierał rewolwer ze sobą. Podniósł go, odwinął bandanę, wiedząc z całą pewnością, że broni nie ładował.

Była naładowana. Pięć nabojów, częściowo widocznych, tkwiło w szarych, ciężarnych śmiercią komorach. Owinał rewolwer, włożył go do torby i zasunął zamek. Wziął ją ze sobą do sklepu.

Norm senior uniósł pytająco brwi.

– Chyba zabrałem nieodpowiednie ubranie – rzekł Bremen, usiłując się uśmiechnąć. – Rozejrzę się po tamtych półkach.

Sprzedawca za ladą kiwnął głową.

– I coś do jedzenia – dodał Bremen. – Potrzebne mi zaopatrzenie na jakieś trzy dni.

Norm senior podszedł do półek w pobliżu wejścia do sklepu i zdjął kilka puszek.

– W domku jest stary piec – powiedział. – Ale goście najczęściej grzeją sobie na maszynie. Zupa, fasola, mięso. Dobrze? – Sprzedawca wyczuwał, że klient nie jest w stanie sam podjąć decyzji.

– Taaa – odparł Bremen.

Znalazł drelichy i koszulę khaki zaledwie o jeden numer za duże. Zaniósł je na ladę, spojrzał na swe stopy – tkwiły w starych domowych pantoflach. Rozejrzął się po sklepie, ale nie dostrzegł żadnych sportowych butów.

Norm senior ponownie podliczył rachunek. Gość wyciągnął kilka dwudziestek i pomyślał, że robienie zakupów od lat nie sprawiało mu takiej przyjemności. Sprzedawca wpakował rzeczy do tekturowego pudła, kartonowy pojemnik z robakami umieścił obok chleba i zawiniętych w biały papier plasterków mięsa, po czym podał wędkę z włókna szklanego.

– Verge rozgrzeje silnik łodzi. O ile, oczywiście, jest pan gotów do drogi...

– Jestem gotów – odparł Bremen.

– Może chciałby pan przestawić samochód dalej od szosy. Za sklepem jest plac do parkowania.

Właściciel beretty zrobił coś, co go samego zdziwiło – wręczył Normowi seniorowi kluczyki, mając absolutną pewność, że powierza samochód w bezpieczne ręce.

– Czy mógłby pan...? – Bremen bardzo już chciał sobie pójść.

Norm senior uniósł brwi, ale natychmiast się uśmiechnął.

– Oczywiście. Zaraz to zrobię. Klucze będą cały czas w sklepie i odbierze je pan sobie przed odjazdem.

Przeszli tylnym wyjściem zmierzając do maleńkiej przystani, niewidocznej z frontowej części sklepu. Bezzębnie uśmiechnięty starzec siedział już w tyle łodzi.

Bremen doznał osobliwie niemiłego wrażenia. Rozpieranie w piersiach – jakby tropikalny ptak po głębokim śnie rozpościerał skrzydła, demonstrując

barwne upierzenie. Przez chwilę się obawiał, że nie zdoła powstrzymać łez.

Norm senior podał tekturowe pudło Verge'owi i czekał.

Gość niezdarnie wszedł na środek łodzi, ostrożnie położył wędkę na ławeczkach.

– Niech się pan tam dobrze bawi. – Norm senior skubał swą plastikową czapkę.

– Tak – wyszeptał Bremen, usadowiony na szorstkim siedzeniu. Czuł opary jeziora, ostrą woń oleju silnikowego i nawet lekki zapach nafty przyczepiony do ubrania. – Tak. Tak.

OCZY

Prawdopodobnie nikt z żyjących ludzi nie rozumie lepiej od Jeremy'ego, jak naprawdę działa umysł. Od trzynastego roku życia miał dostęp do umysłów innych ludzi, a potem jeszcze wdepnął w badania mające wyjaśnić funkcjonowanie procesu myślenia. A przynajmniej dobrze zobrazować jego przebieg.

Pięć lat przed śmiercią Gail Jeremy ukończył doktorat na temat analizy czoła fali. I wtedy właśnie na jego biurko w Haverford trafia odbitka artykułu Jacoba Goldmanna, z przyczepioną notatką od Chucka Gilpena, kolegi Jeremy'ego z akademika. „Pomyślałem sobie, że chciałbyś wiedzieć, jak inni podchodzą do tego problemu”.

Jeremy wraca do domu tak podekscytowany, że ledwo może mówić. Gernisavien spogląda na niego gniewnie i ucieka z pokoju. Gail nalewa mu coś chłodnego do picia, sadza przy kuchennym stole.

– Powoli – uspokaja go. – Mów wolniej.

– Dobrze – wzdycha Jeremy. Omal się nie dławi mrożoną herbatą. – Wiesz, o czym jest mój doktorat? Te rzeczy na temat czoła fali?

Gail podnosi oczy. Jak mogłaby tego nie wiedzieć? Przez cztery lata ów doktorat wypełniał całkowicie im życie, nawet kradł wolne chwile.

– Tak – odpowiada cierpliwie.

– A więc teraz wszystko jest już przestarzałe – stwierdza Jeremy z niestosownym uśmiechem. – Chuck Gilpen przesłał mi materiały faceta o nazwisku Goldmann, z Cambridge. Cała moja analiza fourierowska jest przestarzała.

– O, Jerry... – w głosie Gail czuć prawdziwy smutek.

– Nie, nie... to jest coś wspaniałego! – Jeremy niemal krzyczy. – To cudowne, Gail. Badania Goldmanna wypełniają wszystkie luki. Moje rezultaty są prawidłowe, ale postawiłem sobie niewłaściwe zadanie.

Gail potrząsa głową. Nie rozumie.

Jeremy pochyla się, twarz mu płonie. Rozlewa mrożoną herbatę na kuchenny stół. Wtyka żonie plik kartek.

– Popatrz, mała, tu wszystko jest w porządku. Pamiętasz, o co chodzi w mojej pracy?

– Analiza czoła fali funkcji pamięciowej – recytuje Gail.

– Tak. Ale głupotą było ograniczanie się wyłącznie do pamięci. Zespół

Goldmanna wykonał badania podstawowe na temat całościowych parametrów czoła fali ogólnie dla świadomości ludzkiej. Zaczęli od wyników – uzyskanych w latach trzydziestych przez pewnego rosyjskiego matematyka – związanych z anomaliami u osób rehabilitowanych po udarze mózgu. Badania te prowadziły prosto do mojej analizy fourierowskiej dla funkcji pamięci...

Jeremy podświadomie porzuca język i usiłuje bezpośrednio skomunikować się z Gail. Jego myślotyk pokrywa słowa, obrazy wylatują niczym wydruki z szybkiej drukarki. Nieskończone krzywe Schrödingera przemawiają językiem nieporównywalnie czystszy niż mowa. Załamanie krzywych prawdopodobieństwa w postępie dwumianowym.

– Nie, nie – wzdycha Gail kręcąc głową. – Mów. Opowiedz słowami.

Jeremy próbuje, wiedząc przez cały czas, że przy pomocy matematyki, która dla Gail jest mglistym szumem, znacznie lepiej by to wszystko wyjaśnił.

– Hologramy – mówi. – Praca Goldmanna oparta jest na badaniach w dziedzinie holografii.

– Tak jak twoja analiza pamięci. – Gail lekko marszczy czoło, jak zawsze, gdy dyskutują na temat jego pracy.

– Taaaak... owszem... ale Goldmann wychodzi poza analizę synaptyczną funkcji pamięci i dociera do odpowiednika ludzkiego myślenia... co więcej, do całej ludzkiej świadomości.

Gail bierze głęboki oddech. Jeremy widzi, jak w jej umyśle rozkwita zrozumienie. Miałby ochotę dotrzeć tam i w miejsce stosowanych przez Gail zbrukanych konstrukcji językowych wstawić czystą matematykę, by zbudować dla niej pomost do całkowitego zrozumienia. Powstrzymuje się jednak i próbuje znaleźć dodatkowe słowa.

– Czy to... – pyta Gail i przerywa. – Czy ta praca Goldmanna wyjaśnia... nasze zdolności?

– Telepatię? – Jeremy uśmiecha się. – Owszem, Gail... tak. Do diabła, to wyjaśnia prawie wszystko, czego poszukiwałem po ciemku jak ślepiec. – Zaczerpuje powietrza i dopija herbatę. – Zespół Goldmanna porobił wszelkie skomplikowane badania EEG i skanowania. Otrzymali mnóstwo surowych danych. Dziś rano poddałem je analizie fourierowskiej, potem włączyłem w różne modyfikacje schrödingerowskiego równania falowego, by zobaczyć, czy potwierdza się to dla fali stojącej.

– Jerry, niezupełnie rozumiem... – mówi Gail.

Jeremy czuje jej myśli, usiłujące uporządkować matematyczną plątaninę swoich myśli.

– Do licha, mała, to się potwierdziło. Goldmannowskie badania wzdłużne, podobne do badań rezonansu magnetycznego dla wzorców ludzkich myśli, dowodzą, że te wzorce dają się opisać jako czoło fali stojącej. Nie tylko funkcja pamięci, w której grzebałem, ale cała ludzka świadomość. Ta część nas, która jest nami, może być niemal idealnie wyrażona jako hologram... albo, bardziej precyzyjnie, rodzaj superhologramu zawierającego kilka milionów mniejszych hologramów.

Gail pochyla się, oczy jej błyszczą.

– Chyba rozumiem... ale gdzie tu jest umysł? Umysł jako taki?

Jeremy uśmiecha się, przechyla szklankę, by się napić, ale tylko kostki lodu stukają pod dotykiem warg. Odstawia głośno szklankę.

– Chyba najlepsza odpowiedź to ta, że Grecy i maniacy religijni oddzielali te dwie rzeczy. Mózg można rozpatrywać jako... rodzaj elektrochemicznego generatora fali czołowej i jednocześnie interferometru. Ale umysł... umysł... jest czymś znacznie wspanialszym niż zbitek szarej masy, który nazywamy mózgiem. – Wbrew woli Jeremy znowu myśli równaniami: sinusoidalne fale tańczą do eleganckiej muzyki Schrödingera. Wieczne, lecz zmienne fale sinusoidalne.

Gail znów się chmurzy.

– Zatem istnieje dusza... jakaś część nas samych, która może przeżyć śmierć? – Jej rodzice, zwłaszcza matka, byli fundamentalistami i teraz głos Gail brzmi nieco zaczepnie – jak zawsze, gdy są poruszane sprawy religijne. Przeraza ją idea, że dusza, pod postacią aniołka, ulatuje do wiecznego *stasis* w niebie.

Teraz z kolei Jeremy się chmurzy.

– Przeżyć śmierć? Nieee... – Irytuje go, że znowu musi myśleć słowami. – Jeśli słuszne są wnioski Goldmanna oraz moja analiza, i osobowość jest złożoną falą czołową, rodzajem niskoenergetycznych hologramów interpretujących rzeczywistość, wówczas osobowość z pewnością nie może przeżyć śmierci mózgu. Wzorzec zostanie zniszczony razem z generatorem hologramu. Skomplikowana fala czołowa – to my... a mówiąc skomplikowana... Gail, moja analiza wykazuje więcej wariantów cząstka-fala niż wynosi liczba atomów we wszechświecie... ta holograficzna fala czołowa potrzebuje podtrzymującej ją energii, tak jak wszystko. Wraz ze śmiercią mózgu, fala czołowa niknie jak balon ogrzewany gorącym

powietrzem bez gorącego powietrza. Opada, rozrywa na kawałki, strzępi i znika.

Gail uśmiecha się ponuro.

– Miły obrazek – mówi cicho.

Jeremy nie słucha. Jego spojrzenie przybiera ten nieco nieziemski wyraz, pojawiający się zawsze, gdy intensywnie myśli.

– Nieistotne, co się dzieje z falą czołową po śmierci mózgu – mówi tonem, jakby żona była jego studentką – najważniejsze, w jaki sposób to przełomowe odkrycie... na Boga, to rzeczywiście przełom... stosuje się do naszych, jak je nazwałaś, zdolności. Do telepatii.

– A jak się stosuje? – pyta cicho Gail.

– Dość prosto, jeśli przedstawić sobie ludzką myśl jako serię czół fal stojących, tworzących wzory interferencyjne, które można gromadzić i rozprzestrzeniać w postaci holograficznych analogów.

– Ufff.

– Nie, to naprawdę proste. Czy pamiętasz, jak przesłaliśmy sobie wrażenie naszych zdolności, gdy się spotkaliśmy po raz pierwszy? Oboje doszliśmy do wniosku, że nie można wyjaśnić myślotyku komuś, kto sam tego nie doświadczył. To tak, jakby opisywać...

– Jakby opisywać kolory osobie niewidomej od urodzenia – wtrąciła Gail.

– Właśnie. Dobrze wiesz, że w rzeczywistości myślotyk zupełnie nie odpowiada głupim opisom w książkach SF.

Gail się uśmiecha. Czytanie fantastyki jest jej skrytym grzeszkiem, wypoczynkiem od poważnych lektur, które zwykle preferuje. Lubi jednak ten gatunek literatury i wścieka się na Jeremy'ego, gdy on używa określenia „SF”.

– Na ogół autorzy mówią, że to przypomina łapanie programu w radiu lub telewizji – mówi Gail. – Że umysł jest jakimś odbiornikiem.

Jeremy kiwa głową.

– My natomiast wiemy, że bardziej przypomina... – Słowa go zawodzą. Usiłuje przekazać żonie opis matematyczny: przesunięte w fazie sinusoidalne fale powoli się zbiegają, gdy ich amplitudy suną w poprzek wykresu przestrzeni probabilistycznej.

– Coś jakby wrażenia *déjà vu* ze wspomnieniami drugiej osoby. – Gail nie chce opuścić kruchej tratwy języka.

– Zgoda. – Jeremy marszczy czoło. – Zgoda – powtarza. – Nikt się nie zastanawiał nad problemem... przynajmniej przed Goldmannem i jego

zespołem... w jaki sposób człowiek odczytuje własny umysł. Neurolodzy badają neurotransmitery czy inne związki chemiczne lub formułują odpowiedź w terminach dendrytów i synapsów. To tak, jakby ktoś usiłował zrozumieć funkcjonowanie radia, rozkładając na części poszczególne układy scalone i tranzystory, nie próbując nawet złożyć wszystkiego w całość.

Gail idzie do lodówki, przynosi dzbanek i napełnia szklankę mrożoną herbatą.

– A ty to radio złożyłeś?

– Goldmann. – Jeremy się uśmiecha. – A ja je dla niego włączyłem.

– W jaki sposób odczytujemy własne umysły? – pyta cicho Gail.

Jeremy rzeźbi dłońmi powietrze. Palce drgają jak nieuchwytny czoła fal, które stara się teraz opisać.

– Mózg generuje superhologramy zawierające pełny zestaw... pamięć, osobowość, nawet moduły przetwarzające czoła fal, byśmy mogli interpretować rzeczywistość... i w tym samym czasie, gdy generuje te fale, mózg działa również jako interferometr, rozbijając czoła fal na porcje, w miarę naszych potrzeb. „Odczytuje” nasz własny umysł.

Gail zaciska i rozwiera dłonie. Z podniecenia ma ochotę gryźć paznokcie.

– Chyba rozumiem...

Jeremy ujmuje jej dłonie.

– Naprawdę rozumiesz. To wiele rzeczy wyjaśnia... dlaczego ofiary udaru mózgu potrafią odzyskać sprawność wykorzystując różne obszary mózgu, dlaczego choroba Alzheimera czyni takie spustoszenia, dlaczego dzieci potrzebują tak dużo snu, a starzy ludzie znacznie mniej. Rozumiesz, osobowościowe czoła fali u dziecka musi w znacznie większym stopniu interpretować rzeczywistość w tym holograficznym symulatorze...

Jeremy przerywa. Na twarzy Gail dostrzega przelotny wyraz bólu, gdy wspomniał o dziecku. Ściska jej rękę.

– Widzisz zatem – mówi – że poniekąd wyjaśnia to nasze zdolności.

Patrzy na niego, ich oczy się spotykają.

– Chyba rozumiem, Jerry. Ale...

Jeremy dopija herbatę.

– Może jesteśmy mutantami genetycznymi, mała. Tak jak sobie kiedyś mówiliśmy. Ale jeśli nawet, i tak nasze mózgi robią to samo, co mózgi innych osób... rozbijają hologramy na zrozumiałe wzorce. Przy czym nasze mózgi potrafią zinterpretować wzory nie tylko na czołach naszych fal, ale również fal innych ludzi.

Gail kiwa głową. Teraz rozumie.

– Właśnie dlatego stale nam towarzyszy szum pochodzący od myśli różnych osób... to co nazywamy neurogwarem, prawda, Jerry? Cały czas załamujemy fale myślowe innych ludzi.

Jak nazwałeś hologramową rzecz, która to robi?

– Interferometr.

– Zatem urodziliśmy się z wadliwym interferometrem. – Gail się uśmiecha.

Jeremy podnosi jej dłoń i całuje palce.

– Albo z ponadprzeciętnie sprawnym.

Gail podchodzi do okna, patrzy na stodołę, usiłuje wszystko sobie poukładać. Jeremy pozostawia żonę jej własnym myślom, ustawia myślotarczę tak, by nie przeszkadzać.

– Jest jeszcze jedna rzecz, mała – mówi po chwili.

Gail splótłszy ramiona odwraca się od okna.

– Czy wiesz, dlaczego Chuck Gilpen dostał od razu wyniki tych badań? – pyta Jeremy. – Pamiętasz, że Chuck pracuje w Zespole Podstaw Fizyki przy Laboratoriach Lawrence’a Livermore’a w Berkeley?

Gail kiwa głową.

– No więc?

– Więc przez kilka ostatnich lat polowali na coraz mniejsze cząstki i studiowali ich własności, by otrzymać jakieś wskazówki, co jest rzeczywiste. Co jest naprawdę rzeczywiste. Gdy przeszli poza gluony, kwarki, powaby, kolory i zobaczyli rzeczywistość na najbardziej podstawowym, przekonującym poziomie, wiesz, co dostali?

Gail kręci głową, mocniej otacza się ramionami. Widzi odpowiedź, zanim mąż ją sformułuje.

– Otrzymali serię równań probabilistycznych, które modelowały czoła fal stojących – mówiąc to Jeremy dostaje gęsiej skórki. – Otrzymali te same zakrętasy czy wywijasy, co Goldmann, gdy sięgnął poza mózg i odnalazł umysł.

– I co to znaczy tak naprawdę? – szepcze Gail.

Jeremy zostawia szklankę z roztopiającymi się kostkami lodu, wyjmując z chłodziarki piwo. Otwiera puszkę i długo pije, przerywając raz, by odbeknąć. Za plecami Gail późne popołudnie maluje bogatymi barwami wiśniowe drzewa przy stodole.

– Tam hen – Jeremy przekazuje Gail. – I w naszych umysłach. Inne... i

takie samo. Świat jako czoło fali stojącej, kruchy i nieprawdopodobny jak
dziecięce sny.

Ponownie mu się odbija.

– Mózg się lasuje, mała.

LASCIATE OGNI SPERANZA, VOI CH'ENTRATE

Trzeciego dnia Bremen wstał i wyszedł na światło. Obok domku była mała przystań – w zasadzie dwie deski na balach.

Stanął tam i mrużąc oczy, patrzył na wschodzące słońce. Z tyłu za nim ptaki hałasowały na bagnach, a w rzece u jego stóp żerowały ryby.

Pierwszego dnia razem z Verge'em popłynęli rzeką do domku rybackiego. Odczuwał pewne zadowolenie. Myśli mężczyzny stanowiły miłą odmianę dla wyczerpanego umysłu Bremena: myśli bezsłowne, obrazy bez słów, powolne emocje bez słów, myśli rytmiczne i kojące jak pyrkotanie starego silnika motorówki, pchającego ich po leniwej rzece.

Domek oferował więcej, niż Bremen się spodziewał za czterdzieści dwa dolary: przystań, weranda, mały pokój dzienny z zasłoniętymi siatką oknami, kanapa, fotel na biegunach, niewielka kuchnia z małą lodówką – w domku był prąd! – przysadzisty piec, a także obiecana maszynka elektryczna, wąski stół przykryty wyblakłą ceratą. Obok sypialnia, nie większa od wmontowanego w ścianę łóżka, z oknem wychodzącym na prymitywną wygodkę. Pysznic oraz umywalkę sklecono prowizorycznie w otwartej wnęce na zewnątrz, obok tylnych drzwi. Koce i złożone prześcieradła były czyste, wszystkie trzy lampy działały i Bremen padł na kanapę, mając wrażenie zbliżone do radości, że znalazł to miejsce... o ile w ogóle można odczuwać radość w smutku tak głębokim, że aż ćmiło w głowie.

Verge wszedł do domku i usiadł w bujanym fotelu. Bremen pamiętając o zasadach dobrego wychowania, wyjął – zapakowany przez Norma seniora – pojemnik z sześcioma piwami i podał jedną puszkę Verge'owi. Mężczyzna nie odmówił i Bremena zalała przyjemna fala jego bezsłownych myśli. Siedzieli w ciepłym zmierzchu i sęczyli swe równie ciepłe piwa.

Później, gdy jego przewodnik odszedł, Bremen usiadł z wędką na szorstkich deskach pomostu. Na chybił trafił wybierał przynętę, linki, nie zastanawiając się, na jaką rybę je zastawia. Zwiesił nogi, nasłuchiwał odgłosów z bagna, rzeki i rechotu żab. Szczęście mu sprzyjało. Nigdy nawet nie przypuszczał, że kiedykolwiek złowi aż tyle ryb. Były wśród nich zębacz – poznał je po wąsach – oraz inne dłuższe, cieńsze, wytrwale walczące. Jedna przypominała pstrąga tęczowego, ale uznał to za mało

prawdopodobne. Wszystkie wrzucał z powrotem do wody. Kupił dosyć jedzenia na trzy dni, więc nie potrzebował ryb. Samo łowienie miało działanie terapeutyczne, koło umysł, dając namiastkę spokoju po obłędzie minionych dni i tygodni.

Kiedy zaszło słońce (Bremen nie patrzył na zegarek), wrócił do domku, przygotował sobie kanapkę z szynką, sałatą i pomidorem, popił piwem, umył talerz, umył siebie samego, a potem zmożony snem poszedł do łóżka. Zasnął po raz pierwszy od czterech dni. Także, po raz pierwszy od wielu tygodni, nic mu się nie śniło.

Drugiego dnia wstał późno i do południa łowił z pomostu.

Tym razem bez powodzenia, ale był zadowolony, tak jak poprzedniego wieczora. Po wczesnym lunchu poszedł na spacer wzdłuż brzegu, do miejsca, gdzie rzeka wsączała się w bagno, a może odwrotnie... nie potrafił tego stwierdzić. Kilka godzin łowił tam z brzegu. I tym razem wrzucał do wody wszystkie złapane ryby. Między wynurzającymi się z wody cyprysami dostrzegł płynącego leniwie węża i po raz pierwszy w życiu nie czuł strachu przed tymi gadami.

Wieczorem drugiego dnia przypyrkotał z dołu rzeki Verge, zacumował przy podejście i prostymi gestami wyjaśnił, że zachęca gościa do wędkowania na bagniskach. Bremen wahał się chwilę – nie miał pewności, czy jest już gotów iść na bagna – ale podał Verge’owi wędkę i kołowrotek, po czym wskoczył ostrożnie na dziób łodzi.

Nad ciemnymi bagnami zwisały długie mchy. Niezbyt skoncentrowany na łowieniu ryb, obserwował olbrzymie ptaki leniwie trzepoczące skrzydłami w locie ku swym wysoko położonym gniazdom. Nasłuchiwał wieczornego koncertu żab.

Żyła ich co najmniej setka gatunków. Widział nawet dwa aligatory sunące powolnie przez atramentowoczną wodę. Myśli Verge’a współgrały z rytmami bagna i łodzi. Bremen znajdował bezgraniczne ukojenie, poddając własną zawirowaną świadomość ułomnej jasności ułomnego umysłu swego towarzysza. W jakiś dziwny sposób wysondował, że Verge, choć słabo wykształcony i na pewno niezbyt odczytany, musiał kiedyś mieć poetyckiego ducha. Po przebytych wylewie jego poezja przejawiała się jako łagodny rytm bezsłownych wspomnień oraz jako wycofanie pamięci na rzecz przemożnego rytmu terażniejszości.

Nie złowili żadnej ryby wartej zatrzymania. Wypłynęli więc z bagniska w rozjaśnioną ciemność – księżyc w pełni wznosił się od wschodu nad

cyprysami – i przywiązali łódkę do małego pomostu przy domku. Wiatr przepędził komary, siedzieli więc w przyjacielskim milczeniu na ganku i dopijali piwo Bremena.

Teraz właśnie, trzeciego poranka, Bremen wyszedł na światło i patrząc na wschodzące słońce, mrużył oczy. Przed śniadaniem miał zamiar trochę powędkować. Zeskoczył z pomostu i poszedł wzdłuż brzegu sto metrów na południe, do miejsca, gdzie poprzedniego dnia wypatrzył splachetek trawy. Znad rzeki unosiła się mgła, natarczywy ptasi krzyk wypełniał powietrze. Bremen ostrożnie szedł, bacząc jednym okiem, czy w trzcinach nie ma węży lub aligatorów. Czuł, jak szybko wzrasta temperatura powietrza, gdy słońce się wznosi ponad wierzchołki drzew. W piersi powoli wzbierało mu coś bardzo przypominającego szczęście.

Wielka rzeka o dwóch sercach, nadeszła myśl Gail.

Bremen przystanął. Lekko dyszał, zamknął oczy, by się skoncentrować. To była Gail, ale jednocześnie nie ona. Widmowe zimne echo. Jakby szeptała jej głosu. Bremenowi coraz bardziej kręciło się w głowie, aż musiał usiąść na kępie trawy.

Opuścił głowę między kolana i usiłował spokojnie oddychać.

Po chwili brzęczenie w uszach zelżało, łomotanie w piersiach nie było już tak silne, a wywołujące mdłości wrażenie de ja u ustało.

Podniósł twarz do słońca. Usiłował się uśmiechnąć. Sięgnął po wędkę i kołowrotek.

Nie miał wędki i kołowrotka. Tego ranka zabrał ze sobą rewolwer kaliber trzydzieści osiem.

Siedząc na nasłonecznionym brzegu rzeki patrzył na rewolwer. W jasnym świetle stal była niemal czarna. Znalazł dźwignię zwalniającą bębenek i spojrzawszy na sześć mosiężnych krążków. Zamknął ze szczękiem bębenek, podniósł broń wyżej, niemal do twarzy. Kurek kliknął niezwykle miękko. Bremen przystawił sobie do skroni krótką lufę, zamknął oczy.

Czuł słoneczne ciepło, słyszał brzęczenie owadów.

Nie snuł fantazji na temat tego, jak kula wtargnie do jego czaszki i uwolni go... pośle na inny poziom egzystencji. Ani on, ani Gail nigdy nie wierzyli w inne życie poza tym ziemskim. Wyobrażał sobie jednak, że ten rewolwer, ten pojedynczy pocisk, przyniosą wyzwolenie. Palcem odnalazł spust i teraz miał całkowitą pewność, że nawet najmniejszy dodatkowy nacisk położy kres temu bezbrzeżnemu żalowi, którego nie mógł zamaskować nawet ów przelotny cień szczęścia. Minimalny dodatkowy nacisk wreszcie zakończyłby

nieprzerwaną agresję myśli innych ludzi, które nawet teraz bzycały mu na skraju świadomości niczym milion niebieskich much wokół zepsutego mięsa.

Czuł pod palcem idealny profil metalu i wbrew własnej woli przetwarzał to dotykalne wrażenie łuku na krzywą geometryczną. Wyobrażał sobie utajoną w prochu energię kinetyczną, gwałtowną jej zamianę w ruch, a w rezultacie zapaść znacznie bardziej złożonej struktury – skomplikowany taniec sinusoidalnych fal i czół fal stojących w czaszce, zanikających wraz z umierającym mózgiem, który je generował.

Myśl, że mógłby zniszczyć elegancką matematyczną konstrukcję, że na zawsze rozbiłby równania fali, które uważał za znacznie piękniejsze niż opisywana przez nie ułomna ludzka psyche, ta myśl sprawiła, że opuścił rewolwer, opuścił kurek i ponad trzcinami cisnął broń do rzeki.

Stał i patrzył na rozchodzące się po wodzie kręgi. Nie czuł podniecenia ani smutku, satysfakcji ani ulgi. W ogóle nic nie czuł.

Myśli mężczyzny dotarły do niego parę sekund wcześniej, zanim wykonał obrót i zobaczył go.

Nieznajomy stał na starym skifie niecałe dziesięć metrów od Bremena. Odpychając się wiosłem od dna, kierował płaskodenną łódź z mielizny, gdzie rzeka przechodziła w bagno (lub odwrotnie). Jego strój jeszcze bardziej nie pasował do okoliczności niż ubranie Bremena przed trzema dniami. Mężczyzna miał na sobie biały garnitur i czarną koszulę, której spiczasty kołnierzyk, przypominający krucze skrzydła, przecinał szerokie klapy marynarki. Z cienkiej szyi zwisały złote łańcuchy, opadając na czarno owłosioną pierś, współgrającą kolorystycznie z błyszczącą czarną koszulą. Wytworne półbuty z miękkiej skóry z pewnością nie były przewidziane do chodzenia po innym podłożu niż perski dywan. Z kieszonki białego garnituru wystawała różowa jedwabna chusteczka.

Spodnie przytrzymał biały pasek ze złotą klamrą. Na nadgarstku błyszczał złoty rolex.

Bremen już miał powiedzieć dzień dobry, gdy wszystko od razu zobaczył.

Nazywa się Vanni Fucci. Wyjechał z Miami nieco po trzeciej po południu. Nieżywy mężczyzna w kufrze nosił nieprawdopodobne nazwisko Chico Tartugian. Vanni Fucci zatopił ciało parę metrów od miejsca, gdzie teraz płynęła łódź, między cyprysami.

Tam bagno jest czarne i dość głębokie.

Widział kręgi na wodzie rozchodzące się od zacienionego miejsca, w którym Chico Tartugian, oplatany dwudziestokilogramowym łańcuchem,

został zepchnięty z łodzi.

– Hej! – krzyknął Vanni Fucci. Omal nie przewrócił łodzi, gdy jedną rękę zdjął z wiosła i sięgnął pod białą marynarkę.

Bremen cofnął się o krok i zamarł. Przez chwilę miał wrażenie, że rewolwer kalibru trzydzieści osiem, który trzyma w ręku Vanni Fucci, to jego rewolwer, kiedyś podarowany przez szwagra, ciśnięty przed chwilą do rzeki. Jeszcze były widoczne w tamtym miejscu zmarszczki, które jednak zanikały, spotkawszy się z prądem rzeki i małymi falami wytwarzanymi przez rozkołysaną łódź Vanniego Fucciego.

– Hej! – krzyknął Vanni Fucci i odbezpieczył rewolwer.

Z wyraźnym dźwiękiem.

Bremen usiłował podnieść rękę, ale udało mu się tylko złożyć je razem na piersiach nie tyle w geście prośby czy błagania, ile raczej medytacji.

– Co, do cholery, tu robisz? – wrzasnął Vanni Fucci. Skif tak się chwiał, że czarny otwór pistoletu celował raz w głowę, raz w stopy Bremena.

Wiedział, że jeśli ma uciekać, teraz nadszedł najlepszy moment. Nie uciekł.

– Pytałem, co tu, cholera, robisz, ty pieprzony kutasie! – wrzeszczał mężczyzna w białym garniturze i czarnej koszuli.

Gęste, skręcone włosy były czarne, równie połyskliwe jak wytworna koszula; twarz – blada pod sztuczną opalenizną; usta wydęte jak u aniołka, teraz wykrzywione grymasem. W lewym uchu lśnił brylant.

Bremen zaniemówił, bardziej z powodu dziwnej radości niż strachu, i tylko pokręcił głową. Ręce nadal miał złożone, koniuszki palców prawie się stykały.

– Cho–no–tu, kutasie! – krzyknął Vanni Fucci. Usiłował ustabilizować rewolwer, gdy wpychał mocniej wiosło pod prawe ramię i sterował do brzegu. Lewym przedramieniem przytrzymał wiosło. Skif się zakolysał, ale ruszył do przodu. Wylot lufy był coraz większy.

Bremen przegnał komary sprzed oczu i patrzył, jak łódź płynie do brzegu. Rewolwer znajdował się zaledwie dwa metry od niego.

– Co widziałeś, kutasie? Co, kurwa, widziałeś? – Vanni Fucci zaakcentował ostatnie pytanie wyciągając przed siebie rewolwer, jakby chciał go wepchnąć Bremenowi w twarz.

Ten nie odpowiedział. Gdzieś w głębi duszy czuł wielki spokój. Myślał o żonie w jej ostatnich dniach życia. Ciało Gail otoczone aparaturą na sali intensywnej terapii, zaatakowane cewnikami, maskami tlenowymi, sączkami.

Wszelkie myśli o eleganckim balecie sinusoidalnych fal zniknęły po krzykach gangstera.

– Wsiadaj na tę pieprzoną łódź, sukinsynu – syczał Vanni Fucci.

Bremen patrzył wytrzeszczonymi oczyma. Naprawdę nie rozumiał. Myśli Fucciego, rozpalone do białości, płynęły potokiem wulgaryzmów i strachu. Przez dłuższą chwilę nie wiedział, że Vanni Fucci mówi na głos.

– Kazałem ci wchodzić na tę pieprzoną łódź, sukinsynu! – krzyknął Vanni Fucci i strzelił w powietrze.

Bremen westchnął, opuścił ręce i ostrożnie wszedł do skifu. Vanni Fucci machnął ręką, każąc przejść na dziób, wskazał gestem, by usiadł, a potem niezgrabnie jedną ręką odpychał łódź wiosłem od dna, a drugą trzymał rewolwer.

W ciszy płynęli ku przeciwległemu brzegowi, jedynie spłoszone strzałem ptaki skrzeczały.

OCZY

Interesuje mnie śmierć. To dla mnie nowe pojęcie. Myśl, że ktoś po prostu może „przestać” jest prawdopodobnie najbardziej zaskakującą i fascynującą ze wszystkiego, co przekazał mi Jeremy.

Jestem pewien, że dla Jeremy’ego pierwszy kontakt ze śmiertelnością jest szczególnie brutalny. To śmierć matki, gdy miał cztery lata. Jego telepatyczne zdolności są wtedy jeszcze świeże i nie uporządkowane. Najwyżej wtargnięcie jakichś myśli lub senne koszmary – dopiero później się przekona, że nie były jego własne. W noc, gdy umiera matka, owe zdolności nabierają niespotykanych i nieprzyjemnych cech.

Matka nazywa się Elizabeth Susskind Bremen i gdy umiera, ma dwadzieścia dziewięć lat. Wraca do domu ze „spotkania dziewcząt” – przemianowano wieczorne gry w pokera, wykazując szacunek dla poprzedniej, zbyt pedantycznej nazwy.

Sześć, czasami dziesięć kobiet od lat urządzało spotkania raz w miesiącu. Znały się jeszcze z okresu, gdy nie były zamężne.

Tego wieczora jechały do Filadelfii na wystawę w muzeum sztuki, a potem na koncert jazzowy. Zawsze starały się wcześniej określić, która z nich ma potem odwieźć je do domów.

Carrie, odwieczna przyjaciółka Elizabeth, nie piła ani kropli, nim zasiadła za kierownicą. Cztery kobiety mieszkają od siebie w odległości pół godziny jazdy, niedaleko domu Bremenów w Bucks County. Tego wieczora jadą chevroletem combi, należącym do Carrie, gdy pijak przekracza środkowy pas na autostradzie Schuylkill.

W intensywnym ruchu combi jedzie skrajnym lewym pasem. Carrie ma najwyżej dwie sekundy na reakcję, gdy pijak przekracza dzielącą barierkę, naprawianą akurat na tym odcinku. Następuje czołowe zderzenie. Na miejscu ginie matka Jeremy’ego, jej przyjaciółka Carrie oraz trzecia kobieta, Margie Sheerson. Czwarta z nich, nowa znajoma Carrie, która brała udział w pokerowym spotkaniu po raz pierwszy, wypada z samochodu i żyje, ale od tego dnia jest sparaliżowana. Pijak – Jeremy nigdy nie jest w stanie zapamiętać jego nazwiska, choć przez następne lata wielokrotnie widzi je na piśmie – odnosi jedynie lekkie obrażenia.

Jeremy krzyczy przez sen, budzi się i zaczyna wrzeszczeć, sprowadzając ojca na górę do swego pokoju. Nadal wrzeszczy, gdy dwadzieścia pięć minut

później telefonuje do nich patrol drogowy.

Pamięta każdy szczegół następnych kilku godzin: jak wraz z ojcem zabrano go do szpitala, w którym nikt nie wiedział, gdzie odesłano ciało Elizabeth Bremen; jak kazano mu stać obok ojca, gdy ten musiał oglądać w szpitalnej kostnicy rząd kobiecych ciał, by „zidentyfikować” zaginioną Jane Doe; jak zawiadomiono ich, że ciała matki nie przywieziono wraz z pozostałymi ofiarami, lecz przetransportowano je bezpośrednio do kostnicy w sąsiednim rejonie. Pamięta długą nocną jazdę w deszczu, twarz ojca odbitą w lusterku, rozjaśnioną światłkami z deski rozdzielczej. Pamięta piosenkę z radia – Pat Boone śpiewała *Kwietniową miłość*. Pamięta, jak błądzili, szukając kostnicy w jakichś zapuszczonych przemysłowych rejonach Filadelfii.

Wreszcie pamięta, jak patrzył na twarz i ciało matki. Nikt nie uniósł dyskretnie prześcieradła, jak na filmach, które Jeremy widział w następnych latach. Zmasakrowana twarz i połamane ciało Elizabeth Susskind Bremen leży w przezroczystej plastikowej torbie, podobnej do zasłony prysznicowej. Zaspany pracownik kostnicy otwiera brutalnie torbę i przypadkowo rozsuwa brzegi tak nisko, że odsłania piersi matki. Nadal pokrywa je nie do końca zakrzepła krew. John Bremen wyżej podciąga plastik ruchem, który Jeremy widział setki razy, gdy ojciec starannie otulał go kocem. John nic nie mówi, tylko potwierdza, że zidentyfikował ciało. Oczy matki są nieco otwarte, jakby zerkała na nich, bawiąc się w chowanego.

Oczywiście, tej nocy ojciec nie ciąga go wszędzie ze sobą.

Jeremy zostaje u sąsiadów. Leży zwinięty na kanapie w ich pokoju gościnnym, pachnącym płynem do czyszczenia dywanów. Uczestniczy w koszmarnej ojcowskiej wędrówce, leżąc w czystej pościeli i szerokimi oczyma patrząc w sufit, po którym powoli przesuwają się smugi reflektorów samochodów jadących po mokrej szosie. Uświadamia to sobie ponad dwadzieścia lat później, po ślubie z Gail. A właściwie Gail to sobie uświadamia – to ona przerywa gorzką opowieść Jeremy’ego o wydarzeniach tamtej nocy, to ona ma dostęp do zakamarków pamięci Jeremy’ego, do których nawet on sam nie może sięgnąć...

Jako czteroletni chłopiec Jeremy nie płakał, ale dwadzieścia jeden lat później szłocha prawie godzinę w ramionach Gail. Szłocha za swą matką i nieżyjącym ojcem, który umarł na raka, nie uzyskawszy synowskiego przebaczenia. Jeremy szłocha nad sobą.

Nie jestem pewien, kiedy nastąpiło pierwsze telepatyczne spotkanie Gail

ze śmiercią. Istnieje wspomnienie z pogrzebu kota Leo, gdy Gail ma pięć lat, ale zapamiętany myślotyk podczas ostatnich godzin życia potrąconego przez samochód zwierzęcia może być bardziej żalem z powodu braku mruczenia i futrzastego ciepła niż rzeczywistym kontaktem ze świadomością kota.

Rodzice Gail są fundamentalistycznymi chrześcijanami.

Córka dorasta, a oni stają się coraz bardziej fundamentalistyczni. O śmierci słyszy wyłącznie jako o „przejściu” do Królestwa Chrystusowego. Gail ma osiem lat, gdy umiera jej babka. Była sztywną, konwencjonalną, dziwnie pachnącą starszą panią i Gail rzadko ją odwiedzała. W domu przedpogrzebowym ojciec unosi Gail wysoko, by mogła zobaczyć ciało, i szepcze jej do ucha:

– To nie jest prawdziwa babcia... babcia jest w niebie.

Dość wcześnie, jeszcze przed śmiercią babci, Gail dochodzi do wniosku, że niebo to na pewno kupa gówna. Są to słowa wuja Buddy’ego:

– Całe to kościelne gadanie, Beanie, to kupa gówna. Niebo, anielskie chóry... wszystko to kupa gówna. Umieramy i nawozimy ziemię, jak teraz kot Leo zakopany na podwórku.

Pewne jest jedno, że po śmierci pomagamy rosnąć trawie i kwiatkom, a wszystko inne to kupa gówna.

Gail nigdy nie wiedziała, dlaczego wuj nazywa ją Beanie, ale sądzi, że ma to coś wspólnego z jego siostrą, która umarła w dzieciństwie.

Wcześnie dochodzi do wniosku, że śmierć to prosta sprawa: człowiek umiera i nawozi trawę lub kwiaty. A wszystko inne to kupa gówna.

Matka Gail słyszy, jak córka dzieli się swą filozofią z koleżanką, gdy grzebią zdechłego chomika. Odsyła koleżankę do domu i zaczyna godzinną przemowę do Gail na temat tego, co mówi Biblia, słowo Boże na tej ziemi, i jak głupi jest pogląd, że człowiek po prostu przestaje istnieć. Gail stoi i patrzy, ale uparcie odmawia odwołania swych poglądów. Matka mówi, że wuj Buddy jest alkoholikiem.

Ty też, myśli dziewięcioletnia Gail, ale nic nie mówi. Zdobyła tę wiedzę nie dzięki swym myślotykowym zdolnościom – z nich zda sobie sprawę cztery lata później, gdy wejdzie w okres dojrzewania – ale sama do niej doszła, znajdując otwieracz do butelek w łazience pod ręcznikami, słysząc wieczorami bełkotliwy, donośny głos matki, która zwykle ma wyraźną dykcję, i nasłuchując odgłosów przyjęć, organizowanych przez rodziców dla ich odrodzonych duchowo przyjaciół.

Tak się składa, że pierwszą bliską osobą, która umiera – gdy Gail jest już

pełnoprawną telepatką – był wuj Buddy. Gail przez całe Chicago jedzie autobusem do szpitala, gdzie umiera wuj. Buddy nie może mówić. Ma założone cewniki doprowadzające powietrze przez zniszczone chorobą gardło do podziurawionych przez nowotwór płuc. Piętnastoletnia Gail zostaje tam przez sześć godzin, dłużej niż pozwala szpitalny regulamin odwiedzin, i trzymając wuja za rękę usiłuje mu przekazać własne myśli poprzez zasłonę bólu i środków usmierających. Nie czuje, czy wuj odbiera przekazy, ale jego wspomnienia, przypominające wielowątkową, o skomplikowanym splocie tkaninę, niemal przytłaczają Gail. Wszystko tam jest smutkiem i tęsknotą, najbardziej za utraconą siostrą Banie, która była jedynym przyjacielem wuja, w jakże wrogim mu świecie.

Wujku Buddy, cały czas przesyła Gail, jeśli to wszystko nie jest kupa gówna... to niebo i tak dalej... prześlij mi znak. Prześlij mi myśl. Ten eksperyment przeraża ją. Przez trzy noce Gail nie może zasnąć, chciałaby wycofać myśli przekazywane umierającemu przyjacielowi. Obawia się, że duch wuja będzie ją budził po nocach. Czwartej nocy, po śmierci Buddy'ego, nic się nie pojawia – ani szept, ani chropawy głos ciepłych myśli, ani jakiegokolwiek wrażenie obecności gdziekolwiek. Tylko cisza i pustka.

Cisza i pustka. Przez resztę życia Gail jest przekonana, że tak wygląda domena śmierci. Nawet w ostatnich tygodniach, gdy nie potrafi ukryć przed Jeremym swych ponurych myśli.

Mąż nie usiłuje wyperswadować jej tego obrazu, ale przesyła pełną słońca nadzieję, choć sam nie widzi słońca i nie czuje nadziei.

Cisza i pustka. Tak Gail pojmuje śmierć.

Teraz Jeremy również tak ją pojmuje.

GDZIE UMARLI POZOSTAWILI SWOJE KOŚCI

Vanni Fucci poprowadził Bremena z łódki na brzeg, z brzegu przez zagajnik na pobocze drogi, gdzie stał biały cadillac.

Cały czas trzymał rewolwer opuszczony przy boku, choć dobrze widoczny. Otworzył przednie drzwi od strony pasażera i gestem kazał Bremenowi wsiąść. Ten nie protestował. Nic nie mówił. Poprzez cyprysy widział mały sklepik, gdzie Norm senior pił drugą filiżankę kawy, a siedzący Verge palił fajkę.

Fucci wślizgnął się na siedzenie kierowcy, włączył głośno silnik, wjechał na asfalt, zostawiając za sobą tuman kurzu i obsypując krzaki gradem żwiru. Na szosie nie było ruchu.

Poranne słońce oświetlało wierzchołki drzew i słupów telefonicznych, błyszczało na wodzie po prawej stronie. Gangster położył rewolwer przy swej lewej nodze na wytwornym skórzanym siedzeniu.

– Jedno słowo, kutasie – rzekł nerwowym szeptem – a rozwalę ci ten pieprzony łeb.

Bremen nie czuł potrzeby, by cokolwiek mówić. Cadillac jechał na zachód spokojną dziewięćdziesiątką. Bremen odchylił się w fotelu, obserwując widoki po prawej stronie. Opuściwszy rejon bagien i lasów wjechali na otwartą przestrzeń ostrych traw i niskich sosen. Daleko na polach stały zniszczone domy farmerskie, a bliżej szosy przycupnęły gdzieniegdzie przydrożne sklepiki bez towarów i bez klientów. Vanni Fucci burknął coś, włączając radio. Naciskał guziki, aż znalazł stację nadającą wiązanki rockandrollowych przebojów.

Bremen nie lubił melodramatów, na tym polegał w tej chwili jego problem. Nie wierzył w nie. Gail z przyjemnością czytywała książki i oglądała filmy. Natomiast dla Bremena wszystkie sytuacje, akcja były nieprawdopodobne, wręcz absurdalne, bohaterowie niewiarygodni, a wątki melodramatyczne nad wyraz banalne. Czasami mawiał, że ludzkie życie składa się z wynoszenia śmieci, nakrywania stołu i oglądania telewizji, a nie z pościgów samochodowych i strzelaniny. Wtedy Gail kiwała głową, uśmiechała się i po raz setny powtarzała:

– Jerry, klamka ma więcej wyobraźni od ciebie.

Bremen miał wyobraźnię, ale nie lubił melodramatów i nie wierzył w przedstawiany przez nie świat. Teraz nie wierzył w Vanniego Fucciego, choć myśli gangstera były bardzo wyraźne. Nie uporządkowane i gorączkowe, lecz wyraźne.

Wielka szkoda, myślał, że umysł człowieka nie jest jak komputer, że nie można sobie zażyczyć dowolnej informacji.

„Czytanie ludzkich umysłów” przypominało próbę odcyfrowania bazgrołów na skrawkach papieru rzuconych na sfalowane morze, a nie wybieranie przejrzystych informacji z ekranu. Ludzie nie myślą o sobie starannymi obrazami, by ułatwić życie jakiemuś telepacie, który akurat natknie się na ich myśli. Bremen przynajmniej takich ludzi jeszcze nie spotkał.

Vanni Fucci też się w tym nie wyróżniał, choć Bremen łatwo poznał jego nazwisko. Fucci myślał na swój temat w trzeciej osobie. Całkowicie sobą pochłonięty, a jednak dziwnie oddalony, jakby przygody drobnego gangstera były filmem, który on sam ogląda. No, Vanni Fucci pozbył się tego nędznego kutasa, taki sens miała pierwsza myśl, która dotarła do Bremena na wyspie. Z ubrania i włosów Chico Tartugiana ciągle unosiły się bąbelki powietrza.

Bremen zamknął oczy i próbował się skoncentrować. Jechali na zachód, potem na północ, potem znów na zachód.

Koncentracja uwagi była bardzo ważna, lecz nie wzbudzała w nim emocji. Nie lubił melodramatów.

Myśli Vanniego Fucciego skakały jak pchły. Gangster był najwyraźniej podekscytowany, ale nie z powodu zatopienia ciała Chico albo tego, że być może trzeba będzie zabić siedzącego obok nieznanego faceta. Po prostu on, Vanni Fucci, nie lubił, gdy okoliczności zmuszały go do mokrej roboty.

Fucci był złodziejem. Bremen wyłapał sporo obrazów lub strzępków obrazów, które to potwierdzały. W swej dość długiej złodziejskiej karierze – Bremen pochwycił obraz Fucciego w lustrze: twarz z bokobrodami, nylonowa koszula i spodnie z lat siedemdziesiątych – Vanni Fucci prawie nigdy nie użył broni. Jedyny raz, gdy Donni Capeletto, tak zwany partner, usiłował go okraść po napadzie na sklep jubilerski, Fucci zabrał tej szmacie pistolet automatyczny kalibru czterdzieści pięć i strzelił mu w kolano. Jego własną bronią. Ale wtedy Fucci się zdenerwował. To była amatorszczyzna. A Vanni Fucci się szczyił, że jest profesjonalistą.

Bremen przymknął na chwilę powieki, opanował nudności i usiłował czytać z fruujących strzępów w turbulentnej zamieci myśli Fucciego.

Więcej niż pragnął, dowiedział się na temat gangsterskiego życia w ostatniej dekadzie tego wieku. Vanni Fucci zawsze bardzo chciał zostać kimś. Bremen powoli się zorientował, co znaczy „być kimś” dla drobnego włoskiego gangstera i pokręcił głową, widząc, jakie to przyziemne. Nastolatek: roznoszenie wiadomości dla Hessa i sprzedaż papierosów z kradzionych ciężarówek Wielkiego Erniego; pierwsza praca – handelek alkoholem w południowej części Newark – i powolne zdobywanie pozycji w kręgach twardych, cwanych, lecz kiepsko wykształconych mężczyzn. Bremen przelotnie widział głęboką satysfakcję Fucciego, z tego powodu, że został zaakceptowany przez owych ludzi, tych głupich, nikczemnych, agresywnych, samolubnych i aroganckich ludzi. Ale Bremen pochwycił również głęboko skryte przebłyski ostatecznej wierności samemu sobie. Vanni Fucci był lojalny tylko w stosunku do siebie.

Wszystkich innych: Hessa, Carpezziego, Tuttiego, Schwarza, Don Leoniego, Sala, nawet swej narzeczonej Cheryl, mógł się pozbyć. Tak jak się pozbył Chico Tartugiana, właściciela nocnego klubu w Miami i drobnego rzezimieszka, którego spotkał tylko jeden raz w superklubie Don Leoniego na Brooklynie.

Fucci wyświadczył przysługę Don Leoniemu, że pojechał na południe; nienawidził Miami, nienawidził latać samolotem.

To nie Fucci nacisnął na spust, ale zięć Don Leoniego, Bert Cappi, dwudziestosześcioletni gówniarz, który uważał się za drugiego Franka Sinatrę. Tartugian, w ramach przysługi dla Don Leoniego, zatrudnił Cappiego jako piosenkarza. Klienci go wygwizdywali, barmani protestowali, ale Tartugian trzymał chłopaka, chociaż wiedział, że jest szpiegiem. Trzymał go nawet wtedy, gdy przywłaszczał sobie zyski z narkotyków z południowego rejonu, ufając, że Cappi przeniesie karierę piosenkarską nad lojalność wobec teścia.

Cappi tego nie zrobił. Bremen pochwycił ulotny obraz Vanniego Fucciego czekającego w alejce, gdy Cappi po swym ostatnim występie poszedł na rozmowę z Tartugianem. Trzy krótkie i płaskie strzały z dwudziestkidwójki nie dały żadnego pogłosu. Fucci zapalił papierosa i odczekał minutę, po czym wszedł do środka, niosąc zasłonę do prysznicza i łańcuchy. Chłopak, zgodnie z instrukcjami Don Leoniego, kazał Tartugianowi uklęknąć w kabinie prysznicowej w jego prywatnej łazience. Półminutowy prysznic jest w stanie zlikwidować każde paskudztwo.

– Co, cholera, tam robiłeś? Co, cholera, robiłeś tak cholernie wcześniej na

tym cholernym bagnie, no? – pytał Fucci.

Bremen spojrział na niego.

– Łowiłem ryby – odparł... lub wydawało mu się, że odparł.

Vanni Fucci pokręcił z niesmakiem głową i nastawił muzykę głośniejsze.

– Pieprzony cywil.

Przejeżdżali teraz przez miasto, nieco większe niż wioski w Everglades, które mijali poprzednio. Bremen musiał zamknąć oczy przed szturmem neurogwaru. Szczególnie źle było, gdy przejeżdżali obok osiedli domków kempingowych czy kondominiów dla emerytów. Rzępolące myśli starych ludzi atakowały wyszorowaną świadomość Bremena. Miał wrażenie, jakby słuchał staruszka w sąsiednim pokoju, który odchrząkuje poranną flegmę.

Ani listu, ani telefonu. Shawnee zadzwoni dopiero po mojej śmierci...

To tylko małe zgrubienie, mówiła Marge. Jeszcze w ubiegłym miesiącu. Tylko mały guz. Teraz nie żyje, umarła. Mały guz, mówiła. Z kim ja teraz będę grała w chińczyka?

Czwartek. Dziś jest czwartek. W czwartki gra się w klubie w bezika.

Nie zawsze padały słowa. Często bezsłowne obawy i smutek, starcza zgryźliwość, słabość i samotność – to wszystko odkrywał Bremen, gdy cadillac sunął wolno po szerokiej autostradzie. Zorientował się, że w czwartek wieczór prawie wszędzie organizowano grę w bezika, w osiedlach domków kempingowych i w kondominiach, w tym mieście i w następnym.

Teraz jednak ci wszyscy ludzie musieli przeczekać godziny bólu i ciężkiego florydzkiego upału, nim nadciągnie wieczorny wilgotny chłód i będą mogli się zanurzyć w bezpieczeństwie osiedlowego klubu. Telewizory grały w tysiącach domków oraz apartamentów, wentylatory mruczały. Przeniesieni na emeryturę, odrzuceni wypoczywali, czekając, aż przeminie upał i nastanie wieczór, który spędzą w topniejącym kręgu znajomych.

Poprzez nagły błysk wzburzonych myśli Vanniego Fucciego Bremen dostrzegł, że złodziej jest zły na Boga. Niesamowicie wściekły na Boga.

Tego samego cholernego dnia, gdy Nieco...

Jego młodszy brat – Bremen go zobaczył – takie same czarne włosy i ciemne oczy, ale przystojniejszy.

Tego samego cholernego dnia, gdy Nieco składał śluby zakonne, włamałem się do cholernej świętej Marii i ukradłem pieprzony kielich. Ten sam pieprzony kielich, który podawałem ojcu Damianowi, gdy byłem pieprzonym ministrantem. Ten sam pieprzony kielich. Nikt nie chciał tego pieprzonego grata. Do cholery... Nieco składa cholerne śluby, a ja chodzę po

cholernych ulicach Atlantic City z cholernym kielichem w torbie. Nikt nie chciał tego pieprzonego grata.

Obrazy szlochającego Vanniego Fucciego zagrzebującego srebrny kielich w bagnach na północ od dzielnicy kasyn; ręce Vanniego Fucciego wyciągają się ku niebu; dłonie zwinięte w pięści, z obu wystaje kciuk między pierwszym a środkowym palcem. Fig... figa. Bremen zrozumiał. Vanni Fucci pokazuje Bogu figę, najbardziej obsceniczny gest, jaki znał wtedy ten młody złodziej.

Do cholery z tobą, Boże. Pieprzyć cię, stary.

Bremen zamrugał powiekami i potrząsnął głową, by uwolnić się od neurogwaru dochodzącego z pola kempingowego, które właśnie mijali. Nie sądził, by Vanni Fucci chciał go zabić. Nie teraz. Fucci nie pragnął pogarszać sytuacji; już żałował, że nie zostawił tego cholernego faceta na wyspie. Albo że nie wziął ze sobą Roachclipa. Roachclip by walnął tego pieprzonego idiotę, gdy byli na skifie, i nawet by się nie obejrzał.

Bremen próbował wymyślić coś mądrego. Wykorzystując to, czego się dotychczas dowiedział, mógłby zagadać do Vanniego Fucciego. Powiedzieć na przykład, że on, Bremen, też został wysłany na południe przez Don Leoniego, że wie, iż Bert Cappi walnął Chico Tartugiana i hej! – wszystko jest w porządku i Fucci nie musi się nim zajmować. Don Leoni chciał tylko potwierdzenia, i tyle. Bremen wyobrażał sobie, jak by odpowiadał na pytania. Roachclip? No, jasne, zna tego pieprzonego Portorykańczyka. Pamięta tę noc, gdy Roachclip załatwił braci Armansich – tego dużego, który wrócił z drugiej wojny z plastikową nogą, i tego chudego młodszego w garniturze ze sztucznego jedwabiu. Roachclip nie użył ani pistoletu, ani noża, tylko tej pieprzonej ołowianej rury, którą zawsze nosił w walizce. Braci Armansich zawiózł na miejsce spotkania do Bronxu i tam na ulicy walił ich w czerepy, na oczach polskiej kobity o tłustej białej twarzy, owiniętej czarną chustą. Z małej plastikowej torby, pochodzącej z jej cholernego starego kraju, wysypały się pomarańcze na jezdnię pokrytą roztopionym śniegiem...

Potrząsnął głową. Nie, jednak tego nie powie.

Przejechali przez krainę jezior do krainy pastwisk. Czaple chodziły za stadami bydła, szukając owadów wygrzebanych krowimi kopytami. Vanni Fucci nagle zatrzymał się przy budce telefonicznej, podetknął lufę rewolweru pod oczy Bremena i rzekł cicho:

– Jeśli się, kutasie, ruszysz z tego pieprzonego samochodu, przysięgam na Boga, że cię tu zakatrupię. Rozumiesz?

Bremen potaknął.

Rozmowa telefoniczna, niesłyszalna wprawdzie, łatwa była do zrozumienia. Ludzie korzystając z telefonu mocno się koncentrują na werbalizacji myśli.

Posłuchaj, nie mam zamiaru rąbnąć tego pieprzonego faceta.

To nie mój cholerny interes, żeby...

Taaa, wiem, że mnie widział, ale to nie mój pieprzony interes.

To pieprzona sprawa Cappiego i Leoniego i nie chcę, żeby przez tego pieprzonego rybaka posądzili mnie o...

Taaa... nie... nie, nie robi. Jakiś pieprzony głupek. Chyba nienormalny czy co. Ma za krótkie spodnie, koszulę safari i skórzane półbuty, jak idiota ubrany przez idiotę.

Bremen spojrzął na swój przyodziewek – spodnie i koszulę khaki, które kupił trzy dni temu w sklepie Norma seniora.

Spodnie rzeczywiście były za krótkie, półbuty – umazane w błocie, zakurzone. Bremen poklepał się po kieszeniach.

Zwitek banknotów – prawie całość 3865 dolarów, podjętych z rachunku – został w kieszeni marynarki powieszony na oparciu krzesła w maleńkiej sypialni rybackiego domku. Pamiętał, że robiąc zakupy przeniósł kilka dwudziestek i może pięćdziesiątkę do portfela, ale teraz nie sprawdzał, ile tam ma pieniędzy. Na razie wystarczyło mu, że czuł na biodrach wystającą bryłę portfela.

Taaa, przyjadę na czas, ale będę ciągnął ze sobą tego idiotę.

O ile... no, nie przerywaj mi, do cholery... o ile Sal skapuje, że ten pieprzony facet to jego sprawa. Rozumiesz?... czekaj, pytałem, czy rozumiesz. Dobra, dobra. Spotykamy się za godzinę albo dwie. Taaa.

Vanni Fucci rzucił słuchawkę. Wracił do autostrady, kopiąc ze złości żwir i zaciskając pięści. Biała marynarka była teraz przykurzona. Spojrzął wściekle przez przednią szybę na Bremena – czarna jedwabna koszula i czarne włosy błyszczały w słońcu.

Załatw go teraz. Teraz. Żadnego samochodu, żadnych domów.

Cholera, rąbnij go teraz i masz to z głowy.

Bremen spojrzął na stacyjkę. Nie musiał nawet patrzeć – wiedział, że Fucci zabrał kluczyki. Mógłby teraz wytoczyć się przez drzwi, pobiec w pole, licząc na to, że Fucci go nie dogoni, i uda mu się uciec poza zasięg krótkolufowej trzydziestkiósemki... mógł mieć nadzieję, że będzie przejeżdżał jakiś samochód, że gangster zaniecha pościgu. Fucci był

palaczem, a Bremen nie. Położył rękę na klamce drzwi i nabrał powietrza.

A niech to cholera, cholera, cholera. Vanni Fucci podjął decyzję. Obszedł samochód, wsiadł za kierownicę, oparł dłoń na rękojeści przyczepionego do pasa rewolweru.

– Jak coś zmalujesz, coś komuś piśniesz, gdzie jedziemy, to przysięgam, że cię rąbnę nawet przy tłumie świadków. Kapujesz?

Bremen tylko patrzył na niego. Zdjął dłoń z klamki.

Vanni Fucci włączył stacyjkę i z piskiem opon wjechał na szosę. Minęła ich ciężarówka, głośno trąbiąc. Fucci lewą ręką pokazał kierowcy figę.

Piętnaście kilometrów jechali szosą 27, potem przyspieszyli na podjeździe na międzystanową 4, kierując się teraz na północny wschód.

Z burzliwych myśli Vanniego Fucciego Bremen wyłowił cel tej podróży i mimowolnie się uśmiechnął.

OCZY

Jeremy i Gail spędzają miodowy miesiąc na wyprawie kanoe.

Żadne z nich nigdy przedtem nie wędrowało z plecakiem ani nie było na spływie, ale nie mieli pieniędzy na to, co odpowiadałoby im najbardziej: Maui. Ani na to, co wybraliby na drugim miejscu: Paryż. Ani na punkt ósmy w ich hierarchii wakacyjnej: motel w Bostonie. Zatem pewnego pięknego sierpniowego dnia, parę godzin po weselu w ogrodzie ich ulubionej wiejskiej gospody, machają przyjaciołom na pożegnanie i ruszają na północny wschód w góry Adirondacks.

Miejsce na biwak mogliby znaleźć bliżej. Do Adirondacks muszą przejechać przez Blue Mountains, mijają także po drodze kilkanaście rezerwatów i parków rekreacyjnych, ale Jeremy czytał artykuł o Adirondacks i chce tam właśnie jechać.

Ich volkswagen ma kłopoty z silnikiem... stale ma kłopoty z silnikiem... i po naprawie samochodu w Binghampton, w stanie Nowy Jork, mają mniej o osiemdziesiąt pięć dolarów i są opóźnieni o cztery godziny w stosunku do planu. Nocują w Parku Stanowym Gilbert Lake, w połowie drogi między Binghampton a Utica.

Pada deszcz. Niewielki kemping jest zatłoczony, jedyne wolne miejsce do biwakowania znajduje się w pobliżu wygodki. Pada. Jeremy rozstawia nylonowy namiot, kupiony za dwadzieścia cztery dolary, a potem idzie do grilla, gdzie Gail przygotowuje kolację. Swym poncho Gail zasłania od deszczu kilka patyków, które zebrali na ognisko, ale trudno nazwać ogniskiem płonąca gazetę i mokre dymiące drewno.

– Powinniśmy byli coś zjeść w Oneonta – mówi Jeremy, mrużąc oczy przed mżawką.

Jeszcze nie ma ósmej, a już jest ciemno, gdyż szare chmury zasłaniają niebo. Deszcz nie zniechęca komarów, które bzykają pod poncho. Jeremy wachluje ogień, a Gail wachlując ręką, odgania komary.

Uczują – na wpół surowe hot dogi na mokrych bułeczkach – klęcząc w namiocie. Nie chcą się przyznać do porażki i skorzystać ze względnego luksusu wewnątrz samochodu.

– I tak nie byłam głodna – kłamie Gail.

Bremen widzi myślotykiem, że żona kłamie, a ona widzi, że on widzi.

Jeremy również widzi, że Gail ma ochotę się kochać.

O dziewiątej są już w złączonych razem śpiworach. Deszcz przestał padać, turyści z sąsiednich namiotów wypełzli na zewnątrz, nastavili radia na cały regulator i zabrali się do przygotowywania późnej kolacji. Zapach smażonych steków przeciska się do obojga między ich pieszczotami i oboje chichoczą, wyczuwając swą wzajemną rozterkę.

Jeremy kładzie policzek na brzuchu Gail i szepcze:

– Myślisz, że poczęstowaliby nas, gdybyśmy im powiedzieli, że jesteśmy nowożeńcami?

Głodni nowożeńcy. Gail przesuwa palcami po jego włosach.

Jeremy całuje ją w łagodne zaokrąglenie dolnej części brzucha. No, cóż... niewielka głódówka nikomu jeszcze nie zaszkodziła.

Gail chichocze, przestaje chichotać i głęboko wciąga powietrze. Deszcz znowu zaczyna padać, delikatnie, lecz natarczywie uderza w dach namiotu, przegania owady, hałasy, zapachy potraw. Przez chwilę we wszechświecie istnieje tylko ciało Gail i ciało Jeremy'ego... a potem jedno ciało nie należące całkowicie do żadnego z nich.

Kochali się już przedtem... kochali się tej nocy po przyjęciu u Chucka Gilpena... ale nigdy nie było aż tak wspaniale i dziwnie. Tej nocy w namiocie, w deszczu, oboje prawdziwie się zatracają. Ich myśli tworzą jedność, tak jak ich ciała. W radosnej euforii Jeremy czuje ogarniający go spazm kobiecej rozkoszy i poddaje się mu całym sobą, gdy Gail kołysze rosnącą falą jego orgazmu – chociaż odmiennego od sejsmicznej intensywności tego, co wewnątrz czuje – ale teraz również należącego do niej. Szczytują równocześnie. Przez moment Gail ma wrażenie, że umościła się w ciele Jerry'ego; doświadcza jego odprężenia, gdy leżą nasyceni, zaplątani w siebie.

Powietrze w namiocie jest niemal mgliste od ich oddechów i wyziewów. Zapadł zmierzch. Gail otwiera poły namiotu i oboje wysuwają się do połowy na zewnątrz, mimo siąpiącego deszczu; czują delikatne rozbryzgi na twarzach i piersiach, wdychają chłodne powietrze, otwierają usta, by pić z nieba.

Teraz nie czytają w swych umysłach, nie odwiedzają wzajemnie swych umysłów. Każde z nich jest tą drugą osobą, świadomą jej myśli i wrażeń. Nie, nie jest to dokładne: w tej chwili nie ma ani jej, ani jego, i osobna świadomość wraca stopniowo, rzekłbyś, poranny przypyływ cofa się powoli, zostawiając na świeżo obmytej plaży rozmaite przedmioty.

Ochłodzeni, odświeżeni deszczem, wślizgują się do środka, wycierają grubymi ręcznikami i zwijają między warstwami gęsiego puchu. Gail składa

głowę na ramieniu Jeremy'ego, a jego ręka odnajduje miejsce w małym wgłębieniu na jej plecach. Jest tak, jakby zawsze знаła to miejsce.

Pasują do siebie idealnie.

Następnego dnia jedzą obiad w Utica i ruszają na północ, w góry. W Old Forge wypożyczają kanoe i wiosłują przez Chain of Lakes. Jeremy zna to miejsce z lektur, teren jest jednak bardziej zabudowany, niż sobie wyobrażał. Syczenie i trzeszczenie neurogwaru dochodzi z nadbrzeżnych domów.

Ale znajdują samotne wysepki oraz piaszczyste łachy, między którymi przez trzy dni wiosłują lub przewożą kanoe, tam też rozbijają biwaki. Przez następne dwa dni leje jak z cebra.

Cztery kilometry transportują kanoe, a piątego dnia opuszczają Long Lake.

Znajdują telefon, wracają do Old Forge z brodatym młodym mężczyzną z wypożyczalni łodzi. Potem swym prychającym volkswagenem zapuszczają się coraz dalej, pokonując ponad stukilometrową pętlę w górę ku jezioru Saranac i w dół do wsi Keene Valley. Tam Jeremy kupuje przewodnik, po raz pierwszy biorą plecaki na grzbiety i ruszają w dal ku czemuś zwanemu Big Slide.

Przewodnik twierdzi, że droga to sześć i pół kilometra umiarkowanego szlaku zwanego Bracia, ale słowo „umiarkowany” jest tu niewłaściwe, gdyż szlak wiedzie przez pionowe skały, obok wodospadów, granią i na mniejsze szczyty, a Jeremy klnie, że te sześć i pół kilometra musiano zmierzyć z samolotu, a nie po ziemi. Dochodzi również do wniosku, że zabrał zbyt wiele rzeczy. Gail proponuje, by zostawili torbę węgla drzewnego albo jeden z sześciopaków z piwem, ale Jeremy wyrzuca kilka torebek mieszanki keksowej, a resztę rzeczy zatrzymuje, uważając, że są niezbędne cywilizowanym turystom.

Po przejściu trzech i pół kilometra znajdują się w przepięknym brzożowym zagajniku. Zaczynają podchodzić pod szczyt Trzeci Brat – niewielkie wzniesienie, wystawiające swój skalny ryj ponad falujący ocean zieleni. Z góry mają widok na cel, do którego dążą – Big Slide Mountain – i pomiędzy kolejnymi głębszymi wdechami uśmiechają się do siebie.

Big Slide Mountain jest mniejszą, także znacznie rzadziej odwiedzaną wersją El Capitan w parku Yosemite. Z jednej strony tworzy zalesiony łuk, z drugiej wznosi się pionową skałą, zakończoną głazami wielkimi jak domy.

– To nasz cel? – dyszy Gail.

Jeremy kiwa głową, zbyt zasapany, by odpowiedzieć.

– Czy nie moglibyśmy po prostu zrobić mu zdjęcia i potem twierdzić, że tam byliśmy?

Jeremy kręci głową i z jękiem zakłada plecak. Ponad pół kilometra schodzą do przełęczy. Szlak opada łagodnymi serpentynami, ale częściej prowadzi prosto w dół wśród form skalnych lub po stromych stokach. U stóp urwisk Big Slide docierają do ostatniego odcinka. Końcowe pięćset metrów drogi prowadzi prawie pionową ścianą.

Jeremy uzmysławia sobie, że jest na samym szczycie, w momencie, gdy jego spuszczone oczy przestają widzieć skałę, a mają przed sobą jedynie pustą przestrzeń. Pada na wznak, na plecak, z rozłożonymi rękoma i nogami. Gail uprzejmie zdejmuje swój plecak i dopiero wówczas klapnie mężowi na brzuch.

Kwadrans tak leżą, a kiedy wreszcie odzyskują oddech i mogą przynajmniej szeptać, opowiadają sobie, co widzą w chmurach, obserwują przelatującego jastrzębia. Zaczyna wiać, Gail siada. Jeremy patrzy, jak podmuch tarnosi jej krótkie włosy. Na zawsze zapamiętam tę chwilę, myśli. Gail odwraca się do niego i uśmiecha, widząc w umyśle męża swe własne odbicie.

Ustawiają namiot na skale, trochę dalej, między starganymi przez wiatr drzewami, natomiast materace piankowe oraz śpiwory kładą tuż przy krawędzi przepaści. W naturalnym skalnym otworze rozpalają węgiel drzewny. Powstaje doskonały grill. Gail wyjmuje steki z małej turystycznej lodówki, Jeremy otwiera zimne piwo. Gail włożyła między węgle kolby kukurydzy owinięte w folię, teraz Jeremy ich dogląda, a ona układa na dwóch talerzach rzodkiewki, sałatę i pomidory.

Ostrożnie odwija z ręczników opakowane w papier kieliszki do wina i butelkę BV cabernet sauvignon. Ustawia butelkę obok piwa, by się ochłodziła.

Jedzą w późnym zmierzchu letniego wieczoru. Nogi zwiesili ze skały, dyndając nimi w powietrzu. Nieco chmur na zachodzie przybiera barwę rozświetlonego różu i głębokiego fioletu. Półka skalna leży przy południowym stoku góry – patrzą więc w jej kierunku, tam już wpełza mrok. Steki są spore, jedzą je wolno, napełniają kieliszki winem. Gail przygotowała na deser dwa duże kawałki ciasta czekoladowego.

Nadciąga wieczorny wiatr. Porządkują palenisko, chowają papierowe talerze do torby na odpadki. Jeremy nie chce rozpalać ogniska, rozrzuca wystygłe węgle w szczeliny skalne, by nie zostawiać śladów po gotowaniu.

Nakładają wełniane kurtki, czyszczą zęby, udają się na stronę między drzewa za północną grań. Kiedy niebo rozbłyskuje gwiazdami, leżą już w swych śpiworach.

To jest dobre, nadchodzi obraz i przez chwilę żadne nie wie, które z nich pierwsze pomyślało. Od południa, jak okiem sięgnąć, są tylko lasy, góry i ciemne niebo. Ani szosa, ani światła domów nie mącą fioletowej płaszczyzny doliny, choć teraz widać kilka płonących ognisk. Po dziesięciu minutach niebo staje się jaśniejsze od doliny, gdy jego kopułę rozświetlają gwiazdy. Ich blasku nie przyćmiewają żadne miejskie światła.

Dwa śpiwory zostały razem spięte, ale gdy Jeremy i Gail zsuwają ubrania, miejsca jest mało. Starannie układają rzeczy pod śpiwory, by ich nie zwał silniejszy podmuch wiatru.

Chowają głowy, przytulają się do siebie. Gładkie ciała i ciepłe oddechy odpierają zimną wichurę. Dziś na początku kochają się powoli, niezwykle łagodnie, z obietnicą bardziej gwałtownej, nie znanej im dotychczas ekstazy.

Zawsze. Jeremy potrafi stwierdzić, że właśnie Gail pierwsza wysłała tę myśl.

– Zawsze – odpowiada szeptem Jeremy, a może nie szeptem.

Zsuwają się niżej, spleceni, ciepłi, zasłonięci od wiatru, a nad ich głowami coraz mocniej jaśnieją gwiazdy, przesyłając im przyzwolenie z kosmosu.

W KRÓLESTWACH BEZ ŚWIATŁA NI CIENIA

Zaparkowali w rzędzie oznaczonym *GRUMPY* i wsiedli do długiej kolejki linowej jadącej ku głównej bramie. Vanni Fucci zdjął białą marynarkę i trzymał pod nią trzydziestkęósemkę.

– Zrób tylko jakieś głupstwo – rzekł cicho, gdy czekali na kolejkę – a rozwalę cię tu na miejscu. Przysięgam na pieprzonego Chrystusa.

Bremen spojrzał na złodziejaszka, wyczuł jego determinację pomieszaną ze złością.

Vanni Fucci sądził, że patrzy na niego z niedowierzaniem.

– Nie wierzysz mi, cholera, rąbnę cię na tym pieprzonym parkingu i będę w Georgii, zanim ktokolwiek się kapnie, że zostałeś zabity!

– Wierzę ci – powiedział Bremen, czując fale podniecenia u gangstera.

Publiczne zabójstwo, zwłaszcza w tym miejscu, przemawiało jakoś do Vanniego Fucciego, choć złodziejaszek wolałby, żeby sprawę załatwił ten zwariowany Bert Cappi czy równie zwariowany Ernie Sanza. Nieważne, on, Bert czy Ernie, ale to byłaby historia... walnąć tego gościa właśnie w tym miejscu.

Kolejka przyjechała. Bremen i Vanni Fucci wsiedli. Lufa rewolweru, wycelowana przez marynarkę, uciskała Bremena w bok. Podczas krótkiej jazdy do bramy dowiedział się więcej o zamiarach Fucciego.

Spotkanie zorganizowano akurat tutaj z innych powodów.

Dokładniej, umówili się tu Sal Empori, główny człowiek Don Leoniego w tym rejonie, i ktoś z tych kopniętych pieprzonych Kolumbijeżyków... tak w myślach ich określał Vanni Fucci, ci kopnięci pieprzeni Kolumbijczycy... by wymienić walizkę pieniędzy Don Leoniego za walizkę od tych kopniętych pieprzonych Kolumbijeżyków, pełną pierwszorzędnej heroiny do rozprowadzenia na północy wśród czarnuchów, w rewirze Vanniego Fucciego. Takie zamiany robiono w Disney World już od paru lat. Sal Empori zabrał jako obstawę Berta oraz Erniego.

Sal zajmie się tym pieprzonym pajacem. Bez trudu, bez brudu, bez pieprzonego bałaganu.

– Zapać sobie za bilet wstępu – cicho wysyczał Vanni Fucci, kupując bilet dla siebie i dźgając Bremena w żebra.

Ten zaczął szperać po kieszeniach. Trzy dni temu rzeczywiście upchnął kilka pięćdziesiątek. Dokładniej, sześć pięćdziesiątek. Położył banknot na kontuar, powiedział, że chce jednodniowy bilet i czekał na resztę. Otrzymał mniej, niż się spodziewał.

Złodziej prowadził go przez tłum. Jedną rękę oparł na ramieniu Bremena, drugą miał pod marynarką. Bremen sądził, że to wszystko musi bardzo podejrzanie wyglądać, ale nikt nie zwracał na nich uwagi.

Nie podnosił wzroku, gdy wsiadali do kolejki jednoszynowej, która ich obwoziła wokół zatoczek ku odległym iglicom, wieżom i sztucznej górze. Kolejka się zatrzymała, złodziej szarpnął Bremenem ku sobie i wyciągnął go na zewnątrz. Weszli w gęstniejący tłum. Neurogwar wokół Bremena wznosił się od szeptu do krzyku, od krzyku do nieustającego ryku.

Ryk ten miał szczególne cechy, różnił się od zwyczajnego zgrzytającego neurogwaru, jak szum Niagary różni się od szumu pomniejszych wodospadów. Wyróżniającą cechą był tu ogólnie panujący gorączkowy smutek, silny i wszystko przenikający, jak fetor gnijącego mięsa.

Bremen zatoczył się, podniósł dłonie do skroni, zatkał uszy, na próżno usiłując zatamować fale bezdźwięku, bezmowy.

Vanni Fucci popchnął go dalej.

Nie tak to sobie wyobrażałem... czekałem trzydzieści pięć lat... miałem nadzieję, że to będzie inaczej...

Jeszcze coś zwiedzać! Jeszcze gdzieś się przejechać! Brakuje czasu! Nigdy nie ma dość czasu! Szybciej... popędź ich, Sarah!

Prędzej!

To wszystko dla dzieci. Dla dzieci. Ale cholerne dzieciaki jeśli nie histeryzują, to są cholernie oszołomione jak jakieś zombi...

Prędzej! Tom, pośpiesz się, bo będziemy na końcu kolejki...

Bremen zamknął oczy, pozwolił, by Vanni Fucci prowadził go przez tłum. Nacierają na niego potężne fale rozpacz. Tak jakby wszystkie natarczywe wołania w całym parku... zbudowanym przecież ku uciesze, na Boga, ku uciesze!... atakowały go niczym wściekły przybój walący w wąską plażę.

– Otwórz oczy, kutasie – szepnął mu do ucha Vanni Fucci.

Lufa rewolweru mocniej dźgnęła Bremena w żebra.

Otworzył oczy, lecz mimo to szedł jak ślepiec z powodu bólu wywołanego neurogwarem... natrętym, szalonym, rozproszonym, dręczącym, szybko–do–cholery–bo–zostaniemy–na–końcu–kolejki, choćby się waliło lub paliło, musimy się dobrze bawić. Bremen chwycił powietrze

otwartymi ustami i usiłował nie zwymiotować.

Vanni Fucci cały czas go popędział. Sal, Bert i Ernie muszą właśnie teraz dokonywać wymiany z tymi kopniętymi pieprzonymi Kolumbijczykami i Vanni Fucci przekaże tego głupka na Kosmicznej Górze. Tylko że Vanni Fucci nie był stuprocentowo pewien, gdzie ta pieprzona Kosmiczna Góra się znajduje. Wymiany dokonywano zwykle w czasie pieprzonej Jazdy po Dżungli, więc podczas swych poprzednich wizyt Vanni Fucci zawsze szedł prosto do Krainy Przygód, brał walizkę od Sala i od razu wyjeżdżał kolejką jednoszynową. Nie wiedział, dlaczego Sal zmienił to pieprzone miejsce spotkania na pieprzoną Kosmiczną Górę, ale wiedział, że to gdzieś w Krainie Przyszłości.

Vanni Fucci usiłował się zorientować. Dobra, jesteśmy na pieprzonej Głównej Ulicy z dzieciństwa kochanego zmarłego Walta... Taaak...a to sobie chłoptaś ubzdurał! Co za pierdoły!

Żadna Główna Ulica nie wyglądała tak jak to pieprzone miejsce.

Na Głównej Ulicy, gdzie ja wyrosłem, były pieprzone fabryki, pieprzone sklepy z wodą, pieprzone merce rocznik 57 stały na pieprzonych ceglach, bo pieprzone czarnuchy zwinęły opony.

Dobra, jesteśmy na pieprzonej Głównej Ulicy. Ten pieprzony zamek jest na północy. Pieprzony znak pokazuje, że Kraina Fantazji jest za tym pieprzonym zamkiem. A jak z Krainy Fantazji do pieprzonej Krainy Przyszłości? Powinni tu dawać pierdolone mapy drogowe.

Vanni Fucci okrążył wielki zamek z włókna szklanego, rzucił okiem na statek kosmiczny i futurystyczny złom po jego prawej stronie, wreszcie pchnął Bremena w tamtym kierunku. Za pięć minut przekaże głupka Salowi i jego ferajnie.

Bremen przystanął. Znajdowali się w Krainie Przyszłości, niemal w cieniu dziwnej staromodnej konstrukcji, mieszczącej kolejkę wysokogórską Kosmiczna Góra. Bremen zamarł.

– Ruszaj się, sukinsynu – syknął Vanni Fucci, pakując mu pod zebra lufę trzydziestkiósemki.

Bremen nie drgnął. Nie miał zamiaru stawiać oporu Vanniemu Fucciemu, po prostu nie potrafił już się skoncentrować na złodziejaszku. Myśli innych ludzi atakowały go bolesną lawiną neurogwaru, wpychały na falę obłądu.

– Ruszaj! – Vanni Fucci prychnął mu śliną w ucho.

Usłyszał głuchy szczęk kurka rewolweru. Jego ostatnia jasna myśl brzmiała: Nie jest mi przeznaczone umierać w tym miejscu. Droga prowadzi

w dół.

Zobaczył się przez oczy kobiety w średnim wieku, kiedy odstępował od Vanniego Fucciego.

Złodziejaszek zaklął i zakrył rewolwer marynarką.

Bremen nadal się cofał.

– Cholera, co ci mówiłem! – wrzasnął Vanni Fucci, unosząc obie ręce pod marynarką.

Jakaś rodzina z Hubbard w stanie Ohio przystanąła, zaintrygowana dziwnym widokiem: Bremen powoli się cofa, niski mężczyzna z podniesionymi rękami podąża za nim, pod jego marynarką jest widoczna wypukłość wycelowana w tors Bremena. A on patrzył bez zaciekawienia przez ich zaciekawione oczy. Dziewczynka ugryzła kawałek waty cukrowej, cały czas przyglądając się obu mężczyznom. Grudka białej lepkiej nici przylgnęła do jej policzka.

Bremen nadal się cofał.

Vanni Fucci już chciał skoczyć do przodu, lecz na chwilę zagroziły mu drogę trzy roześmiane zakonnice. Potem zaczął biec, gdy zobaczył, że Bremen cofa się przez trawnik ku ścianie budynku. Złodziejaszek wysunął lufę rewolweru spod marynarki: do cholery, nie będzie przecież niszczył doskonałej marynarki przez tego pajaca.

Bremen zobaczył się jakby w krzywych lustrach z gabinetu śmiechu. Thomas Geer, dziewiętnastolatek, dostrzegł odsłonięty rewolwer i przystanął zdumiony, wyciągając rękę z kieszeni na pupie Terri.

Pani Frieda Hackstein i jej wnuczek Benjamin wpadli na Thomasa Geera i Benniemu uleciał w niebo balonik z Myszka Miki. Chłopczyk zaczął płakać.

Przez ich oczy Bremen widział się na tle muru. Patrzył, jak Vanni Fucci podnosi rewolwer. O niczym nie myślał, nic nie czuł.

Przez oczy małego Benniego zobaczył, że na drzwiach z tyłu jest jakiś napis. *NIEUPOWAŻNIONYM WSTĘP WZBRONIONY*, a pod spodem *WSTĘP DLA PRACOWNIKÓW PO WŁOŻENIU KARTY*. W metalowym pudełku na murze widniał podłużny otwór, prawdopodobnie na kartę identyfikacyjną, lecz drzwi były nie domknięte, przyblokowane cienkim patykiem.

Pani Hackstein zrobiła krok do przodu i zaczęła krzyczeć na Thomasa Geera, obwiniając go o stratę balonu Benjamina.

Na sekundę przesłoniła Vanniego Fucciego.

Bremen wkroczył przez drzwi, kopnął patyk i zatrzasnął zamek. W

przyćmionym świetle dostrzegł betonowe schody w dół. Zszedł po nich – dwadzieścia pięć stopni – zakręcił w prawo i znów zszedł kilkanaście stopni. Znalazł się w długim korytarzu. Z daleka dobiegały jakieś mechaniczne odgłosy.

– Morlokwie – pomyślała Gail.

Zatkało go, jakby dostał w żołądek. Usiadł na trzecim stopniu i przetarł oczy. Nie, Gail. Nie. Słyszał, że ludzie z amputowanymi kończynami odczuwają w nich pozorny ból. To było gorsze. Znacznie gorsze. Wstał i ruszył korytarzem. Starał się wyglądać na osobę, która ma prawo tu przebywać. Neurogwar zanikł – Bremen teraz był jeszcze bardziej pusty niż przed chwilą.

Korytarz przecinał inne korytarze, przechodził obok klatek schodowych. Znaki i strzałki na ścianach wskazywały: *AUDIO ANIM LAB 6–10*, *DYSP TRANS ODP 44–66*, *SAL POST 2–5*. Doszedł do wniosku, że ostatnia informacja brzmi najmniej groźnie, i skręcił w tym kierunku. Wtem z poprzecznego korytarza dobiegło bzykanie olbrzymiego owada i Bremen cofnął się kilkanaście kroków w pustą klatkę schodową. Obok przejechał wózek golfowy. Ani człowiek, ani częściowo zdemontowany robot nie spoglądali w jego stronę.

Zszedł na korytarz i powoli kroczył, nad słuchując, czy nie jedzie jakiś inny wózek. Nagle zza kolejnego zakrętu rozbrzmiało echo śmiechu, Bremen uskokczył, sądząc, że się schowa w klatce schodowej, ale dał nura w nowy bardzo wąski korytarz.

Z rękami w kieszeniach szedł przez hol i miał ochotę gwizdać. Śmiech, rozmowa, odgłosy czyjejś obecności zbliżały się, ktoś zakręcił w korytarz, który Bremen przed chwilą opuścił.

Pojął, w jakim kierunku idą śmiejący się ludzie, równocześnie zdając sobie sprawę, że popełnił błąd.

Hol kończył się parą szerokich drzwi. Napis nad nimi głosił: *PRZED WEJŚCIEM PAMIĘTAJ O ZDJĘCIU GŁOWY*. Na drzwiach widniała informacja: *SALA POSTACI 3* oraz znak zakazu palenia. Zza drzwi dobiegał hałas rozmowy. Z tyłu, trzy sekundy za nim, zbliżały się odgłosy idących. Po lewej miał szare drzwi z dwoma słowami: *DLA MĘŻCZYŹN*. Wszedł tam w momencie, gdy trzech mężczyzn i jedna kobieta zakręcali w długi korytarz.

W umywalni nikogo nie było, choć Bremen podskoczył na widok dużej postaci przy przeciwległej ścianie. Spojrzał jeszcze raz. To kostium Goofy’ego, długości co najmniej metr osiemdziesiąt, wisiał na haku przy

umywalkach.

Za drzwiami rozbrzmiały głosy; Bremen wszedł do kabiny i z ulgą zatrzasnął za sobą drzwi. Nikt tu przynajmniej nie będzie wymagał od niego identyfikatora. Drzwi się otworzyły i głosy znikły w *SALI POSTACI*.

Podparł głowę dłońmi i usiłował się skoncentrować.

Co ja, do diabła, robię? Głos jego umysłu ledwo był słyszalny poprzez stały ryk neurogwaru dochodzący z góry od dziesiątków tysięcy szukających rozrywki dusz.

Biegnę, uciekam, odpowiedział sam sobie. Ukrywam się.

Dlaczego?

Neurogwar syczał i wzbierał.

Dlaczego? Dlaczego nie zgłosić władzom, co się stało? Zaprowadzić policję nad jezioro, opowiedzieć im o Vannim Fuccim.

Pośpiesz się, pośpiesz, pośpiesz, bawmy się, do diabła, te trzy dni kosztują mnie fortunę...

Bremen mocno ścisnął skronie.

Tak, tak. Powiedz władzom. Niech gliny potwierdzą twoją tożsamość, dowiedzą się, że jesteś tym facetem, który spalił swój dom i zniknął... i potem akurat się pojawiłeś w miejscu, gdzie jakiś gangster topił trupa. A może pan nam łaskawie powie, skąd wie, jak nazywają się gangster i ofiara?

Dlaczego spaliłem dom?

Nie, później. Później. Pomyśl o tym później.

Żadnych glin. Żadnych wyjaśnień. Jeśli uważasz, że to piekło, spróbuj spędzić ze dwie noce w areszcie. Ciekawe, co w swych małych czaszkach mają twoi towarzysze z sąsiednich prycz... chciałbyś ze dwie takie noce, stary?

Otworzył kabinę ubikacji, podszedł do pisuarów, usiłował zrobić siusiu, nie mógł, zasunął spodnie, stanął przy umywalkach. Zimna woda mu pomogła. Przestraszył się, gdy ujrzał w lustrze bladą, chorą twarz.

Do diabła z glinami. Do diabła z Vannim Fuccim i jego ferajną. Zabieraj się stąd. I to szybko.

W holu rozbrzmiały nowe głosy. Bremen się odwrócił, ale choć drzwi do damskiej toalety po przeciwnej stronie korytarza otworzyły się z hałasem, nikt stamtąd nie wyszedł. Na razie.

Stał przez chwilę, wycierając wodę z policzków. Nie jest najważniejsze, jak wyjść z tego labiryntu, by nikt mnie nie zatrzymał, ale jak się wydostać z parku. Vanni Fucci na pewno już rozmawiał ze swymi kumplami

gangsterami – Salem, Bertem i Erniem, przypomniał sobie ich imiona – którzy obstawiają wyjścia.

Papierowym ręcznikiem wytarł twarz. Nagle zamarł i opuścił ręcznik: w lustrze zobaczył dwie twarze, a jedna z nich szczyrzyła do niego zęby w szerokim uśmiechu.

Wózek elektryczny nadjechał korytarzem za Bremenem.

– Podwieźć? – zawołał zwalisty mężczyzna za kierownicą.

Kiwnął głową i wsiadł. Wózek ruszył, kierując się niebieskim pasem namalowanym na betonie. Mijały go inne wózki.

W drugim z nich siedziało trzech ochroniarzy.

Kierowca przesunął nie zapalone cygaro w kącik ust i zauważył:

– Wiesz, tutaj nie musisz nosić głowy.

Bremen potaknął i wzruszył ramionami.

– Twój pot. Wjeżdżasz czy wyjeżdżasz?

Bremen pokazał gestem na zewnątrz.

– Którym wejściem?

– Zamek – odparł Bremen, mając nadzieję, że jego głos jest dostatecznie przytłumiony.

Kierowca zmarszczył czoło.

– Zamek? Masz na myśli Podwórzec B–cztery czy stronę A?

– B–cztery – rzekł Bremen. Miał ochotę podrapać się w głowę przez gruby materiał, ale nie zrobił tego.

– Taaa, właśnie tam jadę – powiedział kierowca i zakręcił w prawo, do innego korytarza.

Po minucie zatrzymał wózek przy schodach. *PODWÓRZEC B-4*, głosił znak.

Bremen zszedł i przyjacielsko pomachał mężczyźnie.

Kierowca kiwnął mu, przesunął cygaro i rzekł:

– Nie pozwól, żeby te szczeniaki kłuły cię szpilkami, jak Johnsona.

Po czym odjechał. Wózek popiskiwał w dali. Bremen wszedł po schodach tak szybko, jak pozwalały mu na to ograniczona widoczność i za duże buty.

Był prawie na zewnątrz, na fałszywej Głównej Ulicy, gdy zaczęły się wokół niego gromadzić dzieciaki.

Początkowo postanowił iść, nie zwracać na nie uwagi, ale krzyczały, obawiał się, że przyciągnie to dorosłych, więc usiadł na ławce i pozwolił, by go otoczyły.

– Hej! Goofy! Cześć! – wołały, cisnąc się do niego.

Bremen zachowywał się tak, jak sobie wyobrażał, iż czyniłyby to disnejowskie postacie. Przesadnie, bez słowa, podniósł grubą rękawicę do wydatnego nosa w geście zaskoczenia. Zachwycił dzieci. Tłoczyły się, usiłowały usiąść mu na kolanach, tuliły się do niego.

On też je przytulał, ruszał się jak Goofy. Rodzice robili zdjęcia i filmowali go. Bremen rozsyłał pocałunki, przytulił jeszcze parę dzieci, wstał na swe zbyt duże, karykaturalne stopy i zaczął się oddalać w kierunku wyjścia, machając dłońmi i przesyłając buziaki.

Grupa dzieci z rodzicami odeszła rozradowana. Bremen odwrócił się i stanął naprzeciw zupełnie innych dzieci.

Było ich kilkanaścioro. Najmłodsze mogło mieć z sześć lat, najstarsze – ponad piętnaście. Prawie wszystkie nie miały włosów, choć większość nosiła na głowie czapki lub bandany, a jedna dziewczynka – Melody – kosztowną perukę. Ich twarze były blade, jak przed chwilą odbita w lustrze twarz Bremena. Miały ogromne oczy. Niektóre się uśmiechały. Inne usiłowały się uśmiechać.

– Hej, Goofy – pozdrowił go Terry, dziewięciolatek na wózku inwalidzkim, w ostatnim stadium raka kości.

– Cześć, Goofy! – zawołała Sestina, sześciolatka Murzynka z Bethesda. Była śliczna, delikatna, o dużych oczach i wystających kościach policzkowych. Miała własne włosy precyzyjnie splecione w warkoczyki, poprzetykane niebieskimi, zielonymi i różowymi wstążkami. Chorowała na AIDS.

– Powiedz coś, Goofy! – szepnął Lawrence, trzynastolatek z guzem mózgu. Dotychczas przeszedł cztery operacje. O dwie więcej niż Gail. Chłopiec, leżąc na oddziale pooperacyjnym, usłyszał, jak w korytarzu doktor Graynemeir mówi mamie, że rokowania są złe – najwyżej trzy miesiące. Było to siedem tygodni temu.

Siedmioletnia Melody nic nie powiedziała. Mocno obejmowała Bremena, aż przekrzywiła się jej peruka. Bremen–Goofy też przytulał dziewczynkę.

Dzieci obstały go jednocześnie, jakby w zgranym przygotowanym wcześniej balecie. Żaden człowiek, nawet Goofy, nie mógłby ich wszystkich przytulić, nie potrafiłby znaleźć miejsca w kręgu ich ramion – ale on mógł. Objął je wszystkie i każdemu przekazywał życzenia, nadzieję, miłość, wysyłając jakby laserem telepatyczne fale, tak jak kontaktował się z Gail, gdy z powodu bólu i środków usmierzających myślotyk był najtrudniejszy. Z pewnością go nie słyszały, nie czuły jego przesłania, ale mimo wszystko on

słał te wiadomości, nawet gdy obejmował dzieci ramionami i łagodnie szeptał im do ucha rzeczy sekretne i osobiste, nie banialuki w stylu Goofy'ego, choć najlepiej jak potrafił, naśladował jego głos.

– Melody, wszystko jest dobrze, twoja mama wie o potknięciach w grze na fortepianie. Wszystko w porządku. Ona tym się nie przejmuje. Kocha cię.

– Lawrence, nie martw się o pieniądze. Pieniądze nie są ważne. Ubezpieczenie nie jest ważne. Ty jesteś ważny.

– Sestina, oni chcą być z tobą, koteczku. Tobo boi się do ciebie przytulić, gdyż myśli, że ty go nie lubisz. On jest nieśmiały.

Rodzice, opiekunki, sponsorzy tej wycieczki... pewna kobieta z Green Bay przygotowywała tę Wymarzoną Podróż przez dwa lata... wszyscy stali z boku i patrzyli na to dziwne obejmowanie, przytulanie i szeptanie.

Dziesięć minut później Goofy po raz ostatni dotknął dziecięcych policzków, pomachał wesoło i poszedł po Głównej Ulicy, zrobił pętlę kolejką, wysiadł w Centrum Transportu i Biletów, przeszedł obok kas, zasalutował Salowi Emporiumu i Bertowi Cappiemu oraz czerwonemu na twarzy Vanniemu Fucciemu, którzy obserwowali tłum, swobodnie pomaszerował na parking i wszedł do autobusu odjeżdżającego do Hyatt Regency Grand Cypress. Ludzie, zwłaszcza starszycy, wesoło pozdrawiali Goofy'ego i klepali go po plecach.

– Myślisz, że to w tym cholernym miejscu? – spytał Bert Cappi Vanniego Fucciego.

Fucci cały czas obserwował tłum ludzi idących na parking autobusów.

– Zamknij pieprzoną gębę i gap się – odpowiedział.

Za nimi z sykiem i łoskotem odjeżdżał autobus Hyatta.

O FIOLETOWEJ GODZINIE

Za ponad połowę swych pieniędzy Bremen kupił bilet do Denver. Spał w parku, naprzeciw Hyatta, gdzie wyrzucił strój Goofy'ego. Autobus odchodził z Orlando kwadrans po jedenastej wieczorem. Czekał do ostatniej chwili, tuż przed odjazdem. Wszedł przez drzwi służbowe, spuścił głowę, podniósł kołnierz i ruszył prosto do autobusu. Żaden z pasażerów nie przypominał mu gangstera. Z morza neurogwaru nie wybijała się żadna ostra myśl, mogąca świadczyć o tym, że ktoś z obecnych go rozpoznał.

Do godziny pierwszej w nocy pokonali połowę drogi do Gainesville i powoli zaczynał się odprężyć. W Ocala i kilkunastu mniejszych miejscowościach obserwował przez okno zamknięte sklepy i rtęciowe latarnie stojące wzdłuż ulic. O tak późnej porze neurogwar był mniejszy. Bremen i Gail już dawno doszli do wniosku, że tak zwany „rytm dobowy” u ludzi jest wywołany przez zaczątkową telepatię – ludzie po prostu wyczuwają, że wokół większość osób śpi. Bremen z trudem odganiał sen, choć jego nerwy skręcały się i podrygiwały odbijając myśli kilkudziesięciu wciąż jeszcze przytomnych pasażerów. Sny pozostałych dodawały się do myślowego zgiełku, przebiegały jednak na głębszej, bardziej osobistej scenie umysłu, znacznie trudniej dostępnej.

Wdzięczny był Bogu za te utrudnienia.

Międzystanową 75 kierowali się na północ od Gainesville.

Czemu nie wróciłem do chaty rybackiej? – zadawał sobie pytanie. Teraz mu się wydawała jedynym w świecie przytuliskiem. Czemu nie powrócił, przynajmniej po pieniądze?

Po części z tego powodu, że Vanni Fucci, Sal Empori lub któryś z jego zbirów na pewno obserwują tamto miejsce.

A Bremen nie chciał, by Norm senior lub staruszek Verge mieli przez niego kłopoty.

Pomyślał o pozostawionym samochodzie. Verge lub Norm senior do tej pory na pewno odkryli, że gość zaginął. Znaleźli w chatce pieniądze. Z pewnością uregulują rachunki w wypożyczalni samochodów. Czy Norm senior zawiadomi policję o zniknięciu klienta? Raczej nie. A jeśli nawet zawiadomił, to co? Bremen ani razu się nie przedstawił, nigdy również nie okazał swego prawa jazdy. Żaden z mężczyzn nie chciał naruszać jego prywatności i teraz potrafiliby przekazać policji najwyżej rysopis.

Jednak główny powód, dla którego tam nie wracał, był bardziej praktyczny: po prostu nie znał drogi. Wiedział tylko, że domek rybacki znajduje się raczej bliżej Miami niż Orlando, na styku jeziora i bagniska. Rozmyślał, czy nie zadzwonić z Denver do Norma seniora i poprosić go o przetelegrafowanie pieniędzy na poste restante w Denver, lecz przypomniał sobie, że na małym sklepiku nie widział żadnego nazwiska, a Norm senior nigdy go wymienił, gdy Bremen akurat podsłuchiwał. Przytulisko w domku rybackim zostało na zawsze stracone.

Z Orlando do Tallahassee, stolicy stanu, jest około czterystu kilometrów, lecz kiedy autobus dotarł do miasta, mokrego od niedawnego deszczu, i przemknął cichymi ulicami, minęła piąta rano.

– Odpoczynek! – Kierowca zatrzymał autobus i szybko wysiadł.

Bremen odchylił się w fotelu i drzemał, czekając, aż pozostali pasażerowie ponownie wsiądą. Zdążył dobrze poznać swych towarzyszy podróży i gdy wracali, w jego czaszce tłukły się echa niczym krzyki w metalowej rurze. Autobus ruszył o 5:42 i leniwie pojechał ku zachodniej międzystanowej 10.

Bremen mocno ścisnął skronie i starał się skupić na swych własnych snach.

Dwa rzędy za nim siedzieli młody żołnierz piechoty morskiej, Burk Stemens, i młoda kobieta w randze sierżanta lotnictwa, o nazwisku Alice Jean Dernitz. Tych dwoje nieznajomych nadzwyczaj szybko nawiązało ze sobą bliski kontakt.

Prawie nie spali podczas ostatnich siedmiu godzin. Rozmawiali o najbardziej osobistych sprawach. Nawet swoim stałym partnerom, obecnym i byłym, nigdy tyle nie wyjawili. Burk właśnie wyszedł z kicia, gdzie siedział za zaatakowanie nożem podoficera. Zamienił ostatnie cztery miesiące wyroku na karne wyrzucenie z wojska i jechał do domu – mieszkał w Fort Worth – by zobaczyć się z żoną, Debrą Anne, i dwójką małych dzieci. Nie powiedział Alice Jean o Debrze Anne.

Sierżant Dernitz dzieliły dwa miesiące od jak najbardziej honorowego zakończenia służby w Siłach Powietrznych i większość tego czasu spędzała na przepustkach. Była dwukrotnie zamężna, ostatnim razem z bratem swego pierwszego męża. Rozwiodła się z pierwszym, Warrenem Billem, i straciła drugiego, Williama Earla, cztery miesiące temu, gdy jego mustang wypadł z górskiej drogi w Tennessee z szybkością stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Alice Jean już wtedy niezbyt zależało na mężu. Kiedy zdarzył się

wypadek, od prawie roku żyli w separacji. Nie opowiedziała Burkowi ani o Warrenie Billu, ani o nieboszczyku Williamie Earlu.

Od Gainesville Burk i Alice stopniowo zmierzali do intymnego kontaktu i przy Lake City, tuż zanim droga I-75 napotkała I-10, zakończyli opowieści z koszar i przeszli do bieżących spraw. Gdy przejeżdżali przez Lake City, Alice Jean udawała, że drzemie. Jakby od niechcienia oparła głowę na ramieniu sąsiada. Burk ją objął i jego dłoń „przypadkiem” osunęła się na lewą pierś współtowarzyszki podróży.

Na przedmieściach Tallahassee oboje płytko dyszeli. Dłoń Burka znajdowała się pod bluzką Alice, a ręka Alice – na podbrzuszu Burka. On okrył ich oboje swoją kurtką. Alice właśnie odpinała mu rozporek, gdy kierowca zarządził postój.

Przerwę w podróży Bremen wolał spędzić na małym przystanku autobusowym, niż znosić następny etap ich powolnej, bolesnej gry wstępnej, lecz na szczęście Burk szepnął coś Alice do ucha i oboje opuścili autobus. Burk dość niezgrabnie musiał osłaniać się kurtką. Oboje myśleli, że można by spróbować szczęścia w magazynku sklepu lub, jeśli już zupełnie nie będzie innych możliwości, w damskiej toalecie.

Jak inni pasażerowie, Bremen również usiłował się zdrzemnąć, lecz spazmy Burka i Alice Jean – odbywało się to jednak w damskiej toalecie – atakowały go nawet z oddali.

Kochali się równie banalnie i krótko, jak banalna i krótka była ich lojalność wobec obecnych i dawnych partnerów.

Mijała dziesiąta, gdy autobus docierał do Pensacola. Wszyscy już się rozbudzili; dźwięki szosy nabrały nowego brzmienia. Na zachodzie, dokąd jechali, wisiały ciężkie, burzowe obłoki, lecz silne, niskie światło ze wschodu malowało pola intensywnymi barwami. Przed autobusem mknął jego długi cień. Neurogwar stał się znacznie głośniejszy niż hałas sunących po asfalcie opon.

Trzy rzędy przed nim, po drugiej stronie przejścia, jechała para z Missouri. Nazywali się Donnie i Donna – przynajmniej tak to rozumiał Bremen. Mężczyzna był bardzo pijany, kobieta w zaawansowanej ciąży. Obydwoje mieli nieco po dwudziestce, choć – jak Bremen się zorientował z rzucanych na nich spojrzeń, a także gdy patrzył od czasu do czasu przez oczy Donniego – Donna wyglądała co najmniej na pięćdziesiątkę. Nie byli małżeństwem, chociaż Donna uważała ich czteroletni związek za trwały konkubinat. Donnie tak nie uważał.

Para odbywała odyseję trwającą już siedemnaście dni. Po całym kraju szukali najlepszego miejsca do porodu. Porodu opłaconego przez opiekę społeczną. Za radą przyjaciela z Missouri odbili na wschód od St. Louis do Columbus w Ohio. Przekonali się, że Columbus nie jest bardziej szczodre, jeśli chodzi o opiekę społeczną, niż St. Louis. Potem rozpoczęli wieloetapową podróż autobusami, płacąc za wszystko kartą kredytową pożyczoną od szwagra Donny. Z Columbus do Pittsburga, z Pittsburga do Waszyngtonu – gdzie zaszokowało ich, jak podle stolica kraju traktuje swych godnych obywateli – a potem z Waszyngtonu do Huntsville, zmobilizowani przeczytaną w National Enquirer notatką, że Huntsville jest jednym z dziesięciu najbardziej przyjaznych miast w Ameryce.

Huntsville było okropne. Szpitale nie chciały przyjąć Donny, skoro nie był to nagły wypadek, a ona nie potrafiła udowodnić z góry swej wypłacalności. W Huntsville Donnie zaczął pić na serio. Wyciągnął Donnę ze szpitala, rycząc przekleństwa i grożąc pięścią lekarzom, administratorom, pielęgniarkom, a nawet grupce pacjentów spoglądających ze swych foteli na kółkach.

Podróż do Orlando znieśli źle. Karta zbliżała się do górnej granicy swego kredytu. Donna powtarzała, że z całą pewnością odczuwa już skurcze. Donnie jednak nigdy nie widział Świata Walta Disneya i wykombinował sobie, że są blisko, więc o co chodzi?

Karta szwagra Dickie wystarczała akurat na to, by mogli dotrzeć do Królestwa Magii. Bremen wywnioskował z pijackich wspomnień Donniego, że para była tam właśnie wtedy, gdy on uciekał Vanniemu Fucciemu. Jaki ten świat mały. Bremen mocno przycisnął twarz do szyby, by wyrzucić z głowy obce myśli, utworzyć barierę między atakującymi go kolejnymi falami i swym własnym posiniaczonym mózgiem.

Nie dawał rady.

Donnie niezbyt dobrze się bawił w Królestwie Magii, mimo że całe życie pragnął je zwiedzić, gdyż ta cholerna maruda Donna nie chciała mu towarzyszyć w żadnej szalonej jeździe. Zepsuła mu zabawę, stojąc niezgrabnie jak krowa obciążona dwoma cielakami. Machała mu, gdy wsiadał do szalonej kolejki na Kosmiczną Górę czy na Górę Bryzgów. Mówiła, że godzinę po przybyciu do parku odeszły jej wody, lecz Donnie nie wierzył, wiedział, że przede wszystkim robi jemu na złość.

Tamtego wieczora nalegała, by jechać do Orlando. Twierdziła, że ma już prawdziwe bóle. Na jednym z przystanków autobusowych Donnie zostawił ją

wciśniętą w fotel przed telewizorem, a sam telefonicznie sprawdzał szpitale. Ich polityka finansowa okazała się gorsza niż szpitale w Huntsville, Atlancie czy St. Louis.

Donnie zużył resztki kredytu z karty Dickiego na bilety z Orlando do Oklahoma City. Bezzębny stary dureń, siedzący obok automatów telefonicznych na przystanku autobusowym, podsłuchał, jak Donnie gniewnie zasięga informacji i kiedy ostatni raz rzucił słuchawkę, zasugerował Oklahoma City.

– Najlepsze miejsce, cholera, w tym cholernym kraju, żeby urodzić się za friko – rzekł stary bęcwał pokazując szerokie dziąsła. – Dwie siostry i jedna moja żona się tam ocielily. Doktory w Oklahoma City zwalają koszty na ubezpieczenie społeczne i nie zwracają dupy.

Wyjechali więc do Houston, z biletami na połączenie do Fort Worth i do Oklahoma City. Teraz Donna pojękiwała głośno, twierdząc, że za kilka minut dostanie skurczów, lecz im więcej bimbrowi Donnie pił, tym bardziej był przekonany, że dziewczyna łąze – tylko po to, by popsuć mu podróż.

Donna nie łągała.

Bremen czuł jej bóle, jakby sam ich doświadczał. Mierzył zegarkiem odstępy między skurczami. Zmniejszyły się z siedmiu minut w Tallahassee do poniżej dwóch minut, gdy przecinali granicę Alabamy. Donna jęczała, w ciemności ciągnęła Donniego za rękaw i sycząc wymyślała, lecz on ją odpychał, zajęty rozmową z siedzącym z drugiej strony przejścia mężczyzną, Meredithem Solomanem, bezzębnym bęcwałem, który zasugerował wybór Oklahoma City. Donnie dzielił się z nim swym bimbrem aż do Gainsville, a od tego miasta Meredith Soloman dzielił się swą flaszką czegoś jeszcze mocniejszego.

Tuż przed tunelem do Mobile dziewczyna głośno się odezwała, aż słyszał ją cały autobus:

– Donnie Ackleyu, niech cię diabli. Jeśli chcesz, bym rozsypała się tu w autobusie jak cholera, to przynajmniej daj łyknąć tego, co pijecie z tym starym bezzębnym bęcwałem.

Donnie ją uciszył, wiedząc, że zostaną wyrzuceni z autobusu, jeśli kierowca usłyszy za wiele o picciu, przeprosił Mereditha Solomana i dał swej towarzyszce zdrowo pociągnąć z flaszki. Niewiarygodne – odstępy między skurczami się zmniejszyły, wróciły do stanu sprzed Tallahassee. Donna zasnęła i przez kilka następnych godzin jej przyćmiona świadomość wznosiła się i opadała w rytm spazmów.

Donnie nadal przepraszał Mereditha Solomana, lecz starzec znowu odsłonił swoje dżiąsła, sięgnął do brudnej żeglarskiej torby i wy dostał następną, pozbawioną etykiety butelkę białej błyskawicy.

Donnie i Meredith kolejno pociągali ognistą wodę i dzielili się poglądami na temat najbardziej przykrych rodzajów śmierci.

Meredith Soloman był przekonany, że najgorszy sposób opuszczenia tego świata to zginąć w tąpnięciu lub podczas wybuchu gazu. O ile natychmiast cię nie zabija... Właśnie leżenie tam, czekanie w zimnie, wilgoci i ciemności, dwa kilometry pod ziemią, z gasnącą latarką hełmu i psującym się powietrzem... to musiała być najgorsza śmierć. Z całą pewnością to wie, przekonywał Meredith Soloman, gdyż nim jeszcze Donnie się urodził, Meredith jako chłopiec i potem dorosły pracował w jednej z głębokich kopalń na terenie Północnej Wirginii. W kopalniach zginęli tatuś Mereditha, jak również jego brat Tucker i szwagier Phillip P. Argent. Meredith powiadała, że jeśli chodzi o tatusia i Tuckera, czuje wielki żal, lecz żadne tąpnięcie nie mogło lepiej przysłużyć się ludzkości niż to, które zabrało tego degenerata i nędznika Phillipa P. w 1972 roku. Jeśli zaś chodzi o samego sześćdziesięcioośmioletniego Mereditha Solomana, tąpnięcie zaskoczyło go trzy razy, wybuch dwa, ale zawsze go odkopywali. Za każdym razem się zaklinał, że nigdy już nie zjedzie na dół... że nikt go do tego nie zmusi. Ani żony – miał ich cztery – tracił jedną po drugiej, rozumiesz, nawet młode istoty nie wytrwają zbyt długo w dziurze w Zachodniej Wirginii, no bo zapalenie płuc, porody i tak dalej... ani jego żony, ani krewniacy... prawdziwi krewniacy, nie powinowate sukinsyny jak Phillip P... nawet jego własne dzieci, ani te duże, ani te w pieluchach, nie namówią go do zjechania na dół.

Ale wrócił, sam siebie przekonał do zjechania na dół. Pracował, aż spółka, sama spółka, zmusiła go do wcześniejszej emerytury – miał pięćdziesiąt dziewięć lat i płuca wypełnione węglowym pyłem. Ale, do diabła, wyjaśniał Donniemu Ackleyowi, gdy w tę i z powrotem przekazywali sobie butelkę, tam wszyscy mają płuca zatkane czernią jak stara, nie wymieniana latami torba odkurzacza.

Donnie się nie zgadzał. Uważał, że umieranie pod ziemią wskutek tąpnięcia czy wybuchu gazu to jeszcze nic. Zaczął wymieniać okropne wypadki, które widział albo o których słyszał. Na przykład ten motocyklista, Jack Coe, którego przezywano Wieprzem, pracował na kolei, przewrócił się na nasypie kolejowym i dostał pod kosiarkę. Jack Coe żył jeszcze w szpitalu przez trzy miesiące, aż dobiło go zapalenie płuc, ale Donnie nie nazywałby

tego życiem. Paraliż, ślinienie się, rury właczają paskudztwo i wyciągają inne paskudztwo.

A pierwsza dziewczyna Donniego, Farah, poszła do baru w dzielnicy murzyńskiej i została zbiorowo zgwałcona przez czarnych osiłków. Potem wypróbowali na niej inne rzeczy, nie tylko swoje kutasy. Pięści, kije do szczotek, butelki po coca coli, nawet ostry koniec łyżki do opon – tak twierdziła siostra Farah i...

– Nie mów mi, że zmarła od gwałtu. – Meredith Soloman przechylił się nad przejściem i wziął butelkę.

Starzec mówił bełkotliwie i cicho, lecz Bremen słyszał go wyraźnie jak w studiu nagrań z efektem echa... najpierw powolne pijackie tworzenie się słów w mózgu Mereditha, potem powolne pijackie słowa.

– No, nie, nie umarła od gwałtu. – Donnie zaśmiał się na samą myśl o tym. – Farah zabiła się obrzynem Jacka parę miesięcy później... mieszkała wtedy z Wieprzem... właśnie dlatego Jack poszedł pracować u kolejarzy. Oboje mieli pecha.

– W każdym razie obrzyn to niezły sposób – zaszeptał Meredith Soloman. Wytarł szyjkę butelki, pociągnął łyk, a potem wytarł usta, gdy trochę bimbru pocięło mu na ostry podbródek. – Łyżka do opon i tamte rzeczy się nie liczą, bo jej nie zabiły. I te duperele, co gadasz, ani się nie umywają do leżenia w ciemności, kilometr pod ziemią, gdy powietrze się kończy. To jak pogrzeb żywcem przez wiele dni.

Don chciał zaprotestować, lecz Donna jęknęła, pociągając go za rękę.

– Donnie, kochanie, te bóle naprawdę się zaczynają.

Dał jej butelkę i zaraz odebrał, gdy dziewczyna sporo łyknęła. Wychylił się nad przejściem, by podjąć rozmowę. Bremen zmierzył odstęp między skurczami – wynosił teraz około minuty.

Okazało się, że podróż Mereditha Solomana miała cel nie tak znowu odmienny od celu wędrówki Donniego i Donny.

Starzec próbował znaleźć przyzwoite miejsce do umierania, miejsce, gdzie władze wyprawilyby jego starym kościom przyzwoity pogrzeb. Próbował wrócić do domu w Zachodniej Wirginii, lecz jego krewniacy zmarli, wyprowadzili się lub nie chcieli go widzieć. Dzieci – jedenaścioro – wliczając dwoje nieślubnych, zrodzonych z tej małej Bonnie Maybone – należały do tej ostatniej kategorii. Meredith Soloman wyruszył więc na poszukiwanie jakiegoś gościnnego stanu, gdzie senior, z płucami jak dwa wory czarnego pyłu, mógłby spędzić za darmo kilka tygodni lub miesięcy

gdzieś w szpitalu, a... kiedy nadejdzie pora... jego kości zostałyby potraktowane z szacunkiem należnym kościom białego chrześcijanina.

Donnie zaczął dyskusję o tym, co się staje z duszą, kiedy umierasz. Miał specyficzne poglądy na reinkarnację, które podłapał od szwagra Donny, tego od karty kredytowej. Pośpieszne szepty obu mężczyzn zmieniły się w szybkie krzyki, gdy Meredith wyjaśniał, że niebo to niebo i żadnych czarnuchów, zwierząt ani robactwa tam się nie wpuszcza.

Cztery rzędy przed sprzeczącymi się pijakami siedział spokojny człowiek o nazwisku Kushwat Singh. Przy świetle nocnej lampki czytał książkę, ale nie był pochłonięty jej treścią. Rozmyślał o rzezi w Złotej Świątyni, sprzed kilku lat, o tym wściekłym ataku wojsk rządowych, w którym zginęła żona Singha, dwudziestotrzyletni syn i trzech najlepszych przyjaciół. Oficjele oznajmili, że radykalni Sikhowie planowali obalenie rządu. Oficjele się nie mylili. Teraz mózg Kushwata Singha, zmęczony dwudziestogodzinną podróżą, sporządzał listę rzeczy, które należało kupić w pewnym domu towarowym niedaleko lotniska w Houston: semtex, granaty rozpryskowe, japońskie zapalniki czasowe i – przy odrobinie szczęścia – kilka pocisków sterowanych ziemia–powietrze typu Stinger. Wystarczy tej broni, by zrównać z ziemią komisariat policji, skosić bandę polityków, wystarczy, by zestrzelić załadowanego boeinga 747...

Nad ciemniejącymi skrzyżowaniami autostrad włączały się lampy rtęciowe. Bremen mocno przycisnął dłonie do uszu, lecz gwar trwał i narastał. Gdy mijali granicę Teksasu, Donnę chwyciły porządne bóle porodowe. Ostatni raz widział tę parę na przystanku w Beaumont, tuż po północy. Donna skulona na ławce w strasznych bólach, rozdzierana przez skurcze, Donnie stoi w szerokim rozkroku, macha ręką, trzyma w garści pustą butelkę po bimbryze Meredith. Rzeczywiście, zajrzał wtedy w umysł Donniego, sondując telepatycznie przez neurogwar, lecz szybko się wycofał. Mózg Donniego Ackleya był przerażająco pusty – grzechotał tam jedynie fragment pijackiej kłótni z Meredithem. Żadnego planu. Żadnej sugestii, co robić z żoną i dzieckiem, które właśnie próbuje się narodzić. Nic.

Bremen naprawdę poczuł strach i ból samego dziecka, które parło ku światu zewnętrznemu. Świadomość niemowlęcia przenikała przez szare podmuchy neurogwaru na przystanku autobusowym niczym światło reflektora przez cienką mgłę.

Znowu pozostał w autobusie, zbyt wyczerpany, by uciec z kotła kipiących dokoła emocji i obrazów. Przynajmniej Burk oraz Alice Jean – chutliwy

żołnierz piechoty morskiej tuż po wyjściu z kicia i równie chutliwa żołnierz lotnictwa – wysiedli, by znaleźć jakiś zakątek niedaleko przystanku. Bremen życzył im szczęścia.

Gdy o północy wyjeżdżali z Beaumont, Meredith Soloman chrapał, dziaśła pobłyskiwały mu odbitym światłem lamp sodowych. Starcowi śniły się kopalnie, mężczyźni krzyczący w zimnym, wilgotnym powietrzu oraz czysta, biała, bezbolesna śmierć. Gdy opuszczali śródmieście i wspinali się na podjazd autostrady międzystanowej, bóle porodowe Donny zanikały w umyśle Bremena. Kushwat Singh dotykał torby z pieniędzmi przy pasie, gdzie sto trzydzieści tysięcy dolarów w gotówce czekało, by wymieniono je na zemstę.

Odchylił podłokietniki sąsiedniego pustego fotela i skulił się w pozycji płodu. Ułożył nogi na siedzeniu i przycisnął dłonie do skroni. W tym momencie żałował, że nie ma ze sobą trzydziestkiósemki szwagra. Żałował, że Vanniemu Fucciemu nie udało się dostawić go do Sala, Berta i Erniego.

Żałował – bez melodramatu, bez krzty żalu czy dystansu do siebie – że nie jest martwy. Cisza. Spokój. Idealny bezruch.

Obecnie, tkwiąc w pułapce swego żyjącego ciała i stortuowanego umysłu, odczuwał ataki myślogwałtu. Nawet wówczas, gdy autobus sunął na południowy zachód po drogach wśród bagnisk i sosnowych lasów, kiedy jego opony syczały na mokrej jezdni, a nocne deszcze rozpadały się na dobre. Bremen czuł, jak teraz, kiedy inni śpią, sam powoli tonie we śnie.

Mały wszechświat śpiących w autobusie ludzi spadał w otchłań nocy razem z nim. Zamazane sny współpasażerów migotały niczym klatki starego, nie oglądanego filmu. Hermetyczna kabina koziółkowała jak roztrzaskany prom Challenger, spadała pośród nocy ku Houston, Denver i głębszym obszarom ciemności. Bremen wiedział, że z jakiegoś powodu, którego nie potrafi do końca zrozumieć, został skazany na zbadanie tych obszarów.

OCZY

Ze wszystkich nowych pojęć, których mi dostarczył Jeremy, najbardziej intrygujące są miłość i matematyka.

Te dwa zbiory zdają się mieć niewiele elementów wspólnych, lecz w istocie podobieństwa silnie przemawiają do kogoś, kto nie zetknął się z żadną z tych rzeczy. Zarówno czysta matematyka, jak i czysta miłość całkowicie zależą od obserwatora – można by powiedzieć, że on je generuje, więc choć widzę w pamięci Jeremy’ego stwierdzenia kilku matematyków, na przykład Kurta Godła, że twory matematyczne istnieją niezależnie od ludzkiego umysłu, że przypominają raczej gwiazdy, które świeciłyby nawet wówczas, gdyby nie stało astronomów – wolę odrzucić platonizm Góbla na rzecz uznawanego przez Jeremy’ego formalizmu: liczby i ich związki matematyczne stanowią jedynie zbiór generowanych przez ludzi abstraktów oraz reguł do operowania symbolami. Miłość uważam za podobny zbiór abstraktów i relacji między nimi, mimo ich częstych związków z rzeczami w realnym świecie (2 jabłka + 2 jabłka dają rzeczywiście 4 jabłka, lecz to równanie jest prawdziwe również bez jabłek. Analogicznie, złożony zestaw równań rządzący miłością nie zależy ani od dawcy, ani od odbiorcy tej miłości. Dosłownie odrzuciłem platońską ideę miłości w jej oryginalnym sensie, na korzyść formalnego podejścia do zagadnienia).

Liczby to dla mnie rewelacja zdumiewająca. Podczas mego poprzedniego istnienia, przed Jeremym, rozumiem pojęcie rzeczy, lecz nie wyobrażam sobie, że jakaś rzecz może posiadać widmowe echo wartości numerycznych, przyczepionych do niej jak cień Piotrusia Pana. Na przykład, jeśli na obiad dają mi trzy szklanki soku jabłkowego, istnieje dla mnie tylko sok... sok... sok, nie ma to żadnego odniesienia do liczb.

Mój umysł liczy sok najwyżej tak samo, jak robiłby to mój żołądek. Podobnie, nigdy mi się nie objawił cień „miłości”, bardzo związany z obiektem fizycznym, a jednocześnie tak od niego oddzielny. Owo pojęcie mogę przyporządkować jednej tylko rzeczy w moim wszechświecie – pluszowemu misiowi.

Reaguję na tę jedyną rzecz przyjemnością i bólem, z przewagą przyjemności. „Tęsknię” za misiem, gdy go tracę. Pojęcie „miłości” po prostu nigdy nie wchodzi do równania.

Światy matematyki i miłości Jeremy’ego tak często zachodzą na siebie,

zanim Jeremy do mnie przyszedł, rażą jak potężne błyskawice, oświetlając nowe obszary mego świata.

Idę od zwykłej odpowiedniości wzajemnie jednoznacznej i liczenia, do podstawowych równań takich jak $2+2=4$, a potem do podstawowego (dla Jeremy'ego) równania falowego Schrödingera, które się stało punktem startowym do opisanego wyników neurologicznych badań Goldmanna: $ih\hbar=Y$ lub wszystko to odkrywa się przede mną jednocześnie. Odbieram matematykę jak uderzenie gromu, jak Głos Boga w biblijnej historii o Szawle z Tarsu, zrzuconym przez konia. Jednak ważniejsze jest to, że mogę spożytkować wiedzę Jeremy'ego do poznania rzeczy, z których on świadomie nie zdaje sobie sprawy. W ten sposób elementarna wiedza Jeremy'ego na temat logicznych struktur sieci neuronowych, dla niego tak elementarna, że nawet o niej nie pamięta, pozwala mi zrozumieć sposób, w jaki „uczą się neurony”:

$$N3(+) = \{[Sn2(t)-N2(t)]\}$$

Może nie moje neurony, jeśli przyjąć dość przerażającą, opracowaną przez Jeremy'ego interpretację holograficznej funkcji uczenia się ludzkiego umysłu, lecz neurony... powiedzmy... szczura laboratoryjnego: jakiejś prostej formy życia, która reaguje niemal wyłącznie na przyjemność i ból, nagrodę i karę.

Jak ja. Albo przynajmniej jak ja sprzed epoki Jeremy'ego.

Gail nie lubi matematyki. Nie, to nie jest ściśle. Bardzo kocha Jeremy'ego, a znaczna część jego życia, osobowości i najgłębszych myśli dotyczy matematyki. Ona uwielbia tę miłość męża do matematyki, lecz królestwo liczb nie jest dla niej atrakcyjne. Najpełniej postrzega świat przez język i muzykę, taniec i fotografię i przez mądrą, często bardzo tolerancyjną ocenę innych ludzi.

Jeremy, jeśli w ogóle zadaje sobie trud, by dokonać takiej oceny, jest mniej tolerancyjny i czasami po prostu ich dyskwalifikuje. Myśli innych ludzi nudzą go... nie z powodu wrodzonej arogancji czy egoizmu, lecz po prostu dlatego, że większość ludzi rozmyśla o rzeczach nudnych. Dawniej, gdy za pomocą swej myślotarczy połączonej z myślotarczą Gail mógł się oddzielić od losowego neurogwaru, zwykle tak czynił. Wyrażał swój pogląd na temat innych osób, ale jedynie w takim stopniu, w jakim ktoś pogrążony w głębokim, twórczym skupieniu zamyka okno, by przepędzić rozprasające go uliczne dźwięki.

Kiedyś Gail podzieliła się z nim swą teorią, dlaczego Jeremy nie dopuszcza do siebie stada zwykłych myśli. Mąż pracuje na górze w gabinecie. Jest letnie popołudnie. Gail leży na tapczanie przy oknie, czyta biografie Bobby'ego Kennedy'ego.

Intensywne światło wpływa przez białe bawełniane zasłony i maluje wyraźne pasy na tapczanie i dębowej podłodze.

– Jerry, chcę, żebyś na coś spojrział.

– ???

Jeremy wyraża łagodną irytację, że się go odrywa od równania na tablicy. Robi przerwę.

– Przyjaciel Bobby'ego Kennedy'ego, Robert McNamara powiada, że Kennedy uważał, iż świat jest podzielony na trzy grupy ludzi...

– Świat jest podzielony na dwie grupy ludzi – przerywa jej Jeremy. – Na tych, którzy sądzą, że świat dzieli się na grupy i na tych, którzy mają dosyć inteligencji, by tak nie sądzić.

– Uciszyć się na chwilę. – Gail szuka właściwego miejsca. Obrazy stron przewracanych jej dłonią. Wiatr zza zasłony pachnie świeżo skoszoną trawą. Światło podkreśla cielistą barwę palców i pobłyskuje na prostej złotej obrączce. – Mam to... nie, nie czytaj! – zamyka książkę.

Gail zaczyna układać swe myśli w słowa i Jeremy odczytuje zdania z jej pamięci.

– Jerry, przestań!

Z wściekłością skupia się, powraca we wspomnieniach do borowania zęba wokół nerwu – przeżyła to ubiegłego lata.

Jeremy wycofuje się nieco, dopuszcza do lekkiego zamglenia percepcji, które między nimi dwojgiem może być uznane za myślotańczę, i czeka, aż żona skończy układać swe przesłanie.

– McNamara uczestniczył w wieczornych seminariach w Hickory Hill... wiesz, w domu Bobby'ego. Bobby je prowadził. Nieformalne sesje dyskusyjne... spontaniczne rozmowy... tylko że Kennedy zapraszał czasami najlepszych ludzi w danej dziedzinie, gdy miano omawiać stosowne tematy.

Jeremy zerka znowu na swoje równanie, myśli o następnej transformacji.

– Jerry, to zajmie tylko chwilę. W każdym razie Robert McNamara rzekł, że Bobby miał zwyczaj dzielić ludzi na trzy grupy...

Jeremy się krzywi.

– Są dwie grupy, mała. Ci którzy...

– Spokój, mądralo. O czym mówiłam? Ach tak, McNamara mówi, że te

trzy grupy to ludzie, którzy przeważnie mówią o rzeczach, ludzie, którzy przeważnie mówią o ludziach i ludzie, którzy przeważnie mówią o ideach.

Jeremy kiwa głową i przesyła obraz rozziewanego hipopotama.

– To głębokie, mała, głębokie. A co z ludźmi, którzy mówią o ludziach mówiących o rzeczach? Czy to specjalny podzbiór, czy też może powinniśmy stworzyć osobną...

– Spokój. Chodzi o to, że McNamara powiada, iż Bobby nie miał czasu dla ludzi z pierwszych dwóch grup. Interesowali go tylko ludzie, którzy mówili... i myśleli o... ideach. Ważnych ideach.

Pauza.

– Więc?

– Więc to ty, głuptasie.

Jeremy zapisuje przekształcenie, by nie zapomnieć otrzymywanego w jego wyniku równania.

– To nieprawda.

– Owszem, prawda. Ty...

– Jeśli nie śpię, to spędzam większość czasu, ucząc studentów, którym od niemowlęctwa nie powstała w głowie żadna idea, c.b.d.o.

– Nie... – Gail znowu otwiera książkę i smukłym palcem stuka w stronicę.

– Uczysz ich. Przesuwasz ich w świat idei.

– Ledwo mogę ich przesunąć do hallu po zajęciach.

– Jerry, wiesz o czym mówię. Twoje oddalenie od rzeczy, od ludzi, to coś więcej niż nieśmiałość. Coś więcej niż twoja praca.

Uważam, że ludzie, którzy większość swego myślenia poświęcają czemuś mniej szacownemu niż twierdzenie Cantora o zupełności, nudzą cię... są dla ciebie nieistotni... interesują cię rzeczy o wymiarze kosmicznym, epistemologia, a nie codzienne mięso.

– Gódel – przesyła Jeremy.

– Co takiego?

– Twierdzenie Gódel o zupełności. Cantor sformułował hipotezę continuum.

Na tablicy pisze kredą pozaskończone liczby kardynalne, krzywi się na to, co zrobiły z jego równaniem falowym, ściera je i bazgrze ich symbole na swojej tablicy mentalnej. Zaczyna tworzyć w umyśle Gódelowską obronę Cantorowskiej hipotezy continuum.

– Nie, nie – przerywa mu Gail – chodzi tylko o to, że jesteś osobą typu Bobby'ego Kennedy'ego... niecierpliwy... oczekujesz, że każdy będzie się

interesował abstrakcjami, które ty...

Jeremy się irytuje. Równanie trzymane w umyśle nieco mu umyka. Słowa szkodzą niekiedy jasności myśli.

– Dla Japończyków w Hiroszynie $E=mc^2$ nie było czymś bardzo abstrakcyjnym.

Gail wzdycha.

– Poddaję się. Nie jesteś podobny do Bobby'ego Kennedy'ego.

Jesteś po prostu nieznośnym, aroganckim, wiecznie roztargnionym snobem.

Jeremy przytakuje i kończy przekształcenie. Przechodzi do następnego równania, widzi teraz dokładnie, jak fale prawdopodobieństwa się załamują i pojawia się coś, co bardzo przypomina klasyczne wartości własne.

– Taa – przesyła i już się wyłącza – lecz jestem sympatycznym nieznośnym, aroganckim i wiecznie roztargnionym snobem.

Gail tego nie komentuje. Spogląda przez okno na zachodzące za lasem słońce. Ciepły widok przenosi się w ciepłe jej bezsłownych myśli, które dzieli z mężem.

NA SZCZURZEJ ULICY

Kwadrans po wyjściu z autobusu w śródmieściu Denver Bremen został pobity i obrabowany.

Dotarli do miasta późno, po północy trzeciego dnia, i Bremen odszedł od jasno oświetlonego przystanku autobusowego. Kulił się w podmuchach śnieżnej zamieci, zdziwiony, jak zimno może tu być w połowie kwietnia. Ręce trzymał w kieszeniach, głowę opuścił nisko, chroniąc ją przed zimnym zachodnim wiatrem, gdy nagle szczerlinie otoczył go gang.

Nie był to prawdziwy gang, lecz pięciu wyrostków, Latynosów i czarnych, wszyscy przed dwudziestką. W mgnieniu oka, nim uruchomili swe pięści, przejrzał zamiary napastników.

Czuł ich strach i żądzę pieniędzy, ale również coś więcej – wielką ochotę zadawania bólu. Napięcie niemal seksualne.

Jeśliby uważniej się wsłuchał w zalewający go nocny neurogwar, czułby też wyraźne podniecenie. Tymczasem gdy go otoczyli, doznał paraliżującego zaskoczenia. Wepchnięto go w ciemny zaułek. Przez kaskadę ich na wpół formułowanych myśli, przez podgrzany adrenaliną zapał, Bremen widział ich plan – wciągnąć w uliczkę, pobić, obrabować i zabić, jeśli będzie za bardzo hałasował. Nie mógł już nic zrobić – jedynie wycofać się w ciemność.

Dosięgły go ciosy. Od razu upadł. Cisnął banknoty, jakie mu jeszcze pozostały, i zwinął się w kłębek.

– Więcej nie mam! – krzyknął, ale równocześnie wyczytał w ich myślach, że jest im wszystko jedno. Pieniądze grały rolę drugorzędną. Teraz interesowało ich zadawanie bólu.

Robili to z wprawą. Bremen próbował odtoczyć się od chłopaka z nożem... choć nóż tkwił nadal w kieszeni młokosa... lecz wszędzie czekały go ostre kopniaki. Usiłował osłonić twarz – kopali go w nerki. Takiego bólu nigdy jeszcze nie doświadczył. Próbował zakryć plecy – kopali go w twarz. Krew leciała ze złamanego nosa, podniósł dłoń, by znowu zakryć twarz. Wówczas kopali go w krocze. Potem znowu uruchomili pięści, knykcie i krawędzie dłoni. Łomotali go w czaszkę, szyję, ramiona i żebra.

Usłyszał jakiś trzask, potem kolejny. Wyciągnęli mu koszulę i rwali kieszenie spodni. Poczł ostrze w dolnej części brzucha, lecz chłopak operujący nożem ciął go na odchodnym i rana była płytka. Wówczas Bremen nie zdawał sobie z tego sprawy. W tamtym momencie zdawał sobie sprawę z

bardzo niewiele rzeczy... potem nie wiedział już nic.

Znaleziono go dopiero po godzinie, po dalszych dwóch ktoś zadał sobie trud i zawiadomił policję. Gdy przybyła policja, Bremen usiłował dojść do stanu półprzytomności. Okazali zdziwienie, że w ogóle jeszcze żyje. Słyszał, jak przez trzeszczące radio jeden z funkcjonariuszy wzywa ambulans. Zamknął na chwilę oczy, a gdy je otworzył, wokół uwijali się sanitariusze. Przenosili go na wózek. Mieli na rękach czyste plastikowe rękawice i Bremen zauważył, że wykazują szczególną ostrożność, by nie pobryzgać się jego krwią. Nie zarejestrował w pamięci jazdy do szpitala.

W izbie przyjęć panował tłok. Lekarz Pakistańczyk i dwóch wymęczonych stażystów opatrzyło mu ranę ciętą, pośpiesznie zrobili zastrzyk i nim zadziałało miejscowe znieczulenie, zaczęli szycie. Potem odeszli do innego pacjenta. Przez półtorej godziny Bremen dryfował na pograniczu przytomności, czekając na ich powrót. Gdy znowu się pojawili, pakistańskiego doktora nie było, zastępował go młody, czarny lekarz o podkrążonych z wyczerpania oczach, lecz stażyści nadal pozostali ci sami.

Oznajmili, że ma złamany nos – przymocowali plastrem metalową sztabkę; odkryli dwa złamane żebra – okleili je; poszturchali go w posiniaczone nerki, omal nie zemdlął z bólu, a potem kazali mu siusiać do płytkiego basenu. Jeden ze stażystów stwierdził, że Bremen ma zwichnięte ramię i gdy szykowano temblak, kazał mu trzymać rękę w górze. Lekarz zajrzał Bremenowi w usta – wargi były tak spuchnięte, że gdy dotknięto je szpatułką, ledwie stłumił okrzyk bólu. Doktor oświadczył, że pacjent miał szczęście – wybito mu tylko jeden ząb. Czy ma swego prywatnego dentystę?

Przez spuchnięte wargi bąknął umyślnie niewyraźną odpowiedź. Dali mu następny zastrzyk. Czuł, jak bardzo medycy są wyczerpani, jakby wszyscy tkwili w brezentowym namiocie znużenia. W ciągu ostatnich trzydziestu godzin mieli najwyżej pięć godzin snu. Ich zmęczenie bardziej uspiło Bremena niż otrzymany zastrzyk.

Otworzył oczy i zobaczył obok policjantkę. Była zupełnie spokojna. Na jej ciężkich biodrach zwiślał pas z bronią, radiotelefon, latarka i inne urządzenia. Miała plamistą skórę i rozmazany makijaż. Spytała o nazwisko i adres.

Zamknął na chwilę oczy; na myśl przyszedł mu Vanni Fucci. Choć oszołomiony środkiem przeciwbólowym, z wysiłkiem przypominał sobie, kto to jest ów Vanni Fucci. Podał policjantce nazwisko i adres Franka Lowella, swego szefa, kumpla, który troskliwie trzymał dla niego miejsce pracy.

– Zajechał pan daleko od domu, panie Lowell – rzekła.

Opuchlizna zamknęła Bremenowi lewe oko, a przez prawe widział zbyt niewyraźnie, by przeczytać nazwisko na identyfikatorze funkcjonariuszki. Wybełkotał coś w odpowiedzi.

– Czy może pan opisać tych, którzy pana napadli? – spytała przetrząsając kieszeń bluzy w poszukiwaniu ołówka. Bremen skoncentrował wzrok i mógł rozróżnić dziecięce bazgroły w notatniku policjantki. Zwieńczała „i” małymi kółkami, jak jego mniej dojrzały studenci w Haverford. Opisał napastników.

– Słyszałem, jak jeden z nich nazywał innego... najwyższego... „Red” – rzekł, wiedząc, że tamci w czasie ataku wcale nie używali imion. Lecz, jak wywęszył, jeden z nich naprawdę nazywał się Red.

Nagle zdał sobie sprawę, że neurogwar wokół niego stał się odległy. Nawet przyływy bólu i strachu innych pacjentów w izbie przyjęć oraz mózgowe krzyki i wycia z wyższych pięter, z ciemnych pokojów poupychanych jak skrzynie z nieszczęściem, wszystko to przygasło. Uśmiechnął się do policjantki i pobłogosławił nieznany środek przeciwbólowy.

– Skradziono panu portfel – rzekła gliniara. – Przepadła pańska legitymacja, pańska karta ubezpieczenia społecznego, w ogóle wszystko...

Zerkała na niego i nawet poprzez zamgloną srodkiem uśmierzającym świadomość docierały do Bremena jej podejrzenia: wygląda jak ludzki wrak, ale sprawdzili jego ramiona, uda, stopy... żadnych śladów ukłuć... i mocz, choć pełen krwi, nie zawierał śladów narkotyków czy alkoholu. Czuł, że policjantka postanawia zaliczyć wątpliwości na jego korzyść.

– Spędzi pan tutaj noc na obserwacji, panie Lowell – powiedziała. – Oświadczył pan doktorowi Chalbattowi, że nie ma pan nikogo w okolicach Denver, więc doktor Elkhart nie bardzo chce pana wypuścić bez opieki. Zarejestrują pana, gdy tylko zwolni się jakiś pokój. Przez noc poobserwują obitą nerkę i jutro jeszcze raz pana obejrzą. Przyślemy kogoś z rana, by porozmawiał z panem o napadzie i pobiciu.

Bremen zamknął powieki i kiwnął powoli głową, lecz gdy otworzył oczy, znajdował się nadal na wózku, sam w rozbrzmiewającym pogłósami korytarzu. Zegar wskazywał 4:23.

Obok przeszła kobieta w różowym swetrze, poprawiła mu koc i powiedziała:

– W każdej chwili może się teraz zwolnić jakiś pokój.

Poszła, a Bremen walczył z sobą, by nie zasnąć, kiedy przeniesiono go na

łóżko.

Postąpił jak idiota, wymieniając policji nazwisko i adres Franka Lowella. Ktoś zadzwoni rano do Franka, poda mu rysopis, Bremena wsadzą do aresztu, gdzie będą go pytać o spaloną farmę... a może również o ciało znalezione we florydzkich bagnach.

Jęknął i usiadł, zwieszając nogi z łóżka. Omal nie spadł.

Gapił się na gołe palce stóp, poczuł, że ma na sobie cienką jak papier koszulę nocną. Na lewym przegubie zauważył szpitalną bransoletkę.

Gail. O Boże, Gail.

Ześlizgnął się z łóżka, opadł na kolana i zdrową dłonią pod nim macał. Wepchnięto tam jego ubranie, poplamione krwią i porwane. Sprawdził korytarz – nikogo nie było, choć gumowe podeszwy skrzypiały gdzieś za rogiem, poza polem widzenia.

Nakładając z trudem odzież, pokuśtykał do magazynka w końcu holu. Dał sobie spokój z ubieraniem i na podtrzymywanej temblakiem ręce udrapował koszulę niczym pelerynę. Potem wyszedł. Zanim opuścił magazynek, pogrzebał w koszu z brudnymi ubraniami, wyjął białą bawełnianą kurtkę stażysty i naciągnął ją, wiedząc, że nie da mu ciepła na ulicy.

Spojrzał w korytarz, poczekał, aż hałasy ucichły, i ruszył do bocznych drzwi.

Na zewnątrz padał śnieg. Bremen pomknął zaułkiem, nie wiedząc gdzie jest ani dokąd zmierza. W górze, między ciemnymi skałami budynków, nic nie zapowiadało nadejścia świtu.

OCZY

Nie twierdzą, że Jeremy i Gail to idealna para. Występują między nimi różnice zdań, sprzeczą się, doznają wzajemnych rozczarowań. Ich myślotyk jest czasami bardziej zaproszeniem do kłótni niż siłą łączącą.

Gdy są w pobliżu siebie, ich najmniejsze wady ulegają powiększeniu, jak w wypukłym zwierciadle. Gniew Gail łatwo się zapala i jeszcze prędzej gaśnie. Jeremy szybko ma tego dosyć. Ona natomiast nie znosi jego ślamazarnego skandynawskiego spokoju wobec najbardziej nawet absurdalnej zaczepki. Czasami walczą tylko dlatego, że on odmawia walki.

We wczesnym stadium swego małżeństwa dochodzą do wniosku, że pary powinny poddawać się raczej badaniom biorytmów niż badaniu krwi. Gail jest typem skowronka i nade wszystko ceni sobie poranki. Jeremy uwielbia późne godziny i najowocniej pracuje przy swej tablicy po pierwszej w nocy.

Nienawidzi poranków. Kiedy nie prowadzi wykładów, rzadko rusza się z łóżka przed wpół do dziesiątej. Gail nie lubi myślotyku z mężem przed jego drugą kawą, a i wtedy powiada, że przypomina to doświadczenia telepatyczne ze złośliwym niedźwiedziem, dopiero rozbudzonym z zimowego snu.

Ich gusty, uzupełniające się w wielu ważnych dziedzinach, w innych, równie ważnych, są zupełnie rozbieżne. Gail uwielbia lektury i żyje słowem pisany; Jeremy rzadko czyta coś spoza swej dziedziny, czytanie powieści uważa za stratę czasu.

Jeremy wynurza się z gabinetu o trzeciej nad ranem i z zadowoleniem kłapie w fotel oglądając program dokumentalny;

Gail nie ma czasu na oglądanie takich programów. Lubi sport i gdyby mogła, spędzałaby każdy jesienny weekend, oglądając mecz futbolowy; Jeremy'ego sport nudzi i zgadza się z definicją George'a Willsa, że futbol to „profanowanie jesieni”.

A muzyka? Gail gra na fortepianie, rożku francuskim, klarncie i gitarze; Jeremy nie powtórzy najprostszej melodii. W muzyce podziwia matematyczną barokowość Bacha;

Gail uwielbia nieprogramowalny humanizm Mozarta. Oboje lubią sztukę, lecz ich wizyty w galeriach i muzeach stają się telepatycznymi bitwami; Jeremy mówi z uznaniem o abstrakcyjnej dokładności serii *Hold kwadratowi* Josefa Albersa; Gail zachwyca się impresjonistami i wczesnym Picasse.

Kiedyś, na urodziny Gail, Jeremy wydaje wszystkie swoje pieniądze i większość oszczędności żony na mały obraz Fritza Glarnera *Malowidło względne nr 77*. Kiedy Gail widzi obraz w mózgu Jeremy'ego, gdy ten podjeżdża pod dom z malowidłem w bagażniku triumpha, reaguje: Mój Boże, Jerry, wydałeś wszystkie nasze pieniądze na te... te...kwadraty?

W sprawach politycznych Gail jest pełna nadziei, a Jeremy cyniczny. W sprawach społecznych Gail jest prawie liberałem w najlepszym tradycyjnym sensie tego słowa; Jeremy pozostaje obojętny.

– Jerry, czy pragnąłbyś wyplenić bezdomność? – pyta go pewnego dnia.

– Nieszczęśliwie.

– Dlaczego nie?

– Posłuchaj, nie ja sprawiłem, że ci ludzie są bezdomni, nie mogę sprawić, by byli niebezdomni. Ponadto i tak większość z nich to uciekinierzy z zakładów psychiatrycznych... wyrzuceni przez liberalne naiwne reformy społeczne, które skazują ich na życie na ulicach.

– Nie wszyscy z nich są wariatami, Jerry. Niektórych po prostu opuściło szczęście.

– Ależ, mała, rozmawiasz właśnie z ekspertem od rachunku prawdopodobieństwa. Wiem sporo o tym, dlaczego nie istnieje szczęście, może nawet więcej od innych osób w naszym kraju.

– Może i tak, Jen... ale nie wiesz zbyt wiele o ludziach.

– Zgadza się, mała. I specjalnie nie pragnę wiedzieć. A ty chcesz się zagłębiać w to trzęsawisko zamętu, które większość ludzi nazywa myślami?

– To ludzie, Jerry. Tacy jak my.

– Nie, mała. Nie tacy jak my. A nawet gdyby byli tacy sami, nie chciałbym o nich rozmyślać.

– A o czym rozmyślasz?

$X*I = x, ict$

Gail dowiaduje się, co przedstawia równanie, czekając cierpliwie, aż w umyśle Jeremy'ego pojawi się jakiś słowny ekwiwalent wzoru.

– Wspaniale. – Jest naprawdę wściekła. – Ty i jakiś facet o nazwisku Dirac potraficie napisać relatywistyczne równanie falowe. Czy to komuś pomaga?

– Pomaga nam zrozumieć wszechświat, mała. A to jest coś więcej niż podsłuchiwanie bezładnego brechania „prostych ludzi”, których tak gorąco pragniesz zrozumieć.

Gniew Gail, nieprzefiltrowany, omiata Jeremy'ego jak czarny wiatr.

– Boże, jakże czasem potrafisz być arogancki, Jeremy Bremenie. Dlaczego uważasz, że elektrony są bardziej godne studiowania od istot ludzkich?

Jeremy przerywa na chwilę.

– Nieźle pytanie. – Zamyka na sekundę oczy i rozważa tę myśl, wyłączając Gail – w miarę możliwości – z toku swego rozumowania. – Ludzie są przewidywalni – wysyła w końcu. – Elektrony nie. Nie twierdzę, mała – ciągnie dalej, nim Gail zdąży odpowiedzieć – że postępowanie ludzi jest całkowicie przewidywalne... wiemy, jak może być ono przewrotne... ale jego motywy tworzą zbiór skończony, niewielki. Skończony jest również zbiór wszelkich czynów wywołanych przez owe motywy. W tym sensie zasada nieoznaczoności stosuje się do ludzi w znacznie mniejszym stopniu niż do elektronów. Tak naprawdę, ludzie są nudni.

Gail formułuje gniewną odpowiedź, lecz tłumia ją.

– Jerry, mówisz poważnie?

Mąż tworzy obraz siebie, kiwającego głową.

Gail wznosi swą myślotarczę, by to przemyśleć. Nie zamyka się przed Jeremym, lecz teraz kontakt jest mniej osobisty, mniej bezpośredni. Jerry rozważa, czy nie kontynuować wymiany myśli i nie próbować wyjaśnić spornej kwestii, może nawet uzasadniać swój pogląd, lecz czuje, że żona pogrąży się we własnych myślach, postanawia więc odłożyć tę rozmowę na później.

– Panie Bremen?

Otwiera oczy i patrzy na grupę swych studentów matematyki. Młody człowiek, Arnie, cofnął się od tablicy. Chodzi o proste równanie różniczkowe, lecz Arnie zupełnie się w tym nie zorientował.

Jeremy wzdycha, obraca się na krześle i podejmuje objaśnienie zadania.

PATYKI STRACHA NA POLU, SZCZURZĄ SIERŚĆ, PIÓRA WRONIE

Bremen zamieszkał w tekturowym pudle pod Dwudziestą Trzecią ulicą. Wyuczył się litanii przeżycia: wstawać przed świtem, czekać, śniadanie w kanciapie Armii Zbawienia przy Dziewiętnastej ulicy, co najmniej godzinne czekanie na duchownego, który miał tchnąć w nich motywację, potem za pół godziny przychodzi wstępnie podgrzane jedzenie... o dziesiątej trzydzieści człapanie dwadzieścia przecznic dalej na obiad do Lighthouse, gdzie wydają go po dalszym czekaniu.

W Lighthouse oferują robotę i Bremen musi stanąć w kolejce po pracę, by się dostać do kolejki po obiad. Zwykle pięć czy sześć osób na sześćdziesiąt dostaje zatrudnienie, lecz w kwietniu Bremena wybierają kilka razy. Może dlatego, że jest względnie młody. Na ogół jest to praca bezmyślna, nie wymagająca kwalifikacji – na przykład sprzątanie wokół Centrum Kongresowego lub zmiatanie samej Lighthouse – i Bremen ją wykonuje bez skargi, zadowolony, że oprócz nie kończącego się czekania i wędrówek od posiłku do posiłku coś innego wypełnia mu czas.

Kolacje je się w „JeZus Zbawia!” obok stacji kolejowej lub znowu w magazynie Armii Zbawienia przy Dziewiętnastej. „JeZus Zbawia!” jest w zasadzie Centrum Służby Wspólnoty Chrześcijan, lecz wszyscy używają nazwy umieszczonej na symbolu w kształcie krzyża przed budynkiem, gdzie środkowe „Z” poziomego słowa „JeZus” jest jednocześnie pierwszym „Z” pionowego „Zbawia!”. Bremen często się gapi na pustą przestrzeń nad „Z” pionowej części krzyża i ma ochotę coś tam wpisać.

Jedzenie w JeZus Zbawia! jest znacznie lepsze, lecz kazania są dłuższe, czasami przeciągają się do tak późna, że większość czekającej publiczności zasypia, chrapanie miesza się z burczeniem w brzuchach. Dopiero wtedy wielbny Billy Scott i siostry Marvell pozwalają się ustawić w kolejce po kolację.

Bremen zazwyczaj spaceruje z innymi po Centrum Handlowym na Szesnastej ulicy, nim o jedenastej w nocy powraca do swego pudła. Nigdy nie zaczepia ludzi, by prosić o pieniądze, lecz kiedy stoi obok Soul Dada, Pana Paulie czy Carrie T. z dziećmi, korzysta czasami z dobrodziejstw ich zebrania. Kiedyś pewien czarny mężczyzna w drogiej wełnianej jesionce z

merynosów dał Bremenowi banknot dziesięciodolarowy.

Tego wieczora jak zwykle zatrzymuje się przy AlNite Liquor, kupuje butelkę Thunderbirda i bierze ją z sobą do swego pudła.

W Denver – „Mieście na Wysokości Mili” – kwiecień był parszywy. Bremen się zorientował później, że omal nie umarł podczas tych ostatnich tygodni denverskiej zimy, zwłaszcza w pierwszą noc po wyjściu ze szpitala. Padał wtedy śnieg. Bremen brnął przez miejski pejzaż, przez czarne zaułki i błotne ulice, wśród ciemnych gmachów. Dotarł do szeregu wypalonych domów i wpełznął między poczerniałe deski, by się przespać. Wszystko go bolało, lecz napuchnięte usta, połamane żebra i zwichnięte ramię jak wulkaniczne szczyty bólu wznosiły się nad oceanem cierpienia. Zastryk, który otrzymał w szpitalu, nie łagodził bólu, lecz nadal powodował senność.

Znalazł niszę między ceglany kominem a opaloną belką i ułożył się do snu, kiedy zbudziło go energiczne potrząsanie.

– Człowieku, cholera, nie masz płaszcza. Zostaniesz tu, to wykitujesz i tyle.

Bremen wypłynął do stanu półświadomości. Zamrugnął powiekami, widząc oblicze ledwo oświetlone odległą latarnią.

Czarna twarz pomarszczona i pobrużdżona, zaniedbana rozwidlona broda, ciemne oczy ledwo widoczne pod brudną wełnianą czapką. Mężczyzna miał na sobie przynajmniej cztery warstwy cuchnącej zewnętrznej odzieży. Podnosił Bremena na nogi.

– Dajmspokyj – zdołał wykrztusić Bremen. Od śmierci Gail nie zaznał takiej ulgi od neurogwaru jak podczas tych ostatnich chwil, mimo że nawiedzały go sny. – Dajmkrwaspokyj.

Wyrwał rękę i próbował znowu wpełznąć do zakątka. Śnieg padał spokojnie przez dziurawy dach.

– Soul Dad nie pozwoli ci wykopyrtnąć, choć jesteś durnym białym wypierdkiem.

Głos Murzyna, dziwnie łagodny, komponował się z wirującymi wśród czarnych belek płatkami śniegu.

Bremen dał się podnieść, zaciągnął ku luźnym deskom, do wyjścia.

– Masz miejsce? – powtarzał w kółko mężczyzna.

A może spytał tylko raz, a jego głos rozlegał się echem w ich obydwu czaszkach... Bremen nie wiedział. Potrząsnął głową.

– W porządku, tym razem zostaniesz z Soulem Dadem. Aż wyjdzie słońce i łeb znów wypełni ci się mózgiem. Potem jazda. Jasne?

Bremen zataczał się obok Murzyna. Przecinali niezliczone przecznice, mijali ceglane budynki oświetlone piekielną pomarańczową miejską poświatą odbitą od niskich burzowych chmur. W końcu doszli do wysokiego mostu kolejowego i po zboczu porośniętym zamrzniętymi chwastami ześlizgnęli się w ciemność. W dole, między porzuconymi samochodami, leżały kartonowe pudła, rozpostarte płachty plastiku, widać było spopieliałe resztki ognisk. Soul Dad wprowadził Bremena do sporej konstrukcji – prawdziwego szałas z plastiku i skrzyni towarowej. Betonowy filar naziemnego przejścia dla pieszych służył za ścianę, a blaszana płyta – za drzwi.

Murzyn zaprowadził go w miejsce, gdzie leżała kupa śmierdzących łachmanów i koców. Bremen miał dreszcze i wciąż było mu zimno, choć głęboko wkopywał się w ten stos. Soul Dad wzdychając zdjął dwie zewnętrzne warstwy swego odzienia, udrapował je na Bremenie, a sam przycupnął w pobliżu.

Śmierdział winem i moczem, lecz przez szmaty przechodziło jego ludzkie ciepło.

Nadal się trzęsąc, choć już mniej wściekle, Bremen odpłynął w sny.

Kwiecień był okrutny, ale maj niewiele lepszy. Wydawało się, że zima nie ma ochoty opuszczać Denver. Nawet w cieplejsze dni powietrze w mieście, na wysokości tysiąca sześciuset metrów, przejmowało chłodem. Na zachodzie tu i ówdzie między budynkami pobłyskiwały prawdziwe góry. Wznosiły się stromo, żebra pogórza z dnia na dzień traciły swą biel, lecz szczyty aż do czerwca pokrywał śnieg.

A potem nagle nadeszło lato i przez bijącą z chodników mgiełkę gorąca Bremen wyprawiał się po żywność między innymi z Soulem Dadem, Carrie T. Mieszkali teraz w plastikowym miasteczku namiotowym, daleko za torami, przy brzegu rzeki Platte – gliny wypędziły ich z wygodniejszej siedziby pod przejściem nad Dwudziestą Trzecią ulicą w połowie maja, w ramach „wiosennych porządków”, jak nazwał to Pan Paulie. W niektóre dni zostawali w cieniu przejść dla pieszych obok swego obozowiska i udawali się dopiero po zmroku do jednej z otwartych do późna misji w górze, za budynkiem stanowego kapitolu.

Alkohol nie uwalniał od przekleństwa nasilonego myślotyku, choć troszeczkę otępiał. Przynajmniej Bremen wierzył, że go otępia. Wino przyprawiało go o straszliwe bóle głowy i może właśnie one tłumili neurogwar. Przez cały kwiecień chodził bezustannie pijany. Ta samodestrukcja nie niepokoiła ani Soula Dada, ani troskliwej zazwyczaj

Carrie T., gdyż oboje również ją praktykowali. Powodowany mylnym rozumowaniem, że jeśli dobra jest odrobina nałogu, to większa dawka nałogu będzie jeszcze lepsza, Bremen omal się nie wykończył fizycznie i psychicznie, kupiwszy przy kampusie Aurarii, od jednego z młodocianych dealerów, skoncentrowaną kokainę.

Dostał w Lighthouse gotówkę za dwa dni pracy i pełen nadziei powrócił do swego pudła.

– Białas, czemu uśmiechasz się w tę swoją nędzną brodę? – spytał Soul Dad, lecz Bremen zignorował staruszka i czmychnął do swego pudła. Nie palił od czasu, gdy był nastolatkiem, lecz teraz zapalił fajkę kupioną od dzieciaka przy Aurarii, przechylił szklaną bańkę nad końcem fajki, jak go poinstruowano, i głęboko się zaciągnął.

Przez kilka sekund panował spokój. Potem zapanowało piekło.

– Jerry, proszę... słyszysz mnie? Jerry!

– Gail?

– Pomóż mi, Jerry! Pomóż mi się stąd wyrwać.

Obrazy ostatnich rzeczy, które widziała: sala szpitalna, stojak kroplówki, niebieski koc w nogach łóżka. Zgromadzone wokół pielęgniarki. Ból gorszy niż ten, który Bremen pamiętał... gorszy niż ten, którego doświadczył po pobiciu, kiedy kości zrastały się źle, a obrażenia powodowały wewnętrzne krwotoki... Ból Gail nie dawał się opisać.

– Pomóż mi, Jerry! Proszę!

– Gail! – wrzeszczał Bremen w swym pudle. Wił się, walił w ściany z dykty, aż potrzaskały i bił już tylko w beton. – Gail!

W ten gasnący kwietniowy dzień, przez dwie godziny wrzeszczał i tłukł ściany. Nikt nie zajrzał, by sprawdzić, co mu jest. Gdy następnego ranka powlókł się na Dziewiętnastą ulicę, nikt z sąsiadów nie patrzył mu w oczy.

Bremen nie próbował już więcej kokainy.

Myśli Soula Dada stanowiły przystań łagodnej harmonii w morzu umysłowego chaosu. Bremen starał się jak najdłużej przebywać w pobliżu starca. Na ogół nie podsłuchiwał myśli innych, lecz zawsze zaznawał spokoju, gdy powolne, rytmiczne, prawie bezsłowne dumania jego towarzysza przenikały przez nieskuteczną myślotańczę i parawany wywołanego alkoholem otępienia.

Odkrył, że imię Soul Dad pochodziło od więzienia, w którym starzec spędził ponad trzecią część stulecia. W młodości Soul Dad przepelniony był wściekłą agresją. Należał do ulicznego gangu, całe dziesięciolecie przed

epoką gangów ulicznych – nosił nóż, miał wszystkim za złe, szukał zwady. U schyłku lat czterdziestych, w Los Angeles, podczas kolejnej rozróby, w której oczywiście brał udział, zabito trzech młodych mężczyzn, a Soul Dad dostał dożywocie.

Był to wyrok na całe dotychczasowe życie – bowiem uległo ono całkowitej przemianie. Soul Dad porzucił maniery ulicznika, udawaną brawurę, szpanerskie stroje, nabrał poczucia własnej wartości i przestał się nad sobą litować. Szybko stawał się twardy, co było niezbędne do przeżycia w najcięższym skrzydle najsurowszego zakładu karnego Ameryki. Raczej podjąłby walkę na śmierć i życie, niż dał się komukolwiek podporządkować. Jednak całe więzienne szaleństwo nie przeszkodziło, by Soul Dad zyskał tam poczucie radosnego spokoju.

Przez pięć lat do nikogo się nie odezwał. Potem mówił tylko wtedy, gdy było to konieczne. Wolał zachować swe myśli dla siebie. A myślał intensywnie. Nawet podczas przelotnego myślotyku Bremen widział pozostałości tamtych lat, gdy Soul Dad pracował w więziennej bibliotece i czytał w swojej celi.

Studiował filozofię. Zaczął od przelotnego nawrócenia na chrześcijaństwo, a w latach sześćdziesiątych, wraz z napływem fali czarnych kryminalistów nowego typu, przyjął wiarę Czarnych Muzułmanów. Potem wykroczył poza dogmaty, przeszedł w dziedzinę prawdziwej teologii, prawdziwej filozofii.

Studiował Berkeleya, Hume'a, Kanta i Heideggera. Pogodził św. Tomasza z etycznymi imperatywami niebezpiecznych miejskich zaułków, odrzucił Nietzschego jako jeszcze jednego sztywniaka, liżącego tyłek różnym draniom, racjonalizującego mydłką żywiącego uraz do wszystkich.

Własna filozofia Soula Dada przekroczyła barierę słów i obrazów. Zbliżała się do zen czy eleganckiej abstrakcji matematyki nieliniowej. Soul Dad odrzucił świat pełen rasizmu, seksizmu i wszelkiej nienawiści, lecz nie uczynił tego z gniewem. Poruszał się w nim ze statecznym wdziękiem, niczym wytworna galera egipska płynąca pośród krwawej, rozszalałej bitwy morskiej Greków z Persami. Jeśli tylko nie zakłócano jego pokojowych, bezsłownych marzeń, pozwalał światu zajmować się sobą, a on tymczasem pielęgnował swój ogród.

Soul Dad przeczytał Kandyda.

Bremen szukał czasami bezpiecznej przystani w powolnych myślach starca, tak jak na wzburzonym oceanie mały stateczek poszukuje schronienia

za osłoną solidnej wyspy.

I wody gwałtownie się burzyły. Tak bardzo, że nawet solipsystyczne dumania Soula Dada nie dawały zbyt stabilnego schronienia.

Bremen najlepiej z żyjących ludzi wiedział, że umysł to nie radio – ani nadajnik, ani odbiornik – lecz kiedy lato sunęło podbrzuszem Denver, czuł, jakby ktoś dostrajał jego mózg do coraz ciemniejszych fal. Fal strachu i ucieczki. Fal potęgi i samowzbudzonej władzy.

Fal gwałtu.

Neurogwar stawał się neurowrzaskiem. Bremen pił coraz więcej. Alkoholowe oszołomienie nieco pomagało; bóle głowy trochę ten wrzask głuszyły. Kojąca obecność Soula Dada stanowiła jeszcze lepszą tarczę niż picie.

Lecz gwałtowne krzyki nadal wokół niego rozbrzmiewały.

Cripsi i Bloodsi, w barwach swych gangów, krążyli furgonetkami szukając zwady poza swoimi terytoriami lub w kilkuosobowych grupkach kroczyli ostentacyjnie po wiadukcie nad ulicą. Uzbrojeni. Mieli małe rewolwery trzydziestkidwójki, ciężkie automatyczne czterdziestkipiątki, obrzyny i nawet kilka plastikowych w dotyku uzi i mac-10. Krążyli, szukali pretekstu, by doprowadzić się do wściekłości.

Bremen, zwinięty w swym pudle, pił i trzymał rozboląłą głowę między dłońmi, lecz agresja zalewała go, jakby wstrzykiwano mu adrenalinę zła.

Żądza zadawania bólu, chęć wyładowania agresji, pornograficzna intensywność ulicznych burd, doświadczana w napływie krzyków i obrazów, odgrywana w zwolnionym tempie jak ulubiony film wideo.

Zamiana niemocy w moc przez zwykłe pociągnięcie za spust, przez uchwycenie rękojeści noża. Bremen to przeżywał.

Czuł przekazywane podniecenie wywołane strachem ofiary, smak jej bólu. Bólem obdarzano się wzajemnie.

Większość agresywnych ludzi, których dotykał Bremen swym umysłem, była głupia... część zadziwiająco głupia, wielu łątało swoją głupotę narkotykami... lecz mgiełka ich myśli i wspomnień stanowiła łagodne tło dla jaskrawokrwawej „teraźniejszości”, powodującej bicie serca, wywołującej erekcję bezpośrednią bliskością gwałtu, do którego dążyli, którym się napawali. Pamięć tych czynów zostawała nie w ich mózgach, ale w ich dłoniach, mięśniach i lędźwiach. Zadawanie gwałtu dowartościowywało, kompensowało te wszystkie banalne godziny bezczynności, oglądania telewizji ze świadomością, że nie można mieć żadnego pokazywanego tam

cacka – samochodów, domów, strojów, pięknych kobiet ani nawet białej skóry. I, co ważniejsze, tych sekund gwałtu mogły im pozazdrościć telewizyjne postacie, które tylko udawały agresję, mogły jedynie odtwarzać konwencjonalne ruchy odcedzonego gwałtu wśród filmowego fałszu torebek z czerwoną farbą.

W swych chorobliwych snach Bremen paradował ostentacyjnie ciemnymi zaułkami z pistoletem u boku, poszukując kogoś o niewłaściwej barwie skóry lub niewłaściwym wyrazie twarzy. Stawał się Dawcą Bólu.

Mieszkańcy plastikowej wioski nie zwracali uwagi na jego nocne krzyki i jęki.

* * *

Nie tylko członkowie gangów i śródmiejscy biedacy przyprawiali Bremena o zmory. Pewnego wieczoru pod koniec czerwca siedział w cieniu u wylotu uliczki i przechwytywał nieprzyjemne myśli klientów Centrum Handlowego na Szesnastej ulicy.

Biali. Klasa średnia. Neurotycy, psychotycy, paranoicy, sfrustrowani, napędzani gniewem równie namacalnym jak bezsilna wściekłość nabuzowanego kokainą Bloodsa czy Cripsa. Każdy się na kogoś wściekał, gniew zacządział im umysły jak dym z mokrego drewna.

Bremen popijał wino z brązowego pojemnika, lulał swój bezustanny ból głowy i od czasu do czasu zerkał z zaułka na przechodzące postacie. Czasem trudno mu było przyporządkować gorejące pochodnie gniewnych myśli do szarych sylwetek.

Biała kobieta w średnim wieku, w przyciasnej bluzce.

Maxine. Dwukrotnie próbowała otruć swą siostrę, by nabyć prawa do działki w górach, po ojcu. Siostra przeżyła oba zamachy. Maxine za każdym razem pędziła do szpitala i okazywała rozpacz z powodu pechowego zatrucia jadem kiełbasianym. Następnym razem, myślała sobie Maxine, wezmę siostrę w góry, do starego domu na działce tatusia, poczęstuję ją chili z arsenikiem i pozostanę z nią, aż zrobi się zimna.

Niski mężczyzna w podwyższających butach i garniturze od Armaniego: Charles Ludlow Pierce. Adwokat, obrońca praw mniejszości, donator kilku denverskich fundacji dobroczynnych. Jego twarz, a także uśmiechnięta twarz jego żony Deirdre, często gościła na łamach „Denver Post” w kronice towarzyskiej. Charles Ludlow Pierce systematycznie bijał żonę, pięściami kojąc rozpalający się regularnie gniew. Twarz Deirdre nigdy nie była

posiniaczona, gdyż Charles Ludlum Pierce bardzo uważał, by nie udzielać swych „nauczek” przed balami dobroczynnymi czy innymi wydarzeniami towarzyskimi, a jeśli już musiał udzielić żonie nauczki, bił skarpetką wypełnioną piaskiem i uderzał wyłącznie poniżej szyi.

Charles Ludlum Pierce uważał, że właśnie te idące na całego, ekscytujące „lekcje”, gdy pięści waliły po twarzy, ratowały jego zdrowie i małżeństwo. Deirdre udawała się na pewien czas na „wypoczynek” do domu w górach nad Aspen.

Bremen spuścił oczy i łyknął wina.

Nagle poderwał głowę, wpatrzył się w przechodzący tłum i wybrał maszerującego energicznie mężczyznę. Zostawił butelkę, brązową torbę i poszedł za nim.

Mężczyzna kroczył Szesnastą ulicą. Zatrzymał się przed galerią handlową – stal i szkło, Tabor Center. Zastanawiał się, czy nie obejrzyć garniturów u Braci Brooks, zrezygnował z tego i poszedł dalej na wschód przez Lawrence Street i naprzód, otwartym pasażem handlowym. Wieczorny wiatr ze wzgórz poruszał drzewami przy klinkierowej alei, nieco łagodząc upał. Mężczyzna szedł dalej, nie zwracając uwagi na brodatego żebraka wlokącego się kilkadziesiąt metrów za nim.

Bremen nie odczytał jego nazwiska. Nie zależało mu na tym. Pozostałe informacje były wystarczająco jasne.

Bonnie skończy we wrześniu jedenaście lat, ale wygląda na trzynaście. Gównu, wygląda na szesnaście! Cycki pięknie się jej wypełniają. W maju minie rok, jak ma futerko. Carla powiada, że Bonnie w zeszłym miesiącu dostała okresu... teraz nasza dziewczyneczka jest kobietą... Figę tam Carla wie!

Mężczyzna miał na sobie pomięty szary garnitur. Wyszedł z biurowca na Piętnastej i czekał na swój autobus do Cherry Creek. Autobus odjeżdża dopiero za osiemnaście minut z przystanku przy centrum handlowym, dwie przecznice dalej na południe. Mężczyzna był wysoki, prawie metr dziewięćdziesiąt, i jego tusza nie rzucała się w oczy. Włosy miał związane z tyłu w koński ogon, jaki niekiedy noszą panowie w średnim wieku, i jaki Gail nazywała kutasem.

Wszedł do Brass Rail, wyłożonego drewnem i zdobionego brązem baru dla yuppies, naprzeciw północnego skrzydła Tabor Center. Bremen znalazł sobie ocienione miejsce między dwoma budynkami, skąd widział wysokie okna baru.

Z Szesnastej ulicy biło ostre światło – szyba stała się nieprzezroczysta.

Nie miało to jednak znaczenia. Dokładnie wiedział, gdzie siedzi mężczyzna i co pije.

Dwa lata mam Bonnie, a ta tępa suka Carla nic nie podejrzewa. Myśli, że dziecięce bóle brzucha i płacz to tylko skutek dojrzewania. Dojrzewanie! Niech Bóg błogosławi dojrzewanie!

Podniósł w górę następny kieliszek Dewar's. Zawsze zamawiał Dewar's, więc nie przynosili mu nędznej szkockiej, jaką w takich miejscach zawsze próbują wcisnąć klientowi.

Dziś jest następna specjalna noc. Miła nocka z Bonnie. Zaśmiał się, machnął ręką, by mu ponownie naleli. Oczywiście, to nie tak, jak za pierwszym razem, ale co z tego? Ten pierwszy raz... Obrazy aksamitnej skóry, miedziane sterczące włosy na małym wzgórku córki, piersi... wówczas zaledwie pączki... dziewczynka cicho płacze w poduszkę. Szeptał wtedy: „jeśli nic nie powiesz, wszystko będzie w porządku. Jeśli powiesz, zabiorą cię stąd i umieszczą w domu dziecka”.

To nie to, co za pierwszym razem, ale uczy się sztuczek... moja Bonnie... moja słodka Bonnie. Dzisiaj każe jej znowu używać ust...

Skończył drugą whisky, zerknął na zegarek, pośpiesznie wyszedł z Brass Rail i ruszył zwawym, lecz niezbyt szybkim krokiem po Szesnastej. Docierał do przystanku autobusowego, gdy z cieni po drugiej stronie ulicy, spod Braci Gart, wyłonił się jakiś pijak i ukosem szedł ku niemu po chodniku. Mężczyzna przeszedł na prawo, zmarszczeniem brwi ostrzegając pijaka. W polu widzenia nikogo nie było i na tych schodach pod przystankiem autobusowym obydwu skrywała betonowa konstrukcja i umieszczony wysoko trawnik.

– Daj sobie spokój, chłopie – warknął, odganiając dłonią pijaka, który zbliżył się na odległość wyciągniętej ręki. Pijak miał zapuszczoną jasną brodę, rozbiegane oczy patrzące zza sklejonych plastrem okularów i mimo upału nosił płaszcz przeciwdeszczowy. Nie odchodził.

Mężczyzna potrząsnął głową i zaczął okrążyć pijaka.

– Gdzieś się śpieszymy? – Włóczęga chrypiał z gardła tak zapchanego flegmą, jakby nie odzywał się od wielu dni.

– Odpierdol się – odpowiedział tamten i odwrócił w stronę przystanku autobusowego.

Nagle szarpnięto go w tył, w cień pod schodami. Obrócił się i wyrwał garnitur z brudnej dłoni pijaka.

– Po kiego szwanca... – zaczął.

– Śpieszmy do domu znęcać się nad Bonnie? – cicho zachrypiał pijak. – Znów dzisiaj mamy zamiar ją skrzywdzić?

Facet rozdziawił gębę. Zimny szpon orał jego plecy. Poczuł, jak pot kapie mu spod pach i spływa pod błękitną jedwabną koszulą.

– Co takiego?

– To, co powiedziałem, dupku. Wiemy o tym. Wszyscy wiedzą. Policja prawdopodobnie też. Prawdopodobnie już czekają z Carlą w domu, dupku.

Patrzył zaszokowany, wściekł się, zaczął płonąć z gniewu niczym nafta. Kto to jest ten brudny wypierdek, skąd... skąd wiedział... nieważne, był o piętnaście centymetrów niższy i o czterdzieści kilogramów lżejszy. Mógł zabić tego pierdolonego pijaka jedną ręką...

– Spróbuj mnie zabić, gwałcicielu dzieci – szepnął pijak.

To zadziwiające, lecz schody i chodnik pod nimi nadal były puste. Cienie kładły się daleko.

– Masz kurewską słuszość, zaraz... – zaczął i przerwał, a płomień jego gniewu rozpalił się czystą nienawiścią, gdy pijak roześmiał się szeroko przez splątaną brodę. Facet zacisnął ogromne dłonie w kulaki i podszedł trzy kroki do włóczęgi.

Mówił sobie, że przerwie dopiero wtedy, gdy kurdupel zacznie zdychać. W college'u omal nie zabił kiedyś jednego chłopaka.

Przerwie, kiedy pijacki wypierdek ledwo, ledwo będzie dyszeć, lecz jakaż to byłaby radość zanurzyć pięści w tę parszywą, brudną gębę...

Gdy mężczyzna rzucił się na niego z podniesionymi pięściami, Bremen cofnął się o krok, sięgnął pod płaszcz przeciwdeszczowy, lewą ręką wyszarpnął grubą deskę i zamachnął się. Dzięki takiemu zamachowi uzyskał średnią wybić 287 na 1000 podczas ostatniego sezonu baseballowego na uniwersytecie.

Mężczyzna podniósł rękę, by zasłonić twarz. Bremen walnął go deską powyżej łokcia, a potem znowu w ramiona, gdy ten osunął się na schody.

Olbrzym zawarczał coś i wstawał na nogi. Bremen uderzył go deską w splot słoneczny, a potem w potylicę, gdy tamten się zgiął wpół. Mężczyzna zaczął staczać się po schodach, niezgrabnie podrygując.

Przy terminalu autobusowym ktoś wrzasnął. Bremen nie zadał sobie trudu, by spojrzeć w tamtym kierunku. Powoli podszedł bliżej, podniósł deskę i machnął nią jak kijem golfowym, trafiając końcem w otwarte usta olbrzyma. Zęby wypadły łukiem na ulicę i pobłyskiwały w ostatnich

promieniach słońca.

Olbrzym splunął, usiadł, podniósł ręce do twarzy.

– A to za Bonnie – rzekł Bremen, a może tylko próbował to powiedzieć przez zaciśnięte wargi. Potem zadał deską miażdżący cios w krocze.

Wielkolud zawył. W oddalonym centrum handlowym ktoś mu zawtórował.

Bremen dał krok w przód i znowu walnął deską w głowę mężczyzny. Drewno pękło. Mężczyzna zaczął przewracać się na nos. Bremen odstąpił i kopnął go raz, bardzo mocno, wyobrażając sobie, że jego lędźwie to piłka podana pod idealnym kątem i należy ją wbić do bramki.

Gdzieś blisko na Larimer Street syrena zawyła i ucichła.

Wówczas się wycofał, wypuścił z brudnych dłoni ostatni odłamek połupanej deski, spojrzął jeszcze raz na skomlącego mężczyznę, zawrócił i szybko pobiegł.

Usłyszał krzyki oraz tupot przynajmniej dwu goniących go ludzi.

W rozwianym płaszczu przeciwdeszczowym, z trzepoczącą brodą, z oczyma rozwartymi tak szeroko, że zdawały się być jednorodnymi, białymi jajami osadzonymi w zbrązowiałej od brudu twarzy, biegł ku cieniom przejścia nad torami kolejowymi.

OCZY

Gail i Jeremy pragną dziecka.

Przez pierwszy rok, który jest ich przedłużonym miesiącem miodowym, sądzą, że dziecko może się szybko pojawić, więc Gail stosuje środki antykoncepcyjne – najpierw pigułki, a potem kapturek, gdy ma kłopoty zdrowotne. Osiemnaście miesięcy po ślubie rezygnują z wszelkich zabezpieczeń i pozwalają dojść do głosu naturze.

Przez następne osiem miesięcy nie myślą o tym. Kochają się często, ciągle z pasją, dziecko zajmuje w ich myślach dalekie miejsce. Potem Gail zaczyna odczuwać niepokój. Pobrali się późnawo... Jeremy miał dwadzieścia siedem lat, a Gail dwadzieścia pięć... lekarz ją zapewnia, że wciąż ma przed sobą dziesięć lat najlepszego płodnego okresu. Jednak trzy lata po ślubie, tydzień po trzydziestych urodzinach Jeremy'ego – w ten dzień zaprosili kolegów z college'u na softball – Gail proponuje, by obydwójce poszli do specjalisty.

Początkowo Jeremy się dziwi. Żona dość dobrze osłoniła przed nim swe zmartwienia. To znaczy dostrzegł, że ją gnębią, lecz nie doceniał ich intensywności. Leżą oboje letnią nocą w łóżku, przez koronkowe firanki przepływa światło księżyca.

Rozmawiają albo przysłuchują się dochodzącym zza stodoły odgłosom owadów i nocnych ptaków. Dochodzą do wniosku, że nadeszła pora, by wszystko sprawdzić.

Pierwszy Jeremy. Poddaje się nieco krępującemu rytuałowi badania na liczbę plemników w nasieniu. Gabinet lekarza znajduje się w Filadelfii i stanowi część nowoczesnego kompleksu z dyskretną wywieszką na windzie służbowej: *KONSULTACJE GENETYCZNE*. W kompleksie co najmniej dziesięciu lekarzy usiłuje pomóc niepłodnym parom zrealizować ich marzenia o dziecku. To realistyczne otoczenie działa trzeźwiąco zarówno na Gail, jak i na Jeremy'ego. Oboje się jednak śmieją, gdy Jeremy musi wyjść do toalety, by dostarczyć swoją „próbkę”.

Jeremy przesyła obraz: „Penthouse”, „The Girls of Playboy” i kilka innych kolorowych magazynów leży w plastikowym stojaku obok umywalk. Mała, wypisana na maszynie informacja na zagiętej tekturce obok stojaka głosi: *Z powodu kosztów związanych z uzupełnianiem brakujących czasopism prosimy o nie wynoszenie ich z tego pomieszczenia.*

Czekając w oddalonym pokoiku na swego doktora, Gail chichocze.

– Mogę patrzeć?

– Idź precz.

– Kpisz sobie? Mam pozbawić się tego fantastycznego przekazu? Może znajdę jakieś wskazówki dla siebie.

– Ja ci dam wskazówkę... kij w oko, jeśli mnie tutaj nie zostawisz w spokoju. Mówię poważnie.

– Tak... poważnie. – Gail z wysiłkiem tłumi chichot. Jeremy otrzymuje obraz: lekarz wchodzi do gabinetu i widzi, jak jego pacjentka skręca się ze śmiechu, a łzy ciekną jej po policzkach. – Poważnie – przesyła Gail. Potem patrzy oczyma Jeremy'ego na oglądany przez niego magazyn: – Jak te młode kobiety mogą w ten sposób pozować? – Znowu zaczyna chichotać.

Jerry, zirytowany, nie odpowiada. Uważa, że ta konwersacja go rozprasza. Wertuje magazyn.

– Małe kłopoty, Jerry?

– Idź precz.

Zamyka czasopismo i wzdycha.

– Pozwól, że pomogę.

Zaciąga zasłonę w drzwiach i zaczyna się rozbierać, obserwując się w dużym ściennym lustrze.

– Hej! Co, do diaska w...

Gail odpina ostatni guzik bluzki, wieszka ją starannie na oparciu krzesła. Wskazuje szpitalny szlafrok, wyłożony obok fotela ginekologicznego.

– Pielęgniarka powiedziała, że będzie badanie.

– Słuchaj...

– Sza, Jerry. Czytaj pismo.

Jeremy odkłada pismo na stojak i zamyka oczy.

Gail Bremen jest małą kobietą, jedynie metr pięćdziesiąt osiem bez obuwia, lecz jej ciało, o proporcjach klasycznych, jest silne i bardzo zmysłowe. Uśmiecha się do lustra, do Jeremy'ego, a on nie po raz pierwszy myśli, że w znacznej części ten uśmiech stanowi o jej zmysłowości. Wcześniej tylko raz widział podobny kobiecy uśmiech – pociągający, prowokujący, lecz w naturalny sposób zdrowy – uśmiech gimnastyczki Mary Lou Retton. W swój uśmiech Gail całkowicie angażuje szczęki, wargi i idealne zęby. To zaproszenie do udziału w jakimś figielku.

Gail czuje jego myśli i przestaje się uśmiechać, udaje, że się chmurzy, zezuje na niego.

– Nie zwracaj na mnie uwagi. Rób dalej, co masz robić.

– Idiotka.

Znów błyska swym uśmiechem i wyślizguje się z czarnej spódnicy i halki. Układa je na krześle. W prostym biustonoszu i majteczkach Gail wydaje się bezbronna. I pociągająca.

Przygarbią lekko ramiona: jej piersi zbliżają się, osłaniająca je materia staje się luźna i opada. Gail układa biustonosz na krześle i ściąga białe majteczki.

– Patrzysz nadal?

Jeremy nadal patrzy. Jest niemal religijnie poruszony atrakcyjnością swej żony. Ciemne, krótkie włosy z przedziałkiem łagodną krzywizną spadają z wysokiego czoła. Brwi gęste i ciemne – brwi Anette Funicello, jak je kiedyś smętnie określiła – dodają dramatycznej oprawy jej orzechowym oczom. Malarz, który przed kilkoma laty podczas letniego pikniku na Monhegan Island rysował pastelami portret Gail, rzekł do Jeremy'ego: „Czytałem gdzieś o świetlistych oczach, ale zawsze sądziłem, że to bzdurne określenie. Aż do dzisiaj. Pańska dama, proszę pana, ma świetliste oczy”.

Twarz Gail jest jednocześnie delikatna i silna: delikatnie rzeźbione kości policzkowe, silny nos, delikatne zmarszczki od śmiechu dokoła tych świetlistych oczu, mocna broda i delikatna cera, na której ujawniają się najmniejsze ślady opalenizny czy zakłopotania. Teraz nie jest zakłopotana, choć kiedy rzuca majteczki na krzesło i stoi sekundę przed lustrem, wysoko na jej policzkach widnieją czerwone wypieki.

Piersi kobiece nigdy zbyt nie podniecały Jeremy'ego Bremena. Może dlatego, że łatwo podsłuchiwał myśli dziewcząt, gdy sam dojrzywał seksualnie, może miała na to wpływ jego skłonność spoglądania raczej na całe równanie – w tym wypadku na cały organizm – niż na poszczególne części. Jednak gdy minął mu nieunikniony młodzieńczy kryzys seksualny, piersi zaczął traktować jako dość zwykły element budowy ludzkiego ciała. Owszem, atrakcyjny, ale z całą pewnością nie będący stałym źródłem seksualnej stymulacji.

Piersi Gail stanowią wyjątek. Jak na jej wzrost, są duże, ale to nie ich rozmiary robią na nim wrażenie. Dziewczęta w wyłożonych obok czasopismach, mających pomóc dawcom spermy, demonstrują ogromne biusty, lecz ich proporcje wydają się Jeremy'emu niewłaściwe lub po prostu śmieszne.

Piersi Gail są...

Potrząsa głową, nie potrafi pewnych rzeczy wyrazić słowami, nawet dla samego siebie.

– Postaraj się.

Piersi Gail są wyjątkowo zmysłowe. Proporcjonalne do jej wygimnastykowanego ciała i mocnych pleców, są... jedyne słowo, które przychodzi Bremenowi na myśl, to „idealne”. Wysoko osadzone, lecz ciężkie, nabrzmiałe obietnicą przyjemności w dotyku, znacznie bledsze niż reszta opalanej skóry – tam, gdzie kończy się opalenizna, widać drobne żyłki – zwieńczone otoczkami, które pozostały różowe jak u młodej dziewczyny.

Brodawki wznoszą się nieznacznie w chłodnym powietrzu, a teraz piersi są znowu ściśnięte i podniesione, gdyż Gail odruchowo objęła się rękoma przed chłodem. Ciemne włosy na przedramieniu rysują się wyraźnie na tle białej, ciężkiej dolnej krzywizny piersi.

Wzrok Gail nie przesuwają się, lecz Jeremy sam zmienia własną perspektywę i patrzy na jej odbicie w lustrze. Myśli:

Widzę odbicie w moim mózgu obrazu w jej mózgu jej odbicia.

Duch podziwiający cienie ducha.

Biodra Gail są szerokie, ale nie za bardzo, uda silne, między nimi litera V ciemnych włosów wznosi się ku brzuchowi krzaczastą pełnią, której zapowiedź można było odnaleźć w ciemnych brwiach i ciemnej grawiurze pod pachami. Kolana i dolne partie nóg są zgrabne, nie dość że wysportowane, to jeszcze mają klasyczne proporcje, jakby rzeźbione przez Donatella. Jeremy wędruje wzrokiem w dół i dziwi się, dlaczego mężczyźni nie skierowali swej fascynacji ku stymulującym seksualnie krzywiznom, choćby takim, jakie tworzy szczupła kostka.

Gail odsuwa parawan, wkłada lewe ramię w rękaw szlafroka – nie jest to standardowy szlafrok szpitalny, lecz wykwintny wyrób z delikatnej bawełny dla zamożnych klientek – i zamiera, odwrócona do niego bokiem. Jej lewą pierś i biodro gładzi łagodne światło sączące się z góry przez weneckie żaluzje.

– Nadal masz problemy, Jerry? – Uśmiech. – Nie, widzę, że nie.

– Spokój, proszę.

Za drzwiami pomieszczenia, w którym przebywa Gail, Jeremy słyszy kroki lekarza, a potem ich myślotarcze wnoszą się, nie odcinając całkowicie kontaktu, lecz trochę go przytępiając.

Jeremy nie otwiera oczu.

Muszę tu wyznać, że mój pierwszy ogląd tych otwartych uczuć

seksualnych między Jeremym i Gail jest dla mnie objawieniem. Dosłownie objawieniem – przebudzeniem o wymiarze niemal religijnym. Otworzył się dla mnie nowy świat, nowe systemy myślenia.

Doświadczyłem oczywiście przyjemności seksualnych... przynajmniej przyjemności tarcia. Smutku po orgazmie. Te reakcje fizyczne są jednak niczym w porównaniu ze wzajemną miłością i seksualną zażyłością dzieloną przez Jeremy'ego i Gail.

Moje zdumienie po odkryciu tego aspektu wszechświata równałoby się chyba memu zdumieniu, gdybym jako uczoney natknął się na Wielką Ogólną Teorię Kosmosu. W dosłownym sensie miłość i seks Gail i Jeremy'ego stanowiły Wielką Ogólną Teorię Kosmosu.

Testy na liczbę plemników wypadły doskonale. Jeremy skończył już swoje badania.

Gail jeszcze nie. Przez następnych dziewięć tygodni przechodzi całe zestawy testów. Niektóre są bolesne, większość żenująca, wszystkie bezowocne. Poddana jest wziernikowaniu jamy brzusznej i wielokrotnemu badaniu ultradźwiękami na zablokowane jajowody, zwyrodnienia macicy, mięśniaki, torbiele jajników, uszkodzenia maciczne i zapalenie śluzówki macicy. Specjaliści nie znajdują niczego. Testują ją na wady hormonalne i antyciała odrzucające spermę. Nic nie wykrywają. Lekarze przepisali jej Clomid i każą kupić zestaw do przewidywania jajeczkowania – comiesięczny znaczny wydatek – żeby określić dni i godziny największej płodności. Życie seksualne Gail i Jeremy'ego zaczyna przypominać operację wojskową. Każdego miesiąca, przez trzy lub cztery doby, dzień zaczyna się od sprawdzania moczu na nasyconym odczynnikami chemicznymi papierze i kończy wieloma zbliżeniami, po których Gail leży na plecach, z uniesionymi biodrami i zgiętymi w kolanach nogami, by wolno płynącym plemnikiem zapewnić największe szansę dokończenia podróży.

Nic. Dziewięć miesięcy niczego, a po nich dodatkowe sześć miesięcy tego samego.

Gail i Jeremy odwiedzają innych specjalistów. Jeremy zawsze zostaje zwolniony na podstawie prostego testu na liczbę plemników, a Gail przechodzi serię kolejnych badań. Staje się ekspertem – doskonale wie, kiedy należy wypić dwa litry wody, żeby przetrwać badanie ultrasonograficzne nie mocząc szpitalnego szlafroka.

Testy wciąż nic nie wykazują, nie dają odpowiedzi. Gail i Jeremy nadal próbują. Rezygnują w końcu z dziennych rozkładów, porzucają zestawy do

testów z lęku, że to wszystko zniszczy ich całą spontaniczność. Specjaliści sugerują sztuczne zapłodnienie, a oni zgadzają się wziąć to pod uwagę, jednak w milczeniu odrzucają owe sugestie, jeszcze przed opuszczeniem kliniki. Jeśli sperma i jajeczka są w porządku, układ rozrodczy Gail jest w porządku, to raczej niech rozstrzyga przypadek i naturalny bieg rzeczy.

Naturalny bieg rzeczy zawodzi. Przez kilka następnych lat Gail i Jeremy nadal marzą o dziecku, lecz o tym nie wspominają. Gdy znajdują się w myślotyku, zaduma Gail na ten temat potrafi ich oboje wprowadzić w depresję. Czasami, gdy Gail trzyma noworodka przyjaciół, Jeremy zaszokowany jest jej reakcją na dotyk i zapach niemowlaka. Serce ją boli z tęsknoty... Jeremy to rozumie... lecz również całe jej ciało reaguje: bolą piersi, macica wręcz kłuje fizycznie. Jeremy nigdy nie doświadczał podobnych wrażeń i zdumiewa go, że dwie formy ludzkie – męska i żeńska – mogą zamieszkiwać tę samą planetę, mówić tym samym językiem i zakładać, że mają ze sobą coś wspólnego, a tymczasem dzielą ich takie podstawowe i głębokie różnice.

Gail ma świadomość, że Jeremy pragnie dziecka, lecz również zna jego zastrzeżenia. Zauważała w jego umyśle rozmaite niepokoje: lęk, że dziecko mogłoby się urodzić niesprawne; obawa przed wprowadzeniem dodatkowego serca i umysłu w tę idealną dwupunktową konstelację, jaką stanowi ich związek; pierwotna zazdrość, że inna istota może zaprzątnąć uwagę i uczucia Gail.

Widzi te lęki, lecz się nimi nie przejmuje. Typowo męskie obawy przed ciężarami rodzicielstwa. Nie dostrzega jednak rzeczy ważnej.

Jeremy'ego paraliżuje strach, że dziecko mogłoby być niepełnowartościowe. Na początku ich trudnej drogi, gdy ciąża zdawała się kwestią najbliższych tygodni czy miesięcy, leżał często w nocy bezsennie i roztrząsał swe wątpliwości.

Podczas krótkiej pracy nad genetyką w college'u poznał kilka możliwych wyników rzutu genetyczną kostką: zespół Downa, płasawica Huntingtona, choroba Tay–Sachsa, hemofilia... długa lista. A Jeremy znał prawdopodobieństwa jeszcze przed pierwszą rozmową z lekarzem: jeden procent szans, że dziecko urodzi się z poważnym defektem. W wieku dwudziestu lat Gail miała szansę 1:2000 urodzenia dziecka z zespołem Downa i 1:526 jakiejś poważniejszej anomalii chromosomalnej. Jeśli poczekają, aż Gail skończy trzydzieści pięć lat, szansę zmieniają się na 1:300 dla zespołu Downa i 1:179 dla deformacji chromosomalnej. Dla kobiety czterdziestoletniej krzywa prawdopodobieństwa staje się śliskim i stromym

zбочem: 1:100 dla zespołu Downa i 1:63 dla innych poważnych defektów.

Możliwość urodzenia dziecka niedorozwiniętego lub zdeformowanego przejmuję Jeremy'ego przerażeniem. Dziecko nieuchronnie musiałoby zmienić jego stosunki z Gail, to również jest źródłem strachu. Gail widzi ten pierwszy rodzaj obaw, ale nie przejmuje się; inne lęki odbiera jedynie w niewielkim stopniu. Jeremy osłania wszystkie niepokoje przed nią, a także przed samym sobą. Stosuje wybiegi, swą zakłócającą myślotańczę, w ciągu kontaktów telepatycznych. Jest to jeden z dwóch sekretów, który ma przed Gail podczas ich wspólnego życia.

Drugi sekret również związany jest z ich bezdzietnością.

Tylko że ten drugi sekret to tykająca bomba zegarowa, gotowa zniszczyć wszystko, co ich łączy.

Gail umiera jednak przed odkryciem drugiego sekretu... nim zdoła ową bombę rozbroić.

A tajemnica ta nadal pojawia się w snach Jeremy'ego.

W TEJ WYDRAŻONEJ DOLINIE

Soul Dad wyciągnął Bremena.

Policja dysponowała rysopisem napastnika na Szesnastej ulicy i przeczesała koczowiska pod przejściami nad rzeką Platte. Jeśli wierzyć pogłoskom, ofiara napadu nie odniosła poważniejszych obrażeń, lecz kupcy z Szesnastej ulicy od miesięcy narzekali, że w godzinach otwarcia sklepów, w centrum handlowym roi się od żebraków i bezdomnych. Ten napad był kroplą przepełniającą czarę i gliny rwały na strzępy... dosłownie rwały... prowizoryczne szałasy od Market Street w śródmieściu na zachód do latynoskiego getta wokół Stonecutters Row na wzgórzu powyżej Międzystanowej 25, szukając młodego pijaka z jasnymi włosami, niechlujną brodą, w okularach.

Soul Dad go wy dostał. Bremen pobiegł wcześniej do swego szałasu nad Platte i wpełznął do plastikowego namiotu.

Rył w szmatach w rogu, szukając butelki Nocnego Pociągu.

Znalazł ją, odkręcił korek i pił mocno. Mościł się znowu w postrzępionym mroku obojętności i neurogwaru, które stanowiły treść jego życia. Adrenalina nadal jednak napływała do organizmu, działając niczym wicher rozwiewający stojącą od wielu miesięcy mgłę.

Napadłem człowieka! – Taka była jego pierwsza spójna myśl. A potem: Do cholery, co ja tutaj robię? Nagle zapragnął przerwać tę dziwną farsę, zadzwonić do Gail, by po niego przyjechała i zabrała do domu na kolację. Widział długą dróżkę odgałęziającą się od lokalnej szosy. Na jej końcu stały białe zabudowania z pruskiego muru, na poboczu rosły zasadzone przez niego brzoskwinie, niektóre nadal podparte palikami i przywiązane drutami. Widział długie cienie drzew przy strumieniu – pełzły ku domowi w miarę jak zapadał wieczór. Przez otwarte okna volva wpadał zapach świeżo skoszonej trawy...

Bremen jęknął, wypił jeszcze trochę brudnego wina, zaklął i z rozmachem wyrzucił butelkę przez otwór swego prymitywnego namiotu. Rozbiła się o beton i ktoś pod przejściem krzyknął coś niezrozumiale.

Gail! O, Jezu, Gail! Tęsknota Bremena zamieniła się teraz w fizyczny ból, atakujący go jak tsunami, które nadeszło bez ostrzeżenia, załamując się ponad krawędzią świata. Wznosił się, spadał, siły przyływu ciskały nim, zupełnie nie miał nad tym kontroli. Ach, Gail... Boże, mała, jak ciebie

potrzebuję.

Po raz pierwszy od śmierci żony Jeremy Bremen zapłakał.

Oparł czoło o zaciśnięte pięści i łkał, poddając się przytłaczającemu żalowi, który teraz kłuł go jak duże, ostre, połamane dawno temu odłamki szkła. Niepomny straszego upału pod prowizorycznym plastikowo-płóciennym namiotem, niepomny dźwięków z ruchliwej autostrady i wycia syren na ulicach wzgórza, łkał.

– Chłopcze, musisz ruszyć dupę, bo ją stracisz. – Przez zgęstniałe powietrze napłynął powolny, kojący głos Soula Dada.

Bremen odpędzał go ręką. Skulony na szmatach, przytulił twarz do zacienionego chłodnego betonu. Łkał.

– Nie czas teraz na to – rzekł Soul Dad. – Później będziesz miał mnóstwo czasu. – Schwycił Bremena pod ramię. Ten szarpał się, chciał zostać w namiocie, lecz starzec okazał zadziwiającą siłę, jego chwyt był jak z żelaza. Bremen znalazł się na zewnątrz, w słońcu. Mrugał, wypłakując łzy, i wykrzykiwał głośno coś nieprzyzwoitego, a Soul Dad prowadził go w cienie, głębiej pod wiadukt, z taką łatwością, jak ojciec prowadzi krnąbrne dziecko.

Stał tam samochód na jałowym biegu, pontiac z 78 czy 79 roku, z wgniecionym winylowym dachem...

– W nowszych nie wiem, jak spinać druty. – Soul Dad usadził go za kierownicą i zamknął drzwi. Starzec pochylił się nisko, trzymał rękę w bocznym oknie przy kierowcy i po ramieniu Bremena szorował brodą, przypominając brodę starotestamentowego proroka. Włożył Bremenowi papierowy zwitek do kieszeni koszuli. – To urządzi cię na najbliższą przyszłość... tę, którą masz przed sobą. Wyjedziesz teraz z miasta, słyszysz? Znajdź jakieś miejsce, gdzie lubią szalonych białych facetów, płaczących we śnie. Znajdź sobie jakieś miejsce, przynajmniej dopóki oni się nie zmęczą i nie przestaną cię tutaj szukać. Rozumiesz?

Bremen kiwnął głową, przecierając mocno oczy. Wnętrze samochodu cuchnęło rozgrzanym na słońcu piwem i popiołem papierosów. Porwana tapicerka śmierdziała moczem. Lecz na jałowym biegu silnik pracował równo, jakby cały wysiłek i uwagę właściciel poświęcał na to, co dzieje się pod maską.

Kradziony samochód! – pomyślał Bremen. – No to co?

Odwrócił się, by podziękować Soulowi Dadowi, pożegnać go, lecz starzec już wrócił do cieni, ku namiotom, i Bremenowi mignął tylko jego płaszcz przeciwdeszczowy. Gdzieś blisko, nad porośniętym zielskim rowem, gdzie

sączyła się płytka żółta Platte, zawyły syreny.

Bremen położył obrosnięte brudem dłonie na nagrzanej słońcem kierownicy. Oderwał ręce, zgiął palce, jakby je sobie oparzył. A jeśli nie pamiętam, jak prowadzi się samochód? Po chwili nadeszła odpowiedź. To nie ma znaczenia.

Wrzucił bieg, pedał gazu przycisnął prawie do podłogi – koła posłały żwir daleko nad koryto Platte. Musiał dwa razy maksymalnie skrócić kierownicę, nim opanował samochód jadący zakosami od brzegu gruntowej drogi do pasa trawy przy wjeździe na międzystanową 25.

Na szczycie podjazdu włączył się do ruchu i spojrzał na dachy budynków fabrycznych, magazynów, odległą szarą wstęgę linii kolejowej, skromny zarys stalowo-szklanych drapaczy chmur. Denver. Wozy policyjne w dole, w miasteczku namiotów, wozy policyjne wzdłuż torów i nadbrzeżnych pasaży, wozy policyjne na ulicach biegnących z zachodu na wschód, w kierunku terminalu autobusowego, ale tutaj, na Międzystanowej, żadnego samochodu glin. Spojrzał na drgającą wskazówkę szybkościomierza, uświadomił sobie, że w tym niezbyt intensywnym ruchu jedzie prawie sto sześćdziesiąt kilometrów na godzinę. Odpuścił pedał gazu, zwalniając do dozwolonej osiemdziesiątki, i ustawił się za furgonetką przewożącą meble. Zaskoczony zauważył, że zbliża się do skrzyżowania z międzystanową 70. Drogowskazy zostawiały mu wybór: *I-70 WSCHÓD – LIMON*, *I-70 ZACHÓD – GRAND JUNCTION*.

Przybył do Denver ze wschodu. Pojechał więc teraz koniczynowym podjazdem w górę i włączył się do ruchu na rojnej *I-70 ZACHÓD*. W dali było widać brązowe pogórze, a za nim gdzieniegdzie ośnieżone szczyty.

Bremen nie wiedział, dokąd jedzie. Spojrzał na wskaźnik paliwa – zostało jeszcze trzy czwarte baku. Sięgnął do kieszeni koszuli i wyciągnął zwitek, który wepchnął mu Soul Dad: banknot dwudziestodolarowy. Nie miał innych pieniędzy, ani centa. Trzy czwarte baku i dwudziestodolarówka musi mu wystarczyć na dojazd do nieokreślonego celu jego samochodowej podróży.

Wzruszył ramionami. Przez otwarte okno do wnętrza gwałtownie wpadało gorące, pełne pyłu powietrze. Od ponad miesiąca nic go tak nie chłodziło. Nie wiedział, dokąd się kieruje ani co będzie robił. Ale gdzieś dążył. Nareszcie gdzieś dążył.

W TEJ DOLINIE UMIERAJĄCYCH GWIAZD

Bremen szedł lokalną drogą skrajem pustyni, kiedy zrówna! się z nim patrolowy wóz policyjny. Innych samochodów na szosie nie było, więc brązowo–biały pojazd sunął przez chwilę w tempie marszu. Bremen rzucił okiem na samotnego funkcjonariusza w samochodzie – kwadratowa, ogorzała twarz, bardzo duże lustrzane okulary przeciwsłoneczne. Potem znowu spojrzął na swe stopy. Uważał, by nie nadeptać jukki ani żadnego małego kaktusa na pustynnej glebie.

Wóz podjechał piętnaście metrów dalej, skręcił w odnogę szosy, wzbijając obłok kurzu, i zahamował. Policjant wysiadł, otworzył kaburę rewolweru i stanął z lewej strony samochodu. W jego lustrzankach odbijała się postać nadchodzącego wolno mężczyzny. Bremen doszedł do wniosku, że nie jest to policjant ze stanowej drogówki, ale jakiś lokalny szeryf.

– Podejź tu – rozkazał funkcjonariusz.

Bremen się zatrzymał. Stał parę metrów poza szosą, na pustyni.

– Po co?

– Rusz dupę – rzekł glina głosem nadal cichym i bezbarwnym. Rękę trzymał teraz na kolbie rewolweru.

Bremen wyciągnął do przodu dłonie, ukazując ich wnętrze gestem oznaczającym jednocześnie posłuszeństwo i ugodowe nastawienie. Chciał również przekonać gliniarza, że nie ma nic w dłoniach. Tenisówki Bremena – zbyt duże, otrzymane w Armii Zbawienia – cicho popiskiwały na asfalcie, gdy obchodził tył samochodu. Półtora kilometra dalej, na pustej drodze, fale żaru marszczyły się i kipiały nad mirażem wody na szosie.

– Przyjmij pozycję. – Funkcjonariusz cofnął się i wskazał bagażnik samochodu.

Bremen stał przez chwilę, marszczył czoło. Nie chciał okazać gliniarzowi, że zbyt szybko zrozumiał polecenie. Gliniarz cofnął się jeszcze o krok, niecierpliwie wskazał klapę bagażnika i wyjął z kabury rewolwer.

Bremen się nachylił, szerzej rozstawił nogi i położył dłonie na bagażniku. Blacha parzyła; musiał unieść palce jak pianista tuż przed rozpoczęciem gry.

Policjant poszedł naprzód i używając jedynie lewej dłoni, szybko poklepał Bremena po lewym boku.

– Nie ruszaj się – rozkazał.

Przesunął się nieco i tą samą dłonią poklepał go po prawym boku. Bremen czuł tuż za sobą ciężar naładowanego rewolweru i napięcie w ciele gliniarza, gotowego w każdej chwili odskoczyć, gdyby on raptownie się odwrócił. Jednak nadal opierał się na wozie, a funkcjonariusz zrobił cztery kroki w tył.

– Obróć się.

Policjant trzymał w dłoni broń, jednak już w niego nie celował.

– Czy to twój samochód w zatoce przy Międzystanowej?

Bremen potrząsnął głową.

– Plymouth z siedemdziesiątego dziewiątego roku? – podjął funkcjonariusz. – Numery z Kolorado, MHW 751?

Bremen znowu potrząsnął głową.

Cienkie wargi policjanta nieco zadrżały.

– Zdaje się, że nie masz portfela – oświadczył. – Jakaś legitymacja? Prawo jazdy?

Bremen pomyślał, że następny przeczący ruch głową może być uznany za prowokację.

– Nie – powiedział.

– Czemu?

Wzruszył ramionami. W lustrzanych okularach widział własne odbicie – cienką jak trzcina sylwetkę w brudnym, workowatym ubraniu, porwaną koszulę khaki, rozpiętą z powodu upału, klatkę piersiową bladą i zapadniętą, spalony słońcem nos, policzki i czoło, ale bladą brodę. W pierwszym sklepiku przy stacji benzynowej w Kolorado kupił maszynkę i krem do golenia, ale zostawił to w bagażniku samochodu. Jego goła twarz wydawała mu się dziwna, jak stara fotografia niespodziewanie odnaleziona w nieprawdopodobnym miejscu.

– Dokąd się udajesz? – spytał gliniarz.

– Na zachód. – Bremen powstrzymywał się, by nie wzruszyć ramionami. Miał bardzo zachrypnięty głos.

– Skąd przyszedłeś?

Bremen zmrużył oczy przed słońcem. Miał sekundę na zastanowienie, gdyż mijał ich pikap, rycząc i wzbijając fontanny żwiru.

– Ostatnio na dłużej zatrzymałem się w Salt Lake.

– Imię, nazwisko?

– Jeremy Goldmann – odpowiedział bez wahania Bremen.

– Jak zabrnąłeś na tę lokalną drogę nie mając samochodu?

Bremen machnął rękoma.

– W nocy złapałem stop ciężarówką. Zasnąłem. Rano facet mnie zbudził i kazał wysiadać. Kawałek drogi stąd.

Funkcjonariusz schował broń, ale nie podchodził.

– Aha. Założę się, że nawet nie wiesz, w jakim jesteś rejonie, panie Jeremy Goldstein.

– Goldmann – sprostował Bremen. Potrząsnął głową.

– I nic ci nie wiadomo o skradzionym aucie z rejestracją z Kolorado, na parkingu przy Międzystanowej?

Bremen nie zadał sobie trudu, by pokręcić głową.

– W tym stanie obowiązuje zakaz włóczęgostwa, panie Goldstein.

Bremen kiwnął głową.

– Nie jestem włóczęgą, proszę pana. Szukam pracy.

Funkcjonariusz nieznacznie kiwnął głową.

– Ładuj się pan na tylne siedzenie.

Przez ból głowy, przez dwudniowego kaca, do Bremena docierały strzępy myśli policjanta. „Tykowaty słabiak to na pewno złodziej samochodów; porzucił plymoutha na parkingu. Prawdopodobnie złapał stop do Zjazdu 239, a potem zszedł tu na drogę i maszerował w nocy. Nie wiedział, że najbliższe miasto napotka za siedemdziesiąt kilometrów”.

– Do tyłu – powtórzył policjant.

Bremen westchnął i siadł z tyłu. Drzwi nie miały klamek, w oknach więcej było siatki niż szkła, a podwójna siatka oddzielała tylne siedzenia od przednich. Oczka w niej były tak małe, że nie mógłby przepchnąć przez nie palca. Panował upał, winylowy dywanik cuchnął tak, jakby niedawno ktoś na niego zwymiotował.

Policjant usiadł z przodu i rozmawiał z kimś przez radio, gdy stanęła przy nich terenowa toyota, jadąca na wschód.

Z okna wozu wychyliła się kobieta.

– Siemasz, szeryfie Collins. Ten z tyłu jeszcze żyje?

– Dzień dobry, pani Morgan. Akurat teraz nie jest zbyt ożywiony.

Kobieta zerknęła na Bremena. Jej pociągła chuda twarz o wystających kościach była jeszcze bardziej ogorzała niż twarz szeryfa. Oczy miały kolor szary, jasny, prawie przezroczysty. Związane z tyłu włosy wydawały się ciemnorude, o niezbyt naturalnym odcieniu. Bremen ocenił, że kobieta ma około pięćdziesiątki.

Jednak to nie jej wygląd najbardziej go uderzył. Skoncentrował się na

myślotyku, ale nie wyczuł nawet jego śladu. Myśli szeryfa były obecne... zrównoważone, lekko gniewne, niecierpliwe... do Bremena docierał nawet neurogwar daleko z szosy, nawet z międzystanowej, dwanaście kilometrów stąd, ale od tej kobiety – nic. Tam, gdzie powinny się znajdować skotłowane wrażenia, słowa, wspomnienia, było jedynie głośnie chrypienie... coś w rodzaju neuronowego białego szumu, głośniego jak hałas starego elektrycznego wentylatora w małym pomieszczeniu. Czuł, że coś jest wewnątrz za kurtyną owego myśłoszumu, lecz były to myśli niewyraźne, jak przesuwające się postacie na ekranie telewizyjnym wypełnionym elektronicznym śniegiem.

– Howardzie, czy facet, którego aresztowałeś, nie przyjechał przypadkiem na moje ogłoszenie, że potrzebuję robotnika?

Głos kobiety był zdumiewająco niski i pewny siebie, z nieznacznym zaledwie tonem przekomarzania.

Szeryf podniósł wzrok i spojrzał na panią Morgan. Bremen dostrzegł błyski słońca w jego okularach. Toyota była wyższa od wozu patrolowego i szeryf musiał unieść głowę, by spojrzeć na kobietę.

– Wątpię, pani Morgan. To prawdopodobnie facet, który w nocy porzucił skradziony samochód na Międzystanowej. Zabieram go na komisariat. Roześlemy jego odciski.

Pani Morgan ani razu nie spojrzała na szeryfa, nadal kątem oka zerkała na Bremena.

– Jakże on się nazywa? Przypomnij mi.

– Goldmann – rzekł Bremen. – Jeremy Goldmann.

– Zamknij się, do cholery – warknął szeryf obracając się w fotelu.

– Mój Boże – rzekła kobieta – tak właśnie brzmiało nazwisko człowieka, który odpowiedział na moje ogłoszenie. – Gdzie je pan czytał? – zwróciła się do Bremena. – W gazecie w Denver?

– W Salt Lake – odparł Bremen.

Nie jadł nic od prawie dwudziestu czterech godzin. Po długim marszu w ciemnościach i obejrzeniu pustynnego wschodu słońca głowę miał bardzo lekką.

– Właśnie. W Salt Lake. – Spojrzała na gliniarza. – Howardzie, rzeczywiście zatrzymałeś mojego robotnika. Pisał do mnie w zeszłym tygodniu, że moje stawki mu odpowiadają i przyjedzie na rozmowę. Salt Lake. Jeremy Goldmann.

Szeryf okręcił się na fotelu, pas z bronią zaskrzypiał. Radio chrypiało i

trzeszczało.

– Pani Morgan, jest pani pewna, że nosił nazwisko Goldmann?

– Oczywiście. Nie mogłabym zapomnieć takiego żydowskiego nazwiska! Rozbawiło mnie to trochę, kiedy pomyślałam o Żydzie pracującym przy bydle.

Szeryf postukał w drucianą siateczkę.

– W każdym razie to facet, który ukradł samochód z rejestracją z Kolorado.

Kobieta podjechała pół metra, mogła teraz spojrzeć w dół na Bremena.

– Przyjechałeś tutaj kradzionym samochodem?

– Nie, psze pani – rzekł Bremen, jednocześnie próbując sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz zwracał się do kogoś „psze pani”. – Złapałem autostop i facet wypuścił mnie przy ostatnim zjeździe.

– Powiedziałeś mu, że udajesz się na Ranczo FM? – spytała.

Bremen wahał się zaledwie małą chwilkę.

– Tak, psze pani.

Cofnęła toyotę z półtora metra.

– Szeryfie, trzyma pan mego najemnego robotnika. Miał być tutaj trzy dni temu. Mówiłam szeryfowi Williamsowi, że oczekuję faceta z miasta do pomocy przy trzebieniu bydła.

Howard zawahał się.

– Pani Morgan, nie wątpię, że mówiła to pani Garry’emu. Po prostu nie pamiętam, żeby ktoś zapowiadał jakiegoś Goldmanna.

– Chyba nie wymieniłam Garry’emu tego nazwiska – rzekła kobieta. Popatrzyła na szosę, jakby się spodziewała, że lada sekunda coś nadjedzie. Nic nie nadjeżdżało. – Mówiąc szczerze, Howardzie, nie wiem, co to kogo może obchodzić. Teraz pozwól, by pan Goldmann pojechał ze mną. Chcę przeprowadzić z nim rozmowę. A może wydano prawo zakazujące obecnie spacerów lokalnymi drogami?

Bremen czuł, że Howard traci grunt pod nogami. Pani Fayette Morgan była jedną z największych posiadaczek ziemskich i podatników w okręgu, a Garry – szeryf Williams – kilkakrotnie starał się o jej względy.

– Po prostu nie podoba mi się ten facet – stwierdził Howard. Zdjął lustrzanki, jak gdyby w spóźnionym geście szacunku dla damy, która patrzyła na niego z góry. – Lepiej, gdybyśmy potwierdzili jego tożsamość i sprawdzili odciski palców.

Pani Fayette Morgan zacisnęła niecierpliwie usta.

– Niech pan sprawdza, panie Howard. Tymczasem zatrzymuje pan obywatela, którego jedynym przestępstwem, o ile mogę stwierdzić, jest jazda autostopem. Jeśli dalej będzie się pan tak zachowywał, pan Goldmann pomyśli, że postępujemy jak ci tępawi gliniarze z zapadłego pogranicza, których oglądamy na filmach. Prawda, panie Goldmann?

Bremen nic nie odpowiedział. Gdzieś na lokalnej drodze ciężarówka hałaśliwie zmieniała biegi.

– Zdecyduj się, Howardzie – rzekła pani Morgan. – Muszę wracać na rancho, a pan Goldmann prawdopodobnie chce się skomunikować ze swym adwokatem.

Howard wyskoczył z auta, otworzył od zewnątrz tylne drzwi i znalazł się znowu za kierownicą. Pół kilometra za nimi na drodze zobaczyli ciężarówkę. Szeryf odjechał bez słowa przeprosin.

– Wsiadaj – rzekła pani Fayette Morgan.

Bremen zbyt długo się nie wahał, obszedł samochód i wgramolił do środka. Toyota miała klimatyzację. Pani Morgan podniosła okno i spojrzała na niego. Z tej bliskiej odległości Bremen zorientował się, jaka jest wysoka – przynajmniej metr osiemdziesiąt pięć, chyba że siedziała na kupie książek telefonicznych. Ciężarówka minęła ich, trąbiąc klaksonem. Pani Morgan pomachała kierowcy, nie odrywając wzroku od pasażera.

– Chcesz wiedzieć, dlaczego nałgałam Howardowi? – spytała.

Bremen zawahał się. Nie był pewien, czy rzeczywiście chce wiedzieć. W tej chwili miał wielką ochotę wysiąść z kabiny i podjąć swój marsz.

– Nie lubię małych dupków, którzy działają jak wielkie dupki tylko dlatego, że posiadają nieco władzy – wyjaśniła.

Słowo „władza” wymówiła tak, jakby to było coś nieprzyzwoitego. – Zwłaszcza kiedy używają tej „władzy”, by uwziąć się na kogoś, kto już i tak ma dość kłopotów, a ty właśnie wyglądasz na taką osobę.

Bremen położył dłoń na klamce drzwi, lecz wahał się. Do Międzystanowej miałby przynajmniej piętnaście kilometrów, a potem około czterdziestu do najbliższego miasta, jeśli wierzyć rozmazanej mapie uzyskanej z myśli szeryfa. W mieście nic na niego nie czekało, najwyżej konflikt z Howardem. Po ostatnim tankowaniu w Utah zostało mu osiemdziesiąt pięć centów. Na żywność nie wystarczy.

– Powiedz mi jedno – spytała kobieta. – Czy ukradłeś tamten samochód?

– Nie. – Powiedział tonem, który nie przekonał nawet jego samego. Z technicznego punktu widzenia to prawda, myślał znużony. Uruchamiał go

Soul Dad.

Soul Dad, koczowisko, Denver, mężczyzna wracający do domu do swej córki – wszystko to wydawało się mu odległe o całe lata świetlne i lata zwykłe. Był bardzo zmęczony, spał poprzedniego dnia, w Utah, może ze dwie godziny. Szumowa myślotarcza kobiety... neuroblok... czy może coś innego wypełniały głowę Bremena potrzaskiwaniem. Do tego dochodził ból po odstawieniu alkoholu. Od czterech miesięcy Bremen nie miał takiej ochrony przed neurogwarem.

Nawet pustynia go nie chroniła. Nawet gdy nikt się nie znajdował w polu widzenia, a rancza widywał co jakieś dziesięć kilometrów, wędrówka przez pustynię przypominała włączkę po rozległym, dającym efekt echa studiu nagrań, pełnym szeptów i na poły słyszalnych krzyków. Dla fali ciemnych myśli, do której wedle wszelkich oznak się dostroił, odległość widocznie nie miała znaczenia. Potrzaskiwania, fale agresji, zachłanności i żądy zalewały międzystanową myślohałasem, odbijały się echem od pustej drogi lokalnej i od jaśniejącego nieba, padały na Bremena odpryskami ohydy.

Nie było ucieczki. W mieście napływał do niego wyrazisty myślotyk z bliższych źródeł; tu poza miastem jednocześnie słuchał jakby tysiąca źle nastawionych radiostacji. A teraz, dzięki białemu szumowi z mózgu pani Fayette Morgan, zagarniającemu go jak poryw pustynnego wiatru, miał pewien spokój.

– ...jeśli chcesz – mówiła kobieta.

Bremen otrząsnął się i rozbudził. Był zmęczony, napięty, miał wrażenie, że poranne słońce wpadające do toyoty przez przyciemnione szyby zalewa wszystko gęstym syropem – jego samego, kobietę, czarne fotele...

– Przepraszam – rzekł. – Co pani mówiła?

Pani Morgan uśmiechnęła się niecierpliwie.

– Powiedziałam, że jeśli chcesz, możesz pojechać na ranczo i starać się o tę pracę, jeśli chcesz. Potrzebuję robotnika.

Facet, który napisał do mnie z Denver, nie pojawił się.

– Tak. – Bremen kiwał głową. Jego opuszczony podbródek miał ochotę pozostać nisko na piersi. Bremen z wysiłkiem otwierał oczy. – Tak, chciałbym spróbować. Lecz nie wiem nic o...

– Nie spodziewałam się tego po kimś, kto ma nazwisko w rodzaju „Goldmann”. – Pani Morgan błysnęła uśmiechem.

Ruszyła, gwałtownie zawracając toyotą. Samochód wjechał na piasek, potem znowu na asfalt, przyśpieszył na zachód, ku Ranczu FM, gdzieś tam za

marszczącym się z gorąca powietrzem i za mirażami, które falowały niczym widmowe zasłony.

OCZY

Tematyka prac Jacoba Goldmanna tak fascynuje Jeremy'ego – a pośrednio również Gail – że oboje wsiadają w pociąg do Bostonu, by złożyć uczonemu wizytę.

Gail dopiero za pięć lat odkryje guz, który będzie przyczyną jej śmierci. Chuck Gilpen, ich stary przyjaciel, który prowadzi obecnie badania w Laboratoriach Lawrence'a Livermore'a w Berkeley, przesłał Jeremy'emu nie opublikowany artykuł Goldmanna, gdyż jego tematyka miała związek z pracą doktorską Jeremy'ego na temat ludzkiej pamięci modelowanej jako czoło rozchodzącej się fali. Jeremy natychmiast dostrzega doniosłość badań Goldmanna, telefonuje do uczonego dwa dni po otrzymaniu artykułu i trzy dni potem jadą z Gail pociągiem na północ.

Jacob Goldmann z pewną podejrzliwością rozmawiał przez telefon, wypytując, w jaki sposób Jeremy otrzymał egzemplarz jego artykułu nie oddanego przecież jeszcze do publikacji. Dlatego zapewnił go, że nie zamierza bezprawnie wkraczać w obszar działalności badacza, lecz matematyczne aspekty pracy są tak głębokie, że obaj muszą porozmawiać.

Goldmann niechętnie się zgadza.

Gail i Jeremy biorą taksówkę ze stacji do laboratorium Goldmanna, które mieści się w zaniedbanej przemysłowej części miasta, wiele kilometrów od Cambridge.

– Myślałam, że ma jakieś frymuśne laboratorium na Harvardzie – mówi Gail.

– Częściowo finansuje go wydział medycyny – odpowiada Jeremy. – Ale, o ile zrozumiałem, badania prowadzi głównie na własną rękę.

– O doktorze Frankensteinie też tak mówiono.

Laboratorium Goldmanna jest wciśnięte między hurtownię ksiązek religijnych a firmę Kayline Pienie Supplies.

W ten piątkowy wieczór Jacob Goldmann pracuje sam. Wygląda jak typowy uczoney, choć nie jak zwariowany uczoney. Ma nieco ponad siedemdziesiątkę, jest małym człowieczkiem o bardzo dużej głowie. Gail i Jeremy najlepiej zapamiętają jego oczy: wielkie, piwne, zapadnięte pod brwiami, nadają inteligentnemu spojrzeniu prawie małpie cechy. Twarz, czoło, szyja z wolem, pobrużdżone są zmarszczkami, jakie na ludzkiej fizjonomii pozostawia silna osobowość i głęboka wewnętrzna rozpacz. Ma na

sobie brązowy trzyczęściowy garnitur, który dziesięć czy dwadzieścia lat temu kosztował wiele pieniędzy i krawieckiego trudu.

– Poczęstowałbym was kawą, lecz pan Ekspres chyba nie działa. – Doktor Goldmann pociera nos i rozgląda się z roztargnieniem po zagraconej komórce, w której najwyraźniej ma swe sanktuarium. Gabinet zewnętrzny i pokój z dokumentami, przez które dopiero co przeszli, były utrzymane w drobiazgowym porządku. Ten pokój i królujący tu mężczyzna przypominają Jeremy'emu słynną fotografię Alberta Einsteina zagubionego w zabałaganionym wnętrzu swego gabinetu.

– Jest taki jak Einstein – Gail dzieli się z nim swym wrażeniem. – Czy dotknąłeś jego umysłu?

Jeremy bardzo dyskretnie potrząsa głową. Podniósł myślotarczę i skupia się na słowach Goldmanna.

– ...moja córka zwykle zajmuje się kawą. – Uczony skubie brew. – Zwykle też zajmuje się obiadem, ale na tydzień wyjechała do Londynu. Do krewnych... – Goldmann pociąga palcami swą krzaczastą brew. – Nie jesteście głodni, prawda? Czasami zapominam o kolacji.

– Och, nie... niech pan sobie nie robi kłopotu – mówi Gail.

– Jedliśmy w pociągu – oświadcza Jeremy.

– Jeśli batonik orzechowy uznać za kolację – przesyła Gail. – Jerry, umieram z głodu.

– Sza.

– Młody człowieku, mówił pan o tym, jak bardzo ważne są rozważania matematyczne. Zdaje pan sobie sprawę, że artykuł, który pan widział, został wysłany do Cal Techu, by mogli go przejrzeć tamtejsi matematycy. Interesowało mnie, czy fluktuacje, które wykreślamy, są podobne do...

– Hologramów – kończy Jeremy. – Tak. Mój przyjaciel z Kalifornii wiedział, że zajmuję się czysto matematycznymi problemami zjawisk na czole fali i ich ewentualnym zastosowaniem do badania ludzkiej świadomości. On właśnie przesłał mi odbitkę.

– Cóż... – Goldmann chrząka. – To było co najmniej złamanie obyczajów...

Nawet przez swą zwężoną myślotarczę Jeremy czuje gniew uczonego, ale również jego usilne starania, by nie okazać się nieuprzejmym.

– Proszę spojrzeć. – Jeremy rozgląda się za wolnym miejscem na jakimś biurku czy blacie, by ułożyć teczkę, którą przywiózł ze sobą. – Tutaj – mówi, kładąc teczkę na grubym skoroszycie spoczywającym z kolei na stosie

odbitek. – Niech pan spojrzy. – Bliżej podprowadza Goldmanna.

Uczony znowu odchrząkuje, lecz zerka na papiery przez swe dwuogniskowe okulary. Przerzuca dysertację, od czasu do czasu zatrzymuje się, by dokładniej przeczytać którąś stronicę lub równanie.

– Czy to standardowe przekształcenia? – pyta w pewnym miejscu.

Jeremy'emu przyspiesza serce.

– To zastosowanie relatywistycznego równania falowego Diraca do modyfikacji równania Schrödingera.

Goldmann się chmurzy.

– W hamiltonianie?

– Nie... – Jeremy odwraca stronę. – Mamy tu dwa składniki, widzi pan? Wyszedłem z macierzy spinowych Pauliego, a potem zauważyłem, że można je ominąć...

Jacob Goldmann cofa się, zdejmując okulary.

– Nie, nie – mówi, a jego obcy akcent staje się nagle bardziej wyraźny. – Nie można stosować tych relatywistycznych przekształceń połowych Coulomba do holograficznej funkcji falowej...

Jeremy głęboko oddycha.

– Ależ tak – stwierdza bezbarwnym tonem. – Można. Wtedy, gdy holograficzna funkcja falowa jest częścią większej fali stojącej.

Goldmann pociera czoło.

– Większej fali stojącej?

– Ludzkiej świadomości – mówi Jeremy i zerka na żonę.

Gail obserwuje starca.

Ów trwa przez chwilę w bezruchu, nawet nie mruga oczyma. Potem cofa się o dwa kroki i siada ciężko na krześle zarzuconym czasopismami i odbitkami.

– Boże – mówi.

– Tak – potwierdza Jeremy niemal szeptem.

Goldmann wyciąga rękę pokrytą plamami wątrobowymi i dotyka dysertacji Jeremy'ego.

– I pan to zastosował do danych z magnetycznego rezonansu i tomografu, które wysłałem do Cal Techu?

– Tak – mówi Jeremy. – Wszystko się da ujednolicić.

Dosłownie wszystko. – Zaczyna chodzić tam i z powrotem, w końcu staje i klepie teczkę z przestarzałą obecnie dysertacją. – Moja oryginalna praca dotyczyła pamięci, tak jakby reszta umysłu była po prostu komputerem

uruchamiającym DOS-owy RAM. – Śmieje się i potrząsa głową. – Pańskie wyniki pozwoliły mi dostrzec...

– Tak – szepcze Jacob Goldmann. – Tak, tak. – Odwraca się, patrzy niewidzącym wzrokiem na zagracony regał. – Mój Boże.

Rzeczywiście, ani uczony, ani jego goście nie jedli kolacji.

Planują wyjście do restauracji, ale przedtem Gail i Jeremy mają pobieżnie zwiedzić laboratorium. Spędzają tam pięć godzin, wychodzą dobrze po północy. Między początkiem ich rozmowy a tym późnym posiłkiem rzeczywistość rozpada się na kawałki.

Gabinety są przy końcu sporego laboratorium badawczego. Za ciągiem pokoiów, w czymś, co kiedyś było małym magazynem, zbudowano pomieszczenie w pomieszczeniu, uziemione, zaekranowane i owinięte w nie przewodzący odpowiednik klatki Faradaya. W samym pokoju stoją dwa dziwne opływowe sarkofagi przyrządów odczytu obrazów rezonansu magnetycznego i znacznie mniej porządnie wyglądające, cztery zmodyfikowane tomografy. W odróżnieniu od zwykłych laboratoriów, gdzie takimi przyrządami bada się pacjentów, tutaj podłoga zasłana jest dodatkowymi zaekranowanymi urządzeniami, a w podłogę, sufit i ściany wchodzi węża nieporęcznych kabli.

Pomieszczenie z tyłu jest jeszcze bardziej zagracone. Kilkanaście monitorów na głównej konsoli wyświetla dane.

Przed konsolą stoją cztery puste fotele na kółkach. Kłębowisko kabli, upchane części komputerowe, puste kubki po kawie, zakurzone tablice, sklecone aparaty przypominające EEG i zestawione oscyloskopy, nad wyraz dobitnie sugerują, że tego projektu badawczego nigdy nie analizowały uporządkowane umysły z NASA.

Przez parę godzin Jacob Goldmann opowiada o początkach badań. Wystartowały w latach pięćdziesiątych od prymitywnych eksperymentów dokonywanych przy okazji operacji na mózgu. Mózgi chorych drażniono sondą elektryczną. Pacjenci potrafili dokładnie sobie przypomnieć minione wydarzenia ze swego życia, wraz z wszystkimi wrażeniami zmysłowymi. Jakby powtórnie je przeżywali.

Goldmann nie zajmuje się tutaj chirurgią mózgu. W czasie rzeczywistym mierzy pole elektryczne i elektromagnetyczne w mózgach badanych obiektów. Korzysta z nowoczesnego sprzętu zgromadzonego w laboratorium. Razem z córką i dwoma asystentami wykreśla mapy umysłu, o jakich się nie śniło neurochirurgom.

– Trudność polega na tym – mówi Jacob Goldmann, kiedy stoją w cichym pomieszczeniu do monitoringu – że nie możemy przeprowadzić pomiarów w pewnych częściach mózgu, gdy obiekt jest zajęty jakąś czynnością. Jak wiecie, badania rezonansu magnetycznego wykonuje się, kiedy pacjent leży nieruchomo na wózku wsuniętym do wnętrza urządzenia.

– Bezruch podczas skanowania jest chyba konieczny? – pyta Gail. – Czy nie jest to tak, jak robienie zdjęć starymi aparatami, gdy każdy ruch powodował rozmazaną plamę?

– Tak jest. – Goldmann promiennie się do niej uśmiecha.

– Postanowiliśmy uzyskać zestaw obrazów, kiedy obiekt wykonuje jakąś czynność, na przykład czyta lub jedzie na rowerze.

Wskazuje gestem obraz pokoju testów. W rogu pomieszczenia stoi rower do ćwiczeń, nad nim konsole i kable, zbiegające do czarnej czaszy, która mogłaby pasować na ludzką głowę.

Czarne kłamry nadają aparatowi wygląd jakiegoś średniowiecznego narzędzia tortur.

– Osoby poddawane badaniom nazywają to Hełmem Dartha Vadera. – Doktor Goldmann lekko chichocze. – Nigdy nie widziałem tego filmu – dorzuca z roztargnieniem. – Muszę go kiedyś wypożyczyć.

Jeremy nachyla się ku monitorowi telewizyjnemu, by obejrzeć Hełm Dartha Vadera.

– I dostarcza on tych samych danych co większe aparaty?

– Znacznie więcej danych – mówi cicho doktor Goldmann. – O wiele, wiele więcej.

Gail przygryza wargę.

– A kim są pańskie obiekty, doktorze?

– Proszę, mówcie do mnie Jacob. Nasze obiekty – ciągnie uczony – to zwykli ochotnicy, studenci medycyny, którzy chcą trochę zarobić. Przyznaję, kilkoro z nich to moi dyplomanci.

Zdolni młodzi ludzie, którzy pragnęliby zyskać parę punktów u swego starego nauczyciela.

Gail spogląda na zestaw groźnie wyglądających instrumentów.

– Czy poddawanie się testom może być szkodliwe?

Doktor Goldmann kręci przecząco głową, a jego krzaczaste brwi rytmicznie się poruszają.

– Zupełnie nie. Ściślej mówiąc, nasze testy nie są bardziej szkodliwe niż badania tomograficzne lub rezonansu magnetycznego. Osoby poddane testom

nie są wystawione na pole magnetyczne silniejsze czy dłużej działające niż podczas badań w szpitalach. – Śmieje się cicho. – To zupełnie bezbolesne. Obiekty nie doświadczają zwykłych niedogodności związanych z badaniami, jak pobieranie krwi czy rozmaite żenujące procedury. Grozi im tylko nuda, gdyż wciąż majstrujemy przy sprzęcie i coś reperujemy. Mamy sporą listę ochotników.

– A pan – szepcze Jeremy, dotykając dłoni Gail – kreśli mapy niezbadanych obszarów ludzkiego umysłu... robi migawkowe zdjęcia świadomości.

Jacob Goldmann znowu jakby się rozmarzył. Jego smutne piwne oczy patrzą na coś, czego nie ma w pokoju.

– Przypomina mi to – mówi cicho – fotografowanie duchów, tak modne w zeszłym wieku.

– Fotografowanie duchów – powtarza Gail, która sama jest utalentowanym fotografem. – Masz na myśli to, że w epoce wiktoriańskiej fotografowano widma, elfy i inne podobne obiekty? Oszustwa. Nawet biedny stary Arthur Conan Doyle dał się na to nabrać.

– Ja. – Oczy Goldmanna znów są skoncentrowane, na jego usta wraca subtelny uśmiech. – Tylko że nasze duchy są bardzo realne. Jesteśmy na tropie obrazu samej ludzkiej duszy.

Na wspomnienie o duszy Gail się chmurzy, lecz Jeremy kiwa głową.

– Jacobie, czy dostrzegasz wszystkie konsekwencje mojej analizy funkcji falowych? – głos Jeremy'ego wibruje z emocji.

– Oczywiście – odpowiada stary uczony. – Oczekiwaliśmy jakiegoś zgrubnego równoważnika hologramu. Rozmytego odpowiednika wzorców, które rejestrujemy. Dałeś nam tysiące tysięcy hologramów, kryształowo czystych, trójwymiarowych!

Jeremy nachyla się bliżej do starca. Ich twarze dzieli zaledwie kilkanaście centymetrów.

– Jacobie, są to hologramy nie tylko samych umysłów...

Oczy pod małpimi brwiami stają się niewymownie smutne.

– Nie, przyjacielu Jeremy, nie tylko samych umysłów, lecz umysłów funkcjonujących jako zwierciadła wszechświata.

Jeremy kiwa głową. Obserwuje twarz doktora Goldmanna, by mieć pewność, że uczony go rozumie.

– Tak, to zwierciadła, jednak coś więcej niż zwierciadła...

Jacob Goldmann przerywa. Zaczyna mówić teraz do siebie, niepomy

obecności młodych ludzi.

– Einstein był poważnie przekonany, że Bóg nie gra w kości z wszechświatem. Aż do znużenia lansował ten swój pogląd i Jonny von Neumann... nasz wspólny przyjaciel... kazał mu się kiedyś zamknąć i przestać mówić za Boga. – Goldmann pochyla swą dużą głowę, patrzy niemal wyzywająco. – Jeśli twoje równania są prawdziwe...

– Są prawdziwe – przerywa Jeremy.

– Jeśli są prawdziwe, wówczas Einstein i wszyscy, którzy odrzucali fizykę kwantową, niesłuchanie, wspaniale się mylili... i mieli ostateczną, triumfującą rację!

Jeremy opada na fotel przy konsoli. Ręce i nogi ma jak z gumy, jakby ktoś przeciął poruszające go sznurki.

– Jacobie, znasz teoretyczne prace Hugh'a Everetta? Publikował je chyba w pięćdziesiątym szóstym czy pięćdziesiątym siódmym. Potem o nim zapomniano, dopiero Bryce DeWitt z Uniwersytetu w Północnej Karolinie, pod koniec lat sześćdziesiątych, podjął ten sam temat.

Uczony kiwa głową, siada w fotelu. Jedyne Gail nadal stoi. Próbuje śledzić rozmowę myślotykiem, ale obaj mężczyźni posługują się głównie pojęciami matematycznymi. Jacob Goldmann myśli również zdania, lecz są to zdania niemieckie. Gail znajduje dla siebie pusty fotel. Od ich rozmowy rozboleła ją głowa.

– Znałem Johna Wheelera z Princeton – mówi doktor Goldmann. – Był promotorem Hugh'a Everetta. Namawiał go, by poparł swe teorie wywodami matematycznymi.

Jeremy głęboko wciąga powietrze.

– Jacobie, to daje odpowiedź na wszystkie pytania. Interpretację kopenhaską. Kota Schrödingera. Nowe prace robione przez takich ludzi jak Raymond Chiao w Berkeley i Herbert Walther z Frankfurtu...

– Z Monachium – poprawia cicho doktor Goldmann. – Walther pracuje w Instytucie Maxa Plancka w Monachium.

– Wszystko jedno – mówi Jeremy. – Mija sześćdziesiąt pięć lat od sformułowania interpretacji kopenhaskiej, a oni wciąż ją wałkują. Kiedy stosują bezpośrednie obserwacje, nadal się wydaje, że to magia rządzi światem. Lasery, nadprzewodniki, diabelska kałamarnica Claudii Tesche... a oni ciągle znajdują magię.

– Kałamarnica? – Gail podchwytuje słowo bardziej konkretne niż „magia”. – Jaka kałamarnica?

– Urządzenie nadprzewodnikowe do kwantowej interferencji, *a superconducting quantum interference device* – deklamuje Jacob Goldmann swoim zachrypniętym starczym głosem. – W skrócie *squid* – kałamarnica. Metoda na wypuszczenie kwantowego dżina z mikrobutelki do makroświata, tego, który znamy albo przynajmniej tak nam się wydaje. Ale nadal znajdują magię. Nie można zaciągnąć kurtyny. Spoglądasz za nią... i wszechświat się zmienia. Natychmiast. Całkowicie. W tę lub inną stronę. Nie potrafimy dostrzec mechanizmów działania. Albo cząstka, albo fala... nigdy jedno i drugie. Tak, Gail, moja młoda przyjaciółko. Jedno lub drugie, nigdy i to, i to.

Jeremy, pochylony do przodu, trze policzek. Dłońmi zakrywa oczy. Wydaje mu się, że pokój wiruje wokół niego, wrażenie jak po alkoholu. Jeremy pije rzadko.

– Wiesz, Jacobie, że to może być droga w szaleństwo... do czystego solipsyzmu... ostatecznej katatonii.

Doktor Goldmann kiwa głową.

– Tak. A także... może... do ostatecznej prawdy.

Gail prostuje się w fotelu. Od czasów gdy jej rodzice stali się odrodzonymi chrześcijanami i odrodzonymi hipokrytami, nienawidzi zwrotów typu „ostateczna prawda”.

– Kiedy pójdziemy coś zjeść? – pyta.

Obaj zakłopotani mężczyźni wydają dźwięk pośredni między śmiechem a kaszlnięciem.

– Natychmiast – woła Jacob Goldmann, zerkając na zegarek. Wstaje. Składa Gail ukłon. – Zaprawdę, dyskusje na temat realności nigdy nie dościgną bezdyskusyjnej realności dobrego posiłku.

– Amen – dorzuca Jeremy.

Gail krzyżuje na piersiach ramiona.

– Obaj sobie ze mnie kpicie?

– Och, nie – mówi Jacob Goldmann. W jego oczach lśnią łzy.

– Me, mała – potwierdza Jeremy. – Wcale nie.

Wychodzą w trójkę. Jacob zamyka za sobą drzwi na klucz.

KRAINA KAKTUSOWA

Ranczo FM nie leżało na właściwej pustyni, lecz kilka kilometrów od wylotu płytkiego kanionu, który podchodził ku zalesionemu pogórzcu. Za pogórzem, mgliście z powodu gorąca i oddalenia, rysowały się ośnieżone szczyty.

„Ranczo” nie było stosownym określeniem posiadłości pani Fayette Morgan. Główny dom w stylu nowoczesnej hiszpańskiej hacjendy stał między dwoma głazami wielkimi jak budynki. Z hacjendy, rozciągniętej na płaskim wysokim terenie, roztaczał się widok na trawiaste pola, grupę amerykańskich topoli nad strumieniem w kanionie, aż po pustynię poniżej. Kilka wielkich psów nadbiegło ujadając na toyotę.

Przestały jazgotać dopiero wtedy, gdy pani Morgan wyszła z samochodu i na nie krzyknęła. Poklepała je kolejno, kiedy pokornie łąsiły się do jej kolan.

– Chodź do głównego budynku na piwo – rzekła. – Tylko ten jedyny raz jesteś tam zaproszony.

Dom, umeblowany wartościowymi antykami z południowego zachodu, udekorowany dziełami sztuki, ze smakiem zaprojektowany, doskonale wyglądałby na zdjęciach w „Architectural Digest”. Działała klimatyzacja. Bremen miałby ochotę położyć się na grubym dywanie i zasnąć. Pani Morgan poprowadziła go przez profesjonalnie urządzonej kuchnię do małego aneksu, gdzie przez okna w wykuszach było widać południowy głąz, a za nim stodoły oraz pola. Otworzyła dwie butelki zimnego piwa Coorsa, jedną wręczyła Bremenowi. Rozsiadła się na przysadzistym krześle kapitańskim i gestem wskazała Bremenowi ławę po drugiej stronie stołu. Jej bardzo długie, schowane w dzinsach nogi kończyły się kowbojskimi butami z wężowej skóry.

– Odpowiadając na twoje nie zadane pytanie – rzekła – tak, rzeczywiście mieszkam sama, jeśli nie liczyć psów. – Pociągnęła piwa. – I nie, nie wykorzystuję swych robotników najemnych jako ogierów.

Jej oczy były tak jasnoszare, że nadawało jej to dziwny wygląd osoby ślepej. Ślepej, którą jednak na pewno nie jest łatwo zranić.

Bremen kiwnął głową i spróbował piwa. Żołądek mu zawarczał.

– Sam będziesz sobie gotował posiłki – rzekła pani Morgan jakby w odpowiedzi na ten odgłos. – W szopie znajdują się odpowiednie zapasy i dobrze wyposażona kuchnia. Jeśli zabraknie czegoś, co ci będzie potrzebne...

z rzeczy podstawowych, nie woda... możesz umieścić to na liście zakupów, które będziesz robił co czwartek.

Bremen pociągnął następny łyk, czując, jak piwo atakuje pusty żołądek. Alkohol i zmęczenie powodowały, że wszystko dookoła otaczała jakby słaba, mglista poświata. Farbowane, rude włosy pani Morgan zdawały się płonąć i migotać w południowym słońcu, padającym przez żółte zasłony.

– Na jak długo potrzebuje pani robotnika? – zapytał, starając się wymawiać wyraźnie wszystkie wyrazy.

– Jak długo zamierzasz pozostać w tych stronach?

Wzruszył ramionami. Równomierny szum mózgowy otaczał tę kobietę jak bezustanne potrzaskiwanie jakiegoś niesamowitego aparatu elektrycznego, na przykład generatora Van de Graaffa. Na Bremena działało to kojąco, niczym stały wiatr zagłuszający cichsze dźwięki. Chciał płakać z wdzięczności, że uwolnił się od szeptów i mamrotania neurogwaru.

– Dopóki Szeryf Dawg nie dostanie na ciebie listu gończego – oznajmiła pani Morgan, kończąc piwo – przekonamy się, czy potrafisz wykonywać jakąś pożyteczną pracę.

– Szeryf Dawg?

– Howard Collins – odparła, wstając. – Szeryf Dawg, tak nazywają go tutejsi za jego plecami. Myśli, że jest twardzielem, lecz mózgu ma mniej niż Lettie... najgłupszy mój pies.

– Jeśli chodzi o psy... – zaczął Bremen. Wstał z butelką opróżnioną zaledwie do połowy.

– Och tak, potrafią wyrwać rękę lub nogę – uśmiechnęła się pani Morgan.

– Lecz tylko na mój rozkaz lub jeśli zajdziesz w miejsce, gdzie nie powinieneś być. Przedstawię cię im, gdy będziemy szli do szopy, więc zacznij się z tobą zapoznawać.

– Gdzie jest to miejsce, gdzie nie powinienem być? – spytał Bremen, ściskając mocno butelkę piwa, jakby mogła zapewnić mu równowagę. Żarzenie się wokół rzeczy pulsowało teraz i czuł, jak płyn w jego żołądku niepokojąco chlupie.

– Nie zbliżaj się do głównego budynku – wyjaśniła bez uśmiechu. – Zwłaszcza w nocy. Chociaż na twoim miejscu nie zbliżałabym się tu również za dnia.

Bremen skinął głową.

– Jest jeszcze kilka innych zabronionych miejsc. Wskażę je, gdy będę cię prowadzić po posiadłości.

Znów skinął głową. Nie chciał stawiać butelki z piwem na stole, lecz trzymać ją w ręku było mu niewygodnie. Nie miał pewności, czy będąc w takim stanie jak teraz, przebrnie przez popołudnie wypełnione pracą na ranczu. Nie miał nawet pewności, czy będąc w takim stanie, utrzyma się na nogach.

Szedł za panią Morgan na zewnątrz.

– Wyglądasz cholernie kiepsko, Jeremy Goldmannie – rzekła w progu.

Bremen skinął głową.

– Pokażę ci szopę. Możesz zrobić sobie coś do jedzenia i wprowadzić się. Zaczynasz pracę jutro rano, o siódmej. Nie można już pierwszego dnia utrupiać najemnego robotnika.

Bremen potrząsnął głową. Poszedł za nią w ciepło i jasność, w świat. Wyczerpany, czując ulgę, postrzegał ten świat jako rozjarzony i prawie przezroczysty.

OCZY

Gail i Jeremy wracają w niedzielę pociągiem z Bostonu do domu. Nie rozmawiają o spotkaniu z Jacobem Goldmannem, lecz przez cały czas komunikują się ze sobą na ten temat.

– Czy dotarłeś umysłem do tego fragmentu o jego rodzinie, która zginęła podczas holocaustu?

– Holocaustu? – Jeremy czuł potężny intelekt Jacoba Goldmanna i od czasu do czasu podczas ich długich rozmów opuszczał swoją myślotarczę, by zerknąć na jakieś pojęcie lub na sposób przeprowadzania doświadczeń. Wyjaśniał sobie w ten sposób niektóre kwestie, lecz nie wkraczał w sprawy osobiste starszego mężczyzny. – Nie.

– Ach, Jerry... – Smutek Gail skrada się jak cień kasztanowca po słonecznej krainie. Ona patrzy przez okno, gdzie przemyka i miga miejskie pustkowia. – Nie chciałam wściubiać nosa, ale za każdym razem, gdy próbowałam zrozumieć, o czym wy dwaj rozmawiacie, i zaglądałam, widziałam nowe obrazy, nowe wspomnienia.

– Jakie obrazy, mała?

Szare niebo, szare budowle, szare wieże strażnicze... czarny drut kolczasty na tle szarego nieba. Pasiaste uniformy, ogolone głowy, postacie jak szkielety, zagubione w zgrzebnej wełnie. Apel w mlecznym świetle poranka, oddechy więźniów wznoszące się jak mgła. W bladawym świetle niemieccy esesmani w grubych, wełnianych płaszczach, skórzanych pasach i błyszczących, luksusowych butach. Krzyki. Płacze. Bosonogi oddział maszeruje do pracy w lesie.

– Jerry, jego żona i syn tam zginęli.

– Czy to Oświęcim?

– Nie, Ravensbruck. Mały obóz. Przeżyli tam pięć zim. Oddzieleni, lecz utrzymywali kontakty przez sieć podziemnej poczty. Jego żonę i syna zastrzelono dwa tygodnie przed wyzwoleniem obozu.

Bremen mruży oczy. Stukot metalowych kół po metalowych szynach nieco hipnotyzuje. Zamyka oczy.

– Nie wiedziałem. A jego córka... Rebecca... Ta, która na weekend pojechała do Londynu?

– Jacob ożenił się powtórnie w 1954 roku. Jego druga żona, Brytyjka... była w jednostce medycznej, która wyzwoliła obóz.

– A gdzie jest teraz?

– Umarła na raka w 1963 roku.

– Jezu.

– Jerry, on jest pełen smutku! Nie wyczułeś? Tam jest przepaść smutku jakiej nigdy jeszcze nie odbierałam.

Bremen otwiera oczy, pociera ręką po policzkach. Nie golił się tego ranka i zarost zaczyna go swędzieć.

– Taa. To znaczy miałem jakieś poczucie ogólnego smutku. Lecz jego ekscytacja jest również prawdziwa. Jest zafascynowany tymi badaniami.

– Tak jak ty.

– Taa...

Wysłał obraz Jacoba i siebie: w Sztokholmie wspólnie odbierają nagrodę Nobla. Żart jednak niezupełnie wypalił.

– Jerry, nie rozumiałam tych wszystkich rzeczy z fizyki kwantowej. Rozumiałam, że elementy teorii względności związane są z twoją rozprawą... wiele dotyczyło także teorii niepewności i prawdopodobieństwa... ale co to ma wspólnego z pracą Jacoba na temat mapy mózgu?

Bremen odwraca się, by na nią popatrzeć.

– Jeszcze raz mogę ci wyjaśnić te proste matematyczne rzeczy.

– Wolalabym, żebyś opisał mi słowami.

Bremen wzdycha i zamyka oczy.

– Dobrze... rozumiesz, w jaki sposób praca Jacoba tłumaczy się przez moją matematykę? Jak neurologiczne oddziaływania falowe, które on rejestruje, stają się w końcu rodzajem superhologramów? Złożonymi, wzajemnie oddziałującymi polami?

– Taaa.

– Jest jeszcze następny krok. I nie mam pewności, dokąd on nas zaprowadzi. Żeby właściwie przeanalizować dane, będę się musiał nauczyć masy nowych rzeczy z nieliniowej matematyki, nazywanej matematyką chaosu. A także z geometrii fraktali. Nie wiem, dlaczego fraktale są w tym wszystkim ważne, lecz dane wskazują, że są.

– Trzymaj się tematu, Jerry.

– Dobrze. Sprawa polega na tym, że zdjęcia umysłu robione przez Jacoba... ludzka osobowość... w działaniu wywołuje klasyczne „doświadczenie z dwiema szczelinami” w mechanice kwantowej. Czy pamiętasz to z college’u? Chodzi o tak zwaną interpretację kopenhaską.

– Przypomnij mi.

– Mechanika kwantowa twierdzi, że energia i materia – w swoich najdrobniejszych kawałkach – czasem zachowują się jak fale, zaś innym razem jak cząsteczki. Zależy, jak je obserwujesz. Lecz owa dość przerażająca wizja mechaniki kwantowej... jakby z voodoo, teoria, której Einstein nigdy nie zaakceptował... polega na tym, że właśnie sam akt obserwacji czyni z obserwowanego obiektu jedno lub drugie.

– A te dwie szczeliny?

– Przez ostatnie półwiecze eksperymentatorzy powtarzali doświadczenie: cząsteczki... może elektrony... wystrzelivano na barierę, w której się znajdowały dwie równoległe szczeliny. Na ekranie za barierą można było zobaczyć, gdzie przechodzą te elektrony, fotony czy cokolwiek.

Gail siada i chmurnie patrzy na Jerry'ego. On, przez jej spojrzenie, widzi własną twarz z zamkniętymi oczami, z lekko zmarszczonym czołem.

– Jerry, czy jesteś pewien, że to będzie miało coś wspólnego z badaniami obrazów rezonansu magnetycznego, czyli z pracami Jacoba Goldmanna lub z tym, co jest w głowach ludzi?

Bremen otwiera oczy.

– Taa. Chwilkę cierpliwości. – Otwiera dwie butelki soku pomarańczowego, które zapakowali dzisiaj rano, i jedną wręcza Gail. – Eksperyment z dwiema szczelinami jest ostatecznym testem tajemniczości, jeśli nie po prostu perwersji wszechświata.

– Mów dalej.

Sok pomarańczowy jest ciepły. Gail krzywi się i wsadza go z powrotem do torby.

– W porządku. Masz dwie szczeliny... jedną zamkniętą, elektrony lub inne cząsteczki pędzą przez drugą. Co otrzymasz na ekranie za barierą?

– Kiedy tylko jedna szczelina jest otwarta?

– Właśnie.

– Cóż... – Gail nie cierpi zagadek. Nigdy ich nie lubiła.

Uważa zagadki za wynalazek ludzi, którzy chętnie wprawiają innych w zakłopotanie. Jeśli usłyszy najdrobniejszą oznakę protekcjonalności w myślowym tonie Jerry'ego, walnie go w splot słoneczny. – Cóż, przypuszczam, że otrzymam jedną linię elektronów. Pasemko światła czy coś w tym rodzaju.

– Bardzo dobrze.

Strumień myśli Jerry'ego jest nieco pedantyczny, jak przy kontaktach z jego studentami, lecz Gail nie czuje w nim protekcjonalności. Tylko zapał, by

podzielić się frapującą ideą.

Gail nie wali go w splot słoneczny.

– Dobrze – ciągnie Jeremy – a teraz, co otrzymasz, jeśli otworzysz również drugą szczelinę?

– Dwa pasemka światła... lub elektronów.

Jerry wysyła obraz Kota z Cheshire, szczerzącego w uśmiechu zęby.

– Aha! Żle. Tak właśnie dyktowałby zdrowy rozsądek w makroświecie, lecz okazuje się, że w tym eksperymencie jest inaczej.

Kiedy siego wykonuje z otwartymi obydwoma szczelinami, zawsze otrzymuje się na ekranie naprzemienne jasne i ciemne pasma.

Gail gryzie kciuk.

– Naprzemienne jasne i ciemne pasma... och, wiem. – Rzeczywiście wie, wystarcza jej przelotne zerknięcie na przekazywane przez Jerry'ego zdania i obrazy. – Kiedy obie szczeliny są otwarte, elektrony zachowują się jak fale, nie jak cząstki.

Ciemne pasemka są tam, gdzie fale zachodzą na siebie i wzajemnie wygaszają.

– Złapałaś, mała. Klasyczna interferencja.

– Ale na czym polega problem? Powiadasz, że mechanika kwantowa przewiduje, że kawałeczki materii i energii zachowują się jednocześnie jak fale i cząstki. Więc zachowują się zgodnie z przewidywaniem. Twierdzeń naukowych nie obalono, prawda?

Bremen wysyła obraz pajacyka z pudełka, który kołysze się i kłania.

– Taa... Nie obalono, nauka jest bezpieczna, lecz zdrowie psychiczne znalazło się w prawdziwym niebezpieczeństwie.

Sztuczka polega na tym... po tych wszystkich latach... że sam akt obserwacji powoduje, iż te falocząstkowe „cosie” spadają w jeden stan lub drugi. Próbowaliśmy niewiarygodnie złożonych eksperymentów, by „zerknąć” na elektron w czasie jego przejścia... zamykać jedną ze szczelin, kiedy elektron przechodził przez drugą... próbowaliśmy wszystkiego. Elektron, lub foton, lub cokolwiek, czego używano w eksperymencie... zawsze zdawał się „wiedzieć”, czy druga szczelina jest otwarta, czy nie.

W dosłownym sensie elektrony zachowują się nie tylko jakby wiedziały, ile szczelin zostało otwartych, lecz jakby również wiedziały, czy je obserwujemy! Inne doświadczenia... na przykład doświadczenie z nierównością Bella... dostarczają przykładów tej samej reakcji w przypadku oddzielnych cząstek, oddalających się jedna od drugiej z szybkością światła.

Jedna cząsteczka „wie”, jaki jest stan jej bliźniaka.

Gail przesyła obraz całego rządka znaków zapytania.

– Komunikacja szybsza niż szybkość światła? – zapytuje. – To niemożliwe. Cząsteczki nie mogą wymienić żadnej informacji, jeśli oddalają się od siebie z szybkością światła. Nic nie może podróżować szybciej niż światło... prawda?

– Du-brze, mała. – Jeremy przesyła fale swego bardzo rzeczywistego bólu głowy. – I to przyprawiało fizyków o ból głowy przez dziesięciolecia. Nie tylko chrzanione małe cząstki wyprawiają rzeczy niemożliwe... tak jak to, cholera wie co, w doświadczeniu z dwiema szczelinami, doświadczeniu Bella i innych... lecz w dalszym ciągu nie możemy zerknąć na prawdziwą substancję wszechświata. Na cząstkę za parawanem, kiedy ma zdjęte ubranie.

Gail próbuje to sobie wyobrazić. Nie może.

– Cząsteczkę bez ubrania?

– Nie wynaleziono sposobu, mimo całej naszej hipertekniki i mimo tych wszystkich nagród Nobla, by zerknąć na prawdziwą materię we wszechświecie, gdy występuje jednocześnie w obu aspektach.

– Obu aspektach? – Myślowy ton Gail staje się prawie kłótlivy. – Masz na myśli falę i cząsteczkę?

– Taa.

– Ale dlaczego cały ten kwantowy złom, ważny do zrozumienia ludzkiego umysłu... osobowości... jest podobny do superhologramu?

Bremen kiwa głową. Jego myśli są częściowo zajęte rodziną Jacoba Goldmanna w obozach śmierci.

– Gail, te dane, które otrzymuje Jacob... te wzory falowe, które wyjaśniam, stosując transformaty Fouriera i cały pozostały aparat... to jakby odbicie wszechświata.

Gail wciąga powietrze.

– Lustra. Mówiłeś o lustrach w piątek wieczorem. Zwierciadłach... wszechświata?

– Taa. Umysły, których mapy robi Jacob... te niewiarygodnie złożone struktury holograficzne... po prostu umysły magistrantów... są tak naprawdę obrazami fraktalowej struktury wszechświata... jak doświadczenie z dwiema szczelinami... bez względu na to, jak chytrze zagłębimy za zasłonę, nadal mamy tę samą tajemnicę.

Gail kiwa głową.

– Fale albo cząstki. Nigdy razem.

– Właśnie, malutka. Ale tutaj jesteśmy już daleko poza falami i cząstkami. Ludzki umysł jakby zasysał struktury prawdopodobieństwa, zarówno te mikro, jak i te makro...

– Co to oznacza?

Bremen stara się znaleźć sposób na wyrażenie idei w słowach. Nie znajduje.

– Oznacza... oznacza, że ludzie... my... ty, ja, wszyscy... nie tylko po prostu odbijamy wszechświat, przekładając go ze zbiorów prawdopodobnych na zbiory możliwe, że tak powiem... my... dobry Boże, Gail, my go tworzymy z chwili na chwilę, z sekundy na sekundę.

Gail wytrzeszcza na niego oczy.

Bremen ujmuje ją za rękę i, stosując prosty nacisk i siłę woli, próbuje przekazać, jak daleko sięga ta ważna koncepcja.

– Jesteśmy obserwatorami, Gail. My wszyscy. I bez nas... zgodnie z wyliczeniami, które robię w domu na tablicy... bez nas wszechświat byłby czysto dualny. Nieskończone zbiory prawdopodobieństw, nieskończone modalności...

– Chaos – przesyła Gail.

– Tak. Właśnie. Chaos.

Opada z powrotem na siedzenie. Przepełniona koszula łągnie do boków i pleców.

Gail milczy, trawiając słowa Jeremy'ego. Pociąg z turkotem mknie na południe. Wpada w ciemność, gdy wjeżdżają do jakiegoś tunelu, a potem znowu pędzi przez szare światło.

– To solipsyzm – wysyła.

– Hmm? – Jeremy jest zatopiony w swych równaniach.

– Rozmawialiście z Jacobem o solipsyzmie. Dlaczego? Dlatego, że te badania sugerują, iż człowiek jest, mimo wszystko, miarą wszystkich rzeczy?

Gail nigdy nie waha się mówić „człowiek” w znaczeniu „ludzie” czy „ludzkość”. Zawsze powiada, że bardziej sobie ceni jednostkę od zbiorowości.

– Częściowo... – Jeremy znowu myśli o transformatach Fouriera, lecz podejmuje wysiłek mający raczej znowu ukryć coś przed Gail, niż przyczynić się do rozwiązania jakichś matematycznych problemów.

– Dlaczego ty... kto to jest ten Everett, o którym myślisz? Co on ma wspólnego z tym drzewem, które się starasz ukryć?

Jeremy wzdycha.

– Czy pamiętasz, że Jacob i ja mówiliśmy o pewnej pracy teoretycznej, którą facet o nazwisku Hugh Everett wykonał jakieś trzydzieści pięć lat temu?

Gail kiwa głową, widzi, że Jeremy ma zamknięte oczy i przesyła obraz siebie kiwającej głową.

– Praca Everetta... – mówi Jeremy – łącznie z wynikami, które w późniejszych latach uzyskał Bryce DeWitt i inni... to rzeczy niesamowite. Wyjaśnia ona większość rzekomych paradoksów mechaniki kwantowej, lecz robi to wychodząc na naprawdę głębokie wody, jeśli idzie o teorię i...

Gail niecierpliwie śledzi słowa i zmieniające się obrazy matematyczne, by dotrzeć do sedna problemu, który próbuje jej wyjaśnić Jeremy.

– Światy równoległe!

Uświadamia sobie, że powiedziała to głośno, prawie krzyżąc. Jakiś mężczyzna na siedzeniu po drugiej stronie przejścia zerka na nią, po czym powraca do swojej gazety.

– Światy równoległe – mówi znowu telepatycznym szeptem.

Jeremy nieco się krzywi.

– Termin SF...

– Fantastyki naukowej – poprawia Gail. – Ten Hugh Everett postulował rozbicie rzeczywistości na równe i oddzielone światy równoległe... lub równoległe wszechświaty... prawda?

Jeremy nadal krzywi się na użyte sformułowania, lecz zerka na jej wizję tego pojęcia.

– Coś w tym rodzaju. Hm... weźmy na przykład doświadczenie z dwiema szczelinami. Kiedy się staramy zaobserwować rozproszoną falę elektronową, cząsteczka wie, że ją obserwujemy i zapada się w określoną cząstkę. Gdy nie obserwujemy, elektron zachowuje swoje aspekty... cząsteczka i fala. I co najbardziej interesujące, kiedy działa jak fala... Pamiętasz wzór interferencji?

– Taa.

– To istotnie jest wzór falowy, lecz, według terminologii Borna, nie elektrony przechodzące przez szczeliny wytwarzają interferencję wzoru falowego, ale prawdopodobieństwo przechodzących fal. Interferują fale prawdopodobieństw!

Gail mruga.

– Zgubiłeś mnie, Kemo Sabe.

Jeremy próbuje narysować przykład, lecz kończy się na tym, że przesyła proste równania:

$$I = (H+J)^2$$

$$I = H^2 + J^2 + 2HJ$$

Nie widzi, jak Gail się krzywi, przesyła:

– Gównno!

I myślowo wyciera myślową tablicę.

– Mała, to znaczy, iż cząsteczki są cząsteczkami, ale że sam fakt obserwacji zmusza je do wybrania przebiegu działania... ta dziura? Tamta dziura? Jakże wielki wybór!... i ponieważ prawdopodobieństwo przejścia przez jedną dziurę jest takie samo jak przejścia przez drugą, rejestrujemy fale prawdopodobieństwa tworzące wzór dyfrakcyjny na ekranie za szczelinami.

Gail kiwa głową. Zaczyna rozumieć.

– Łapiesz to, mała – wtóruje jej Jeremy. – Obserwujemy, jak zawalają się struktury probabilistyczne. Alternatywy zdychają.

Obserwujemy, jak cholerny wszechświat wychodzi ze skończonego zakresu prawdopodobieństw do jeszcze bardziej skończonego zbioru rzeczywistości.

Gail wspomina drzewo, o którym myślał Jeremy.

– Ita teoria Hugh'a Everetta...

– Właśnie! – Jeremy wpada w ekstazę. Od lat chciał się podzielić z Gail tym wszystkim, lecz bał się, że weźmie go za pedanta. – Teoria Everetta powiada, że kiedy zmuszamy tamten elektron, by wybierał, on tak naprawdę nie wybiera ani szczeliny, ani prawdopodobieństwa, on po prostu wytwarza drugą całą rzeczywistość, w której my... obserwator... obserwuje go, jak przechodzi przez jedną szczelinę, podczas gdy jego równy i oddzielny partner przechodzi przez inną dziurę.

Gail czuje fizyczne oszołomienie – włożyła wiele wysiłku, by zrozumieć tę koncepcję. Z powodzeniem.

– Kiedy obserwatorzy z „drugiego wszechświata” widzą, jak przechodzi ona przez drugą dziurę.

– Właśnie! – krzyczy Jeremy. Rozgląda się wokół, zdawszy sobie sprawę, że krzyknął, ale chyba nikt nie zwrócił na to uwagi. Zamyka znowu oczy, by lepiej zwizualizować obrazy.

– Właśnie. Everett elegancko rozwiązuje paradoksy kwantowe, utrzymując, że za każdym razem, kiedy kawałek kwantu energii lub materii musi dokonać takiego wyboru – to znaczy, za każdym razem, gdy próbujemy zaobserwować, jak wybiera – wtedy na drzewie rzeczywistości wyrasta nowa

gałąź. Pojawiają się dwie równe i oddzielne rzeczywistości!

Gail się skupia, wspomina niebiesko-białe okładki książek wydawnictwa Ace, każda z dwiema bliźniaczymi powieściami.

– Równoległe światy! Dokładnie jak mówiłam.

– Niezupełnie równoległe – przesyła Jeremy. – Słowa i obrazy tego nie pokażą, lecz wyobraź sobie stale rosnące i rozgałęziające się drzewo:

Gail jest wyczerpana.

– Dobrze... i właśnie tym byliście tak podnieceni, twoją analizą hologramów... te „cosie” fal stojących – myślicie, że przedstawiają ludzką świadomość... one jakoś przypominają teorię Everetta?

Jeremy myśli o setkach równań wypełniających jego domową tablicę i o kartkach papieru, których wystarczyłoby na napisanie drugiego doktoratu.

– Zrobiona przez Jacoba mapa holograficznego umysłu pokazuje, jak umysł załamuje funkcje prawdopodobieństwa rzeczywistości... „wybiera”... w ten sam sposób, jak elektrony.

Gail irytują te uproszczone wyjaśnienia.

– Me traktuj mnie protekcjonalnie. Ludzie nie wybierają, przez którą szczelinę mają wyskakiwać. Ludzie nie rozsmarowują na ścianie wzorów interferencyjnych swoich fal prawdopodobieństwa!

Jeremy przesyła bezdźwięczne przeprosiny, natomiast wiadomość jest twarda i uparta.

– Alei wręcz przeciwnie. My to robimy! Nie tylko podczas miliona wyborów, których dokonujemy codziennie... czy wstać?

Usiąść? Jechać tym pociągiem czy następnym?... ale również wybierając interpretację danych, które wszechświat przesyła przez nasze zmysły. Właśnie tam dokonują się wybory... modele matematyczne przekonują, że struktury probabilistyczne zapadają się i powstają co kilka sekund... interpretując rzeczywistość!

Jeremy w myślach notuje – natychmiast po przyjeździe do domu ma zamówić najnowsze artykuły na temat matematyki chaosu i fraktali.

Gail widzi słabe punkty tej teorii.

– Jerry, twoja rzeczywistość i moja rzeczywistość nie są osobne. Wiemy o tym dzięki naszej zdolności myślotyku. Widzimy to samo... wachamy to samo... dotykamy tego samego.

Jeremy ujmuje jej dłoń.

– Właśnie to musimy zbadać razem z Jacobem, mała. Struktury probabilistyczne stale się zapadają... od zbiorów nieskończonych zapadają się

do zbiorów skończonych... we wszystkich obserwowanych czołach fali stojącej... W umysłach reprezentowanych obrazami rezonansu magnetycznego... lecz wydaje się, że dla każdej osoby istnieje jakiś czynnik nadrzędny, decydujący z sekundy na sekundę, jaka musi być obserwowana rzeczywistość.

Gail przygryza wargę.

I Jeremy próbuje znowu.

– To tak, jakby jakiś dyspozytor ruchu polecał wszystkim elektronom, przez którą szczelinę mają przeskoczyć. Jakaś... siła... jakiś mniej–niż–losowy delineator prawdopodobieństwa, mówiący całej rasie ludzkiej... a przynajmniej tym setkom, które Jacob przetestował... jak odbierać rzeczywistość, która powinna być dziko rozproszona. Chaotyczna.

Przez dłuższą chwilę żadne z nich nic nie przesyła. Potem Gail pyta:

– Bóg?

Jeremy już ma się uśmiechnąć, lecz rezygnuje. Wyczuwa u Gail śmiertelną powagę.

– Może nie Bóg – wysyła – ale przynajmniej jego kostka do gry.

Gail odwraca twarz ku oknu. Mijane szare budynki kojarzą się jej z długimi rzędami baraków w Ravensbruck.

Żadne z nich nie próbuje ponownie nawiązać myślowego kontaktu do chwili, gdy są w domu. W łóżku.

SUCHA TRAWA, PRZEZ KTÓRĄ WIATR DMIE

Obowiązków Bremen miał legion.

Nigdy przedtem nie był na ranczu, nawet sobie nie wyobrażał, jak wiele prac fizycznych trzeba wykonać na takiej farmie o powierzchni około dwóch i pół tysiąca hektarów, otoczonej przez dwieście tysięcy hektarów państwowego „rezerwatu leśnego”. „Leśnego”, choć powyżej wilgotnego kanionu na samym ranczu, nie rosły tam prawie żadne drzewa. Przekonał się w miarę upływających tygodni, że praca fizyczna nie tylko potrafiła deprymować, ale również łamała kark, gniotła jaja, powodowała bąble, torturowała płuca, wyciskała pot, a usta napełniała mieszanym smakiem krwi i żółci. On – źle odżywiony, zrezygnowany, bladoszary alkoholik ze slumsu – postrzegał tę całą pracę jako niezwykle wyzwanie.

Dotychczas wyobrażał sobie – kiedy w ogóle myślał o takich rzeczach – że życie na ranczu to jedynie romantyczne przejażdżki konne po rozległych pastwiskach, z krótkimi przerwami na spędzanie bydła lub koni, może na naprawę czegoś w ogrodzeniu. Nie spodziewał się, że taka praca to remonty na samym ranczu, poranne karmienie zwierząt, długie wyprawy dżipem, by pozbierać zabłąkane sztuki bydła, wieczne naprawy maszyn – pojazdów, pomp, silników elektrycznych, aparatury klimatyzacyjnej w samej szopie – nie wspominając o krwawej rozkoszy kastrowania zwierząt, wyciąganiu napuchniętych jagnięcych trupów ze strumienia po nocnej powodzi, przrzucaniu nawozu w głównej oborze. Dużo machania łopata: kopanie dołów na słupy, rowów dla nowych rur ściekowych, odcinków kanału irygacyjnego, przekopywanie ogrodu o powierzchni trzech tysięcy metrów kwadratowych. Codziennie Bremen spędzał wiele godzin na nogach, w nowych butach roboczych, które pierwszego dnia kupiła mu pani Morgan. Oprócz tego jeździł po okolicy w zakurczonym otwartym dżipie, lecz nigdy nie dosiadał konia.

Jakoś to wytrzymawał. Dni ciągnęły się bardziej niż podczas jego studiów na Harvardzie, gdzie starał się zrobić czteroletni kurs w trzy lata. A tutaj kurz, żwir, drut kolczasty, napinanie mięśni kończyły się, gdy słońce zachodziło za górami, a potem – gdy cienie koloru indygo pełżyły przez kanion i rozlewały się powoli po pustyni niczym wino – wracał do szopy,

brał półgodzinny prysznic, przygotowywał sobie gorący posiłek i walił się do łóżka, nim kojoty zaczynały wyc na wzgórzach ponad farmą. Wytrzymał to. Dni zamieniały się w tygodnie.

Panował tu spokój, zupełnie inny niż prawdziwy, kojący spokój rybackiego domku na Florydzie. Cisza przypominała zwodniczy zastój w oku cyklonu. I rzeczywiście, pod wpływem szumu dziwnej myślotarczy pani Morgan miał wrażenie, że wychodzi pod pobielające niebo w fałszywej ciszy w centrum huraganu, gdzie jedynym hałasem jest dźwięczący w tle łoskot potężnych wiatrów, kręcących się w wirze zniszczenia.

Bremena cieszył hałas. Przykrywał on kopułę neurogwaru, który teraz zdawał się dobiegać z całego kontynentu: szepty, supliki, krzyki i oświadczenia, nocne wyznania dusz i gwałtowne spowiedzi. Wszechświat wypełniały te mroczne przekazy i sobkowaty samowstręt, następna fala ciemniejsza od poprzedniej, ale teraz wszystko otulał biały szum silnej osobowości pani Fayette Morgan.

Bremen go potrzebował. Uzależnił się od niego. Nawet czwartkowe wyjazdy trzydzieści kilometrów do miasteczka stały się dla niego karą, wygnaniem, którego nie mógł znieść, gdyż ochronny zalew mózgoszumu pani Morgan zanikał, a ze wszystkich stron do ataku ruszał neurogwar. Indywidualne myśli, pragnienia, brudne sekreciki cięły go po oczach i podniebieniu jak brzytwy.

Szopa nad wyraz dobrze spełniała funkcję domu: wyposażona w klimatyzację, na wypadek ekstremalnych sierpniowych upałów, mieściła wygodne łóżko i imponującą kuchnię.

Miała prysznic zasilany ze zbiornika wodnego położonego na górze zbocza, niecały kilometr dalej, tak że wody nigdy nie brakowało. Znajdowała się w zaułku między głazami i światła głównej hacjendy nigdy tu nie docierały. W szopie był nawet telefon, ale nie mógł z niego korzystać. Linia prowadziła tylko do hacjendy. Aparat brzęczał, gdy pani Morgan miała jakieś polecenie, nie wymienione na „liście prac” z zeszłego wieczora – pojedynczej kartce żółtego papieru, którą przypinała do tablicy ogłoszeń na wąskim ganku szopy.

Bremen szybko opanował, które tereny są poza jego zasięgiem. Nie mógł się zbliżyć do hacjendy. Sześć psów, dobrze wytresowanych, natychmiast przychodziło na zawołanie pani Morgan. Były złe. Kiedyś zaobserwował, jak rozszarpują kojota, który nieopatrznie zbyt się zbliżył do szerokiego pastwiska, schodzącego w dół do strumienia. Psy pracowały zespołowo, jak

wilki. Otoczyły oszołomionego zwierzaka, przegryzły mu ścięgna, powaliły i rozszarpały.

Zakazano mu zbliżać się do „chłodni” – niskiego betonowego budynku ustawionego za głazami obok hacjendy. Chłodnia miała na dachu cylindryczny zbiornik na wodę. Pani Morgan wyjaśniła pierwszego dnia, że ten zbiornik, o pojemności siedmiu metrów sześciennych, wykorzystywany jest tylko w razie pożaru. Pokazała solidne węże i zamocowania z boku chłodni. Robotnicy najemni nie mogli ich dotykać, chyba żeby pani Morgan osobiście to poleciła.

Na obchodzie pierwszego dnia dowiedział się, że chłodnia ma własną prądnicę. Czasami po nocach słyszał jej terkot. Pani Morgan wyjaśniła, że lubi rozbierać swą własną wołowinę oraz zwierzynę, którą przywozi z cotygodniowych wypraw myśliwskich na wzgórza i że w chłodni składowane jest pierwszorządne mięso wartości tysiący dolarów. Wcześniej miała problemy: początkowo następowały przerwy w dostawie prądu, przez co straciła wołowinę wartą majątek, później najemni robotnicy uważali za stosowne poczęstować się paroma tuszami wołowymi, zanim oddalili się w noc. Dlatego nie pozwalała teraz nikomu zbliżać się do chłodni, a psy zostały tak wytresowane, by atakować każdego intruza, który choćby wszedł na kamienną ścieżkę wiodącą do solidnie zaryglowanych drzwi.

Dni zwały się w tygodnie i wkrótce Bremen żył w bezmyślnym cyklu harówki i spania, znaczone tylko samotnymi cichymi posiłkami i rytualnym obserwowaniem zachodów słońca z ganku szopy. Jego wyprawy do miasta po zaopatrzenie stawały się coraz bardziej nieprzyjemne, gdyż wychodził z zasięgu białego szumu pani Morgan i brzytwy na chybił trafił cięły go w umysł. Jakby to wyczuwając, właścicielka rancza sama zaczęła robić czwartkowe zakupy i od czwartego tygodnia nigdy nie opuszczał już rancza.

Pewnego dnia, gdy szukał sztuki pasiastego szkockiego bydła, która nie zeszła na główne pastwisko, Bremen natknął się na opuszczoną kaplicę. Stała za grzbietem wzgórz, jej cieliste ściany częściowo były zamaskowane w cielistych skałach. Nie miała dachu ani nawet śladu jego zawalonych resztek. Drewniane okiennice, drzwi i stele zmieniły się w suchy pył, wywiany w większości przez wiatr.

Wicher dał w puste oczodoły okien. Wiechy łuszczca czy amarantu sunęły po stosie kości, gdzie kiedyś stał ołtarz.

Kości.

Bremen podszedł bliżej, przykucnął w wirującym pyłe, by przyjrzeć się białemu wzgórkowi. Kości kruche, puste, niemal skamieniałe. Był pewien, że kiedyś należały do bydła – tu widział korpus, pasujący rozmiarami do jałówki, tam cymbałki krowiego kręgosłupa, nawet czaszkę a la Georgia O’Keeffe, lecz jakże ich dużo. Można by przypuszczać, że ktoś składał trupy na ołtarzu, aż ołtarz się zawalił pod wielkim ciężarem martwego, gnijącego mięsa.

Potrząsnął głową i wrócił do dżipa. Wiatr szurał suchymi gałązkami na zatartych grobach za kaplicą.

Tego samego dnia, późnym wieczorem, wracając dżipem z południowych rejonów rancza, zobaczył kogoś przy chłodni.

Zwolnił, gdy przejeżdżał obok obory. Nie zbliżył się do samej chłodni, lecz patrzył z zaciekawiony. Psów nie spuszczone.

Piętnaście metrów dalej, przy murze chłodni, pani Morgan kąpała się pod prysznicem – do lekko odkręconego węża strażackiego przymocowano na końcu rozpylacz. Początkowo jej nie rozpoznał – mokre włosy leżały przyklepione do pleców, a twarz zwrócona była do strumienia wody. Ramiona i szyję miała opalone, resztę ciała bardzo, bardzo białą. W wieczornym świetle skrzyły się krople wody na jej bladej skórze i ciemnych włosach łonowych. Gdy tak patrzył, pani Morgan zakręciła wodę i sięgnęła po ręcznik. Dostrzegła Bremena w dżipie i zamarła z dłonią na ręczniku, na w pół ku niemu obrócona. Nie odezwała się. Nie zakryła ręcznikiem.

Zakłopotany, skinął głową i odjechał. W lusterku bocznym zobaczył przez chwilę panią Morgan. Wciąż tam stała, jej skóra białała na tle połuszczonego zielonego muru chłodni. Nie zakryła się jeszcze i obserwowała go.

Bremen pojechał dalej.

Tej nocy Bremen podryfował w sen. Wyłączył klimatyzator, otworzył pozbawione siatki okna, pozwalając wpełznąć martwemu powietrzu pustyni. Zbudziła go pierwsza z wizji.

Słyszał dźwięk skrzypcowych strun, naciąganych i skrobanych przez zepsute zęby. Usiadł na łóżku i mrugał w fioletowym świetle wlewającym się do pomieszczenia przez uchylone okiennice.

Cienie pod sufitem szeptały. Z początku myślał, że neurogwar przebił ochronną warstwę białego szumu pani Morgan, lecz to nie był dźwięk myślotyku. Po prostu... dźwięk. Cienie pod sufitem szeptały.

Naciągnął na siebie wilgotne prześcieradło, zbiełałymi palcami przyciskał białą bawełnę. Cienie przemieszczały się, oddziały od szeptów i

ześlizgiwały niżej, znikając nagle w zupełnej czerni podczas gwałtownego napływu burzowego światła.

Ze ścian sfruwały nietoperze. Miały twarze niemowlaków i oczy z obsydianu. Nadlatując poświstywały i łopotały skrzydłami.

Na zewnątrz, w fioletowej wściekłości biły pogrzebowe dzwony i lamentowały chóry w pustych cysternach. Gdzieś blisko, może pod łóżkiem Bremena, odezwał się kogut, jego pianie zanikło w grzechocie kości w kubku.

Nietoperze o niemowlęcych twarzach pełzły głowami w dół, aż zwały się na łóżko Bremena, jak stado wijących się szczurów ze skórzastymi skrzydłami i ostrymi dziecięcymi uśmiezkami.

Bremen wrzasnął, gdy błysnęło i – jak zgrzyt ciężkiej zasłony po starych deskach – przed deszczem przetoczył się grzmot.

Następnego dnia nic nie jadł, jakby poszczenie miało uleczyć jego rozgorączkowany umysł. Pani Morgan nie dzwoniła, a do tablicy na zewnątrz nie przyczepiono żadnej porannej notatki.

Pojechał na południe do granicy rancza, jak najdalej od hacjendy, i kopał doły na słupy do nowego płotu, który miał biec między lasem a stawem. Biały szum ryczał wokół.

Przy jedenastym dołku, na głębokości prawie metra, jego narzędzie wgrzyzło się w jakąś twarz.

Bremen opadł na kolana. Szczęki narzędzia trzymały miękką czerwoną glinę, a prócz niej kawałek brązowego ciała i białej kości. Wziął łopatę i poszerzył dołek, tworząc coś na kształt stożkowego szybu.

Twarz i czaszka wygięły się do tyłu, niemal oddzielone od białych kości szyi i karku, tak jakby zakopany tu człowiek chciał wypłynąć przez glebę ku powietrzu. Bremen wykopał grób starannie jak archeolog, który poszerza obszar wykopaliska. Zmiażdżoną klatkę piersiową pokrywały strzępy brązowej tkaniny. Znalazł kawałki lewej dłoni, tam gdzie pływak próbował ją unosić. Prawej dłoni nie było.

Ułożył czaszkę z tyłu dżipa i wracał na ranczo. Nim wjechał w pole widzenia hacjendy, zmienił zdanie i skierował się w górę, okrążając grzbiety wzniesień. Posiedział chwilę przy kaplicy, słuchając wiatru dmuchającego przez puste okna.

Kiedy o zachodzie wrócił do swojej szopy, zadzwonił telefon.

Bremen wpęłzył do łóżka, obrócił twarz ku chropowatej ścianie i nie reagował na dzwonek. Po kilku minutach hałas ustał.

Bremen zakrył uszy dłońmi, lecz myśłoszum trwał dalej jak wielki biały wiatr wiejący znikąd. Kiedy nadszedł zmrok i wzmożyły się odgłosy insektów dobiegające z dołu, znad strumienia i z góry, od chłodni, Bremen się obrócił, podświadomie oczekując powtórnego dzwonka telefonu.

Panowała cisza. Ze stojącego obok nie heblowanego stołu, w smudze księżycowego światła sączącego się przez szpary okiennic, spoglądała na niego czaszka, osobliwie fosforyzująca w mroku. Bremen nie pamiętał, żeby wnosił ją do środka.

Telefon zadzwonił gdzieś bliżej północy niż świtu. Bremen, nieco rozbudzony, chwilę patrzył. Odnosił wrażenie, że to czaszka go wzywa.

Poczłapał boso przez deski.

– Halo?

– Przyjdź do domu – szeptała pani Morgan. W tle Bremen słyszał ściszone odtwarzacz, brzmiący jak głosy śpiewające w suchych cysternach. – Przyjdź do domu teraz – powiedziała.

Bremen odłożył słuchawkę. Przy świetle księżyca ruszył w górę, ku odgłosom ujadających psów.

OCZY

Jeremy i Gail kochają się z namiętnością, która ich samych czasami przeraża.

Mąż kiedyś stwierdził, że razem są jak kulki plutonowe w laboratorium Lawrence'a Livermore'a. Początkowo naświetla się je setkami laserów rozmieszczonych na sferycznej skorupie, które wysyłają światło do wewnątrz sfery. W efekcie cząsteczki plutonu zbliżają się coraz bardziej, aż między atomami nie ma już wolnego miejsca i kulka najpierw imploduje, a potem eksploduje, zapoczątkowując syntezę wodoru.

Tak ma być w teorii, powiada Jeremy. W rzeczywistości, kontrolowanej syntezy jeszcze nie przeprowadzono, twierdzi.

Gail proponuje, by znalazł metaforę bardziej romantyczną.

Później jednak, zastanowiwszy się, widzi celność tego porównania. Bez ich szczególnej zdolności miłość między nimi mogłaby być czymś przelotnym, niestabilnym, z krótkim okresem rozpadu, ale całkowita jedność myśli i „dążenie ku wnętrzu” napędzane tysiącem wspólnych doświadczeń gwałtownie pchnęły ich uczucie ku ognistej intensywności, spotykanej jedynie we wnętrzu gwiazd.

Taka bliskość poddawana jest wielu próbom. Każde z nich musi się wyrzec zwykłej ludzkiej chęci do odosobnienia. Muszą znaleźć równowagę między emocjonalną, artystyczną, opierającą się na intuicji osobowością Gail, a stabilnym, czasami ociężałym stosunkiem do rzeczywistości Jeremy'ego.

Muszą powściągnąć irytację z powodu zbyt dużej wiedzy o bliskiej, ukochanej osobie.

Pewnego wiosennego dnia Jeremy dostrzega na kampusie piękną młodą kobietę – dziewczyna pochyla się, by podnieść jakieś książki, a poryw wiatru unosi jej spódnicę – i po czterech godzinach owa jedyna, wyraźnie erotyczna chwila jest ciągle dostrzegalna dla Gail, tak jak dla innej żony uporczywy zapach perfum lub plama szminki na kołnierzyku.

Zbywają to żartem. Lecz nie żartują, kiedy następnej zimy w Gail rozwija się przelotny, lecz obsesyjny pociąg do poety imieniem Timothy. Ona próbuje oddalić to uczucie lub przynajmniej zamknąć je za małym kawałkiem myślotarczy, którą nadal potrafi postawić między sobą i Jeremym, lecz jej uczuciowa niedyskrecja jest jak neon w ciemnym pokoju. Jeremy

natychmiast dostrzega ten afekt i nie może ukryć swoich odczuć – przede wszystkim bólu, ale prócz tego jakiejś niezdrowej fascynacji. Przez przeszło miesiąc ta gasnąca pasja, jaką Gail czuje do poety, prześladowa ich nocami, jakby położono między nimi miecz o zimnym ostrzu.

Zdarza się, że emocjonalne reakcje Gail pomagają Jeremy'emu zachować zdrowe zmysły – przynajmniej on tak czasami twierdzi – lecz niekiedy napływy uczuć przeszkadzają mu w pracy na uniwersytecie i w badaniach. Gail przeprasza, lecz mąż stale się czuje jak mała łódka na burzliwym morzu silnych emocji Gail.

Jeremy, nie mogąc wydobyć poezji z własnej pamięci, przeszukuje myśli Gail, by znaleźć opisujące ją obrazy. Często je znajduje.

Kiedy po śmierci żony rozsypuje prochy w sadzie przy strumieniu, milcząco kontempluje jeden z tych obrazów, znaleziony w wierszu Theodore'a Roethke'ego.

*Pamiętam lok na karku, miękki, wilgotny jak pnącze,
I jej szybkie spojrzenie, ukośny szczupak uśmiechu.
Gdy raz zaczęła mówić, lekkie zgłoski skakały do niej,
Balansowała w rozkoszy swej myśli,
Mysikrólik szczęśliwy, z ogonkiem na wiatr.
Piosenką muskający witki i gałązki.
Cień śpiewał z nią.
Liście zmieniały szepty w pocałunki,
A pieśń śpiewała w bielonych dolinach pod różą.
O, kiedy była smutna, rzucała się w tak czystą głębinę zwątpienia,
Że nawet ojciec nie mógł jej odnaleźć.
Pocierała policzek o źdźbło,
Poruszała najczystsza wodę.
Mój wróbelku, nie ma cię tutaj,
Nie czekasz niby paproć dająca kolczasty cień.
Brzegi mokrych kamieni nie mogą mnie pocieszyć
Ani mech zraniony ostatnim blaskiem.
Gdybym tylko wytrącić cię mógł z tego snu,
Moja okaleczona, mój lekki gołąbku!
Nad tym wilgotnym grobem mówię miłości słowami...*

Badania układu nerwowego, prowadzone przez Jacoba Goldmanna, kierują Jeremy'ego w dziedzinę matematyki, z którą w innym wypadku

zapoznawałby się jedynie pobieżnie, a która teraz, podczas tych ostatnich miesięcy, nim zaczęła się choroba Gail, wypełnia i zmienia mu życie.

Matematyka chaosu i fraktale.

Jak większość nowoczesnych matematyków, Jeremy otarł się o matematykę nieliniową i jak większość nowoczesnych matematyków, woli działy klasyczne, liniowe. Mroczna dziedzina matematyki chaosu, licząca sobie, jako poważna dyscyplina, niecałe dwadzieścia lat, wydawała się przedtem Jeremy'emu czymś wielce dyskusyjnym i dziwnie jałowym. Należało jednak zinterpretować holograficzne dane Goldmanna, dlatego dał nura w te głębiny i zaczął studiować chaos. Fraktale okazały się sprytnym narzędziem, które matematycy od zastosowań używali w swojej grafice komputerowej – krótka scena na jednym z filmów z cyklu Star Trek, na który zawlokła go Gail, niekiedy ilustracja w „Scientific American” czy w „Mathematical Intelligencer”.

Teraz po nocach mu się śnią matematyka chaosu i fraktale.

Równania falowe Schrödingera oraz fourierowska analiza holograficznych modeli ludzkiej myśli zaprowadziły go w bór chaosu i teraz Jeremy się przekonuje, że w tych kniejach jest mu dobrze. Po raz pierwszy w swoim życiu i karierze zawodowej odczuwa głód czasu komputerowego: w końcu przynosi do najświętszego sanktuarium swojego domowego gabinetu potężny PC 486 z CD-ROM-em oraz czyni starania o przyznanie czasu obliczeniowego na dużym komputerze uniwersytetu. To nie wystarczy.

Jacob Goldmann powiada, że pewnego dnia może zapuścić program Jeremy'ego z chaosem na jednym z Crayów X-MP w MIT i Jeremy spędza bezsenne noce w oczekiwaniu na ten dzień. Gdy program się kończy – czterdzieści dwie minuty czasu CPU, prawdziwa wieczność w skali cennego czasu Craya – otrzymane rozwiązanie jest niekompletne, ekscytujące, ale przerażające zarazem, gdyż wskazuje nowe możliwości. Jeremy uświadamia sobie, że będzie potrzebował kilku Crayów i kilku utalentowanych programistów.

– Daj mi trzy miesiące – mówi Jacob Goldmann.

Uczony przekonuje kogoś z administracji Busha, że jego praca na temat układu nerwowego i funkcji pamięci holograficznej wiąże się z ulepszoną od dłuższego czasu konstrukcją kokpitu w rzeczywistości wirtualnej. Mija niespełna dziesięć tygodni i Jeremy ma do dyspozycji połączone w sieć Craye i programistów do kodowania danych.

Wyniki z komputera są czystą matematyką, wykresy czytelne tylko dla

wytrawnego naukowca. Jeremy spędza letnie wieczory w swym gabinecie, porównując własne równania z eleganckimi rysunkami Craya przedstawiającymi „atraktory w szerokim sensie” Kołmogorowa, wyglądające jak rozkrojone pierścienice z Rowu Filipińskiego, lecz wykazujące ten sam kwazierychodzący wzór interferometru, morza chaosu i wyspy rezonansu, przepowiedziane przez teorię Jeremy’ego.

Wykonuje przekroje Poincarego załamujących się i opadających fal prawdopodobieństwa, a maszyny Cray – poruszając się we fraktalowych strukturach, których Jeremy chyba nigdy nie zrozumie – wypuszczają dane i obrazy komputerowe przypominające fotografie jakiegoś oddalonego wodnego świata, gdzie morza barwy indygo popstrzono wypami w kształcie pławikoników, wielokolorowych, nieskończenie złożonych topologicznie.

Jeremy zaczyna pojmować. Kiedy jednak to wszystko nabiera kształtów... właśnie wtedy, kiedy dane Jacoba, fraktalowe obrazy Craya oraz piękne i straszne równania chaosu z jego tablicy zaczynają tworzyć jedność... sprawy w „prawdziwym” świecie zaczynają się gmatwać. Najpierw Jacob. Potem Gail.

Mijają właśnie trzy miesiące od ich pierwszej wizyty w klinice leczącej bezpłodność, gdy Jeremy idzie do własnego lekarza na okresową kontrolę zdrowia. Przypadkowo wspomina o testach, jakie przechodzi Gail, o tym, jak cierpią z powodu braku dziecka.

– I zrobili ci tylko jedną analizę nasienia? – pyta doktor Leman.

– Mmmm? – mruczy Jeremy zapinając koszulę. – Och, taa... sugerowali, żebym tam powtórnie przyszedł, ale byłem naprawdę zajęty. Prócz tego, pierwszy test był rozstrzygający.

Żadnych problemów.

Doktor Leman kiwa głową, ale lekko się chmurzy.

– Czy pamiętasz liczbę plemników?

Jeremy spuszcza wzrok, nie wiedząc czemu zakłopotany.

– Ach... Myślę, że trzydzieści osiem. Taaa.

– Trzydzieści osiem milionów na mililitr?

– Tak.

Doktor Leman znowu kiwa głową i robi ręką gest.

– Nie wkładaj koszuli. Zmierzę jeszcze raz ciśnienie.

– Czy coś było nie w porządku?

– Nie – mówi doktor Leman, odsuwając mankiet. – Czy powiedzieli ci w klinice, że zadowalający wynik to przynajmniej czterdzieści milionów na

mililitr, z których przynajmniej sześćdziesiąt procent sprawnie porusza się naprzód?

Jeremy waha się.

– Chyba tak – mówi. – Ale powiedzieli, że prawdopodobnie jest to trochę poniżej przeciętnej, gdyż Gail i ja... nie byliśmy zupełnie wstrzemięźliwi przez całe pięć dni przed testem i...

– I powiedzieli ci, byś przyszedł na jakieś badania uśredniające. I twierdzili, że prawie na pewno nie masz powodu do zmartwień, że prawdopodobnie chodzi o Gail?

– Właśnie.

– Opuść, proszę, spodenki – mówi doktor Leman.

Jerry czuje lekkie, charakterystyczne dla mężczyzn zakłopotanie, kiedy lekarz obmacuje mu krocze.

– Zaciśnij dłońią usta i nos – poleca doktor Leman. – Tak, właśnie tak... powietrze nie może się w ogóle przedostawać... teraz napręż się, jakby chciał spowodować oddanie kału.

Jeremy już zaczyna zdejmować dłoń z ust, by obrócić to w żart, ale rezygnuje z tego. Napręża się.

– Jeszcze raz – mówi doktor Leman.

Jeremy krzywi się, kiedy doktor naciska.

– W porządku, odpocznij. Możesz naciągnąć spodenki.

Doktor podchodzi do stolika, zdejmuje gumową rękawiczkę, wrzuca ją do śmieci i myje ręce.

– O co w tym wszystkim chodziło?

Leman odwraca się powoli.

– To było znane jako manewr Valsalvy. Czy czułeś ucisk na żyłę, tam gdzie trzymałem palec, po obu stronach jąder?

Jerry uśmiecha się i kiwa głową. Czuł to, tak jest.

– Naciskając, czułem przepływ krwi przez żyły... przepływ w złym kierunku.

– W złym kierunku?

Doktor Leman kiwa głową.

– Jestem pewien, że masz żylakowate żyły nasienne zarówno w lewym, jak i w prawym jądrze. Jestem zdziwiony, że tego nie sprawdzili w klinice.

Jeremy, spięty, czuje, jak zalewa go fala zimnego potu. Myśli o tych wszystkich krępujących testach, które przeszła Gail w ubiegłych kilku tygodniach... o wszystkich testach, które ją jeszcze czekają. Odchrząkuje.

– Czy te... te żylakowate żyły... czy zmniejszają nasze szansę na dziecko?
Doktor Leman opiera się na stoliku i krzyżuje ramiona na piersiach.

– One właśnie mogą stanowić główną przyczynę. Jeśli to obustronny żylak powróżka nasiennego, może on powodować obniżenie ruchliwości spermy, jak również obniżenie liczby plemników.

– Twierdzisz, że trzydzieści osiem milionów to anomalia?

– Prawdopodobnie – mówi doktor. – I założę się, że badanie ruchliwości wykonano niestaranie. Oceniam, że mniej niż dziesięć procent spermy poruszało się właściwie.

Jeremy czuje, jak narasta w nim uczucie przypominające gniew.

– Dlaczego?

– Żylak powróżka nasiennego – jednej z żył w twoich jądrach – jest wadą funkcjonowania zastawki w żyłce nasiennej, która powoduje, że krew płynie wstecz z nerek i nadnerczy właśnie do jąder. To podnosi temperaturę w kroczu...

– Co obniża produkcję spermy – kończy Jerry.

Doktor Leman kiwa głową.

– Krew transportuje także bardzo skoncentrowane toksyczne produkty metabolizmu, takie jak steroidy, co dodatkowo przeszkadza w produkcji spermy.

Jeremy patrzy na ścianę, gdzie znajduje się tylko tania odbitka ilustracji Normana Rockwella przedstawiająca dziecko i wiejskiego lekarza słuchającego bicia dziecięcego serca.

Dziecko i doktor, oboje o zarumienionych policzkach, są karykaturami.

– Czy da się wyleczyć żylaka powróżka nasiennego? – pyta.

– Można zrobić operację – mówi doktor Leman. – W przypadku mężczyzn, u których liczba plemników przekracza dziesięć milionów na mililitr... do tej kategorii chyba się zaliczasz... zazwyczaj następuje radykalne polepszenie. Dotyczy to, według mnie, osiemdziesięciu lub dziewięćdziesięciu procent przypadków. Muszę dokładnie sprawdzić.

Jeremy odrywa wzrok od obrazka Rockwella i patrzy na lekarza.

– Czy możesz mi polecić kogoś, kto mógłby to zrobić?

Doktor Leman zdejmuje ręce z piersi i trzyma dłonie w odległości kilkunastu centymetrów, jakby coś lepił z plasteliny.

– Myślę, że najlepiej będzie, jeśli wrócisz do kliniki, powiesz im o naszym podejrzeniu żylaka powróżka, poprosisz o wykonanie następnego testu spermy i niech zarekomendują dobrego chirurga. – Lekarz rzucił

wzrokiem na spis w notatniku. – Pobieraliśmy dzisiaj krew, więc zawiadomię laboratorium, żeby zmierzili poziom hormonów – oczywiście testosteronu, lecz także hormonu stymulującego pęcherzyki jądra, a także hormonu luteinizującego z przysadki mózgowej. Przypuszczam, że poziom ten powinien okazać się niski i że zakwalifikują cię do kategorii marginalnie płodnych lub podpłodnych. – Klepie Jeremy’ego po plecach. – Ostre słowa, ale wiadomości naprawdę dobre, ponieważ po operacji prognoza na płodzenie dzieci jest bardzo dobra. Znacznie lepsza niż w przypadku problemów kobiecych.

Doktor Leman waha się i Jeremy odczytuje to jako niechęć do krytykowania kolegów po fachu.

– Problem polega na tym – mówi w końcu lekarz – że tak wielu specjalistów z klinik leczenia bezpłodności wie, iż w dziewięćdziesięciu procentach przypadków winny jest organizm kobiety. Nie oglądają starannie mężczyzny, gdy tylko liczba plemników w przybliżeniu jest prawidłowa. To zawodowa krótkowzroczność. Lecz teraz, kiedy już wiedzą o żylaku powrózka... – Zatrzymuje się przy drzwiach, patrzy, jak Jeremy znowu zapina guziki koszuli. – Czy chcesz, żebym zadzwonił do nich w tej sprawie?

Jeremy waha się tylko przez sekundę.

– Nie. Ja im powiem. Prawdopodobnie zadzwonią do ciebie i poproszą o kartę zdrowia.

– Doskonale – mówi doktor Leman, gotowy już przyjąć następnego pacjenta. – Jan przyjdzie do ciebie z wynikami badania krwi, jutro mniej więcej po południu. Będziemy mieli gotowe wszystkie dane dla kliniki, gdyby o nie poprosili.

Jeremy kiwa głową, nakłada płaszcz i wychodzi do poczekalni, a potem na dwór. Jadąc do domu, przygotowuje myślotańczę, by ukryć informację o żylaku. Tylko na chwilę, powiada sobie, uszczelniając tarczę, a potem przykrywa ją przypadkowymi myślami i obrazami, jak traper maskujący gałęziami wilczy dół. Tylko na chwilę, dopóki sobie nie przemyśle.

I wie – nawet kiedy robi wysiłek, by zapomnieć o tym, czego się dowiedział – że mówi sobie nieprawdę.

NIE MA TU OCZU

Bremen szedł pod osłoną ciemności w górę wzgórza, minął dżipa, zaparkowanego kilka metrów od miejsca, gdzie go pozostawił, minął ujadające rottweilery w zagrodzie – zazwyczaj nigdy ich tam nie pozostawiano na noc – i przez otwarte drzwi wszedł do hacjendy.

Wnętrze było mroczne, lecz nie ciemne. Światło pojedynczej lampy, przypominającej mosiężny świecznik, rozlewało się w hallu od strony sypialni pani Morgan. Czuł jej obecność, ciepły napływ białego szumu, wzbierającego, jakby zwiększano siłę głosu w radiu nie nastawionym na konkretną stację.

Przyparowało go to o zawrót głowy i lekkie mdłości. A również podniecało. Jakby w lunatycznym śnie, przeciął cichy pokój i poszedł hallem. Na zewnątrz psy przestały dziko naszczekiwać.

Sypialnię oświetlała tylko jedna dwudziestopięciowatowa żarówka w lampie stołowej, a i ona została przykryta jakąś materią, która przepuszczała ledwie odrobinę różowej poświaty. Bremen stał chwilę w progu, czując, że niebezpiecznie balansuje, jakby się znajdował na krawędzi jakiegoś głębokiego, okrągłego szybu. Potem dał krok w przód i wpadł w napływ białego szumu.

Łoże z baldachimem osłonięte było przezroczystą gazą, która odbijała różową poświatę lśnieniem jedwabnej siateczki. Widział panią Morgan przy dalszym boku łóżka, światło omywało ją krwawo, jej ciało miękkie i widoczne pod cienkimi fałdami własnych otwartych koronek.

– Wejdz – szepnęła.

Bremen wszedł, stawiając niepewne kroki, gdyż miał kłopoty zarówno z widzeniem, jak i utrzymaniem równowagi. Zaczął okrążyć łóżko.

– Nie, zatrzymaj się tam na sekundę – dobiegł go znowu z cieni głos pani Morgan.

Zawahał się, zmieszany, lekko pobudzony. Potem zobaczył jej ruch – rozchyliła koronkowe zasłony łóżka, sięgnęła naprzód, ku szklance lub niskiemu pojemnikowi na nocnym stoliku, krótki ruch dłonią do ust, i szybko się wycofała. Cienie na jej twarzy przemieściły się.

Nosi protezy, pomyślał, czując ukłucia emocji całkiem mu dotychczas obcych, kiedy myślał o pani Morgan. Zapomniała je włożyć.

Wezwała go znowu, gestem bardziej przegubu dłoni niż palców. Bremen

obszedł łóżko i stanął po drugiej stronie. Jego ciało rzucało jeszcze jeden cień na leżącą tam osobę. Zatrzymał się znowu, niezdolny do ruchu ani w przód, ani w tył.

Być może znów coś powiedziała, lecz jego zmysły wypełniał białogorący szum mózgohałasu kobiety. Uderzył niczym prąd ciepłej jak krew wody, tryskającej z jakiegoś ukrytego hydrantu, dezorientując go jeszcze bardziej.

Sięgnął do zasłon łóżka, lecz długie, silne palce trzepnęły go w dłoń. Wychyliła się na łokciach kobiecym, kocim ruchem, przysuwając twarz ku jego nogom. Gdy ramionami rozchyliła zasłony, Bremen zdał sobie sprawę, że widzi wyraźnie jej piersi – przez nie zapiętą nocną koszulę – lecz nie dostrzegła twarzy, ukrytej w cieniach za opadającymi włosami.

Może to lepiej – pomyślał i zamknął oczy. Próbował myśleć o Gail, wspominać Gail, lecz napływ białego szumu wyparł wszystkie myśli, z wyjątkiem tych o apatii i uległości. Zanim opadły mu powieki, przez moment miał wrażenie, że w pokoju poruszyły się wokół cienie.

Pani Morgan położyła mu dłoń na brzuchu, drugą na udzie.

Zadrzał jak nerwowy folblut brutalnie badany przez weterynarza.

Odpięła mu pas, odsunęła zamek.

Wtedy zaczął się ku niej nachylać, lecz dłoń powróciła na jego brzuch, zatrzymując w miejscu. Mózgodźwięk tworzył teraz huragan białego szumu, wałąc go ze wszystkich stron. Bremen zachwiał się na nogach.

Jednym prawie gniewnym ruchem ściągnęła mu spodnie z bioder. Poczuł na sobie chłodniejsze powietrze, a potem jej ciepły oddech, lecz nadal nie otwierał oczu. Biały szum atakował mu mózg niewidzialnymi pięściami.

Pięściła go. Objęła dłonią jądra, unosząc je jak do pocałunku, potem ciepłą ręką o zimnych paznokciach przebiegła po miękkim penisie. Był podniecony tylko trochę, choć jego moszna ściągnęła się, jakby chciała się schować do wnętrza ciała. Ruchy ręki bardziej płynne i przynaglające, pani Morgan wykonywała raczej dla swojej przyjemności niż dla niego. Czuł na udzie dotknięcie policzka, jedwabiste włosy, ciepłe czoło na podbrzuszu i wtedy atak mózgoszumu osłabł, potem znikł, i Bremen znalazł się w oku huraganu.

Zobaczył.

Odsłonięte mięso i żebra zwisające z haków. Uśmiech w wykrzywionych skurczem ustach i zamrożone powieki pod białym szronem. Niemowlęta wędrownych robotników na wydzielonym rzędzie haków, obracające się nieco w mroźnych powiewach...

– Jezu!

Cofnął się instynktownie i otworzył oczy w chwili, gdy jej usta zatrzasnęły się z metalicznym szczęknięciem. Zobaczył błysk stalowych ostrzy między czerwonymi wargami. Odskoczył do tyłu, ale wyrznął w nocny stolik i przewrócił zakrytą lampę. Jego wysokie cienie przesuwały się po ścianach.

Pani Morgan otworzyła obramowane ostrzami szczęki i powtórnie dała nura. Szamotała się, parła wyginając ramiona w łuk, niczym jakiś przedpotopowy żółw, usiłujący wyjść ze swej skorupy.

Bremen rzucił się w prawo i uderzył w ścianę, wywijając półobrót w bok – szerokouste ukąszenie chybiło jego genitaliów, lecz odgryzło kawał ciała z lewego uda, tuż nad arterią.

Wpatrywał się w połyskujące różowym światłem zasłony zbryzgane krwią, spadającą kropelkami na zwróconą do góry twarz pani Morgan.

Wygięła szyję jakby w ekstazie, patrzyła szerokimi ślepymi oczyma, a Bremen zobaczył zdrowy różowy kolor plastikowych dziąseł protez zębowych i osadzone tam ostrza jak brzytwy. Jego krew bryzgała na jej różowe wargi i niebieską stal.

Gdy otworzyła szerzej usta do następnego ataku, zauważył, że ostrza umieszczone są w koncentrycznych rzędach, jak zęby żarłacza.

Uskoczył na prawo, zamknął mózg przed myślowymi obrazami wirującymi w oku huraganu myśłoszumu, ponownie wyrznął w stół, potem w lampę, gwałtownie się cofnął, lecz stalowe zęby pani Morgan już przecięły dyndającą poję jego koszuli, skórzany pas i delikatne ciało na boku, zahaczając o kość. Głowa kobiety trzęsła się jak głowa psa z kęsem szczura w pysku.

Poczuł lodowate dźgnięcie, lecz nie ból. Podciągnął dzinsy i skoczył znowu – nie w bok, gdzie z pewnością by go dopadła, lecz prosto na nią – prawą stopę wpakował w jej krzyż, jak piechur stąpający na kamień w zdradliwym potoku. Ściągnął za sobą baldachim z łóżka, potem machając na oślep rękoma – resztę zasłon po drugiej stronie. Padł. Wylądował twardo na łokciach i pełzł do drzwi, a ona rzucała się, wiła i szukała po omacku jego nóg.

Wtedy szarpnął go ostry ból w udzie i boku, jakby wstrząs elektryczny.

Nie bacząc na to pełzł ku drzwiom, oglądając się za siebie.

Pani Morgan wygryzła sobie drogę w muślinowych zasłonach i sunęła za nim po podłodze, głośno drapiąc lakierowanymi paznokciami. Protezy

powodowały, że jej szczęka wysunęła się naprzód w prawie lykantropicznej żądzy.

Bremen zostawiał na deskach podłogi ślady krwi i kobieta jakby po nich węszyła, ścigając swą ofiarę na śliskiej podłodze.

Wstał, pobiegł. Odbijał się od ścian hallu i mebli salonu.

Przewrócił się i przetoczył po kanapie, pozostawiając na niej krwawe maźnięcie. Zerwał się, skoczył ku drzwiom. Potem wybiegł na zewnątrz, w noc. Wdychał zimne powietrze. Jedną dłonią przytrzymywał dżinsy, drugą przykładał płasko do krwawiącego uda. Na prostych nogach zbiegł po stoku wzgórze.

Rottweilery za ogrodzeniem dostały szału, skakały i warczały. Bremen usłyszawszy śmiech, odwrócił się w biegu. Pani Morgan w przezroczystej koszuli stała w słabo oświetlonych drzwiach. Jej ciało zdawało się wysokie i silne.

Rozciągnięte śmiechem usta odsłaniały ostrza brzytwy.

Bremen zobaczył długi przedmiot w jej dłoniach właśnie w chwili, gdy wykonywała znajome ruchy i usłyszał charakterystyczny dźwięk ładowanej strzelby szesnastki. Próbował uciekać zygzakiem, lecz z powodu rany na nodze biegł wolno seria niezgrabnych podrygów, rzekłbyś, częściowo przerdzewiały Blaszyński próbując grać w futbol amerykański.

Bremen miał ochotę jednocześnie śmiać się i płakać.

Zerknął w tył i zobaczył, jak pani Morgan sięga za framugę. Za chłodnią kaszlnęła prądnica i nagle blask zalał podjazd poniżej hacjendy, okolice szopy oraz sto metrów pola przy domu – gdy ogromne lampy łukowe zmieniły noc w dzień.

Ona to już wcześniej robiła. Bremen biegł na oślep ku swej szopie i dżipowi, lecz uświadomił sobie, że pojazd ruszono, poza tym był pewien, że pani Morgan wyciągnęła z samochodu kopułkę rozdzielacza lub coś równie ważnego. Próbował czytać jej myśli – choć ten pomysł napelniał go wstrętem – lecz biały szum powrócił, silniejszy niż kiedykolwiek. Znow znajdował się wewnątrz huraganu.

Ona robiła to już wcześniej. Robiła to wcześniej wiele razy.

Bremen wiedział, że jeśli pobiegnie ku rzece czy szosie, kobieta łatwo go dogoni dżipem lub toyotą. Oczywiście, szopa stanowiła pułapkę.

Zahamował z poślizgiem na jaskrawo iluminowanym żwirze i zapiął dżinsy. Pochylił się, by zbadać rany, i omal nie zemdleł. Serce waliło mu mocno, jakby słyszał kroki pędzące tuż za nim. Zaczepnął kilka głębokich,

powolnych oddechów, odganiając czarne plamy przepływające w polu widzenia.

Dżinsy miał przesiąknięte krwią i obydwie rany nadal broczyły, lecz z żadnej nie tryskało tak, jak tryska z uszkodzonej arterii. Gdyby to była arteria, już by nie żył. Zwalczył lekki zawrót głowy, stanął i spojrzał na oddaloną o sześćdziesiąt metrów hacjendę.

Pani Morgan wciągnęła dżinsy, wysokie buty robocze i wyszła na ganek. Jej górną część ciała okrywała jedynie poplamiona krwią nocna koszula. Usta oraz szczęki kobiety wyglądały teraz inaczej niż poprzednio, lecz Bremen z tej odległości nie potrafił stwierdzić z całą pewnością, czy wyjęła protezę.

Otworzyła skrzynkę wyłącznika na ganku od południowej strony – dalsze lampy zapaliły się przy strumieniu, a także wzdłuż podjazdu.

Bremen stał w pustym koloseum, oświetlonym do wieczornych igrzysk.

Pani Morgan podniosła broń i niedbale wypaliła w jego kierunku. Bremen odskoczył na bok, choć wiedział, że znajduje się poza zasięgiem strzelby. Śrut zabębnił w pobliżu na żwirze.

Znowu się obejrzał, walcząc z przerażeniem, do którego dołączył huczący biały szum mącący jego myśli, a potem ruszył na lewo, w kierunku głązów za hacjendą.

Za skałami rozbłysły kolejne lampy, lecz Bremen nadal się wspinał, czując, że rana w nodze znowu zaczyna krwawić.

Miał wrażenie, jakby ktoś wybrał mięso na jego biodrze zaostrzoną łyżką do nakładania lodów.

Za nim rozległ się następny wystrzał ze śrutówki, a potem warczenie i wycie, gdy pani Morgan wypuściła psy.

OCZY

Kilka tygodni przed otrzymaniem diagnozy, że przyczyną bólów głowy Gail jest guz mózgu, Jeremy otrzymuje od Jacoba Goldmanna ten oto list:

Kochany Jeremy!

Skutki Waszej ostatniej wizyty – kiedy to zaproponowaliście, że będziecie „królikami doświadczalnymi” dla odwzorowania głębokokorowego (DCM) – nadal trudno mi ogarnąć myślami. Jak już o tym rozmawialiśmy osobiście i telefonicznie w zeszły czwartek, wyniki nie przestają być zadziwiające – to jedyne stosowne określenie.

Szanuję Wasze życie osobiste, Wasze życzenia i nie będę już ponownie Was nakłaniał, byście wraz ze mną badali Wasz tak zwany myślotyk, którego, jak powiadacie, oboje doświadczacie od okresu dojrzałości. Jeśli proste zaprezentowanie przez Was tej telepatii nie okazałoby się dostatecznie przekonujące, dane DCM, które wciąż otrzymuję, zdołałyby nawrócić każdego niedowiarka. Mnie z pewnością nawróciły.

W pewnym sensie czuję ulgę, że nie będziemy zajmować się tym właśnie kącikiem naszych badań, choć muszę przyznać, że te rewelacje były bombą dla starszego fizyka przemienionego w badacza układu nerwowego.

Jednak Twoja ostatnia poczta z modelem matematycznym – mimo że w znacznej części przekraczało to mój poziom wiedzy matematycznej – okazała się jeszcze bardziej wybuchowa. Właśnie on może spowodować, że Projekt Manhattan będzie przy tym wyglądał na bardzo małe piwo.

Jeśli rozumiem właściwie Twoje modele oparte o teorię chaosu i fraktale (i, jak powiadasz, otrzymane wyniki nie dają podstaw do żadnej hipotezy alternatywnej), wówczas należy przyjąć, że złożoność umysłu ludzkiego przekracza nasze najbardziej szalone wyobrażenia.

Jeśli można polegać na Twoim dwuwymiarowym wykresie ludzkiej świadomości holograficznej otrzymanym metodą Packarda–Takensa – i znowu, wierzę w to, że tak jest – wtedy umysł – to nie tylko organ samoświadomości wszechświata, ale (wybacz mi przesadne uproszczenie) jego ostateczny arbiter.

Rozumiem zastosowanie przez Ciebie terminu „dziwny atraktor”, jako opisu roli umysłu w tworzeniu fraktalowych „wysp rezonansowych” wewnątrz chaotycznego morza walących się fal prawdopodobieństwa, lecz

nadal jest mi trudno pogodzić się z ideą, że wszechświat nie ma formy z wyjątkiem tej, którą narzuciła ludzka obserwacja.

Scenariusz prawdopodobieństw alternatywnych, o których wspominasz na końcu swego listu, wywarł na mnie największe wrażenie. (Tak mocne, że przerwałem doświadczenia z odwzorowaniami głębokokorowymi, do chwili, póki nie przemyślę tautologicznych implikacji tych wyników mających wszelkie pozory prawdopodobieństwa).

Jeremy, zastanawiam się nad zdolnością, którą dzielicie z Gail: jak często się ona przejawia, ile ma stopni pośrednich, na ile podstawową rolę musi odgrywać w doświadczeniu człowieka.

Przypominasz sobie moment, kiedy piliśmy u mnie dwudziestoletnią whisky po nadejściu Waszych pierwszych wyników odwzorowań głębokokorowych, i wyjaśniłeś, jakie mogą być podstawy anomalii. Zasugerowałem wtedy – jeśli dobrze sobie przypominam, już po kilku kieliszkach – że może niektóre z wielkich umysłów w historii ludzkości posiadały mózgi typu „wszechświatowego interferometru”. Tak więc Gandhi i Einstein, Jezus i Newton, Galileusz i mój przyjaciel von Neumann posiadali zdolność podobnego (lecz oczywiście nieco odmiennego) „kontaktu myślowego”, za pomocą którego mogli rezonować z różnymi aspektami rzeczywistości – z fizyczną istotą wszechświata, z psychologiczną czy moralną istotą tej niewielkiej ludzkiej części wszechświata i tak dalej.

Pamiętam, że byłeś zakłopotany. Nie po to wtedy sugerowałem tę możliwość i nie po to teraz powtarzam tę hipotezę.

Jesteśmy – wszyscy – oczyma wszechświata. Ci, którzy posiadają tę niewiarygodną zdolność, pobłogosławieni darem możliwości wejrzenia do wnętrza ludzkiej duszy, czy do wnętrza samego wszechświata, są mechanizmami, za pomocą których ogniskujemy nasz wzrok i kierujemy nasze spojrzenie.

Pomyśl, Jeremy: Einstein przeprowadził swoje „Gedanken Experimenten” i wszechświat stworzył nową gałąź prawdopodobieństwa, by pasowała do naszej ulepszonej wizji. Fale prawdopodobieństwa tłukące o suchą plażę wieczności.

Mojżesz i Jezus dostrzegli nowe ruchy gwiazd rządzących naszym życiem moralnym, a wszechświat wypuścił alternatywne rzeczywistości, by nadać sens tym obserwacjom. Fale prawdopodobieństwa załamują się. Ani cząsteczka, ani fala, póki w równaniu nie ma obserwatora.

Niewiarygodne. I jeszcze bardziej niewiarygodna jest Twoja interpretacja

prac Everetta, Wheelera i DeWitta. Każda chwila takiego „głębokiego spojrzenia” tworząca oddzielne i jednakowo prawdopodobne wszechświaty. Te, których nie możemy nigdy odwiedzać, lecz które możemy powołać do rzeczywistego życia w chwilach wielkich decyzji podczas naszego własnego życia w tym continuum.

Holocaust gdzieś nie zaistniał. Możliwe, że gdzieś moja pierwsza żona i rodzina żyją nadal.

Muszę o tym pomyśleć. Wkrótce skomunikuję się z Tobą i Gail. Muszę to przemyśleć.

Twój oddany

Jacob

Pięć dni po nadejściu tego listu, późną nocą, do Jeremy’ego i Gail dzwoni Rebecca, córka Jacoba. Ojciec jadł z nią wieczorem kolację i udał się do swego gabinetu, „by skończyć pewną obróbkę danych”. Rebecca poszła załatwić kilka spraw i wróciła do gabinetu koło północy.

Jacob Goldmann popełnił samobójstwo za pomocą lugera, którego trzymał w dolnej szufladzie biurka.

NIE TU SĄ OCZY

Kulejąc, krwawiąc, Bremen zataczał się w górę ku chłodni i do głązów. Lampy łukowe świeciły teraz nad całym terenem i zacienione miejsca znajdowały się jedynie w szczelinach skał. Rottweilery były już wolne i gdy biegły ku niemu, Bremen słyszał za sobą ich wycie zmienione efektem Dopplera.

Nie na skały... ona chce, żebyś właśnie tam poszedł.

Zatrzymał się w cieniu chłodni. Sapał świszcząc, przeganiał płamki, które znowu mu się pojawiły w polu widzenia.

Wspomnienia... rodzina nielegalnych imigrantów meksykańskich, których najęła, gdy popsuła się ich ciężarówka... psy złapały ich między głązami... pani Morgan dokończyła dzieła strzelbą myśliwską, celując z grani powyżej.

Bremen potrząsnął głową. Psy zbiegły już z drogi i pięły się ku niemu przez popękana skorupę zeschniętej gliny, przez karłowate krzaki. Zmusił się, by przywołać w pamięci szaleńcze obrazy, które napłynęły gromadnie w ciągu tamtych sekund, gdy przebywał w oku huraganu... byle wydobyć z nich coś pomocnego.

Obramowane szronem oczy... czerwone żebra wystają z zamrożonego mięsa... kilkanaście miejsc, gdzie w ciągu lat kogoś pogrzebano... dziewczyna–uciekinierka z domu płakała i błagała w lecie osiemdziesiątego pierwszego roku, gdy ostrze szło ku jej wygiętej w łuk szyi... rytuał przygotowywania chłodni.

Psy nadbiegały skacząc po zboczu w górę. Ich ujadanie stało się bardziej nagłace i bezpośrednie. Bremen widział teraz wyraźnie ich oczy. Poniżej, w świetle, pani Morgan podniosła strzelbę i szła za psami w górę.

27–9–11. Przez kilka sekund, które wydawały się wiecznością, Bremen widział tylko pływające cyfry, część rytuału, ważna... lecz nie mógł określić, co te liczby znaczą. Psy, teraz piętnaście metrów od niego, warczały jak jedna sześciogłowa bestia.

Skoncentrował się, zawrócił na pięcie i pobiegł ku oddalonej o trzy metry chłodni. Ciężkie metalowe drzwi były zamknięte grubym żelaznym skoblem, masywnym łańcuchem oraz kłódką z zamkiem cyfrowym. Bremen kręcił tarczą zamka, a psy przyśpieszały ku niemu w górę zbocza. 27–9–11.

Pies skoczył właśnie w chwili, gdy Bremen wyszarpnął łańcuch z zamka i otwartej kłódki. Uchylił się na bok, machając jednocześnie metrowym

łańcuchem. Pierwszy rottweiler leciał, a inne nadciągały błyskawicznie. Już odcięty mu drogę ucieczki, zamykając w idealnym półkolu przy drzwiach. Ze zdumieniem zdał sobie sprawę, że również warczy i pokazuje zęby, kiedy plamą rozkręconego łańcucha utrzymuje psy na odległość. Wycofały się – jakby ustaliły kolejność atakowania.

W powietrzu bryzgała ich ślina zmieszana z kakofonią ludzkich i psich warczeń.

Wytresowano je, by nie zabijały, myślał Bremen przez fale adrenaliny. Jeszcze nie.

Spojrzał za łeb największego rottweilera i zobaczył, jak pani Morgan kroczy w górę przez szalwie, z bronią już przygotowaną do strzału.

– Leżeć, do cholery, leżeć! – wrzeszczała na psy.

Jednak strzeliła, a psy skoczyły na boki, kiedy kula smagnęła beton i odbiła się rykoszetem od górnej części stalowych drzwi.

Bremen, na czworakach, nietknięty, otworzył szarpnięciem ciężkie wierzaje i wczołgał się w zimną ciemność. Za nim następna kula łupnęła w drzwi.

Stał w lodowatej czerni chłodni, kołysał się na zranionej nodze i próbował zamknąć drzwi... szukał rygla, klamki, czegokolwiek, gdzie można by przymocować łańcuch. Nie było nic. Zdał sobie sprawę, że drzwi otwierają się po prostu pchnięciem po zdjęciu łańcucha na zewnątrz. Po omacku szukał wyłącznika, lecz nie znalazł nic na oblepionych lodem ścianach po obu stronach. Ponad drzwiami też nic.

Ujadanie, ledwo słyszalne przez grube ściany i drzwi, ustało, gdy pani Morgan zbliżyła się, krzykiem zmusiła rottweilery do posłuszeństwa i wzięła je na smycz. Drzwi rozwarły się.

Bremen zataczał się przez ciemność, odbijał od tusz wołowych, jego buty robocze ślizgały się po oszronionej podłodze.

Chłodnia była wielka – przynajmniej trzynaście metrów na szesnaście – i kilkadziesiąt tusz zwisało z haków przesuwanych po żelaznych szynach pod sufitem. Przeszedł sześć metrów i zatrzymał się, niemal uwieszony tuszy wołowej. Oddechem zaparowywał lodowoblade mięso. Spojrzał ku drzwiom.

Pani Morgan prawie zamknęła drzwi, tylko wąski snop światła oświetlał jej nogi i wysokie buty. Dwa rottweilery ciągnęły w milczeniu skórzane smycze. Zmieszany oddech całej trójki wznosił się gęstą chmurą w mroźnym powietrzu. Pani Morgan, ze strzelbą pod pachą, trzymając w tej samej ręce smycze, podniosła przedmiot przypominający pilota telewizora.

W całej chłodni zabłyśły jasne światła fluorescencyjne.

Bremen zmrużył oczy, zobaczył, jak pani Morgan celuje w jego kierunku ze strzelby i kiedy broń wypaliła, rzucił się za tuszę wołową. Śrut trzasnął w zamrożone mięso i wyrwał wąski korytarz między zwisającymi tuszami. Niektóre tusze kołysały się jeszcze, gdyż potracił je przed sekundą uciekając na oślep.

Poczuł, że coś go szarpie za przedramię. Spojrzał: na skórze miał krwawe smużki. Dyszał, bliski hiperwentylacji, i oparł się o wypatroszoną tuszę wołową, by uspokoić oddech.

To nie była tusza wołowa. Po obu stronach rozdzielonych, obnażonych żeber widoczne były białe piersi. Żelazny hak wchodził za grzbietem kobiety i wychodził przez jej obojczyk, tuż nad miejscem, gdzie ciało rozcięto i otworzono. Miała brązowe oczy pokryte warstwą szronu.

Bremen zygzakiem przeskakiwał przez otwarte rzędy, starając się, by tusze zawsze go oddzielały od pani Morgan. Rottweilery ujadają i warczały. Zimne powietrze oraz pogłos w długiej betonowej hali zniekształcały wszelkie dźwięki.

Wiedział, że nie ma tu okien i są tylko jedne drzwi. Znajdował się teraz w tylnej części pomieszczenia. Przesuwał się na lewo od wejścia, gdzie wisiało więcej tusz. Słyszał skrobanie pazurów po oblodzonej podłodze, gdy psy usiłowały się wyrwać, a pani Morgan też przechodziła na lewo, pozostając blisko drzwi.

Nadal trzymał łańcuch, lecz nie wyobrażał sobie, jak mógłby go wykorzystać przeciwko niej, jeśli kobieta nie wejdzie w gąszcz zwisających tusz. Przy tylnej ścianie łagodnie kołysały się zamarznęte, małe ciała – jak sobie uświadomił, był to cały rząd dzieci i niemowląt – nie stanowiły więc dobrej osłony.

Chwilę panowała cisza, a potem, przez ryk białego szumu szaleństwa kobiety, Bremen złapał jej obraz: nachylała się.

Równocześnie z nią zobaczył widok swych nóg, oddalonych o dziesięć metrów, pod rzędem biało-czerwonych tusz.

Skoczył równocześnie z hukiem strzelby. Coś kopnęło go w lewą piętę, kiedy wisiał trzymając się prawą ręką żelaznego haka, na który nadziane było ciało czarnego mężczyzny średnim wieku. Miał on zamknięte oczy, a w gardle wycięcie tak szerokie i o tak postrzępionych brzegach, że jego zamarznęta krawędź wyglądała jak szeroki uśmiech rekina.

Bremen mocno ścisnął łańcuch w lewej dłoni, nie chcąc go za żadną cenę

wypuścić.

Pani Morgan krzyknęła coś niezrozumiałego i spuściła psa.

Bremen wspinał się wyżej na rozkołysanego trupa. Psy skakały po śliskim przejściu. Pani Morgan uniosła strzelbę.

OCZY

W tej samej chwili, ponad tysiąc pięćset kilometrów na wschód, trzynastoletni chłopiec o nazwisku Robby Bustamante, ślepy, głuchy, opóźniony w rozwoju jest bity przez „wujka”, który mieszkał z jego matką przez ostatnie cztery miesiące. Wujek śpi z matką, a w zamian za różne usługi dostarcza jej koki i heroiny.

Zbrodnia Robby’ego polega na tym, że w wieku trzynastu lat ciągle nie umie korzystać z toalety i właśnie gdy wujek jest sam z chłopcem w domu, zabrudził spodnie. Przyszedszy ze spotkania z pewnym złym Kolumbijeżykiem, wpada we wściekłość na widok i zapach Robby’ego, podrywa go z wyłożonego poduszkami rogu, gdzie chłopiec kołysał się ze swoim misiem, w ciemnościach kiwał głową. Zaczyna bić go pięścią po twarzy, a Robby nawet nie może zobaczyć, gdy cios się zbliża.

Chłopiec płacze dziwnym falsetem i wyrzuca przed twarz zdegenerowane dłonie, by się odgradzić od niewidzialnych uderzeń.

To jeszcze bardziej rozwściecza wujka i potężny mężczyzna zaczyna porządnie grzmocić dziecko, odsuwając jego bezbronne ręce o wywichniętych dłoniach, uderza chłopca w usta, rozbija napuchnięte wargi, trafia w zepsute przednie zęby, łamie szeroki nos, wali w kości policzkowe i zamykające się oczy.

Robby pada, bryzgając krwią na zapleśniałe tapety. Nadal jednak kwili falsetem i klepie rozwartymi dłońmi porwane linoleum. Wujek nie wie tego, lecz dziecko usiłuje znaleźć swego misia.

Nieludzkie odgłosy sprawiają, że wujek przekracza ostatni milimetr dzielący go od linii zbrodni i zaczyna kopać chłopca swymi podkutymi butami Redwinga, najpierw w żebra, później w szyję, a potem – gdy Robby kuli się w rogu i już nie kwili – w twarz.

Wujek nieco się uspokaja i spogląda na głuchoniemego chłopca, nadal przedziwnie skulonego w rogu – przeguby i kolana osobliwie powyginane, jeden z palców wznosi się pionowo odgięty do tyłu, posiniaczona i poraniona szyja wykręcona na tłustym miękkim ciele odzianym w przesiąkniętą moczem piżamę w Żółwie Ninja – i przestaje. Już wcześniej zabijał ludzi.

Chwyta Robby’ego za kępkę sztywnych czarnych włosów i wlecze go po linoleum, holem, potem przez mały pokój, gdzie z czarnego, trzydziestodwucalowego telewizora nadal ryczy MTV.

Już nie słyszeć kwilenia. Napuchnięte wargi Robby'ego zostawiają na kafelkach ślad śliny i krwi. Jedno niewidzące oko jest szeroko otwarte – drugie opuchłe, zamknięte. Czoło pokryte bliznami. Bezwładne palce klapią po drewnianym progu, rysując blade smugi w czerwonych rozmazanych plamach, które zostawiła jego twarz.

Wujek otwiera tylne drzwi, wychodzi na zewnątrz, rozgląda się, wchodzi do domu i stopą zsuwa Robby'ego ze schodków ganku. Słyszeć dźwięk jakby wydawany przez jutowy worek napełniony galaretą i kamieniami, staczający się po sześciu drewnianych stopniach.

Wujek chwytając Robby'ego za klapy przyciasnej piżamy, wlecze go po podwórzu przez wilgotną trawę. Guziki się odrywają, flanela drze, wujek przeklina, łapie za niesforne włosy Robby'ego i znowu go wlecze.

Za rozwalonym garażem i zmurszałym płotem, za zapuszczoną działką, z tyłu pod ociekającymi deszczem wiązami, gdzie kiedyś w pobliżu rzeki stał w wysokiej trawie szałas, przetrwała wygodka. Nikt jej nie używa. Wyblakła tekturowa płyta przybita gwoździami do drzwi głosi: *NI WCH DZI*. Dokoła klamek owinięto kawałek gnijącej liny, by nie wchodziły tam dzieci.

Wujek odrywa linę, wstępuje w śmierdzącą ciemność, odrywa deski z siedzenia z jedną dziurą, wciąga ciało chłopca, podnosi je do pozycji siedzącej, a potem chrząkając winduje jakby pozbawioną kości masę na górę i przez belkę, na której przedtem opierało się siedzenie. Pomalowana w Wojownicze Żółwie Ninja piżama Robby'ego zaczepia o gwóźdź i rozdarta zawisa na nim, gdy ciało wślizguje się do ciemnego szybu. Odgłos dobiegający z trzech metrów poniżej to odgłos ustępującej cieczy.

Mężczyzna wychodzi, z widoczną ulgą dyszy świeżym, nocnym powietrzem, rozgląda się, nic nie widzi, słyszy tylko w oddali szczekanie psa, znajduje pod stopą wielki kamień, wraca do wygodki, by wytrzeć dłonie i koszulę o wierzch piżamy.

Po skończeniu rzuca szmatę w śmierdzącą prostokątną dziurę i kamieniem przybija deski do siedzenia.

Z wygodki nie dochodzi żaden dźwięk. Wujek czeka przez godzinę, aż samochodem wróci matka Robby'ego.

Robby oczywiście nie słyszy podniesionych głosów, ani wybuchu płaczu, ani szybkich odgłosów pakowania i trzasku drzwiczek samochodu.

Nie widzi, jak gasną światła w domu i na ganku.

Nie słyszy ryku silnika ani szmeru opon miażdżących żwir podjazdu, kiedy matka opuszcza go po raz ostatni.

Robby nie może słyszeć, jak ucisza się szczekanie psa w sąsiedztwie, jakby w końcu wyłączono zdartą płytę, ani nie może czuć, jak na okolicę spływa cisza, gdy nadchodzi łagodny deszcz, bębni po liściach i przez dziury w dachu kapie do wygodki pod drzewami.

Sprawy, o których tu wam opowiedziałem to prawda. Sprawy, o których muszę jeszcze wam opowiedzieć, to też prawda.

I WIDZIAŁ POD SKÓRĄ CZASZKI

Rottweiler skoczył, po trzech sekundach pani Morgan wypaliła ze strzelby.

Bremen siadł okrakiem na ramionach martwego Murzyna i owinął łańcuch dokoła szyi psa, gdy stworzenie gramoliło się i drapało zamrożone mięso, próbując dopaść siedzącego na górze człowieka. Ujadało. Bremen szarpnięciem zacisnął łańcuch i podniósł zwierzę. Pani Morgan zobaczyła psa jakby lewitującego między nią a ściganym mężczyzną. Zanim podniosła lufę strzelby, pociągnęła za cyngiel.

Bremen skrzywił się, omal nie stracił równowagi na wiszącym trupie, i puścił psa. Śrut uderzył w zamocowanie świetlówek ponad nim oraz w sufit powyżej. Z oprawki posypały się iskry i szkło. Jakaś zabłąkana śrucina musiała trafić w rottweilera, gdyż stworzenie zaczęło jeszcze bardziej zaciekle ujadać i rzucać głową, chcąc wpić się w dłonie Bremena.

Ten zaciskał łańcuch, aż zdławił warczenie, a wycie stało się wysokim skomleniem.

Pani Morgan załadowała strzelbę, ciasno ściągnęła smycz z drugim rottweilerem i poszła zimnym przejściem między rozkołysanymi tuszami.

Mężczyzna bardzo mocno dyszał, obawiał się, że straci przytomność. Stalowe ogniwa łańcucha były tak zimne, że skóra odchodziła mu od palców i dłoni za każdym razem, gdy mocniej pociągnął łańcuch lub zmienił pozycję. Rottweiler wydawał dźwięki przypominające bardziej charczenie starca niż ujadanie psa. Bremen wiedział, że pani Morgan za kilka sekund go dopadnie. Mogła po prostu podnieść lufę strzelby i pociągnąć za spust.

Pierwszy strzał wyłączył podwójny rząd świetlówek, lecz teraz na ciemny łeb psa padało plamiaste światło. Podniósł wzrok, na suficie ponad lampami zobaczył załamanie i kilkanaście plamek światła. Nie dziury w betonie, lecz prześwity w drzewie, wpuszczające światło wysokich lamp łukowych za chłodnią.

Pani Morgan szła między trupami trzy metry od niego. Jej oczy pobłyskiwały, sprawiały wrażenie nienaturalnie dużych; oddech napełniał parą powietrze. Rottweiler, zwisający z łańcucha, już się nie wyrywał, jego długie, kościste nogi drgały.

Na ten widok drugi pies dostał szału i pani Morgan musiała przez sekundę tulić strzelbę w ramionach i powstrzymać zwierzę, kiedy skakało po trupie

Murzyna, chcąc dosięgnąć nóg mężczyzny.

Bremen rzucił martwym rottweilerem w panią Morgan i ruszył do góry. Postawił mocno stopę na ramieniu trupa, a potem wspiął się po jego głowie. Pręt, na którym zwisały świetlówki, wytrzymał jego ciężar, lecz niepokojąco się kołysał. Kawałki tłuczonego szkła nadal opadały. Balansując na lodowatym pręcie, wcisnął swe ramiona i głowę w wąską studnię i napał barkami na popstrzone światłem drzewo.

Kobieta puściła smycz i podniosła strzelbę. Nie mogła spudłować z odległości dwóch i pół metra. Rottweiler wykorzystał ciało swego martwego towarzysza jako trampolinę i już wspinał się na rozkołysane zwłoki Murzyna, by dosięgnąć swego łupu.

Obojczyk czy inne kości, pod które wsadzono hak, ustąpiły i trup spadł, a wraz z nim wspinający się rottweiler i cały kram, przywalając w przejściu panią Morgan i martwego psa.

Strzał z dubeltówki trafił w porośnięty lodem blok betonu, kilka cali od lewego ramienia Bremena. Bremen poczuł szarpnięcie za rękaw i zimny strumyczek jak nagle włączony prąd elektryczny popłynął przez ciało pod ręką. Mężczyzna pochylił się, napał, omal nie ześlizgnął się z pręta, i spróbował jeszcze raz.

Klapę – jeśli to była klapa – zamknięto od zewnątrz. Bremen czuł opór stalowego, zgrzytającego skobla.

Dwa i pół metra w dole pani Morgan krzyknęła i kopnęła warczącego rottweilera. Oszołomiony pies obrócił się ku niej i warknął. Nie wahając się ani sekundy, kobieta podniosła strzelbę i ciężką kolbą łupnęła w głowę psa. Rottweiler upadł, niemal jak w teatrze, na trupa swojego towarzysza.

Bremen wykorzystał to sześćiosekundowe odroczenie. Złapał równowagę, znowu napierając całą siłą. Czuł, jak coś trzaska i pęka mu w plecach, lecz również czuł, jak zmurszałe ze starości i osłabione strzałami deski nieco się poddają. Na szyi mężczyzny wystąpiły ścięgna, a jego twarz mocno poczerwieniała. Napał z energią mogącą poruszyć góry, wstrzymać ptaki w locie.

Sądził, że pani Morgan strzeliła znowu dokładnie pod nim – huk i gwałtownie rozprężone powietrze ogłuszały – lecz to tylko pękły trzy szerokie deski, które poszybowały nad jego głową.

Stracił równowagę i spadał, buty ślizgały się po pręcie lamp, ale jego zdrętwiała z zimna lewa dłoń wystrzeliła w górę i schwyciła krawędź połamanych desek, a jednocześnie prawa wyrzucała łańcuch przez otwór i

samodzielnie szukała jakiegoś chwytu. Słyszał, jak pani Morgan coś krzyczy, ale wtedy podciągał się już, przeciskał przez otwór, rozrywając koszulę o połupane drewno, stopami odpychał się od prętu lamp.

Oślepił go blask lampy łukowej z wieży ciśnień z tyłu płaskiego dachu chłodni. Odtoczył się od połupanego otworu akurat na czas, by uniknąć następnego strzału. Dwie kolejne deski wyleciały w górę, zasypując Bremena drzazgami.

Nie przejmując się krwawiącym biodrem, udem i lewym ramieniem, nie zwracając uwagi na bolesne odmrożenia dłoni, Bremen podniósł się, wziął łańcuch z pokrytego żwirem dachu i pobiegł ku przodowi budynku, przeskakując przez gruby wąż przeciwpożarowy. Cztery rottweilery nadal przywiązane były smyczami do żelaznej rury przy drzwiach. Dostały szau, kiedy zeskoczył z czterometrowego dachu. Uderzył mocno, poczuł, jak lewa noga podwija się i padł ciężko na żwir i kamienie.

Psy rzuciły się na niego, jednak smycze trzymały – mężczyznę dzieliło od nich niecałe pół metra.

Podniósł się na kolana i zatoczył ku drzwiom, rozwartym zaledwie na kilkanaście centymetrów. Zimne, zjełczałe powietrze buchało jak oddech jakiegoś umierającego demona.

Słyszał kroki pani Morgan na oblodzonej podłodze, gdy biegła ku wyjściu.

Rzucił się naprzód i prawie zatrzasnął drzwi w momencie, gdy całym ciężarem uderzyła o nie z drugiej strony. Napór osłabł i Bremen wyobraził sobie, że kobieta daje krok do tyłu i ładuje strzelbę. Cztery rottweilery skakały na niego zaciekle, aż padały, lądując na grzbietach, pryskając pianą i śliną.

Przewłókł łańcuch przez skobel, podniósł z ziemi ciężką kłódkę i zatrzasnął na łańcuchu dokładnie w chwili, gdy pani Morgan wypaliła ze strzelby.

Stalowe drzwi, grube na piętnaście centymetrów i osadzone głęboko w stalowej framudze, nawet nie drgnęły, a odgłos strzału pozostał odległy i głuchy.

Bremen odstał i uśmiechnął się, a potem spojrzął na dach. Wystarczy, że prześladowczym przesunie na właściwe miejsce następnego trupa i po minucie wydobędzie się na zewnątrz. Nie wystarczyłoby mu czasu na znalezienie drabiny lub przykrycie czymś dziury. Nie zdołałby przed nią dobiec do hacjendy – był przecież ranny. Pokuśtykał ku południowej ścianie

chłodni.

Jeden z rottweilerów, suka, oderwał się i rzucił na niego.

Nagle odzyskana wolność widocznie tak ją zdumiała, że zapomniała o ujadaniu. Bremen pomknął za róg budynku, opadł na kolano, by uniknąć kłapiących szczęk, i z całej siły walnął zwierzę w korpus, tuż pod żebrami.

Rottweiler wypuścił powietrze z płuc niczym przebity balon. Pies upadł, lecz nogi już drapały, pazury darły ziemię. Już wstawał.

Bremen, łkając, ukląkł na wielkim grzbiecie zwierzęcia, złapał je za szczęki i skręcił mu kark. Trzy pozostałe psy szalały z tyłu.

Pokuśtykał za róg. Zaimprovizowany prysznic pani Morgan nadal tam stał: dwudziestolitrowe naczynie dwa metry nad ziemią, ciężki wąż strażacki biegnący w górę, do zbiornika o pojemności sześciu metrów sześciennych. Nie zważając na ból, podbiegł do prysznica, podskoczył, chwycił końcówkę rozpylacza, wciągnął się dostatecznie wysoko, by złapać chwyt na pojemniku i rozkołysał, aż zdołał położyć krwawiącą dłoń na czterocalowym wężu przeciwpożarowym.

Oberwane pod ciężarem człowieka naczynie spadło na kamienną wykładzinę, lecz Bremen był już na wysokości dwóch i pół metra – wspinał się po wężu, dyndającym teraz swobodnie.

Przetoczył ciało przez krawędź dachu i przez sekundę tam leżał, dysząc na żwirze. Lampa łukowa na ogromnym zbiorniku wciąż oślepiła. Usłyszał odgłosy od strony połamanej klapy czy też świetlika, przez który się poprzednio wydostał.

Podszedł, zerknął w dół i akurat na czas zobaczył lufę wędrującą ku otworowi.

Strzał przeszedł mu obok ramienia. Wznosząc broń, pani Morgan straciła chwyt i ześlizgnęła się na ramiona trupa młodej kobiety. Bremen słyszał przekleństwa, gdy jego prześladowczym, używając jednej ręki, zaczęła znowu wspinać się.

Pręt ze świetlówkami zazgrzytał, kiedy zawisła na nim ta postawna kobieta.

Bremen musiał usiąść, bo czuł, że zasłabnie. Włożył głowę między kolana i świat oświetlony lampą łukową skurczył się do wąskiego tunelu między ścianami czerni. Daleko, ach, jak daleko, słyszał hałasy pani Morgan: wspinała się, szukała równowagi, przykładała strzelbę do obramowania klapy, wstawała na nogi. Zamknął oczy.

– No, Jer. Wstawaj! Wstawaj natychmiast. Dla mnie.

Zmęczony, wzdychając, otworzył oczy, podczołgał się do węża przeciwpożarowego, zostawiając krwawe odciski dłoni i rozmazaną plamę za swą lewą nogą.

Ostatkiem sił – nie, siłami, które nie należały do niego, lecz zostały pożyczone z jakiegoś tajemnego miejsca – podniósł wąż, pokuśtykał z powrotem przez dach i zakołysał się na brzegu otworu.

Głowa i ramiona pani Morgan wystawały już na zewnątrz.

Ogromne białe oczy, szron na potarganych włosach, wargi odciągnięte mocno do tyłu w morderczym uśmiechu – istota mająca niewiele wspólnego z człowiekiem. Biały szum jej psychotycznej żądz krwi został niemal zagłuszony przez nagły przyptyk triumfu, który emanował z niej jak ciepły moc. Nadal uśmiechnięta, szamotała się, by precyzyjnie strzelić przez otwór.

Bremen, bez uśmiechu, uderzył w zawór, otworzył go i nieruchomo trzymał wąż, kiedy trzysta kilogramów wodnego ciśnienia splukało kobietę z pola widzenia i obluzowało deski wokół otworu. Podeszedł bliżej, a błędzący gejzer z obracającego się końca rury odrzucał żwir na piętnaście metrów, w noc.

Spadając, kobieta zabrała strzelbę. Bremen wyłączył wodę i ostrożnie zerknął przez krawędź otworu, na której już zaczynały tworzyć się sople.

Pani Morgan znów się wspinała – postać obramowana szadzią i pokryta warstwą lodu. Nadal dziko się uśmiechała.

Strzelbę trzymała w mlecznobiałej prawej dłoni.

Bremen westchnął, dał krok do tyłu, umieścił wąż nad otworem i otworzył zawór na cały regulator. Zatoczył się ku przodowi budynku i upadł na żwir przy niskiej ścianie otaczającej krawędź dachu. Na sekundę zamknął oczy.

Tylko na sekundę czy dwie.

OCZY

Gail od okresu dojrzewania cierpi na okropne migreny, więc gdy bóle głowy stają się częstsze i bardziej dolegliwe, ani ona, ani Jeremy przez kilka miesięcy nie przywiązują do tego odpowiedniej wagi. Stresy powodują częste migreny i obydwój podejrzewają, że to wiadomość o samobójstwie Jacoba Goldmanna wywołała ostatnią serię bólów. W końcu jednak – gdy Jeremy musiał opuścić seminarium na uniwersytecie i zataczając się z bólu będącego echem jej katuszy znalazł ją na dole w łazience, gdzie Gail oślepią cierpieniem cały czas wymiotowała – idą do lekarza. Wysłał ich do specjalisty, doktora Singha, który natychmiast zapisał Gail na badanie tomografem i przy zastosowaniu rezonansu magnetycznego.

Gail jest zakłopotana.

– To jak testy Jacoba.

– Nie – przesyła odpowiedź Jeremy, trzymając ją za rękę.

Są w gabinecie doktora Singha – tutaj badają struktury... jak promienie X... Jacob bada działanie czoła fali.

Testy zostają przeprowadzone w piątek i doktor Singh nie wróci do nich aż do poniedziałku. Każde z nich widzi najczarniejsze prognozy skryte za gładkimi słowami otuchy, wypowiedzianymi przez lekarza. W sobotę bóle znikają, jakby samo badanie stanowiło kurację. Jeremy sugeruje, by odpoczęli w weekend, porzucili wszelkie prace na farmie i pojechali na plażę. Jest tydzień przed Dniem Dziękczynienia. Pogoda piękna: niebo niebieskie, ciepło, drugie babie lato w okresie, który na ogół stanowi najbardziej paskudną porę roku we wschodniej Pensylwanii.

Barnegat Light jest niemal bezludne. Rybitwy i mewy wrzeszczą, krążąc nad długim pasem piasku pod latarnią morską. Gail i Jeremy rozkładają koce pośród wydm, baraszkując jak nowożeńcy. Gonią się po falach, grają w berka, łaskoczą wzajemnie, pod byle pretekstem dotykają się w zmoczonych bryzgami kostiumach, wreszcie wyczerpani, pokryci gęsią skórką wracają i padają na koce. Obserwują, jak za wydmami zachodzi słońce.

Kiedy światło zanika, nadchodzi zimny wiatr. Jeremy naciąga na nich koc, ten mniej postrzępiony. Są teraz w ciepłym gnieździe. Trawy na wydmach i niskie płotki odbijają czerwień i złoto jesiennego słońca. W ciągu dwóch minut niesamowitego zachodu słońca biała latarnia morska żarzy się w nieopisywalnych odcieniach różu i blaknącej lawendy. Pryzmaty i lampy

rzucają na plażę słoneczne światło – plamy czystego złota.

Ciemność napływa nagle, aż zapiera dech. Spada jak kurtyna. Na plaży nie ma nikogo, jedynie oni, i tylko w kilku domkach pali się światło. Wiatr od morza grzechocze suchą trawą, kręci się na wydmach, wzdychając jak niemowlak.

Jeremy wysoko naciąga koc wokół nich, zsuwa z Gail mokry jednoczęściowy kostium, najpierw z ramion, potem niżej.

Jej piersi wznoszą się uwolnione od obcisłego materiału. Czuje tam gęsią skórę, równie twardą jak brodawki jej piersi, a potem zsuwa kostium przez owal jej bioder, z nóg, przez małe stopy. Następnie sam uwalnia się ze spodenek.

Gail otwiera ramiona, wciągając go ponad siebie. Zimny wiatr i gęstniejąca ciemność stają się nagle odległe, zapomniane. Istnieje tylko ciepło ich uścisku i kontaktu myślowego. Bremen porusza się wolno, nieskończenie wolno, czuje, jak ona dzieli jego myśli i wrażenia – a potem tylko same wrażenia. Suną na narastającej bryzie i przyboju, ku jakiemuś szybko cofającemu się jądro wszechrzeczy.

Razem mają orgazm, który trwa. Odnajdują się wzajemnie w napływającej fali zmysłowych i przelotnych dotyków, a potem w myślotyku, którego strukturę, zmaconą przedtem w wirze uczuć, znowu stanowią słowa.

– Właśnie dlatego chcę żyć – przesyła Gail cichym i wrażliwym na zakłócenia myślotykiem.

Jeremy czuje gniew, zawrót głowy. Trwoga wzbiera w nim tak silnie, jak przed kilkoma chwilami – namiętność.

– Będziesz żyła. Będziesz.

– Przrzekasz? – przesyła Gail lekkim głosem umysłu. Lecz pod lekkością Jeremy widzi strach–przed–ciemnością–pod–łóżkiem.

– Przrzekam – przesyła Jeremy. – Przysięgam. – Przytula ją mocniej, próbując pozostać w jej wnętrzu, lecz czuje powolne wycofywanie się, nad którym nie panuje. Ściska ją bardzo mocno, aż Gail wzdycha. – Przysięgam, Gail – przesyła. – Obiecuję. Obiecuję ci.

Gail kładzie chłodne dłonie na jego ramionach, wtula mu twarz w zagłębienie szyi, gdzie pozostał smak soli, i wzdycha, niemal odplywa w sen.

Po chwili Jeremy przesuwa się nieznacznie. Leży teraz na boku i bierze ją śpiącą w ramiona. Dokoła nich wiatr dmie z niewidocznego oceanu, zimny, późnojesienny. Gwiazdy prawie nie mrugają, świecąc zimową jasnością, lecz Jeremy naciąga mocniej koc i mocniej przyciska Gail do siebie, ogrzewając

ich oboje ciepłem swego ciała i energią swej woli.

– Obiecuję – przesyła śpiącej ukochanej. – Obiecuję ci.

MY, WYDRAŻENI LUDZIE

Obudził się późno następnego dnia. Słońce jasno świeciło.

Skórę Bremena pokrywały bąble, żwir piekł go w gołe ręce.

Usta mu popękały, jak stary, postrzępiony pergamin. Krew z biodra i uda spłynęła na gorące kamienie, zastygła na strzępach dżinsów w brązową, kleistą pastę, którą musiał odrywać od dachu. Dobrze, że już przynajmniej nie krwawił.

Pokuśtykał do dziury w dachu. Dwa razy siadał, by przeszły mu mdłości i zawroty głowy. Słońce piekło.

Wąż zwisał w ciemnej dziurze, w której nadal wirowało zimne powietrze. Woda już nie kapiała. Światła w środku nie świeciły. Wciągnął wąż i zerknął na potężny zbiornik na dachu. Czy opróżnił się całkowicie? – pomyślał. Wzruszył ramionami i przeniósł wąż, zamierzając zejść po nim z dachu jak po linie.

Zeskoczył. Ból był tak wielki, że przez kilka minut Bremen musiał siedzieć na kamiennej płycie pod prysznicem. Głowę włożył między kolana. Wreszcie z wysiłkiem wstał i ruszył w długą podróż ku hacjendzie.

Martwy rottweiler przy chłodni już napuchł i cuchnął w południowym upale. Przy jego oczach roiły się muchy. Trzy pozostałe psy nie podniosły się, ani nie warczały na kuśtykającego obok Bremena, lecz obserwowały go udręczonymi oczyma, gdy drogą podchodził do wielkiego domu.

Kiedy tam dotarł, rozciął dżinsy, zdjął je, oczyścił rany na biodrze i udzie, a później stał pod błogosławionym prysznicem. Posmarował rany antyseptykiem – zemdłał na chwilę, gdy klepnął się po biodrze – a potem wygrzebał środek z kodeiną z apteczki pani Morgan. Zawahał się, włożył fiolkę do kieszeni koszuli. Z otwartej szafki z bronią w garderobie przy sypialni wyjął strzelbę i pistolet, naładował je, po czym pokuśtykał do szopy po świeże ubrania. Wszystko to zajęło mu prawie godzinę.

Gdy znowu zbliżył się do drzwi chłodni, zapadał już wieczór. Psy obserwowały lufę strzelby, skomlały i odsuwały się daleko, naprężając smycze. Bremen postawił przyniesioną z szopy wielką miskę wody. Najstarsza suka, Letitia, powoli się podczołgała i z wdzięcznością zaczęła chleptać. Pozostałe dwa psy poszły za jej przykładem.

Bremen odwrócił się plecami do psów i otworzył cyfrowy zamek. Łańcuch spadł na ziemię.

Zablokowane drzwi nie otworzyły się na oścież. Poluzował je przyniesionym z domu łomem, potem pchnął lufą strzelby i cofnął się. Zimne powietrze wyływało w upał bałwanami.

Bremen przykucnął z odbezpieczoną bronią i palcem na cynglu. Lód pobłyskiwał metr nad poziomem podłogi.

Nic się nie działo. Nie słychać było innych odgłosów oprócz chłeptania rottweilerów dopijających resztki wody, porykiwania bydła powracającego z pastwisk w dole i szumu prądnicy za chłodnią.

Uplłynęło kilka minut, zanim Bremen, schylony, wszedł do chłodni. Ślizgał się na lodowym wzgórku, szybko zmierzając w lewo. Oczy przywykały do ciemności. Wymachiwał strzelbą.

Po chwili opuścił lufę i wyprostował się w wirującym obłoku własnego oddechu. Powoli szedł do przodu.

Większość ciał ze środkowego rzędu została zrzucona z haków albo przez wodę tryskającą z góry, albo podczas panującego na dole szaleństwa. Stały teraz – tusze wołów i trupy ludzi – w stalagmitach postrzępionego lodu, zalane potopem sześciu tysięcy litrów ze zbiornika na dachu. Bremen bardzo ostrożnie stawiał buty na kostropaty wypukłościach niebieskozielonego lodu. Usiłował zachować równowagę i nie stąpać na ciała o obnażonych żebrach, zamarzłe w koszmarne upiory.

Pani Morgan znajdowała się prawie dokładnie pod dziurą, przez którą wpadały resztki słonecznego światła, przebijając się przez parę i kapiące stalaktyty. Narosłe lodowe wzgórze miało tu ponad metr, a ciała kobiety i dwóch psów wtopione w lód tworzyły jakby blade, trzygłowe warzywo. Twarz pani Morgan znajdowała się najbliżej powierzchni, a jedno rozszerzone niebieskie oko tworzyło wypukłość ponad linią szronu.

Jej dłonie, o palcach nadal zaciśniętych jak szpony, również wznosiły się nad warstwę lodu, niczym dwie nie dokończone rzeźby, oczekujące ostatecznej obróbki dłutem.

Miała bardzo szeroko otwarte usta. Zamarznięty strumień jej ostatniego oddechu jak zestalony wodospad wciekał do zestalonego morza zimna. Nieprzyzwoity obraz tworzył tak spójną, idealną całość, że przez ułamek sekundy Bremen wyobrażał sobie, jak kobieta wyrzuca skisły lód, napelniając nim pomieszczenie.

Psy stanowiły jakby jej część, połączone poniżej bioder kobiety w zastygły wir mrożonego mięsa. Strzelba wystająca przez lód z psiego brzucha mogła wyobrażać karykaturalną erekcję.

Bremen opuścił sztucer i drżącą dłonią dotknął warstwy lodu nad głową leżącej. Miał wrażenie, że pod wpływem ciepła dotyku kobieta zacznie się szamotać w zimnym całunie, zakrzywionymi szponami rozerwie lód i spróbuje go dosięgnąć.

Nie było żadnego ruchu, żadnego białego szumu. Oddech Bremena tworzył mgłę, przesłaniając naprężoną, oblodzoną twarz o rozwartej paszczy.

Odwrócił się i opuścił to miejsce. Ostrożnie stawiał nogi, by nie nadepnąć na jakąś twarz z wytrzeszczonymi oczyma, zatopioną w lodzie.

Wyjechał po zmroku. Wypuścił przedtem psy, przygotował im wodę i jedzenie, by mogły co najmniej tydzień przetrwać w pobliżu hacjendy. Toyotę pozostawił na miejscu, wziął dżipa. Kopułka rozdzielacza niczym kulfoniaste trofeum leżała na toalecie pani Morgan. Nie wziął jej pieniędzy – nawet należnej zapłaty. Tył dżipa wyładował trzema torbami z jedzeniem i kilkoma ośmiolitrowymi plastikowymi kanistrami napełnionymi wodą. Zastanawiał się, czy wziąć sztucer oraz pistolet, lecz w końcu wytarł je do czysta i włożył do skrzynki w garderobie. Chodził ze ściereczką wycierając powierzchnie w szopie, jakby mógł wymazać wszystkie swe odciski palców, ale potem zrezygnował, wsiadł do dżipa i ruszył przed siebie.

Jechał przez całą noc na zachód. Chłodne pustynne powietrze wyciągało go z koszmaru, w którym tak długo przebywał.

Wybrał zachód, ponieważ powrót na wschód wydawał mu się nie do pomyślenia. Gdzieś około dziesiątej wieczór osiągnął międzystanową 70 i znów zawrócił na zachód za Green River.

Niemal oczekiwał, że radiowóz szeryfa Howarda Collinsa pojawi się za nim, rycząc i migając światłami. Nie pojawiły się żadne światła. Bremen minął nieliczne samochody, gdy jechał na zachód przez nocne Utah.

Zatrzymał się w Salina. Za ostatnią gotówkę kupił benzyny i ruszył na zachód po szosie 50, gdy w pewnym momencie dogonił wolno jadący radiowóz policji stanowej. Odczekał do najbliższego odgałęzienia – jak się okazało, była to szosa 89 – i pojechał nią na południe.

Przejechał dwieście kilometrów, skręcił znowu na zachód w Long Valley Junction, tuż przed świtem przejechał przez Cedar City i nad międzystanową 15, jechał dalej na zachód drogą stanową 56 i zatrzymał dżipa za kilkoma suchymi topolami na parkingu na wschód od Panaca, już w Newadzie, trzydzieści parę kilometrów za granicą stanu. Na śniadanie przygotował sobie kanapki z kielbasy bolońskiej, popił wodą, rozłożył koc na suchych liściach w cieniu dżipa i zasnął, zanim jego mózg zdążył wyciągnąć jakieś ostatnie

wspomnienia, które nie pozwoliłyby mu spać.

Następnej nocy jechał wolno na południe szosą 93 po obrzeżach Narodowego Rezerwatu Dzikich Zwierząt Pharanagat. Nie podążał w żadnym szczególnym kierunku. Czuł neurogwar z przejeżdżających samochodów, lecz na tej cichej pustyni potrafił się skupić, jak nigdzie od wielu tygodni. Zdał sobie sprawę, że za następne sto dwadzieścia kilometrów skończy mu się benzyna i szczęście. Nie miał pieniędzy, by pojechać pociągiem czy autobusem, nie miał ani centa na kupno żywności, gdy skończą mu się zapasy, nie miał żadnego dokumentu tożsamości.

Nie miał także żadnych pomysłów. Jego emocje, tak przesadne i wyostrzone w ciągu ostatnich tygodni, po prostu go opuściły. Czuł się dziwnie spokojny, komfortowo pusty. Kiedyś, jako małe dziecko, po długim szlochaniu, doznał podobnego wrażenia.

Usiłował myśleć o Gail, o badaniach Goldmanna i o wnioskach z nich wypływających, lecz wszystko było z innego świata, z jakiegoś miejsca pozostawionego daleko ponad nim w górze, gdzie nie rządziło szaleństwo. Nie będzie tam wracał.

Prowadził samochód i nie myślał o niczym. Wskaźnik paliwa sygnalizował, że niebawem bak będzie pusty. Nagle szosa 93 skończyła się na międzystanowej 15. Posłusznie zjechał i posuwał się przez pustynię na południowy zachód.

Dziesięć minut później, gdy przejechał niewielkie wzniesienie, spodziewając się, że w każdej chwili dżip może prychnąć i stanąć, Bremen zdziwiony zobaczył, że pustynia wybuchła światłami – rzekami światła, płynącymi konstelacjami światła – i w jednej sekundzie elektrycznego olśnienia wiedział dokładnie, co robi tej nocy i nocy następnej, i jeszcze następnej. Możliwości wystrzeliły jak gałęzie niejednoznacznego rozwiązania jakiegoś skomplikowanego równania, wyraźne jak ta oaza jasności pośród pustynnej nocy.

Dżip dojechał akurat tam gdzie trzeba.

OCZY

Nawet obecnie z trudnością pojmuję koncepcję śmiertelności, jakiej dostarczyli mi Jeremy i Gail.

Umieranie, kończenie się, przerwanie istnienia – pojęcia wcześniej dla mnie nie istniejące. Aż Jeremy i Gail przynieśli to mroczne objawienie. Nawet teraz niepokoi mnie jej czarna, irracjonalna nieuniknioność. Jednocześnie intryguje mnie ona, nawet mnie przyzywa, i zastanawiam się, czy prawdziwym owocem drzewa – w baśniach, które rodzice Gail tak wytrwale przekazywali córce za jej młodych lat, owocu tego odmówiono Adamowi i Ewie – nie była wiedza, jak utrzymują te ludowe bajki, lecz właśnie sama śmierć. Śmierć może być atrakcyjnym pojęciem dla bóstwa pozbawionego nawet snu, gdy doglądało swojego stworzenia.

Dla Gail nie jest ona atrakcyjnym pojęciem.

Przez pierwsze dni po odkryciu nie dającego się zoperować guza za okiem, Gail jest niezwykle mężna i dzieli się swą ufnością z Jeremym, korzystając zarówno z języka, jak i z myślotyku. Jest pewna, że naświetlania pomogą... lub chemoterapia... lub jakaś remisja. Po znalezieniu wroga, po rozpoznaniu go, Gail mniej się teraz boi ciemności pod łóżkiem.

Lecz potem choroba i ciężka terapia wyczerpują ją. Nocami królują lęki, popołudniami – mdłości. Zaczyna rozpaczać.

Uświadamia sobie, że ciemność pod łóżkiem to nie rak, lecz niesiona przez niego śmierć.

Gail ma sen: siedzi na tylnym siedzeniu swego volvo, a ono mknie ku przepaści. W fotelu kierowcy nie ma nikogo, a Gail nie może sięgnąć i chwycić za kierownicę, gdyż od przednich siedzeń oddziela ją przezroczysta ściana z pleksiglasu. Jerry biegnie za samochodem, nie mogąc go dogonić. Krzyczy i macha rękami, lecz Gail go nie słyszy.

Gail i Jeremy razem budzą się z koszmaru, dokładnie wtedy, gdy samochód stacza się w przepaść. Każde zobaczyło, że tam w dole nie ma skał, nie ma klifowej ściany, nie ma plaży ani oceanu... Jedyne straszliwa ciemność, gwarantująca wiecznotrwanie tego straszego upadku.

Zimą Jeremy usilnie wspomaga żonę myślotykiem i prawdziwym dotykiem, gdy wspólnie siedzą na straszliwej huśtawce tej choroby: nadzieja i objawy remisji jednego dnia, niewielkie obiecujące Wiadomości następnego, a potem wiele dni bez krzty nadziei, gdy narasta ból i osłabienie.

Przez ostatnie tygodnie i dni Gail jest na powrót źródłem siły: odwraca ich myśli ku innym sprawom, dzielnie stawia czoło temu, czemu trzeba stawić czoło, kiedy nie ma już innego wyjścia. Jeremy coraz bardziej zagłębia się w sobie, kołyszany jej bólem, razem z nią wycofany i izolowany od kojących spraw przyziemnych.

Gail mknie ku przepaści, Jeremy towarzyszy jej aż do ostatnich metrów przed krawędzią. Jest zbyt chora na bliskość fizyczną, zakłopotana z powodu straty włosów i bólu, który nie daje żyć, a ustępuje tylko na parę krótkich chwil.

Ale i wówczas pozostają wysepki jasności, gdy stosując myślotyk podtrzymują żartobliwą zażyłość z długiego spędzonego wspólnie okresu.

Gail wie, że głęboko w umyśle Jeremy'ego znajduje się coś, czego on z nią nie dzieli – Gail dostrzega tam jakąś „nieobecność”, za zabliznioną myślotarczą. Ale przecież, myśli Gail, tyłoma rzeczami dzielił się z nią niechętnie od początku jej koszmarnej choroby, że prawdopodobnie jest to jeszcze jedna smutna prognoza.

Długo skrywana, wstydliva informacja o żylaku powrózka nasiennego tak się otorbiła, że trudno sobie wyobrazić, by Jeremy teraz się nią podzielił. Nie ma żadnych powodów, by teraz ją przekazywać... nie będą już mieli ze sobą dzieci.

A jednak w nocy, gdy Jeremy jedzie sam do Barnegat Light, by Gail leżącej w swym szpitalnym pokoju posłać obraz oceanu i gwiazd, postanawia podzielić się z nią tamtą wiadomością oraz drobnymi grzeszkami i wstydami, które ukrywał przez te wszystkie lata. Jakby otworzył drzwi i okna zatechłego, zbyt długo zamkniętego pokoju. Nie wie, jak Gail zareaguje, lecz wie, że te ostatnie dni, które spędzą razem, nie będą tym, czym być powinny, jeśli nie wykaże całkowitej uczciwości. Jeremy ma wiele godzin na przygotowanie swych rewelacji, gdyż Gail dużo śpi, oszołomiona lekarkami, poza zasięgiem myślotyku.

W ten poranek w końcu Wielkiego Tygodnia zasypia zmorzony, przed wschodem słońca, a kiedy się budzi, przyszłość nie składa się już z kilku ostatnich, razem spędzanych dni.

Gail przekroczyła brzeg przepaści.

Była wtedy sama. Przestraszona. Niezdolna, by dotknąć go ostatni raz.

Tak, ta idea śmierci bardzo mnie interesuje. Widzę ją tak, jak widziała ją Gail... jako szept dochodzący z ciemności pod łóżkiem... i widzę ją jako ciepły uścisk zapomnienia, zanik bólu.

Czuję jako coś bliskiego, co istnieje tuż obok.

To rzeczywiście frapujące, lecz teraz, gdy się zaczyna tak wiele, gdy kurtyna idzie w górę, jest w tym coś rozczarowującego, że wszystko może przestać istnieć i teatr opustoszeje przed ostatnim aktem.

ZŁE DOŁY

Bremenowi podobało się tutaj. Nie było nocy ani ciemności, a neurogwar nie znał granicy między przedostatecznymi, bezmózgowymi falami pożądania i chciwości, a ostateczną, wściekle mózgową koncentracją na liczbach, kształtach i szansach. Bremenowi tutaj się podobało, gdzie nie trzeba było się poruszać w ostrym blasku słońca, lecz można było istnieć jedynie w ciepłym, odbitym od chromu i drewna świetle zawsze zapalonych lamp, tutaj, gdzie śmiech i ruch nigdy nie słabły.

Załował, że Jacob Goldmann nie żyje i że nie może dzielić z nim tej tak konkretnej realizacji modelu. Tu fale prawdopodobieństwa zderzały się i załamywały w każdym momencie każdego dnia i realność była w takim stopniu niematerialna, w jakim potrafił to uczynić ludzki umysł.

Bremen spędził tydzień w pustynnym mieście i uwielbiał każdą zachłanną, szaloną, co–zjesz–to–twoje sekundę. Tutaj mógł narodzić się znowu.

Sprzedął dżipa jakiemuś Irańczykowi na East Sahara Avenue. Irańczyk, uradowany, że dostał środek transportu za swe ostatnie dwieście osiemdziesiąt sześć dolarów, nie żądał żadnych drobiażdżków w rodzaju różowego kwitka rejestracji samochodu.

Bremen wydał czterdzieści sześć dolarów na nocleg w Travel Inn niedaleko centrum. Przespał nieprzerwanie czternaście godzin, potem wziął prysznic, zgolił resztki brody, włożył swą najczystsza koszulę, dzinsy i ruszył w podróż przez śródmiejskie kasyna: Szczęście Pani, Słoneczny Taniec, Podkowa, Cztery Królowe, kończąc wreszcie na Złotym Samorodku. Zaczął wieczór ze stu czterdziestoma jeden dolarami i sześćdziesięcioma centami. Skończył noc mając ponad sześć tysięcy dolarów.

Nie grał w karty od okresu studiów – a wówczas grywał głównie w brydża – ale pamiętał zasady pokera. Nie pamiętał natomiast, że gra wymagała skupienia, głębokiego jak w medytacjach zen. Tu, przy stole pokerowym, brzytwy zewnętrznego neurogwaru stępiały pod wpływem panującego wokół laserowo intensywnego skupienia, całkowitego pogrążenia się w matematycznych permutacjach wprowadzanych przez każdą kolejną odżywkę i każdą nową kartę. Stępiała je również koncentracja, którą musiał osiągnąć Bremen, by to wszystko sobie ułożyć. Granie w pięciokartowego studa nie przypominało śledzenia sześciu telewizorów nastawionych na różne

stacje – przypominało raczej czytanie jednocześnie sześciu specjalistycznych podręczników, których strony są wciąż przewracane.

Gracze tworzyli całą galerię typów. Zawodowcy – ich dochody zależały od umiejętności i mieli umysły bardziej zdyscyplinowane niż znani Bremenowi matematycy. Utalentowani amatorzy – z radością obstawiali wysoko i szukali szczęścia.

Okazjonalny jeleń – siedział sobie przy stole, tłusty, szczęśliwy, głupi... nie zdając sobie nawet sprawy, że zawodowcy grają na nim jak na kiepskich skrzypcach. Bremen mierzył się ze wszystkimi.

Podczas drugiego tygodnia pobytu w Las Vegas przechodził kasyna na Stripie, deponował w sejfie każdego dostateczną sumę pieniędzy, by wchodzić do sal za darmo i by traktowano go jak ostrego zawodnika. Potem wędrował do pokoju graczy i stawał w kolejce, od czasu do czasu obserwował wideo, demonstrujące w kółko zasady gry. By wyglądać na bywalca, nabył marynarki Armaniego, które można nosić z jedwabnymi sportowymi koszulami, lniane spodnie za trzysta dolarów, które mięły się od samego spojrzenia, nie jeden, lecz dwa złote rolexy, pantofle Gucciego i stalową dyplomatkę, do trzymania gotówki. Zaopatrzył się w to wszystko, nie opuszczając nawet hoteli.

Z powodzeniem próbował szczęścia w Cyrku–Cyrku, Wydmach, Pałacu Cezara, Las Vegas Hilton, Alladynie, Riwierze, Grandzie Bally’ego, Mieście Sama i Piaskach. Czasami spotykał znajome twarze zawodowców przenoszących się od kasyna do kasyna, lecz najczęściej gracze na studolarowych stołach woleli grywać w swych ulubionych kasynach. W pokojach gry panował nastrój powagi jak w szpitalnych salach operacyjnych. Jedyne czasami skupienie przerywał głos hałaśliwego amatora. Czy grał z amatorami, czy zawodowcami, Bremen wygrywał. Zwracał jednak uwagę, by wygrywać, ale również przegrywać, dbając o powolne narastanie wygranych, co mogło być przypisane po prostu szczęściu. Wkrótce zawodowcy zaczęli omijać jego stół. Bremen wygrywał nadal, wiedząc, że szczęście sprzyja umysłom telepatycznym. Granica, El Rancho, Pustynna Gospoda, Rozbitkowie, Statek Komediantów, Holiday Inn Casino. Bremen posuwał się przez miasto jak odkurzacz, uważając, by nie wessać za dużo z jednego stołu.

Przy innych grach, nawet przy black jacku, gdzie gra się przeciw kasynu, istnieją ostre zabezpieczenia przed oszustwami i jakimiś „systemami”, natomiast przy grze w pokera asystuje jedynie wydelegowany przez kasyno rozdawacz. Od czasu do czasu Bremen zerkał na pokryty lustrami stół, gdzie

„oko na niebie” z pewnością rejestrowało wszystko na taśmach, lecz ponieważ kasyno brało swą część z wygranych, Bremen wiedział, że od tej strony nie należy się spodziewać podejrzeń.

Ponadto nie oszukiwał. A przynajmniej jego oszustwa nie dawały się w żaden sposób namierzyć.

Od czasu do czasu miał poczucie winy, że zabiera pieniądze innym graczom, lecz gdy myślątkiem sondował zawodowców przy stole, okazywało się, że są oni podobni do właścicieli kasyna – zadowoleni z siebie i pewni, że w ostatecznym rozrachunku wyjdą na plus. Niektórzy z amatorów, grając z dużymi chłopcami, odczuwali podniecenie prawie seksualne i Bremen miał wrażenie, że wcześniej wycofując niektórych z tych jeleni, wyświadcza im przysługę.

Nie zastanawiał się poważnie, co zrobi z tymi pieniędzmi.

Zdobywanie ich było jego celem, pustynnym objawieniem, i szczegółowy plan wydawania mógł chwilę poczekać. Jeszcze jeden tydzień, myślał, i wynajmę Learjeta, by zabrał mnie w dowolne miejsce na ziemi, gdzie tylko będę chciał.

Prawdę mówiąc, nie miał zamiaru nigdzie jechać. Tutaj, w tym najgłębszym z przebytych dotychczas tuneli, znalazł pewną ulgę otoczony intensywną chciwością, żądzą i płycizną.

Przemierzając halle jakiegoś hotelu z kasynami, Bremen przypomniał sobie, jak parę lat temu oglądał taśmę wideo z Mayorem Marionem Barrym: nudne wprawki z trywialności i sfrustrowanej erotyki. Nawet wytrawni hazardziści, grający o wysokie stawki, zajmujący apartamenty wyłożone grubymi dywanami, kotłujący się w wannach jacuzzi z reprezentacyjnymi dziewczynami, kończyli z uczuciem pustki i frustracji – pragnęli większych przeżyć, niż dawały same przeżycia. Bremen przekonał się, że całe miasto świetnie symbolizują chromowane koryta stale otwartych bufetów, oferujące góry taniego, niedobrego jedzenia, setki ludzi samotnych w hotelowych pokojach, wypatroszonych emocjonalnie przez dni i nocę hazardu, onanizujących się samotnie przy filmach wideo „dla dorosłych”, przekazywanych kablem do ich pokoi. Te ostatnie obrazy uzyskał myślątkiem.

Jednak przy stołach do pięciokartowego studa osiągnęto zapomnienie, chwilową nirwanę, raczej dzięki koncentracji, a nie dzięki medytacji, i Bremen, jeśli nie spał, gromadził pieniądze małymi porcjami, lecz systematycznie. Kiedy przemierzał większe kasyna na Stripie, w jego

stalowej dyplomatce leżało prawie trzysta tysięcy dolarów gotówką. Poszedł do Hotelu Mirage, podziwiał jego czynny wulkan na zewnątrz i akwarium z żywymi rekinami wewnątrz, i prawie podwoił swe pieniądze przez cztery noce gry turniejowej ze stawką wstępną dziesięć tysięcy dolarów.

Uznał, że jeszcze jedno kasyno będzie lukrem na ciastku i postanowił zakończyć całą sprawę w ogromnej, podobnej do zamku konstrukcji obok lotniska. W pokoju do gry w karty było rojno. Bremen poczekał, wraz z innymi jeleniami, kupił studolarowe żetony, kiwnął na przywitanie głową sześciorgu graczy – czterem mężczyznom i dwóm kobietom, tylko jedno z nich było zawodowcem – i usadowił się w nocnej mgiełce matematyki.

Cztery godziny i kilka tysięcy dolarów później rozdający ogłosił przerwę i niski, potężnie zbudowany mężczyzna w niebieskim kasynowym mundurze szepnął Bremenowi do ucha:

– Proszę mi wybaczyć, ale czy mógłby pan pójść ze mną?

W umyśle fagasa Bremen zobaczył jedynie rozkaz przyprowadzenia tego szczęśliwego gracza do menedżera, lecz widział również, że ten rozkaz zostanie wykonany bez względu na okoliczności. Fagas miał przy sobie automatyczną czterdziestkępiątkę w kaburze na lewym biodrze. Poszedł więc z nim do biura.

Neurogwar zmylił go. Fale żądz, chciwości, rozczarowania i ponownej żądz dodały się do tła mózgohałasu, więc Bremen nie dostał ostrzeżenia, zanim gestem wezwano go do wewnętrznego biura.

Gdy wszedł, pięciu mężczyzn obserwowało monitory. Oderwali od nich wzrok z niemal rozbawionymi minami, jakby dziwiło ich, że widzą stojący między nimi obraz telewizyjny, żywy i trójwymiarowy. Sal Empori rozparł się na długiej skórzanej kanapie, a po obu jego stronach rzezimieszki o imionach Bert i Ernie. Za biurkiem menedżera siedział Vanni Fucci. Założył ręce na tył głowy, w ustach ścisnął olbrzymie kubańskie cygaro.

– Chodź, cywilu – rzekł Vanni Fucci nie wyjmując cygara. Skinął, by fagas zamknął drzwi i czekał na zewnątrz. Vanni Fucci wskazał puste krzesło. – Siadaj.

Bremen stał nadal. Zobaczył wszystko w ich umysłach. Stalowa dyplomatka przy nogach Berta Cappiego należała do Bremena. Przeszukali jego pokój i znaleźli gotówkę. To ich hotel, ich kasyno. Czy też raczej kasyno nieobecnego Don Leoniego. I to właśnie złodziejasek Vanni Fucci, który załatwiał tu zupełnie inną sprawę, zobaczył Bremena na monitorze w biurze menedżera. Vanni Fucci kazał menedżerowi wziąć dwa dni urlopu.

Potem zadzwonił do Don Leoniego i ustalił, że poczeka na przybycie Sala i chłopców.

Bremen wyraźnie to wszystko zobaczył. A jeszcze wyraźniej i precyzyjniej zobaczył, co Don Leoni rozkaże zrobić z pętającym się cywilem, który znajdował się w niewłaściwym miejscu w niewłaściwym czasie. Najpierw Don Leoni miał zamiar pogadać z Bremenem w New Jersey, gdzie dowiedzieliby się, czy ten cywil to rzeczywiście cywil, czy też może pracuje dla jednej z rodzin w Miami. Nie miało to wielkiego znaczenia, ponieważ potem załaduje się Bremena na śmieciarkę i zabierze do ich ulubionego miejsca w Pine Barrens, gdzie przestrelą mu łeb, ciało włożą do zgniatarki w śmieciarce i wyrzucą paczkę w zwykłym miejscu.

Vanni Fucci uśmiechnął się szeroko i wyjął z ust cygaro.

– W porządku, nie siadaj. Naprawdę miałeś szczęście, dzieciaku. Ogromne szczęście. Przynajmniej do tej chwili.

Bremen zmrużył powieki.

Vanni Fucci skinął głową. Bert i Ernie ruszyli się szybko – szybciej, niż Bremen zdołał zareagować. Czuł, jak unieruchamiają mu ręce. Sal Empori podniósł strzykawkę do światła i przez marynarkę Armaniego za siedemset dolarów zrobił mu zastrzyk w ramię.

OCZY

Robby Bustamante umiera. Głuche, ślepe, niedorozwinięte dziecko wielokrotnie zapada w stan śpiączki i wydobywa się z niej jak jakaś pozbawiona wzroku dwudyszna ryba, przechodząca z wody w powietrze i nie znajdująca środków do życia w żadnym z tych żywiołów.

Dziecko jest strasznie poszkodowane i niektóre pielęgniarki wynajdują powody, by omijać ten pokój, inne zaś przeciwnie, przychodzą tam częściej niż potrzeba, próbując nieść dziecku ulgę samą swą obecnością. Rzadko, gdy Robby przedziera się ku świadomości i monitory nad jego łóżkiem pokazują coś innego, a nie tylko sen w stanie REM, chłopak pojękuje i bije dłońmi o kołdrę, rozczapierzone palce i sztywne łupki skrobią w prześcieradła.

Niekiedy pielęgniarki podchodzą i wycierają dziecku czoło lub zwiększają dawkę środków przeciwbólowych w kroplówce. Jednak ani głaskanie, ani lekarstwa nie przerywają kwilenia i gorączkowego drapania. Chłopiec jakby czegoś szukał.

Rzeczywiście, szuka. Robby rozpaczliwie próbuje znaleźć swego misia, jedynego towarzysza, jakiego miał przez te lata.

Dotykowego przyjaciela. Pocieszenia podczas nie kończącej się nocy, urozmaicanej jedynie atakami bólu.

Gdy Robby jest na wpół przytomny, przewraca się i skrobie po kocach i mokrych prześcieradłach. Szuka misia. Krzyczy przez sen, kwilenie falsetem rozlega się w szpitalnych korytarzach jak płacz potępieńca.

Misia nie ma. Matka i „wujek” cisnęli go razem z resztą dobytku dziecka do bagażnika samochodu, chcąc wszystko wyrzucić do pierwszego mijanego śmietnika.

Podczas tych rzadkich chwil, gdy Robby wznosi się ku świadomości, obraca się, jęczy i skrobie prześcieradła. Szuka misia.

Ale te chwile są coraz rzadsze i rzadsze, aż w końcu zanikają.

GEVION

Bremena zabrali na lotnisko Las Vegas w środku nocy.

Dwusilnikowy turbośmigłowiec Piper Cheyenne czekał na zewnątrz zaciemnionego hangaru. Już w trzydzieści sekund po wejściu pięciu mężczyzn na pokład kołował do startu. Bremen nie potrafiłby odróżnić dwusilnikowego turbośmigłowca Piper Cheyenne od promu kosmicznego, lecz pilot to potrafił.

Bremen rozczarowany skonstatował, że pilot dokładnie wie, kim jest jego pięciu pasażerów i dlaczego lecą do New Jersey.

Cała czwórka rzezimieszków miała broń, a Bert Cappi nosił swoją automatyczną czterdziestkępiątkę na ramieniu pod marynarką. Wylot tłumika wystawał tak, że dotykał żeber Bremena, on zaś oglądał wystarczająco wiele filmów w telewizji, by rozpoznać tłumik, gdy już go zobaczył. Wystartowali ku zachodowi, weszli stromo, po czym zakręcili na wschód, zostawiając za sobą góry. W samolociku znajdowały się dwa fotele po obu stronach – za siedzeniem pilota i za pustym siedzeniem kopilota. Przy ścianie działowej z tyłu umieszczono ławę. Sal Empori i Vanni Fucci usiedli w pierwszych dwóch fotelach po obu stronach wąskiego przejścia; w następnym rzędzie posadzili Bremena, z drugiej strony przejścia zbira o imieniu Ernie; Bert Cappi siedział przypięty do ławy z tyłu dokładnie za Bremenem. Pistolet spoczywał mu na kolanach.

Samolot bucząc sunął na wschód. Bremen oparł twarz o zimny pleksiglas okna i zamknął oczy. Myśli pilota były chłodne, jasne i techniczne, lecz czterech zbirów jawiło się myślotykowi Bremena jako kocioł podłej złośliwości. Bert, dwudziestosześcioletni zabójca i zięć Don Leoniego, nie mógł się doczekać przyjemności zarżnięcia Bremena. Miał nadzieję, że cywil czegoś spróbuje, nim dojadą na miejsce, więc załatwił dupka po drodze.

Wiatr miotał samolocikiem i Bremen czuł, jak wznosi się w nim pustka. Śmieszna sytuacja – jak w komiksie czy tanim serialu – lecz gwałtowne rozwiązanie było tak realne i nieuchronne, jak zderzenie jadących na siebie samochodów.

Wściekły gniew na krzywdziciela dziecka w Denver był pierwszym takim zdarzeniem – przedtem nigdy nikogo nie uderzył. Nikomu nie rozbił nosa. Zdaniem Bremena gwałt zawsze stanowił ostatnią drogę wyjścia dla kogoś emocjonalnie i intelektualnie kalekiego. A teraz siedział w tej hermetycznej

maszynie, gdzie fotele i drzwi wydawały się jeszcze mniej solidne niż w amerykańskim samochodzie, wspominał pokrytą lodem twarz pani Morgan, a brutalne myśli brutalnych mężczyzn tarły mu mózg niczym papier ścierny. Jak na ironię, chcieli zabić Bremena nie z powodu osobistej urazy. To był ich sposób na rozwiązanie pewnego problemu, osłabienie pomniejszego potencjalnego zagrożenia. Zabijając człowieka o nazwisku Jeremy Bremen – a tego nazwiska nawet nie znali – nie wahaliby się bardziej, niż Bremen usuwając błędne przekształcenie jakiegoś równania. Jednak odczuwaliby przy tym więcej radości.

Piper Cheyenne leciał jednostajnie. Dźwięki turbośmigłowych silników tworzyły melodyczny kontrast z ciemnymi wirami Vanniego Fucciego, Sala Emporiego, Berta i Erniego.

Vanni Fucci pochłonięty był liczeniem gotówki w stalowej dyplomatce Bremena – złodziej przeliczył już trzysta tysięcy dolarów i miał jeszcze przeliczyć trzecią część banknotów. Bremen zauważył, że licząc pieniądze, podniecony Fucci pulsował, jakby był podniecony seksualnie.

Bremen popadał w coraz głębszą depresję. Powróciła apatia, w której tkwił przed potyczką z panią Morgan – zimna, ciemna fala, grożąca, że zabierze go ze sobą w noc.

W ciemność pod łóżkiem.

Otworzył oczy i zaczął przebijać się przez mdlący neurogwar i usypiający hałas silnika. Koncentrował się na wspomnieniu o Gail, wznoszącym się jak solidna skała, na którą mógł się wspiąć ponad czarny przypływ. Ta pamięć stała się jego gwiazdą polarną. Narastający gniew stymulował go.

Przed świtem wylądowali, by uzupełnić paliwo. Bremen zajrzał w umysł pilota i zobaczył, że lądowisko jest terenem prywatnym, znajduje się na północ od Salt Lake, że Don Leoni dysponuje całym hangarem i że nie ma stąd żadnej szansy ucieczki.

Zrobili przerwę na toaletę; Bert i Ernie trzymali swoje czterdziestki w pogotowiu, gdy Bremen siusiał. Potem wrócił do samolotu. Bert przystawił mu lufę pistoletu do potylicy, a inni korzystali z ubikacji i pili kawę w biurze hangaru. Bremen widział, że gdyby nawet w cudowny sposób uciekł Bertowi Cappiemu, inni by go ustrzelili, nie zważając na widzów mogących zaalarmować policję.

Uzupełnili paliwo, wystartowali i trzymali się międzystanowej 80. Bremen wiedział o tym tylko z luźnych myśli pilota – samą ziemię przesłaniała solidna pokrywa chmur pięć tysięcy metrów pod nimi. Jedyne

hałas stanowił szum silnika i okazjonalna wymiana zdań między pilotem a obsługą naziemną.

Słońce późnego lata ogrzało wnętrze samolotu i bandyci kolejno zapadli w drzemkę. Jedynie Vanni Fucci nadal dumał o pieniądzach i o tym, ile może im odpalić Don Leoni jako nagrodę za schwytanie cywila.

Działaj teraz! – pomyślał Bremen, czując napływ adrenaliny. Wyobrażał sobie, jak chwyta broń Berta Cappiego lub Erniego Sanzy. Przejrzał ich pamięć i wiedział, jak używać automatycznej czterdziestki piątki.

A co potem? Z tym gorzej. Spentrowawszy ich pamięć wiedział również, że czterej twardzi, podli bandyci nie zareagują na pistolet automatyczny, którym ktoś wymachuje w samolociku lecącym na wysokości sześciu i pół tysiąca metrów. Gdyby Bremen był tylko z samym pilotem, może udałoby się go przekonać, by zboczył z trasy i gdzieś wylądował. Pilot – noszący nazwisko Jesus Vigil – przemycał wcześniej narkotyki z Kolumbii. Zanim zaczął pracować dla Don Leoniego, zdarzało mu się uciekać na wysokości wierzchołków drzew przed samolotami Wydziału Walki z Narkotykami. Jednak obecnie bardziej mu odpowiadała pozbawiona takich emocji praca u mafijnego szefa i nie miał zamiaru młodo umierać.

Czterej gangsterzy, zwłaszcza Bert Cappi i Ernie Sanza, znacznie skrupulatniej przestrzegali nakazów machizmu – przynajmniej swoich włoskich i sycylijskich wersji tych nakazów – i nie pozwoliliby, żeby jakiś cywil ich rozbroił lub uciekł im z aresztu. Każdy z nich raczej dałby umrzeć swemu partnerowi, nim by się zgodził na coś podobnego. Żaden z nich nie miał ani dostatecznej inteligencji, ani wyobraźni, by przedstawić sobie śmierć własną.

Późnym rankiem znowu wylądowali, tym razem w pobliżu Omaha, lecz Bremenowi nie pozwolono wsiąść z samolotu.

Pozostali mężczyźni całkiem się rozbudzili i Bremen czuł ich pragnienie, by cywil – to znaczy on – czegoś popróbował. Popatrzył na nich obojętnie.

Znowu wystartowali. Przez chwilę widział szeroką rzekę, potem przebili się przez chmury. Teraz silnie koncentrował uwagę na wspomnieniach i myślach pilota, spentrował jego pamięć o trasie lotu, która właśnie została uaktualniona w Omaha. Cheyenne jeszcze raz uzupełni paliwo – tym razem na prywatnym lotnisku w Ohio – a potem polecą prosto ku lotnisku Don Leoniego, położonemu dwa kilometry od jego rezydencji w New Jersey. Będzie na nich czekała limuzyna. Potem krótka dyskusja z Don Leonim – głównie monolog, w którym szef upewni się, że Bremen nie pracuje dla

któregoś z przyjaciół Chico Tartugiana w Miami. Przesłuchanie może się łączyć z utratą przez Bremena kilku palców i jednego czy nawet obydwu jąder. Wreszcie, gdy już będą pewni, Bert, Ernie i psychopatyczny Portorykańczyk Roachclip zabiorą Bremena do Pine Barrens, by zrobić to, co należy. Potem śmieciarka weźmie utwardzony zgniatarką pakunek jego kości na wysypisko koło Newark.

Piper Cheyenne buczał aż do popołudnia. Sal i Vanni Fucci rozmawiali o interesach, ufni, że cywil z tylnego fotela nic nikomu nie powtórzy z ich rozmowy. Ernie próbował się wycofać do tylnej ławy, by zagrać z Bertem w karty, lecz Sal Empori wrzasnął, rozkazując mu, by znów usiadł na fotelu naprzeciw Bremena. Ernie siedział jak kura na jajach, próbował czytać rozdział z powieści erotycznej, a potem się zdrzemnął.

W końcu Bert Cappi również lekko zasnął, śniąc, że pieprzy aktoreczkę z nowego kasyna Don Leoniego.

Bremena też kusiło, by uciąć sobie drzemkę. Złupił profesjonalną pamięć pilota z wszystkiego, co się dało. Rozmowa Sala i Vanniego Fucciego powoli zamierała. Słychać było tylko odgłosy silnika i od czasu do czasu zgrzyt w radiu, gdy zmieniali naziemny rejon kontroli lotów. Lecz zamiast zapaść w sen, Bremen postanowił pozostać przy życiu.

Zerknął w dół i zobaczył tylko obłoki, lecz z myśli pilota wiedział, że znajdowali się gdzieś na wschód od Springfield w Missouri. Ernie cicho chrapał. Bert roił we śnie.

Bremen w milczeniu odpiął pas swego fotela i na pięć sekund zamknął oczy. Tak, Jeny. Tak.

Działął już bez namysłu, szybciej i sprawniej niż kiedykolwiek w życiu. Błyskawicznie wstał, obrócił się, wślizgnął na tylną ławę i wyjął z ręki Berta Cappiego pistolet automatyczny.

Potem wparł się plecami w kąt, na styku tylnej ścianki działowej z kadłubem i machał bronią, najpierw na zaskoczonego Berta, później na parsającego, budzącego się Erniego, a potem na wszystkich, kiedy Sal Empori i Vanni Fucci sięgnęli po swoją broń.

– Tylko spróbujcie – rzekł Bremen bezbarwnym głosem – a pozabijam was wszystkich.

Samolocik wypełniły krzyki i przekleństwa, wreszcie pilot przekrzyczał wszystkich.

– Jesteśmy pod ciśnieniem, na litość boską – wrzasnął Jesus Vigil. – Jeśli ktoś wystrzeli, będzie to cholernie zła nowina.

– Odłóż pieprzony pistolet, skurwysynu! – wrzasnął Vanni Fucci. Dłoń miał w połowie drogi ku pasowi.

– Stop, pierdolcy! Nie ruszać się, do cholery! – krzyknął Sal Empori na Berta i Erniego. Dłonie Berta wznosiły się, jakby chciał udusić cywila. Prawa ręka Erniego znajdowała się już pod jego jedwabnym sportowym płaszczem.

Przez sekundę panowała cisza. Tylko Bremen wykonywał krótkie, energiczne, lecz przemyślane ruchy ręką z pistoletem. Słyszał ich myśli tłukące się wokół jak napędzany burzą przybój. Jego serce biło głośno, bał się, że nie usłyszy innych dźwięków. Lecz usłyszał, gdy pilot odezwał się znowu.

– Hej, spokojnie, chłopcze. Płytkie nurkowanie. Kutas nie zauważy. Jeszcze kilometr i hermetyzacja nie będzie ważna.

Niech Empori i Fucci zawsze stoją między przodem a cywilem, by zabłąkane kule nie trafiły we mnie ani w przyrządy. Jeszcze siedemset metrów. Po prostu nie przejmuj się, chłopcze. Nikt ci nic nie robi. Pieprzony kutas powie mi, bym gdzieś wylądował. Powiem w porządku, a potem chłopcy go zaciukają.

Bremen milczał.

– Taa, taa, taa – rzekł Vanni Fucci, zerkając na Berta i nakazując mu gniewnym spojrzeniem, by dureń się nie ruszał. – Cholera, nie denerwuj się, dobrze? Porozmawiajmy o tym. Po prostu odłóż pieprzony pistolet, bo wystrzeli, dobrze? – Jego palce przesunęły się ku przypiętej do pasa trzydziestceósemce.

Bert Cappi omal się nie zadławił własną żółcią, taki był wściekły. Jeśli ten pieprzony cywil przeżyje następne kilka sekund, to osobiście utnie sukinsynowi jaja, a potem dopiero go zabije.

– Tylko bądźcie, cholera, cicho! – wrzasnął Sal Empori. – Wylądujemy gdzieś i... Ernie, kurwa! Nie!

Ernie położył dłoń na pistolecie.

Vanni Fucci zaklął i wyciągnął swą własną broń.

Pilot przygiął się i dał samolotem nura ku gęstszemu powietrzu.

Bert Cappi warknął coś i rzucił się w przód.

Jeremy Bremen zaczął strzelać.

OCZY

Podczas choroby Gail Jeremy porzuca naukę, oprócz zajęć ze studentami i badań nad chaosem. Prowadzenie wykładów utrzymuje go przy zdrowych zmysłach. Badania w teorii chaosu zmieniają na zawsze jego poglądy na wszechświat.

Jeremy słyszał przedtem o matematyce chaosu, ale dane z doświadczeń Jacoba Goldmanna zmusiły go, by dogłębnie się nią zainteresował. Jak większość matematyków, uważa, że teoria bez wzorów, nieprzewidywalna, bez ograniczeń, jest sprzecznością samą w sobie. Niechlujstwem. To nie taka matematyka, jaką zna. Jeremy pociesza się, że Henry Poincare, wielki dziewiętnastowieczny matematyk, który natknął się na ideę chaosu, gdy tworzył topologię, bardzo nie lubił chaosu w królestwie liczb, jak Jerry nienawidzi go dzisiaj.

Jednak dane Jacoba Goldmanna każą pójść w dżunglę matematyki chaosu, jeśli chce analizować ludzki umysł jako holograficzne czoło fali. Między przygnębiającymi wizytami u Gail w szpitalu, po dniach chemoterapii, Jeremy czyta kilka książek na temat matematyki chaosu, a potem zagłębia się w streszczenia i artykuły. Wiele z nich przetłumaczono z francuskiego i niemieckiego. Kiedy zimowe dni się kurczą, a potem niechętnie wydłużają, i kiedy choroba Gail nieubłaganie coraz szybciej ją niszczy, Jeremy czyta prace Abrahama i Marsdena, Barenblatta, Ioossa i Josepha; studiuje teorie Aruna i Heinza, prace Levina, dotyczące fraktali prace Mandelbrota, Stewarta, Peitgena i Richtera. Po długim dniu przebywania z Gail, gdy trzyma ją za rękę podczas torturujących, bolesnych i upokarzających zabiegów, wraca do domu i tonie w takich pracach jak *Drgania nieliniowe, systemy dynamiczne i bifurkacje pól wektorowych* Guckenheimera i Holmesa.

Powoli zaczyna rozumieć. Stopniowo pojmuje, że matematyka chaosu przeplata się ze standardową analizą fal Schrödingera dla percepcji holograficznej. Powoli jego pogląd na wszechświat ulega zmianie.

Dowiaduje się, że jednym z powodów powstania nowoczesnej matematyki chaosu jest nasze niepowodzenie w przepowiadaniu pogody. Nawet przy użyciu superkomputerów Cray X-MP, przeżuwiających liczby z szybkością ośmiuset milionów operacji na sekundę, prognozy pogody to kłapa. W ciągu pół godziny Cray X-MP może dokładnie przewidzieć pogodę następnego dnia dla całej północnej półkuli. Po dniu gorączkowej aktywności

superkomputer potrafi wypracować dziesięciodniowe prognozy dla półkuli północnej.

Lecz wyliczenia zaczynają się rozjeżdżać po około czterech dniach i wszelkie estymacje, co będzie za tydzień, zamieniają się w czystą zgadywanke nawet dla Craya X-MP, gryzącego zmienne z szybkością sześćdziesięciu milionów kęsów na minutę. Wszystkich meteorologów, ekspertów od sztucznej inteligencji i matematyków irytuje owo niepowodzenie. Nie powinno mieć miejsca. Skoro komputer potrafi przewidzieć ruchy gwiazd na miliardy lat wprzód, dlaczego prognozowanie pogody jest tak trudne? Zbiór zmiennych, z którym mamy tu do czynienia, jest oczywiście duży, lecz przecież skończony.

By dalej to badać, Jeremy musi przestudiować prace Edwarda Lorenza i teorie chaosu.

We wczesnych latach sześćdziesiątych urodzony matematyk, który został potem meteorologiem, Edward Lorenz, używał dość prymitywnego komputera, Royal McBee LGP-300, do wykreślenia wartości zmiennych badanych przez B. Salzmana w równaniach modelujących zwykłą konwekcję, wznoszenie się gorącego powietrza. Lorenz znalazł w równaniach Salzmana trzy istotne zmienne, odrzucił pozostałe i zapuścił swój lampowy, brzęczący i szumiący Royal McBee LGP-300, by rozwiązywał równania w spokojnym tempie jednej operacji na sekundę. W rezultacie otrzymał...

...chaos.

Używając tych samych zmiennych, w tych samych równaniach, startując z tych samych danych, pozornie proste, krótkoterminowe przewidywania degenerowały się w pełne sprzeczności szaleństwo.

Lorenz sprawdzał obliczenia, przeprowadzał liniowe analizy stabilności, dumał i rozpoczynał od nowa.

Szaleństwo. Chaos.

Lorenz odkrył „atraktor Lorenza”, w którym trajektorie równań okrążają dwa zakola w sposób pozornie przypadkowy.

Z chaosu Lorenza powstał bardzo precyzyjny wzorec: rodzaj bifurkacji Poincarego. Doprowadziła ona Lorenza do zrozumienia zjawiska, które nazwał „efektem motyla” w prognozach pogody. Mówiąc prosto, Lorenzowski efekt motyla polega na tym, że jeśli jakiś motyl w Chinach machnie skrzydełkami, spowoduje drobną, lecz nieuniknioną zmianę w atmosferze ziemskiej. Ta mała zmiana nakłada się na inne małe zmiany, aż

pogoda staje się... inna. Nieprzewidywalna.

Spokojny chaos.

Jeremy natychmiast widzi, jakie znaczenie mają prace Lorenza i wszystkie późniejsze badania z teorii chaosu dla interpretacji danych Jacoba.

Analizując te dane dochodzi do wniosku, że ludzki umysł, przez zniekształcające i oddające pośredni obraz soczewki swoich zmysłów, dostrzega jedynie nieustanne załamywanie się fal prawdopodobieństwa. Zgodnie z danymi Goldmanna, wszechświat najlepiej opisywać jako czoło fali stojącej, która się składa z wzburzanych falek chaosu probabilistycznego.

Zgodnie z własnymi badaniami Jeremy'ego, umysł ludzki to nic innego jak czoło innej fali stojącej, rodzaj superhologramu, skonstruowany z milionów kompletnych, choć mniejszych hologramów. Otóż umysł obserwuje owe zjawiska, załamuje, fale prawdopodobieństwa w uporządkowane serie zdarzeń, po czym dalej zajmuje się swoimi sprawami. („Fala czy cząstka?“, mówił Jeremy do Gail, gdy wracali pociągiem do Bostonu. „Wydaje się, że obserwator zmusza wszechświat do decyzji, przez prosty akt obserwacji...”).

Jeremy jest zagubiony, gdy szuka schematu tej nie kończącej się strukturyzacji niestrukturyzowalnego, aż natyka się na artykuł omawiający skomplikowane obliczenia, jakie przeprowadzono, chcąc ustalić położenie Hyperiona, księżycy Saturna, względem jego orbity, podczas przelotu sondy Voyager.

Orbita Hyperiona jest dostatecznie newtonowska i keplerowska, by można ją określić na wiele dziesięcioleci naprzód.

Lecz położenie księżycy względem tej orbity mogłoby być łagodnie określone jako pieprznik.

Hyperion koziółkuje i tego koziółkowania przewidzieć po prostu nie można. Jego położenie jest wyznaczane nie przez losowe wpływy grawitacji – wówczas zdolny programista, dysponujący sprytnym programem i odpowiednim komputerem mógłby je wyznaczyć – lecz przez chaos dynamiczny, rządzący się własną logiką czy też brakiem logiki. To Lorenzowski efekt motyla zachodzący w milczącej próżni w przestrzeni wokół Saturna, z bryłowatym, malutkim Hyperionem, odgrywającym rolę oszołomionej i koziółkującej ofiary.

Jeremy jednak odkrywa, że nawet na takich nie zbadanych oceanach chaosu mogą się znajdować wysepki liniowego rozsądku.

Tropem Hyperiona dociera do prac Andrieja Kołmogorowa, Władimira

Arnolda i Jurgena Mosera. Ci matematycy, specjaliści od układów dynamicznych, sformułowali twierdzenie KAM (to znaczy Kołmogorowa–Arnolda–Mosera), wyjaśniające istnienie klasycznych ruchów kwaziokresowych wewnątrz owego huraganu trajektorii chaotycznych. Wykres inspirowany przez twierdzenie KAM jest zawiłym rysunkiem, ukazującym niemal organiczną strukturę tych klasycznych, dających się wykreślić trajektorii, które są jak futerały z drutu i plastiku, zawijasowy wewnątrz zawijasów, gdzie rezonansowe wysepki porządku leżą w fałdach dynamicznego chaosu.

Matematycy amerykańscy ochrzcili ten model mianem VAK, skrótowcem od Vague Attractor of Kolmogorov. Jeremy sobie przypomina, że imię Vak nosi także bogini wibracji w Rigwedzie.

Nadchodzi dzień, gdy Gail idzie do szpitala nie na badania, lecz by tam pozostać... pozostać, aż wyzdrowieje dostatecznie, by powrócić do domu. Tak mówią lekarze, lecz zarówno ona, jak i Jeremy wiedzą, że nie będzie żadnego powrotu... Jeremy siedzi samotnie w swym gabinecie na drugim piętrze i gapi się na VAK – rozmyty atraktor Kołmogorowa.

Regularne trajektorie kwaziokresowe zawijające się powyżej wtórnego pokrycia rezonansami, trzecie pokrycie pączkujące w kształcie delikatniejszych, wielokrotnych rezonansów, trajektorie chaotyczne, przedzierające się przez organizm jak splątane druty.

A Jeremy widzi model dla swojej holograficznej analizy neurologicznej interpretacji tego zbioru załamujących się fal prawdopodobieństwa, który nazywa wszechświatem.

W głowie mu się rysuje model ludzkiego umysłu... i talentu, dzielonego z Gail... i wszechświata, który tak ją zranił.

Lecz przede wszystkim efekt motyla. Pewność, że całe ludzkie życie jest podobne do pojedynczego dnia w tym samym ludzkim życiu: nie zaplanowane, nieprzewidywalne, rządzone przez ukryte przyływy czynników chaotycznych i tłuczone skrzydłami motyla, przynoszącymi śmierć w kształcie guza lub – w przypadku Jacoba – w postaci kuli w mózgu.

Owego wieczora Jeremy realizuje swą życiową ambicję, odkrywa całkowicie nowy kierunek badań matematycznych – nie dla chwały czy kolejnych honorów akademickich, gdyż teraz to się dla niego nie liczy – lecz by przesunąć świetlisty krąg wiedzy trochę dalej w ciemności. Wysepki rezonansu w morzu chaosu.

Dostrzega drogi badań, którymi mógłby pójść, ale rezygnuje z nich,

zgarnia ze stołu artykuły, raporty, ściera wstępne równania z tablicy. Tej nocy stoi przy oknie i patrzy w nicość.

Cicho łka. Nie czuje gniewu ani rozpacz, lecz wypełnia go coś nieskończenie bardziej zabójczego: pustka, która wkracza od wewnątrz.

MY, CHOCHOŁOWI LUDZIE

– Panie Bremen? Panie Bremen, czy pan mnie słyszy?

Kiedyś, jako ośmioletni chłopiec, zanurkował w basenie przyjaciela i zamiast wypłynąć, po prostu zupełnie bez wysiłku opadł trzy metry pod powierzchnię. Leżał tam przez chwilę, czując pod plecami szorstki beton i obserwując świecący sufit, tak wysoko nad sobą. Nawet kiedy czuł ból w płucach i obserwował wspaniałe wznoszące się wokół powietrzne banieczki, i nawet gdy zdał sobie sprawę, że dłużej już nie może wstrzymać oddechu, ze wstrętem myślał o wynurzeniu się nad tę powierzchnię, z bolesną niechęcią uznawał konieczność powrotu do tego nagle obcego środowiska powietrza, światła i dźwięku. Pozostawał więc na dnie, uparcie opierając się wezwaniu, najdłużej jak było to możliwe, aż wreszcie powoli wypłynął ku tej powierzchni, smakując ostatnie sekundy wodnego światła, stłumionych dźwięków i srebrnej zamieci baniek.

Teraz też wznosił się powoli, na przekór sile ciągnącej go do światła.

– Panie Bremen, słyszy mnie pan?

Słyszał. Otworzył oczy, zamknął je szybko przed atakiem bieli i światła, a potem krzywiąc się, spojrzął spod ciężkich powiek.

– Pan Bremen? Jestem porucznik Burchill, z Wydziału Policji w St. Louis.

Bremen skinął głową, próbował skinąć. Głowa go bolała i miał wrażenie, że coś ją przytrzymuje. Leżał w łóżku. Białe prześcieradła. Pastelowe ściany. Stoliki na kółkach przy łóżkach i plastikowe rekwizyty sali szpitalnej. Na skraju pola widzenia dostrzegł po lewej zaciągnięte zasłony, po prawej zamknięte drzwi. Za siedzącym porucznikiem policji stał jeszcze jeden mężczyzna w szarym garniturze. Porucznik Burchill był mocno zbudowanym pięćdziesięcioletkiem o żółtawej cerze. Bremen pomyślał, że przypomina on trochę Moreya Amsterdama, komika o obwisłej twarzy w starym programie Dick Van Dyke Show. Milczący człowiek za porucznikiem był młodszy, lecz jego twarz wyrażała to samo zawodowe zmęczenie i cynizm.

– Panie Bremen – rzekł Burchill – słyszy mnie pan dobrze?

Bremen słyszał go dobrze, choć wszystko miało dla niego jakiś oddalony, podwodny posmak. I Bremen widział siebie przez oczy porucznika Burchilla: blady, okutany kocami i bandażami, lewe ramię w gipsie, głowa zabandażowana, dalsze bandaże widoczne pod cienką koszulą szpitalną, oczy napuchnięte i podkrążone z upływu krwi, pod gazą na brodzie i policzkach

widoczne świeże szwy. Kroplówka sączyła jasną ciecz w jego lewe ramię.

Zamknął oczy i próbował pozbyć się wizji odbieranej przez Burchilla.

– Panie Bremen, niech nam pan powie, co się wydarzyło.

Głos porucznika nie był łagodny. Podejrzenia. Niewiara, że ta miernota mogła zastrzelić tamtych pięciu cwaniaków i sama posadzić samolot. Ciekawość, dotycząca informacji o tym obywatelu, przekazanych przez komputer FBI – to uniwersytecki profesor matematyki, na miłość boską – ciekawość jego zmarłej żony, podpalenia domu i związków tego faceta z Don Leonim z New Jersey i jego opryszkami.

Bremen odchrząknął i próbował mówić. Głos miał jak zgrzyt.

– Dziesm?

Wyraz twarzy porucznika Burchilla nie zmienił się.

– Co to było?

Bremen znowu odchrząknął.

– Gdzie jestem?

– Jest pan w Szpitalu Internistycznym w St. Louis. – Burchill przerwał. – W Missouri – dodał po chwili.

Bremen usiłował kiwnąć głową i pożałował tego. Znowu próbował mówić, nie poruszając szczęką.

– Nie dosłyszałem – odpowiedział porucznik.

– Obrażenia? – powtórzył Bremen.

– Doktor jeszcze pana zbada, lecz z tego, co wiem, ma pan złamaną rękę i kilka siniaków. Nie zagraża to życiu.

Młodszy detektyw z wydziału zabójstw, sierżant Kearny, myślał: Cztery złamane żebra, ślad kuli na jednym z żeber, wstrząs, obrażenia wewnętrzne... ten idiota ma szczęście, że żyje.

– Od wypadku upłynęło osiemnaście godzin, pamięta pan wypadek? – spytał Burchill.

Bremen potrząsnął głową.

– Zupełnie nic?

– Pamiętam, jak rozmawiałem z wieżą o instrumentach pokładowych przy lądowaniu. Potem prawy silnik zaczął wydawać dziwaczne dźwięki i... więcej nie pamiętam.

Burchill wytrzeszczy! oczy. Ten dupek prawdopodobnie kłamie, lecz ktoś, do diabła, może to wiedzieć. Ktoś przebił kadłub i uszkodził silnik pociskiem z czterdziestkiątki.

Bremen czuł, jak ból zaczyna go zagarniać niczym powolny przyptyw,

któremu się nie śpieszy z wycofaniem. Nawet myślotyki i neurogwar szpitala zamigotały po tym przyplywie.

– Więc samolot się rozbił? – zapytał.

Burchill cały czas na niego patrzył.

– Czy jest pan pilotem, panie Bremen?

Bremen potrząsnął głową i omal nie zwymiotował z bólu.

– Przepraszam, co pan powiedział? – spytał porucznik.

– Nie jestem.

– A ma pan doświadczenie w lataniu małymi samolotami?

– U–um.

– Więc cóż pan robił za sterami Piper Cheyenne? – Głos Burchilla był równie nieubłagany jak pchnięcie rapiera.

Bremen westchnął.

– Próbowałem wylądować, poruczniku. Pilot został postrzelony. Żyje? Czy ktoś z tamtych przeżył?

Chudy sierżant pochylił się.

– Panie Bremen, poinformowaliśmy pana o przysługujących mu prawach jakiś czas temu, co zresztą zostało nagrane na taśmę, ale nie mamy pewności, czy był pan wtedy całkowicie przytomny. Czy zna pan te prawa? Czy życzy pan sobie, by wszystko powtórzyć w obecności adwokata?

– Adwokat? – powtórzył Bremen. Lekarstwo podawane kroplówką sprawiało, że widział jak przez mgłę, powodowało tępy szum w uszach i rozmywało myślotyki. – Pcomniadwokt? Nic nie zrobem...

Sierżant wciągnął powietrze, wyjął laminowaną kartę i rozpoczął litanię praw Mirandy, tak dobrze znaną z seriali kryminalnych milionom widzów. Gail zawsze intrygowało, czy policjanci są za głupi, by się nauczyć tych kilku linii na pamięć. Nawet publiczność już je pamięta.

Gdy sierżant skończył i ponownie spytał, czy Bremen chce adwokata, Bremen jęknął.

– Nie – oświadczył. – A inni żyją?

Martwi jak stara konina, pomyślał porucznik Burchill.

– Niech pan pozwoli mi zadawać pytania, dobrze, panie Bremen? – powiedział detektyw z wydziału zabójstw.

Bremen zamknął oczy. Substytut kiwnięcia głową.

– Kto postrzelił kto, panie Bremen?

Kogo. To głos Gail doszedł przez mgłę.

– Postrzeliłem tego o imieniu Bert. Z jego własnego rewolweru – rzekł

Bremen. – Wtedy rozpętało się piekło... wszyscy strzelali, prócz pilota. Potem trafili pilota, a ja przeszedłem do przodu i próbowałem wylądować. Widocznie nie spisałem się zbyt dobrze.

Burchill zerknął na swego partnera.

– Przeleciał pan na dwusilnikowym turbośmigłowcu prawie dwieście kilometrów, wprowadził właściwym korytarzem na Międzynarodowy Port Lotniczy Lambert i prawie pan wylądował tym cholerstwem. Faceci z wieży mówią, że gdyby prawy silnik nie przestał pracować, posadziłby pan maszynę zupełnie bezpiecznie. Czy jest pan pewien, że nigdy pan nie latał, panie Bremen?

– Całkowicie.

– Więc jak pan wyjaśni te...

– Szczęście – rzekł Bremen. – Desperacja. Byłem sam tam na górze. Ponadto sterowanie jest naprawdę proste, przy tej całej automatyce. – Ponadto stale odczytywałem mózg pilota podczas tych dziesięciu godzin lotu z Las Vegas – dodał Bremen niesłyszalnie. – Pech, że go zabrakło, gdy był mi potrzebny.

– Czemu znajdował się pan na pokładzie, panie Bremen?

– Przede wszystkim, poruczniku, proszę mi powiedzieć, skąd pan wie, jak się nazywam?

Burchill wybałuszył oczy i oświadczył:

– Pańskie odciski palców są w kartotece.

– Naprawdę? – spytał głupio Bremen. Oszołomienie wywołane lekarsktwami ustępowało, lecz szum spowodowany bólem narastał. – Nie wiedziałem, że pobrano ode mnie odciski palców.

– Pańskie prawo jazdy wydane w Massachusetts – wyjaśnił sierżant. Nie można było sobie wyobrazić bardziej monotonnego ludzkiego głosu.

– Czemu znajdował się pan na pokładzie, panie Bremen? – powtórzył Burchill.

Bremen oblizał wyschłe wargi i zaczął relację. Opowiedział im o obozie rybackim na Florydzie, o zwłokach, o Vannim Fuccim... o wszystkim z wyjątkiem koszmaru u pani Morgan i swoich tygodniach w Denver. Zakładał, że jeśli mają jego odciski, skojarzą go w końcu z zabójstwem pani Morgan. W tej chwili ani porucznik, ani sierżant o tym nie myśleli, lecz Bremen wiedział, że niedługo ktoś te fakty powiąże.

Burchill znowu utkwiał w nim bazylijszkowe spojrzenie.

– Więc wieźli pana z powrotem do New Jersey, żeby sam Don mógł pana

zarz... mógł pana uśmiercić. Powiedzieli to panu?

– Usłyszałem podczas ich rozmów. Widocznie nie krępowali się w mojej obecności... Chyba nakładali, że nikomu nie rozpowiem.

– A co z pieniędzmi, panie Bremen?

– Pieniędzmi?

– Pieniędzmi w stalowej dyplomatce.

Przeszło czterysta tysięcy, kutasie. Jakies pieniądze za narkotyki, o których wiesz? Może rozmawiamy teraz o interesie, który się nie udał na wysokości trzech tysięcy metrów.

Bremen tylko potrząsnął głową.

Sierżant Kearny nachylił się bliżej.

– Czy często pan gra w Las Vegas?

– Pierwszy raz – wybełkotał Bremen.

Radość, że obudził się żywy i mniej więcej w jednym kawałku, powoli mijała. Jej miejsce zajmował ból. Ponownie wracało poczucie pustki. Wszystko się skończyło. Wszystko się już skończyło wraz ze śmiercią Gail, lecz Bremen musiał teraz potwierdzić koniec swojej ucieczki, swoją bezmyślną, bezowocną, bezduszną próbę uniknięcia nieuniknionego.

Burchill coś mówił.

– ...zabrać mu broń?

Bremen uzupełnił pytanie porucznika z echa swego myślotyku.

– Chwyciłem pistolet Berta Cappiego, gdy ten zasnął. Chyba nie przypuszczał, że spróbuję coś zrobić podczas lotu.

Tylko szalenięć podjąłby próbę, kiedy w lekkim samolocie jest tak dużo broni, pomyślał porucznik Burchill.

– A dlaczego pan spróbował? – spytał głośno.

Bremen zrobił błąd – usiłował wzruszyć ramionami. Łupki i pozaklejane żebra nie pozwoliły mu dokończyć tego ruchu.

– Jaką miałem alternatywę? – wyskrzypiał. – Poruczniku, wszystko boli mnie jak cholera, a jeszcze nie widziałem ani lekarza, ani pielęgniarki. Czy możemy przełożyć to na później?

Burchill zerknął na mały notatnik, który trzymał w lewej dłoni, znów spojrzał bezbarwnie na Bremena i skinął głową.

– Czy jestem o coś oskarżony? – spytał Bremen. Głos miał zbyt zmęczony, by wyrazić nim prawdziwe oburzenie. Przekazywał jedynie znużenie.

Twarz Burchilla zapadła się w fałdy i zmarszczki. Tylko oczy miał

żywsze; nie przegapiał niczego.

– Pięciu ludzi nie żyje, panie Bremen. Czterej z nich to znani kryminaliści i wydaje się, że pilot był również związany z przestępczością zorganizowaną. Pański rejestr jest czysty, lecz pozostają wątpliwości na temat pańskiego zniknięcia po śmierci żony... i pożaru.

Bremen widział przesuwające się wektory myśli porucznika, w jakimś sensie równie uporządkowanych i precyzyjnych jak intensywne, wręcz laserowe skupienie pokerzystów–zawodowców, z którymi grywał przed niespełna dwoma dniami. Ten facet podpala swój dom i znika, po tym, jak jego żona wyciąga kopyta, myśli Burchill. A później, po prostu przypadkiem, jest na Florydzie, gdy załatwiają Chico Tartugiana. A potem, po prostu przypadkiem, znajduje się w Las Vegas, kiedy zabójca Chico i inni chłopcy Leoniego wiozą pieniądze. Aha. Schemat nie jest jeszcze jasny, lecz są już wszystkie elementy – pieniądze za ochronę, z narkotyków, szantaż... i ten tak zwany cywil powiada, że wyciągnął czterdziestkępiątkę Berta Cappiego i otworzył ogień.

Dziwaczne bzdury, lecz wkrótce wszystko się wyjaśni.

– Czy o coś się mnie oskarża? – powtórzył Bremen.

Czuł, jak ześlizguje się w bok, wpadając w mgiełkę bolesnego szpitalnego neurogwaru: konsternacja, zwykła trwoga, wyzwanie, depresja, a także – u wielu odwiedzających – zmieszana z poczuciem winy ulga, że to nie oni leżą na tych łózkach z plastikowymi bransoletkami na przegubach.

– Jeszcze nie – rzekł Burchill, wstając. Ruchem głowy wskazał sierżantowi drzwi. – Panie Bremen, jeśli mówi pan prawdę, wkrótce jeszcze porozmawiamy, prawdopodobnie w obecności agenta FBI. Tymczasem przed pokojem postawimy strażnika, by żaden z ludzi Don Leoniego pana nie dopadł.

Burchill ma w mózgu obraz umundurowanego funkcjonariusza policji, który stał w hallu przez ostatnie osiemnaście godzin.

Ten pan Bremen nigdzie stąd nie pójdzie. Zostanie albo świadkiem, albo oskarżonym o morderstwo, a może i jednym, i drugim.

Lekarz i dwie pielęgniarki wchodzą natychmiast po wyjściu detektywów z wydziału zabójstw, lecz Bremen jest tak oszołomiony, że nie może się skoncentrować na zwięzłym i rzeczowym medycznym raporcie. Dowiedział się tego, co już powiedziały mu oczy Burchilla – dowiedział się także, że skomplikowane złamanie lewego ramienia jest znacznie poważniejsze, niż sądził porucznik – natomiast wszystko pozostałe, to drobiazg.

Bremen pozwolił sobie na zapadnięcie w pustkę.

OCZY

Kiedy Jeremy leży w szpitalu w St. Louis, mnie dzielą tylko godziny od chwili, gdy będę obserwował, jak zawala się mój starannie skonstruowany wszechświat. Nie wiem o tym.

Nie wiem, że Jeremy leży w szpitalu. Nie wiem, że Gail istnieje ani że w ogóle istniała. Nie znam raju wspólnie dzielonych doświadczeń ani doskonałego piekła, w które ta zdolność pchnęła Jeremy'ego.

W tej chwili znam tylko ciągły ból egzystencji, wiem jak trudno uciec przed tą egzystencją. W tej chwili znam tylko rozpacz rozłąki z jedyną rzeczą, która w przeszłości dawała mi pocieszenie.

W tej chwili umieram... równocześnie jednak tylko godziny dzielą mnie od mych narodzin.

NA ZAWSZE NIEWIDOMI

Bremenowi śnił się lód i ciała wijące się w lodzie.

Śniła mu się wielka bestia z odpadającym mięsem i straszliwe krzyki pośród siarczanej nocy. Wzywały go tysiące tysięcy głosów pełnych bólu, przerażenia i samotnej ludzkiej rozpacz, a gdy się obudził, głosy wciąż rozbrzmiewały: neurogwar nowoczesnego szpitala pełnego cierpiących dusz.

Cały dzień leżał w łóżku, surfując na falach fizycznego bólu. Zastanawiał się, co mógłby teraz zrobić. Prawie nic nie przychodziło mu do głowy.

Detektyw Burchill powrócił wczesnym przedpołudniem z zapowiadającym specjalnym agentem FBI, lecz Bremen udał, że śpi, i obaj mężczyźni na żądanie przełożonej pielęgniarek po półgodzinie sobie poszli. Wtedy zasnął, a jego sny wypełniał lód i wijące się w lodzie ciała i krzyki dochodzące z rozłupywanej bólem ciemności.

Po przebudzeniu późną nocą, przedzierając się przez bełkot i zgrzyty, zogniskował swój myślotyk na umundurowanym funkcjonariuszu, stojącym na straży. Policjant patrolowy Duane B. Everett miał czterdzieści osiem lat, siedem miesięcy do emerytury i cierpiał na hemoroidy, płaskostopie, bezsenność i na schorzenie określone przez lekarzy jako „syndrom podrażnionego jelita”. Nie powstrzymywało to funkcjonariusza Everetta od picia dowolnych ilości kawy, choć oznaczało długie wycieczki do toalety na tym samym piętrze. Patrolowiec Everett chętnie wymieniał godziny służby wartowniczej z dwoma innymi funkcjonariuszami pracującymi na ośmiogodzinnych zmianach, chętnie też brał zmiany zaczynające się o północy. W nocy był spokój, mógł czytać powieść Roberta B. Parkera, flirtować z pielęgniarkami i pozwolono mu pić kawę, zawsze dostępną w hallu szpitala.

Za chwilę wszędzie słońce. W pokoju Bremena był oprócz niego jeszcze jeden pacjent – leżący na sąsiednim łóżku osobnik w stanie śpiączki. Bremen z trudnością się podniósł, wyciągnął igłę kroplówki, pokuśtykał do okna i chwilę wyglądał. Zimny powiew z klimatyzatora chłodził go nieprzyjemnie przez cienką nocną koszulę.

Jeśli ma stąd wyjść, powinien zrobić to teraz. Kiedy wyciągali go z rozbitego Piper Cheyenne, pocięli jego odzież – Bremen wyczytał w umyśle jednego z medyków szpitalnego pogotowia, że uważano za cud, iż nie nastąpił pożar, gdy samolot wrył się w błotniste pole niecały kilometr od

lotniska – lecz Bremen wiedział, gdzie znajdzie inne pasujące na niego ubranie. Będzie musiał się tylko dostać piętro niżej, do pokoju z szafkami stażystów.

Podszłuchał także, kto z nich trzymał w szafce kluczyki do samochodu... i jakie szyfry otwierają te szafki. Postanowił „pożyczyć sobie” prawie nowe i zatankowane do pełna volvo, należące do Bradleya Montrose’a; Bradley był lekarzem pogotowia i prawdopodobnie nie zauważy braku volva, dopóki nie zejdzie z dyżuru, to znaczy za siedemdziesiąt dwie godziny.

Bremen oparł się o ścianę i cicho jęknął. Ramię bolało jak diabli, głowa bolała niewiarygodnie, zebra czuł tak, jakby odłamki kości wpijały mu się w płuca, a inne rozliczne bóle ustawiły się w kolejce, by zwrócić na nie uwagę. Nawet ukąszenia w biodro i udo – pamiątka po pani Morgan – jeszcze się nie zagoiły.

– Czy uda mi się? Dobrać do ubrań? Prowadzić samochód? Wyprzedzić gliny?

– Chyba tak.

– Czy naprawdę masz zamiar ukraść sześćset dolarów z portfela Bradleya?

– Chyba tak. Jego matka wyrówna mu tę stratę, zanim Bradley opowie gliniarzom, co się stało.

– Do cholery, czy wiesz, gdzie pójdziesz?

– Nie.

Bremen westchnął i otworzył oczy. Zasłony przy łóżku uchyliły się nieco. Zobaczył głowę i ramiona umierającego dziecka, z którym dzielił pokój. Chłopiec wyglądał okropnie, choć Bremen, odczytawszy w ciągu dnia myśli lekarzy i pielęgniarek, wiedział, że ponury wygląd dziecka nie wynika jedynie z obrażeń. Chłopiec – Robby jakimś tam – był opóźniony w rozwoju, ślepy i głuchy jeszcze przed napadem, wskutek którego znalazł się tutaj.

Popołudniowy koszmar Bremena był częściowo echem złości i niesmaku jednej z pielęgniarek, która z troską opiekowała się Robbym. Chłopca znaleziono w kloacznym dole we Wschodnim St. Louis. Dzieci bawiące się na ugorach usłyszały dziwaczne krzyki dochodzące z wygodki i powiadomiły rodziców. Gdy sanitariusze wydobyli Robby’ego z zatopionego dołu wypełnionego odchodami, stwierdzono, że chłopiec leżał tam przeszło dwa dni. Był okropnie pobity i prognozy na przeżycie miał słabe. Pielęgniarka płakała nad nim... i modliła się do Jezusa, by dzieciak jak najprędzej umarł.

Według informacji pielęgniarek i lekarzy, policja nie znalazła matki ani

ojczyzna chłopca. Doktor, który doglądał Robby'ego, uważał, że władze nie zajmowały się tym zbyt gorliwie.

Bremen oparł policzek o szybę i myślał o chłopcu. Myślał o śmiertelnie chorych dzieciach, które spotkał w Świecie Walta Disneya i o chwili ukojenia, jaką im dał za pomocą myślotyku. Podczas całej bezcelowej, egocentrycznej ucieczki przed sobą samym, jedynie podczas tych kilku minut komuś pomógł, coś zrobił, a nie tylko litował się nad sobą. Wspomnił tamten moment i spoglądał na Robby'ego.

Chłopak leżał na boku, częściowo odkryty. Jego twarz i tors oświetlały stojące u wezłowania monitory aparatury medycznej. Podobne do szponów, dziwnie wykrzywione dłonie Robby'ego spoczywały na prześcieradłach; niezwykle cienkie przeguby budziły skojarzenia z jaszczurką. Głowa chłopca przechylała się niepokojąco, język wylewał z napuchniętych warg. Twarz miał plamistą i posiniaczoną, nos w widoczny sposób złamany i spłaszczony. Bremen podejrzewał, że oczodoły, chyba najbardziej uszkodzona część twarzy Robby'ego, zawsze wyglądały w ten sposób – zapadnięte, szerniałe, z ciężkimi powiekami, które tylko na w pół przykrywały nieużyteczne, białe kulki oczu.

Robby był nieprzytomny. Bremen nic nie odbierał od chłopca – nawet snów wywołanych bólem – i był wstrząśnięty, gdy się dowiedział z myśli pielęgniarki, że w pokoju przebywa jeszcze inny pacjent. Nigdy nie spotkał ludzkiej istoty, która tak absolutnie nie emitowałaby neurogwaru. W Robbym po prostu niczego nie było, choć Bremen dowiedział się z myśli lekarzy, że monitory wskazywały nieprzerwaną pracę mózgu. Rzeczywiście, wykresy EEG świadczyły o bardzo żywej aktywności REM – sen z niespokojnymi snami. Tym bardziej go zaskoczyło, że zupełnie nie chwyta snów chłopca.

Robby drgnął na łóżku, jakby zdając sobie sprawę, że jest obserwowany. Czarne włosy wznosiły się mu na czaszce w nieregularnych kępkach. W innej sytuacji Bremen uznałby, że wyglądają zabawnie. Oddech umierającego chłopca wyrывał się spomiędzy jego uszkodzonych warg jak rozdzierające zgrzytanie, nawet nie chrapanie, i czuł zapach jego oddechu z odległości dwu i pół metra.

Bremen pokręcił głową i wyjrzał w noc. Ból rzeczywistości ranił go jak odłamki potłuczonego szkła. To uczucie zastępowało łzy.

– Nie czekaj na Burchilla i człowieka z FBI, aż wrócą rano wypytywać cię na temat zabójstwa pani Morgan. Wyjdź stąd teraz.

– A dokąd pójść?

– O to się będziesz martwił później. Tylko wynieś się stąd, do cholery.

Westchnął. Wyjechałby później, zanim nadejdzie poranna zmiana i szpital się zarozi. Wziąłby volvo stażysty i ruszył w swoją drogę donikąd, nie dojeżdżając donikąd, nie chcąc być nigdzie. W dalszym ciągu będzie cierpieł na życie.

Znów zerknął na chłopaka w łóżku. Dziecięce ciało, zbyt duża głowa kojarzyły mu się z rozbitym, brązowym Buddą, zrzuconym z postumentu, który Bremen i Gail widzieli kiedyś w klasztorze pod Osaką. Dziecko było ślepe, głuche i miało uszkodzony mózg od urodzenia. A może Robby dysponował jakąś głęboką wiedzą zrodzoną z długiej izolacji od świata?

Chłopiec poruszył się, pożółkłe paznokcie poskrobały prześcieradła, pierdnął głośno i znowu zaczął chrapać.

Bremen westchnął, zasunął zasłony i przeniósł się na krzesło przy łóżku chłopca.

Funkcjonariusz Everett pójdzie do WC za jakieś trzy minuty.

Siostry na piętrze przygotowują lekarstwa, a siostra dyżurna nie zauważy mnie, jeśli zejść tylnymi schodami. Bradley przebywa w izbie przyjęć i przy szafkach nikogo prawdopodobnie nie będzie przez godzinę.

– Zrób to.

Kiwnął głową, walcząc z bólem i zmęczeniem po środkach uśmierzających. Pojedzie na północ do Chicago, a potem do Kanady, znajdzie miejsce, gdzie wypocznie i odzyska siły... gdzie nie wytropią go ani policja, ani ludzie Don Leoniego.

Dzięki myślótkowi będzie uprzedzał ich posunięcia i zarobi pieniądze... ale nie hazard... nigdy więcej hazardu.

Znowu spojrzał na chłopca.

Nie ma na to czasu.

Przeciwnie. Nie będzie to długo trwało. Nie musi nawet nawiązywać pełnego kontaktu. Myślótk jednokierunkowy wszystko załatwi. Chwila kontaktu, choćby kilka sekund, i będzie mógł podzielić się dźwiękiem i światłem z umierającym dzieckiem. Może podejść do okna i spojrzeć na ruch na ulicy, na światła miasta, wypatrzeć jakąś gwiazdę.

Wiedział, że wzajemny myślótk jest możliwy nie tylko z Gail – choć z nią odbywało się to bez wysiłku – lecz z każdym, kto ma odpowiednią wrażliwość. A zdecydowanemu sondowaniu myślótkiem poddawała się większość, choć Bremen nigdy nie spotkał nikogo, prócz Gail, kto potrafiłby sterować swymi uśpionymi zdolnościami telepatycznymi. Należało tylko

zagwarantować, żeby dana osoba nie odczuwała myślotyku jako myślotyku, żeby nie była świadoma, że obce myśli są naprawdę obce. Kiedyś, gdy przez parę dni jakiś tępszy student nie potrafił pojąć prostego przekształcenia różniczkowego, Bremen po prostu przekazał mu sens tej transformacji myślotykiem, a student gratulował sobie intuicji.

W kontakcie umysłowym z tym dzieckiem subtelność nie będzie potrzebna. I żadna poukładana treść. Jako pożegnalny podarunek Bremen przekaże mu kilka wrażeń zmysłowych.

Robby nigdy się nie dowie, kto dzielił z nim te obrazy.

Chrapanie Robby'ego zacięło się, ustało na długą chwilę, a potem znów ruszyło jak kapryśny silnik. Chłopiec bardzo się ślinił. Poszewka i prześcieradło przy jego twarzy były wilgotne.

Bremen zdecydowanie opuścił swą myślotarczę. Pośpiesz się. Policjant Everett w każdej chwili może pójść do łazienki. Pozostałą część jego opuszczonej myślotarczy zaatakował światowy neurogwar; wtargnął całą siłą, jak woda do wnętrza tonącego okrętu.

Błyskawicznie podniósł swą myślotarczę. Od bardzo dawna nie wystawiał się tak na urazy. Choć neurogwar i tak zawsze dochodził, jego natężenie oraz intensywność były prawie nie do zniesienia bez wełnistego koca tarczy. Szpitalny neurogwar miał bezpośrednio miękką strukturę jego poobijanego mózgu.

Zazgrzytał zębami z bólu i ponowił próbę. Usiłował wyciąć szerokie widmo neurogwaru i skoncentrować się w miejscu, gdzie powinny się znajdować sny Robby'ego.

Nic.

Oszołomiony sądził przez chwilę, że stracił zdolność skupiania swojej mocy. Jednak zdołał się dowiedzieć, jak bardzo piliło policjanta Everetta, śpieszącego do łazienki; odebrał zatroskane myśli pielęgniarki Tulley, gdy porównywała dawki z listy doktora Angstroma z różowymi karteczkami na tacy.

Skoncentrował się na pielęgniarce przy monitorach i zobaczył, że czyta powieść – *Needful Things* Stephena Kinga. Frustrowało go, że jej oczy tak wolno wędrują po tekście. Usta wypełnił mu wiśniowy smak kropli od kaszlu.

Potrząsnął głową i wlepił wzrok w Robby'ego. Astmatyczny oddech chłopca wypełnił powietrze kwaśną mgłą. Wystawiony język był bardzo obłożony. Bremen ścieśnił swój myślotyku do kształtu wąskiej sondy,

wyprostował go, zogniskował jak promień monochromatycznego światła.

Nic.

Nie... było tam... co?... jakby nieobecność czegoś.

Tam, gdzie powinny znajdować się sny Robby'ego, w neurogwarze widniała prawdziwa dziura. Wówczas uświadomił sobie, że nigdy jeszcze nie spotkał podobnie silnej i subtelnej myślotańczy. Nawet huragan białego szumu pani Morgan nie stanowił tak niewiarygodnie szczelnej bariery. Kobieta nigdy nie potrafiła ukryć obecności własnych myśli. Natomiast myśli Robby'ego po prostu nie było na swoim miejscu.

Doznał wstrząsu, ale potem zdał sobie sprawę z przyczyn owego zjawiska. Mózg Robby'ego był uszkodzony. Wiele jego części prawdopodobnie nie funkcjonowało. Mogąc polegać na świadectwie tak niewielu zmysłów, mając tak ograniczoną świadomość otoczenia, tak niewielki dostęp do wszechświata fal prawdopodobieństwa, bez możliwości wybierania tych fal, świadomość chłopca – albo to, co u dziecka uchodziło za świadomość – gwałtownie zwróciła się ku wnętrzu. To, co Bremen uznał za potężną myślotańczy, było jedynie zbitkiem zwróconym do wewnątrz, czymś znacznie silniejszym niż autyzm lub katatonia. Robby był tam wewnątrz zupełnie sam.

Bremen nabrał powietrza i starannie wznowił sondowanie, sunąc po omacku wzdłuż granic tej w istocie myślotańczy, tak jak wymacuje się po ciemku drogę przy ścianie. Wiedział, że gdzieś powinien znajdować się otwór.

Był. Nie tyle otwór, co miękkie miejsce – nieznaczna sprężystość umieszczona wśród twardych kamieni.

Bremen częściowo odbierał teraz trzepotanie myśli pod spodem, jak pieszy wyczuwa pod chodnikiem ruch wagonów metra. Skoncentrował się, zwiększył moc swej sondy, aż czuł, że szpitalna koszula nasiąka potem. Jego wzrok i słuch stępały z wyczerpania, z silnego skupienia na jednym celu. Nie szkodzi. Po nawiązaniu kontaktu początkowego Bremen odpręży się powoli i otworzy kanały widzenia i dźwięku.

Czuł, jak ściana nieco ustępuje, nadal elastyczna, lecz uginająca się pod jego nieubłaganą siłą woli. Koncentrował się, aż żyły wystąpiły mu na skroni. Mimowolnie krzywił twarz, mięśnie szyi wężliły mu się od napięcia. Ściana ugiwała się.

Sonda Bremena była solidnym taranem walącym w ciasno zamknięte, lecz galaretowate drzwi.

Ugięła się jeszcze.

Skoncentrował się z dostateczną siłą, by poruszać przedmioty, cegły zmieniać w pył, zatrzymywać ptaki w locie.

Myślotarcza nadal się ugięła. Bremen pochylił się, jakby idąc pod silny wiatr. Nie było teraz już neurogwaru, nie było świadomości szpitala ani świadomości samego siebie; pozostała tylko siła woli Bremena.

Nagle nastąpiło rozdarcie, napływ ciepła i upadek w przód. Bremen młócił rękami, otworzył usta do krzyku.

Nie miał ust.

Spadał, zarówno wewnątrz swego ciała, jak i na zewnątrz.

Leciał, koziółkując w czerń, tam gdzie jeszcze przed chwilą znajdowała się podłoga. Przez sekundę dotarł do niego obraz własnego ciała, wijącego się w ataku jakiejś strasznej choroby. Potem spadał dalej.

Spadał w ciszę.

Spadał w nicość.

Nicość.

OCZU NAPOTKAĆ

Jeremy jest wewnątrz. Nurkuje przez warstwy powolnych prądów konwekcyjnych. Bezbarwne wiatraczki spadają razem z nim w trzech wymiarach.

Sfery czerni pękają, oślepiają go. Lecą wodospady dotyku, ciekłą strumyczki zapachu, bezdźwięczny wiatr niesie cienką linię równowagi.

Jeremy'ego podpierają tysiące niewidocznych rąk, dotykają go, badają. Palce suną po jego wargach, głaszczą po piersi, gładkie dłonie ślizgają mu się po brzuchu, palce obejmują penis tak bezosobowo, jak podczas lekarskiego badania, a potem wędrują dalej.

Nagle znajduje się pod wodą. Nie, tkwi w czymś gęstszym niż woda. Nie może oddychać. Rozpaczliwie zaczyna młócić ramionami i nogami w lepkim prądzie, wreszcie czuje, że porusza się ku górze. Nie ma światła ani zaznaczonego kierunku – jest tylko słabe poczucie ciężenia, spychające w dół, lecz Jeremy wiosłuje w odpornej galarecie i walczy z tą grawitacją, wiedząc, że gdyby się zatrzymał tu, gdzie jest, zostanie unicestwiony.

Nagle substancja przesuwa się i Jeremy zostaje zassany w górę przez próżnię, która trzyma jego głowę jak w imadle.

Jest zgęszczony, skondensowany, zgnieciony, pewien, że ma uszkodzone żebra i czaszkę. Nagle coś go wyrzuca przez wąski otwór. Jego głowa przebija powierzchnię.

Otwiera usta, by krzyknąć. Powietrze wdziera się w jego płuca jak woda wypełniająca tonącego. Wrzask brzmi i brzmi, a kiedy zamiera, nie pozostawia po sobie echa.

Budzi się na szerokiej równinie.

Ani to dzień, ani noc. W bladym świetle brzoskwiniowej barwy wszystko wydaje się rozproszone. Grunt jest twardy, połuszczone w oddzielne pomarańczowe segmenty, uchodzące ku nieskończoności. Nie ma horyzontu. Pożłobkowana ziemia wygląda jak rozlewisko jakiejś rzeki w czasie suszy.

W górze nie ma nieba, tylko warstwy brzoskwiniowo oświetlonego kryształu. Jeremy'emu się wydaje, że przebywa w piwnicy przezroczystego, plastikowego drapacza chmur.

Całkowicie pustego. Leży na plecach i patrzy w górę przez niezliczone piętra skryształizowanej pustki.

Wreszcie siada i dokonuje przeglądu swego ciała. Jest nagi. Ma wrażenie,

że po skórze przejechano mu papierem ściernym. Trze dłonią po brzuchu, dotyka ramion, rąk i twarzy, lecz dopiero po minucie upewnia się, że nie ma ran ani blizn. Ani złamanej ręki, ani draśnięcia po kuli, ani złamanych żeber, nie ma śladów ugryzienia na biodrze i udzie, ani – jak przypuszcza – obrażeń na twarzy. Sekunda szaleństwa – Jeremy sądzi, że nie znajduje się we własnym ciele. Potem spogląda w dół i widzi bliznę na kolanie po wypadku motocyklowym, jakiemu uległ w wieku siedemnastu lat, i pieprzyk na wewnętrznej stronie przedramienia.

Wstaje. Falami napływają na niego zawroty głowy.

Później zaczyna chodzić. Bose stopy czują ciepło płaskich płyt. Idzie bez określonego kierunku, bez celu. Kiedyś, na ranchu pani Morgan, wyszedł o zachodzie słońca na szeroki przestwór pokrytych solą równin. Teraz doznaje nieco podobnego uczucia.

Stąpniesz na szczelinę, w piekle zginiesz.

Jeremy maszeruje przez pewien czas, choć na tej pomarańczowej równinie bez słońca czas nie ma wielkiego znaczenia. Brzoskwiniowe warstwy w górze nie migocą, nie przesuwiają się. Przystaje wreszcie, ale otoczenie jest takie samo jak to, z którego wyszedł. Boli go głowa. Znowu kładzie się na plecach. Czuje pod sobą gładkość – bardziej jest to dotyk spieczonego słońcem plastiku niż piasku czy kamienia. Leżąc, wyobraża sobie, że jest jakimś przydennym morskim stworzeniem, które spogląda w górę przez smugi przesuwiających się prądów.

Dno basenu. Bolesna niechęć przed powrotem do światła.

Brzoskwiniowe światło kąpie go w ciepłe. Jego ciało promienieje. Jeremy zamyka oczy przed światłem. Śpi.

Budzi się nagle, jest zupełnie przytomny, nozdrza mu płoną, uszy dosłownie strzygą, próbując umiejscowić ledwo słyszalny dźwięk. Panuje absolutna ciemność.

Coś porusza się wśród tej nocy.

Jeremy przykuca w czerni i usiłuje odfiltrować dźwięk własnego chropawego oddechu. Jego gruczoły przełączyły się na program mający ponad milion lat. Gotów jest uciekać lub walczyć, lecz całkowita, niewytłumaczalna ciemność uniemożliwia ucieczkę. Pięści mu się zaciskają, serce przyspiesza, oczy usiłują coś dostrzec.

Coś porusza się wśród tej nocy.

Jeremy czuje, że to coś jest tuż tuż. Czuje jego siłę i ciężar.

Rzecz jest ogromna, zbliża się – kroki wprawiają w drżenie podłoże i

ciało Jeremy'ego. Jest pewien, że ta rzecz bez trudu znajduje drogę w ciemnościach, bez trudu go widzi.

A potem rzecz jest obok niego, ponad nim. Jeremy czuje siłę jej spojrzenia. Klęka na podłogę, które nagle ochłodło, i zwija się w kłębek.

Coś go dotyka.

Jeremy tłumi odruchowy krzyk. Łapie go ogromna dłoń, szorstka, wielka. Wcale to nie jest dłoń. Podnosi go wysoko w czerń, ściska mu ramiona, miażdży żebra. Jeremy czuje potęgę tej rzeczy, jest przekonany, że gdyby tylko chciała, z łatwością go zgniecie. Widocznie nie chce tego. Przynajmniej na razie.

Czuje, że jest oglądany, ważony na jakiejś niewidzialnej wadze. Bezradny, lecz dziwnie pełen otuchy, ma wrażenie zupełnej bierności, jakby leżał nagi na stole aparatu rentgenowskiego, wiedząc, że niewidzialne promienie przechodzą przez ciało, szukają choroby, sondują, czy nie ma tam zgnilizny i zarodków śmierci.

Coś go stawia na miejsce.

Nie słyszy żadnych dźwięków, prócz swego chropawego dyszenia, lecz czuje, że wielkie kroki się oddalają. Coś niewiarygodnego – oddalają się we wszystkich kierunkach, jak fale na stawie. Z piersi spada mu ciężar. Ku swemu przerażeniu Jeremy odkrywa, że łka.

Później prostuje się, wstaje. Woła w czerń, lecz jego głos brzmi cicho, bezradnie. Jeremy nie jest nawet pewien, czy sam go usłyszał.

Wyczerpany, wciąż łkając, uderza pięściami w ziemię. Płacze. Czy ma powieki zamknięte, czy otwarte, czerń jest taka sama. Kiedy później zasypia, śni mu się tylko ciemność.

OCZU NAPOTKAĆ NIE

Słońce wschodzi.

Jeremy mrugając patrzy w odległą jasność, a potem, jeszcze nim w pełni uświadamia sobie, co widzi, ponownie zamyka oczy.

Słońce wschodzi.

Już nie śpi. Mruży oczy patrząc na wschodzące słońce. Leży na trawie. Preria miękkiej, wysokiej po kolana trawy ciągnie się we wszystkich kierunkach aż po horyzont. Niebo ma barwę głębokiego fioletu, przechodzącą w błękit, w miarę jak słońce podnosi się znad horyzontu. Jeremy siada, jego cień skacze po trawie, lekko drży w porannym wiateryku. Powietrze wypełniają zapachy: trawy, wilgotnej ziemi, ogrzanej słońcem gleby i leciutka woń jego własnej skóry muskanej wiatrem.

Przykłęka na jedno kolano, zrywa źdźbło wysokiej trawy, obiera je i wysysa słodki rdzeń. Wspomina, jak w dzieciństwie popołudniami bawił się na trawiastym polu. Zaczyna iść w kierunku wschodzącego słońca.

Ciepła bryza owiewa jego obnażoną skórę, przygina rośliny, jej spokojne westchnienie łagodzi nieco ból głowy pulsujący mu za oczami. Prosta czynność – chodzenie – sprawia mu przyjemność. Radosny, czuje pod stopami uginającą się trawę i dotyk słonecznych promieni.

Kiedy słońce ma jeszcze dość daleką drogę do zenitu – można by się więc domyślać, że jest wczesne popołudnie – Jeremy uświadamia sobie, że idzie ku plamce na horyzoncie.

Pod wieczór plamka rozwija się w linię drzew. Tuż przed zachodem słońca Jeremy wchodzi na skraj lasu.

Rosną tu rozłożyste wiązy i dęby, drzewa jakie pamięta ze swego dzieciństwa w Pensylwanii. Zatrzymuje się na skraju lasu i spogląda na łagodnie falującą równinę, którą właśnie opuścił. Wieczne słońce złoci trawę, zapala korony wokół frędzli na szczycie łądyg. Jeremy wchodzi głębiej w las, jego cień skacze przed nim susami.

Po raz pierwszy odczuwa zmęczenie i pragnienie. Język ma gruby, napuchnięty od suszy. Wlecze się ciężko przez długie cienie, marzy o szklance wody; patrzy co chwila, czy na łątach nieba, które widzi nad sobą, pojawiają się obłoki. Szukając cieni w górze, omal nie wpada do stawu.

Wodny krąg pośród niskiego pierścienia ziół i trzcin.

Z wyższego brzegu kępa czereśni opuszcza korzenie do wody.

Jeremy idzie do stawu z bolesnym przekonaniem, że w przyćmionym świetle obserwuje miraż, że woda zniknie, i nawet gdy się w nią rzuca, ta myśl go nie opuszcza.

Sięga mu po pas i jest lodowata.

* * *

Przybywa następnego ranka, tuż po wschodzie słońca.

Jeremy zjadł śniadanie – czereśnie z zimną wodą – i właśnie wychodzi na polanę przy stawie, gdy dostrzega ruch. Nie wierzy własnym oczom. Zatrzymuje się w ciszy, staje się jeszcze jednym cieniem w linii drzew.

Ona z wahaniem stawia stopy wśród trawy i niskich kamieni, porusza się niepewnymi krokami osoby nieśmiałej lub bosej. Frędzle ostrej trawy ocierają się o jej nagie uda. Jeremy widzi ją wyraźnie przez jasność nasyconą snopami porannego słońca. Jej ciało, jakby rozżarzone, więcej światła wypromieniowuje niż pochłania. Piersi – lewa nieco pełniejsza od prawej – kołyszą się w rytm kroków. Ciemne, krótko obcięte włosy rozwiewa wiatr.

Przystaje pośrodku polany, potem znowu idzie naprzód.

Jeremy spogląda na jej silne uda; wstrzymuje oddech, obserwując, jak rozwierają się i zamykają z nieświadomą poufałością. Jest teraz znacznie bliżej – widzi delikatne cienie jej szczupłej klatki piersiowej, blad różowe kręgi brodawek, w łuku brzucha na dole zamazaną starą bliznę po operacji wyrostka robaczkowego.

Jeremy wychodzi na światło. Kobieta zatrzymuje się, krzyżuje ramiona na piersiach w geście instynktownej skromności, a potem biegnie w jego kierunku. Otwiera ramiona, on wpada w ich zamknięty krąg, przytula twarz do jej karku, tonie w świeżym zapachu włosów i skóry. Wodzi dłońmi po znajomych okolicach ciała kobiety. Dotykają się, całują gorączkowo. Łkają.

Jeremy czuje, jak siła uchodzi mu z nóg. Przyklęka. Ona pochyla się lekko, przytrzymując jego głowę między swymi piersiami. Cały czas trwają w ciasnym uścisku.

– Czemu mnie opuściłaś? – szepcze Jeremy. Usta ma tuż przy jej skórze. Nie potrafi powstrzymać łez. – Dlaczego odeszłaś?

Gail nie odpowiada. Przytula policzek do jego włosów, obejmuje go coraz mocniej. Klęka przy nim w wysokiej trawie.

OCZU NAPOTKAĆ NIE ŚMIEM

Razem wychodzą z lasu, gdy wypalają się poranne mgły.

W pełnym świetle trawiaste zbocza za borami sprawiają wrażenie opalonego i gładkiego ludzkiego torsu. Gail wyciąga dłoń, jakby chciała pogłaskać odległe wzgórze.

Cicho rozmawiają, niekiedy biorą się za ręce. Wiedzą już, że pełny myślotyk wywołuje oślepiające bóle głowy, które prześladowały ich od przebudzenia, więc mówią... dotykają się... i kochają na miękkiej trawie – obserwuje ich jedynie złote słoneczne oko. Wtuleni w siebie szepczą o różnych drobnych sprawach. Oboje wiedzą, że myślotyk działa nie tylko za pomocą telepatii.

Idą dalej. Wczesnym popołudniem pokonują pagórek.

Ukazuje im się mały sad, za nim jaśnieją pokryte białymi deskami ściany domu.

– Farma! – krzyczy Gail zdziwiona. – Jak to możliwe?

Jeremy nie jest zaskoczony. Cały czas zachowuje spokój, gdy mijają stodołę, pozostałe budynki gospodarcze i podchodzą do samego domu. Budynek jest cichy, lecz nienaruszony, nie widać żadnych oznak pożaru, żadnych zniszczeń. Należałoby wymienić żwir na podjeździe, choć teraz prowadzi on donikąd, na jego końcu nie ma żadnej szosy. Długi druciany płot, kiedyś równoległy do drogi, teraz graniczy tylko z łąkami porośniętymi wysoką trawą i łagodnymi wzgórzami. W dali nie widać sąsiedzkich domów ani natrętnych linii energetycznych, które kiedyś ustawiono za sadem.

Gail wstępuje na tylny ganek, zerka w okno z niejakim poczuciem winy, jak amator cudzych domków weekendowych, sprawdzający, czy miejsce jest zamieszkane. Otwiera zewnętrzne drzwi i aż podskakuje, gdy zawiasy piszczą.

– Przepraszam – mówi Jeremy. – Pamiętam, obiecałem je naoliwić.

Wewnątrz jest chłodno i mrocznie. Pokoje wyglądają tak samo jak dawniej – nie jak wtedy, gdy Jeremy zostawił je po tych tygodniach samotności, gdy Gail leżała w szpitalu – ale jakimi zostawili je przed pierwszą wizytą u specjalisty, zeszłej jesieni, całą wieczność temu. Na górze popołudniowe słońce wpada przez świetlik, przy którego instalacji oboje z Gail mozolili się tak dawno temu, w sierpniu. Jeremy wsadza głowę do gabinetu, widzi bezładny stos odbitek na dębowym biurku i dawno

zapomnianą transformatę, nabazgraną na tablicy.

Gail przechodzi z pokoju do pokoju, rzuca drobne, pełne zadowolenia uwagi, delikatnie dotyka przedmiotów. W sypialni panuje niezwykle porządek: niebieski koc zasłany gładko, patchworkowa kołdra babci leży w nogach łóżka.

Znowu się kochają; zasypiają w chłodnych prześcieradłach. Poryw wiatru wzdyma zasłony. Gail mamrocze coś we śnie, dotyka męża. Jerry budzi się tuż po zmierzchu, choć niebo za oknem nasycone jest półmrokiem późnego lata.

Na dole rozlega się jakiś dźwięk.

Jeremy przez chwilę leży bez ruchu, stara się nie zakłócać ciszy oddechem. Nawet wiaterek nie drga. Słyszać dźwięk.

Ześlizguje się z łóżka, nie budząc Gail. Skulona na boku, rękę trzyma przy policzku. Lekko się uśmiecha. Jeremy boso idzie do gabinetu, podchodzi do biurka, cicho otwiera dolną prawą szufladę. Zawinięty w starą szmatę, pod pustymi teczkami, które Jeremy położył na wierzchu, gdy dostał podarunek od szwagra, leży tam Smith & Wesson, trzydziestkaósemka, ten sam, który wrzucił do wody na Florydzie, w dzień, gdy się natknął na Vanniego Fucciego. Rysa na kolbie i zmętnienie z dołu lufy są te same, lecz rewolwer jest teraz tutaj. Jeremy podnosi go. W magazynku tkwi sześć krążków brązowych naboju. Kolba, nieco szorstka, dobrze leży w dłoni, metalowy spust wydaje się chłodnawy.

Jeremy stara się jak najciszej przejść z gabinetu na podest schodów, ze schodów przez jadalnię do drzwi kuchni. Staje, widzi blade widmo lodówki i podskakuje, gdy włącza się agregat. Opuszcza rewolwer i czeka.

Zewnętrzne drzwi wejściowe są nieco uchylone, teraz otwierają się i zamykają. Po posadzce przemyka cień.

Jeremy, przestraszony tym ruchem, robi krok do przodu i podnosi rewolwer. Po sekundzie jednak go opuszcza. Gernisavien, sprytna, mała szylkretowa kotka przecina podłogę i niecierpliwie zaczyna mu się ocierać o nogi. Potem kręci ogonem, zdecydowanie kroczy do lodówki, spogląda znacząco na Jeremy'ego i wraca, by połasić się z jeszcze większą niecierpliwością.

Jeremy klęka, by pogłaskać ją po karku. Trzydziestkaósemka w jego dłoni wygląda idiotycznie. Głęboko wzdycha, kładzie broń na kuchennym blacie i obiema dłońmi zaczyna głaskać kotkę.

Gdy jedzą późną kolację, księżyc już wzeszedł. Oświetlenie elektryczne

nie działa, lecz inne urządzenia elektryczne pracują. Steki wzięli z zamrażarki w piwnicy, schłodzone piwo z lodówki, a węgiel drzewny z torby w garażu. Siedzą za domem przy starej pompie. Na ruszcie skwierczą befsztyki. Gernisavien czeka przy starym drewnianym krześle ogrodowym, choć zaledwie przed chwilą porządnie ją nakarmiono.

Jeremy ma na sobie ulubione beżowe spodnie i jasnoniebieską roboczą koszulę. Gail wsunęła się w luźną sukienkę z białej bawełny, którą często nakłada na podróż. Docierają do nich znajome dźwięki, które zawsze tutaj słyszeli: świerszcze, nocne ptaki w sadzie, kumkanie żab przy strumieniu, od czasu do czasu furkot jaskółczych skrzydeł w stodole. Na stole ustawiają lampę naftową. Gail zapala również świece.

Podczas posiłku gaszą lampę, by lepiej widzieć gwiazdy.

Jeremy podał steki na grubych papierowych talerzach. Noże zostawiają na bieli wzory skrzyżowanych linii. Posiłek składa się ze steków, wina i prostej sałatki z zebranych w ogrodzie warzyw, z hojnym dodatkiem świeżych rzodkiewek i cebuli.

Sierp księżycą świeci, ale gwiazdy widać niezwykle wyraźnie. Jeremy pamięta noc, kiedy leżeli razem w hamaku i wypatrywali na niebie promu kosmicznego, przypominającego niesiony wiatrem rozżarzony węgielek. Uświadamia sobie, że dzisiaj gwiazdy są wyraźniejsze, gdyż ani poświata znad Filadelfii, ani znad autostrady, nie zaćmiewa wspaniałości nieba.

Nadal jedzą. Gail pochyła się ku niemu.

– Jerry, gdzie jesteśmy?

Jej myślotyk jest bardzo łagodny, by nie wywołać bólu głowy.

Jeremy pociąga łyk wina.

– Cóż może być w tym złego, że po prostu jesteśmy w domu, mała?

– Być w domu to nic złego. Ale gdzie naprawdę jesteśmy?

Jeremy całą uwagę poświęca rzodkiewce; obraca ją w palcach; była słona i chłodna.

Gail spogląda na ciemną linię drzew na skraju sadu. Mrugają tam świetliki.

– Co to za miejsce?

– Gaił, jakie jest twoje ostatnie wspomnienie?

– Przypominam sobie, jak umieram – mówi cicho Gail.

Jej słowa walą Jeremy'ego ciosem w splot słoneczny. Przez chwilę nie może zebrać myśli.

Gail ciągnie dalej, jej cichy głos chrypcie.

– Nigdy nie wierzyliśmy w życie po śmierci, prawda, Jerry? – Wujek Buddy... „Po śmierci pomagamy rosnąć trawie i kwiatkom, Beanie, a wszystko inne to kupa gówna”.

– Nie, nie, mała. – Jeremy odsuwa swój talerz i kieliszek.

Pochyliła się, dotyka jej ramienia. Jest jeszcze inne wyjaśnienie...

Zanim zdąży je przedstawić, słuzy pękają i oboje zalewani są obrazami, które Jeremy ukrywał: pożar domu... chata rybacka na Florydzie... Vanni Fucci... martwe dni na ulicach Denver... pani Morgan i chłodnia...

– O Boże, Jerry... Boże... – Gail cofa się na krzesło i zakrywa twarz dłońmi.

Jeremy obchodzi stół, bierze ją mocno za ramiona i zbliża swój policzek do jej policzka. Pani Morgan... stalowe zęby... chłodnia... uśmierzanie bólu pokerem... lot na wschód ze zbirami Don Leoniego... szpital... umierające dziecko... chwilowy kontakt... spadanie.

– Och, Jerry! – Gail łka mu na ramieniu. Te miesiące piekła, przez które przeszedł, przecierpiała w jednej okrutnie bolesnej chwili. Przeżywa jego rozpacz i echo tej rozpacz. Teraz płaczą razem. Jeremy scałowuje łzy z oczu Gail, wyciera jej twarz połą swej koszuli i nalewa obojgu jeszcze trochę wina.

– Gdzie jesteśmy, Jerry?

Podaje jej kieliszek, sam przez chwilę pije. Chór owadów śpiewa za stodołą. Dom blednie w świetle księżyca, okna kuchenne jaśnieją ciepłym światłem drugiej lampy naftowej, zapalonej wewnątrz domu.

– Co sobie przypominasz, kiedy się tu obudziłaś, mała? – szepcze.

Dzielili się już kilkoma obrazami, lecz próba opisanego tego słowami odświeża im pamięć.

– Ciemność – szepcze Gail. – Potem łagodne światło. Puste miejsce. Kołysanie. Ktoś mnie kołysał. Ktoś mnie trzymał. A potem marsz. Wschód słońca. Znalazłam ciebie.

Jeremy kiwa głową. Wodzi palcem po krawędzi kieliszka.

– Myślę, że jesteśmy tutaj z Robbym. Tamtym chłopcem. Chyba jesteśmy w jego umyśle.

Głowa Gail odskakuje do tyłu, jakby ktoś wymierzył jej policzek.

– Niewidomy chłopiec...??????? Rozgląda się, a potem wyciąga drżącą rękę w kierunku stołu. Mocno chwyta się brzegu, kieliszki wibrują. Po chwili puszcza stół, dłonią dotyka swego policzka. – Więc nic tutaj nie jest prawdziwe? Jesteśmy wewnątrz snu? Tak naprawdę jestem martwa, a ty

tylko śniesz, że jestem tutaj?

– Nie – mówi Jeremy, tak głośno, że Gernisavien chowa się szybko pod stół. W łagodnym świetle świec i gwiazd widać, jak macha ogonem. – Nie – powtarza ciszej – to nie tak. Jestem zupełnie pewien, że to nie tak. Pamiętasz wyniki badań Jacoba?

Gail jest zbyt wstrząśnięta, by głośno mówić.

– Tak.

Nawet jej myślotyk jest leciutki, gubi się w cichych dźwiękach nocy.

– Pamiętasz więc – ciągnie Jeremy, utrzymując jej uwagę siłą swej woli – że Jacob był pewien poprawności mojej analizy... że osobowość człowieka to czoło skomplikowanej fali stojącej... rodzaj metahologramu, zawierającego kilka milionów mniejszych hologramów...

– Jerry, nie rozumiem, jak to może pomóc...

– Do diabła, mała, to naprawdę pomaga! – Znowu nachyla się ku niej i rozciera jej ręce, gdyż poczuł na nich gęsią skórę. – Posłuchaj, proszę...

– Dobrze.

– Jeśli ja i Jacob mieliśmy rację... że osobowość to skomplikowane czoło fali stojącej, które interpretuje rzeczywistość złożoną z załamujących się czół fal prawdopodobieństwa, wtedy oczywiście osobowość nie jest w stanie przeżyć śmierci mózgu. Umysł może jednocześnie pracować jako generator i interferometr, lecz obie te funkcje ustaną wraz ze śmiercią mózgu.

– Wobec tego jak... jak mogłam...?

Znowu siedzi przy niej, obejmując ją mocno jedną ręką.

Gernisavien wychodzi spod krzesła i wskakuje na kolana Gail, chcąc poczuć ich ciepło. Każde z nich jedną ręką głaszcze kotkę, a Jeremy kontynuuje swe wyjaśnienia.

– W porządku, pomyślmy o tym chwilę. Mała, nie byłaś dla mnie po prostu wspomnieniem czy wrażeniem zmysłowym.

Przez ponad dziewięć lat byliśmy zasadniczo jedną osobą o dwóch ciałach. Właśnie dlatego, kiedy ty... dlatego potem oszalałem, próbowałem całkowicie wyłączyć tę swoją zdolność. Ale nie potrafiłem tego zrobić. Było to tak, jakbym dostrajał się do coraz ciemniejszych fal ludzkich myśli, po prostu opadałem po spirali przez...

Gail podnosi wzrok znad Gernisavien. Patrzy trwożnie w ciemność przy strumieniu. Ciemność pod łóżkiem.

– Ale czy sen może być aż tak prawdziwy?

Jeremy dotyka jej policzka.

– Gail, to naprawdę nie jest tylko sen. Posłuchaj. Istniałaś w moim umyśle, ale nie po prostu jako wspomnienie. Naprawdę, cała się tam mieściłaś. Tej nocy, gdy... tej nocy, gdy byłem w Barnegat Light... tej nocy, gdy twe ciało umarło... dołączyłaś do mnie, przeskoczyłaś do mego umysłu, jak do szalupy ratunkowej.

– Nie, jak mogłam...

– Pomyśl, Gail. Nasza zdolność działała dobrze. To był ostateczny myślotyk. Złożony hologram, którym jesteś, wcale nie musiał przepaść... po prostu skoczyłaś do jedyne go we wszechświecie interferometru, w którym mógł się on zawrzeć... do mego umysłu. Tylko moje ego lub id, lub superego, czy jak to się zwie, coś, co utrzymuje nas przy zdrowych zmysłach, chroni przed bombardowaniem naszych zmysłów oraz oddziela nas od bełkotu tych wszystkich umysłów – to właśnie wciąż mi powtarzało, że moje odczucia w związku z tobą są jedynie wspomnieniami.

Siedzieli przez chwilę w milczeniu, pogrążeni we wspomnieniach. Wielka rzeka o dwóch sercach – zaproponowała Gail. Jeremy widział, że Gail pamięta szczegóły z okresu, gdy łowił ryby na Florydzie.

– Byłaś tworem mojej wyobraźni – rzekł głośno – lecz tylko w takim sensie, w jakim nasze własne osobowości są tworam i naszych własnych wyobraźni. Fale prawdopodobieństwa załamujące się na brzegu czystej czasoprzestrzeni. Krzywe Schrödingera, ich przebieg przemawia językiem czystszy m od mowy. Rozmyty atraktor Kołmogorowa, zawijający się wokół wysepek rezonansu kwaziperiodycznego rozsądku pośród spienionych warstw chaosu.

– Myśl w ludzkim języku – szepcze Gail. Szczypie go w bok.

Jeremy odchyła się, uśmiecha, przytrzymuje kota, który chce dać susa.

– Chodzi mi o to – mówi cicho – że obydw oje byliśmy martwi, aż niewidomy, głuchy, niedorozwinięty dzieciak wyrwał nas z jednego świata, a w zamian ofiarował nam inny.

Gail chmurzy się lekko. Świece się już wypaliły, lecz biała sukienka i blada skóra Gail nadal jaśniejają w blasku gwiazd i księżyca.

– Jesteśmy w umyśle Robby’ego i to wszystko jest tak rzeczywiste jak prawdziwy świat? – Znowu się chmurzy na dźwięk własnych słów.

Bremen potrząsa głową.

– Niezupełnie. Kiedy przedarłem się do Robby’ego, podłączyłem się do systemu zamkniętego. Biedaczysko prawie nie miał danych, którymi mógłby się posłużyć w konstrukcji prawdziwego świata – może tylko dotyk, zapach i

masa bólu – sądząc na podstawie tego, co wiedziały pielęgniarki o jego przeszłości... więc prawdopodobnie gdy określał swój wszechświat wewnętrzny, nie kierował się zbytnio tym, co czuł w świecie zewnętrznym.

Gernisavien odskoczyła i odmaszerowała w ciemność, jakby miała tam coś ważnego do załatwienia. Jeremy i Gail znali koty, obydwójce wiedzieli, że sprawa rzeczywiście musi być pilna. Jeremy również nie mógł dłużej usiedzieć na miejscu.

Wstał i zaczął chodzić w ciemności tam i z powrotem, nie oddalał się jednak zbytnio od Gail, by w każdej chwili mógł wyciągnąć rękę i dotknąć żony.

– Mój błąd – ciągnął – polegał na niedocenieniu... nie, tak naprawdę, zupełnie nie przewidziałem, że w tamtym świecie Robby będzie dysponować taką potęgą. W tym świecie. Kiedy przedarłem się do niego... chciałem po prostu podzielić się z nim kilkoma obrazami i dźwiękami... wciągnął mnie, mała. A wraz ze mną również ciebie.

Wiatr nieco się wzmaga, porusza liśćmi drzew w sadzie. Cichy szelest ma w sobie coś smutnego – zapowiedź pożegnania z latem.

– Zgoda – mówi Gail po chwili. – Istniejemy oboje jako para pokręconych hologramów osobowościowych w umyśle tego dzieciaka. – Stuka energicznie w stół. – I wszystko wydaje się rzeczywiste. Ale czemu nasz dom się tutaj znalazł? I garaż? I... – bezradnie wskazuje na otaczający ich mrok i gwiazdy nad ich głowami.

– Myślę, mała, że Robby'emu spodobało się to, co zobaczył w naszych umysłach. Myślę, że wolał naszą zanieczyszczoną pensylwańską wieś od krajobrazu, który zbudował sobie podczas swych lat samotności.

Gail powoli kiwa głową.

– Ale w istocie to nie jest nasza wieś, prawda? To znaczy, nie możemy rankiem pojechać do Filadelfii. Chuck Gilpen nie pojawi się tutaj ze swoją nową przyjaciółką?

– Nie wiem, mała. Przypuszczam, że dokonano pewnych rozsądnych poprawek. My jesteśmy „prawdziwi”, gdyż nasze struktury holograficzne są nienaruszone, lecz cała reszta to wytwór aprobowany przez Robby'ego.

Gail znowu rozciera sobie ramiona.

– Wytwór aprobowany przez Robby'ego. Mówisz tak, jakby on był Bogiem.

Bremen odchrząkuje i patrzy w niebo. Gwiazdy są tam nadal.

– W tej chwili jest Bogiem – szepcze. – Przynajmniej dla nas.

Myśli Gail mkną jak polne myszy, na które w tej chwili prawdopodobnie poluje Gernisavien.

– Dobrze, jest Bogiem, a ja żyję, przebywamy tu razem... ale co mamy robić teraz, Jerry?

– Pójść do łóżka – przesyła Jeremy. Bierze ją za rękę i prowadzi do ich wspólnego domu.

OCZU NAPOTKAĆ NIE ŚMIEM W

Jeremy śni, że kiwa się tam i z powrotem w ciemności tak głębokiej, że nawet sen nie potrafi jej przekazać. Śni, że śpi pod zapleśniałymi kocami, szorstka wełna ociera się o jego poranioną skórę, biją go niewidzialne dłonie. Leży połamany i pobity w dole pełnym ludzkich odchodów, a deszcz kapie mu na twarz. Śni, że się topi.

We śnie patrzy z coraz większym zainteresowaniem, jak dwoje ludzi kocha się na złocistym stoku pagórka. Unosi się w białym pokoju, gdzie ludzie nie mają kształtów, są jedynie głosami i gdzie głoso–ciała drżą w rytm bicia serca niewidzialnej maszyny.

Pływa i czuje nieubłaganą potężną falę sił planetarnych.

Ledwo potrafi się oprzeć zabójczemu prądowi, ma coraz mniej sił, a odpływ wyciąga go na głębsze wody. Gdy fale się nad nim zamykają, wydaje ostatni krzyk rozpaczy i zagubienia.

Krzyczy swe własne imię.

Budzi się, a krzyk wciąż brzmi echem w jego mózgu. Szczegóły snu łamią się i ulatują, nim zdoła je pochwycić. Siada szybko na łóżku. Gail nie ma.

Dotarł prawie do drzwi sypialni, gdy słyszy jej głos wzywający go z bocznego podwórza. Wraca do okna.

Gail jest ubrana w niebieski fartuch. Macha do niego rękami. Nim Jerry zdąży zejść na dół, wrzuca kilka rzeczy do ich starego wiklinowego kosza i gotuje wodę na mrożoną herbatę.

– Chodź, śpiochu – mówi uśmiechając się szeroko. – Mam dla ciebie niespodziankę.

– Nie jestem pewien, czy potrzebujemy dodatkowych niespodzianek – mamrocze Jerry.

Gernisavien wróciła i kręci się im pod nogami. Od czasu do czasu ociera się o nogę krzesła, jak gdyby wyrażając sympatię do tego mebla.

– Też akurat potrzebujemy – odpowiada Gail i już jest na górze. Szura i stuka w szafie.

– Wezmę tylko prysznic i napiję się kawy – mówi Jerry i nagle przerywa. Skąd się bierze woda? Oświetlenie elektryczne wczoraj nie działało, lecz wszystkie krany funkcjonowały.

Nie ma czasu przemyśleć tego zagadnienia, gdyż Gail wraca do kuchni i wręcza mu kosz piknikowy.

– Żadnego prysznicza. Żadnej kawy. Idziemy.

Gernisavien niechętnie kroczy za nimi. Gail prowadzi za wzgórze, gdzie kiedyś przebiegała szosa. Idą na wschód, przecinają łąkę, potem wspinają się na ostatni pagórek, bardziej stromy niż zapamiętane przez Jeremy'ego wzniesienia w Pensylwanii. Na szczycie Jerry wypuszcza kosz z bezwładnej nagle dłoni.

– Święty Boże – szepcze.

W dolinie, gdzie przedtem przebiegała autostrada, teraz roztacza się ocean.

– Święty Boże – powtarza cicho, niemal z czcią.

Znakomicie znają tę plażę ze swych podróży do Barnegat Light, wzdłuż wybrzeża New Jersey, ale teraz nie ma tu ani latarni morskiej, ani wyspy, zaś ciągnący się na północ i południe brzeg bardziej przypomina jakieś oddalone klify Oceanu Spokojnego niż linię Atlantyku. Zbocze, na które się wspięli, jest w istocie stokiem góry, która na wschodzie opada ku plaży i spienionym falom. Skalisty szczyt, na którym stoją, wydaje się Jeremy'emu dziwnie znajomy. Rozpoznaje go.

– Big Slide Mountain – potwierdza Gail. – Nasz miódowy miesiąc.

Jeremy kiwa głową. Usta ma nadal otwarte. Nie musi przypominać, że Big Slide Mountain znajdowała się w górach Adirondack, setki kilometrów od morza.

Urządzają piknik na plaży nieco na północ od stromej ściany oświetlonej przez poranne słońce. Kotkę musieli znieść na rękach przez ostatni odcinek stromego zbocza. Gdy tylko postawili ją na ziemi, pobiegła łapać owady w wydmowej trawie. Powietrze pachnie solą, gnijącymi roślinami i czystą, letnią bryzą. Daleko nad morzem mewy krążą i zawracają. Ich krzyki wybijają się ponad szum fal.

– Święty Boże – mówi znowu Jeremy. Stawia kosz i rozkłada koc na piasku.

Gail śmieje się, zdejmując fartuch. Pod spodem ma czarny jednoczęściowy kostium.

Jeremy opada na koc.

– Dlatego właśnie wróciłaś na piętro? – Krztusi się ze śmiechu. – Nałożyć kostium kąpielowy? W obawie, że ratownicy wyrzucą cię z plaży, kiedy zobaczą, że kąpiesz się nago?

Gail kopie piasek w jego kierunku i ucieka do wody. Skacze w wodę gładko, w doskonale dobranym momencie, i przecina nadpływającą falę jak

strzała. Płynie ze dwadzieścia metrów; bije wodę, kiedy wtacza się pod nią następna fala. Potem wiosłuje rękami do miejsca, gdzie ma grunt. Jeremy widząc jej przygarbione ramiona i wyraźne sutki pod cienkim materiałem, wie, że Gail marznie.

– Chodź! – woła do niego. Próbuje się uśmiechnąć i nie szczekać zębami.
– Woda jest wspaniała!

Jeremy się śmieje, wyskakuje ze spodni, trzema ruchami pozbywa się bielizny i pędzi po mokrej plaży. Z rozbiegu nurkuje, a gdy się wynurza, prychając wodą, Gail czeka na niego z rozwartymi, pokrytymi gęsią skórą ramionami.

Po posiłku złożonym ze słodkich rogalików i mrożonej herbaty leżą między wydmami, osłonięci przed narastającym wiatrem. Gernisavien wraca, by na nich popatrzeć. Nic ciekawego, więc odchodzi w wysoką trawę. Ze swego miejsca widzą, jak słońce wznosi się coraz wyżej i rzuca cienie na pożłobioną ścianę góry na południu.

Gail zdjęła kostium kąpielowy. Opala się. Zasypia. Jeremy w półśnie złożył głowę na jej udzie, kiedy nagle i wyraziście poczuł zapach czystego potu na jej skórze, cienkiej wilgotnej warstewki pobłyskującej tuż przy jego twarzy w delikatnym rowku pachwiny. Jeremy przewraca się na brzuch, opiera łokcie na kocu i patrzy w górę, poza zwarte pagórki jej bladych piersi, na dolną krzywiznę brody, na ciemny przedsiónek pach i na poświatę, którą słońce otacza jej włosy.

Gail zaczyna się kręcić, protestując przeciw jego ruchom, lecz on ją powstrzymuje, kładzie dłoń na jej brzuchu. Powieki Gail drgają, ale pozostają zamknięte. Jeremy zmienia pozycję. Unosi się. Leży teraz między jej nogami, rozsuwa dłońmi jej uda i pochyla twarz w rozgrzaną słońcem wilgoć. Mając w myślach zdanie z powieści Johna Updike'a, którym Gail podzieliła się z nim przed laty, wyobraża sobie małego kotka liżącego mleko.

Po kilku chwilach Gail podciąga go wyżej; Jerry czuje na sobie jej szybkie dłonie i oddech. Kochają się z większą pasją niż kiedykolwiek przedtem, a gdy dzielą się myślami, przekracza to wszelką namiętność i myślotyk. Później Jeremy kładzie się obok, z głową przytuloną do jej ramienia, ich oddechy powoli się uspokajają, bicie serc ucisza. Oboje słyszą znów szum fal. Jeremy znajduje po omacku ręcznik, ściera z jej skóry pot i ślady piasku.

– Gail – szepcze, gdy obydwójce zbierają się do drzemki w cieniu wydmowej trawy. – Muszę ci coś powiedzieć. – Zaczyna mówić, ale czuje,

jak pozostałości jego ostatniej tarczy myślowej odruchowo zaciskają się i zwijają. Zbyt długo i zbyt głęboko skrywał tajemnicę żylaka, by mógł ją tak łatwo wyjawić. Z trudem szuka słów lub myśli, ale nic nie nadchodzi. – Gail, ja... o Jezu, mała... Nie wiem, jak...

Gail odwraca się na bok i dotyka jego policzka.

– Żylak? Chodzi ci o to, żeś mi nie powiedział? Wiem, Jerry. Odbiera to jak fizyczne uderzenie.

– Wiesz????? Kiedy? Jak długo?

Gail zamyka oczy i Jeremy widzi wilgoć na jej rzęsach.

– Tej ostatniej nocy, gdy byłam chora. Kiedy spałeś. Wiedziałam, że tam jest... coś... Wiedziałam o tym już od dawna.

Ta tajemnica raniła cię tak długo, że musiałam wiedzieć, zanim...

Jeremy zaczyna się trząść jak w gorączce. Po chwili nie ukrywa drgawek. Kurczowo trzyma koc, aż atak mija. Gail dotyka go z tyłu głowy.

– Już dobrze.

– Nie! – wykrzykuje Jeremy. – Nie... nie rozumiesz... Ja o tym wiedziałem...

Gail kiwa głową, ich policzki niemal się stykają. Jej szept miesza się z szelestem wydmowej trawy.

– Tak. Ale czy wiesz, dlaczego właściwie mi o tym nie powiedziałeś? Dlaczego musiałeś stworzyć myślotarczę niczym guz w mózgu, by to ukryć?

Jeremym wstrząsa dreszcz.

– Ze wstydu.

– Nie, nie ze wstydu – poprawia go Gail – ze strachu.

Otwiera szeroko oczy i patrzy na nią. Ich twarze są tuż tuż.

– Ze strachu? Nie, ja...

– Ze strachu – przesyła Gail. W jej głosie nie ma osądu, jedynie przebaczenie. – Byłeś przerażony.

– Czym?

Formułując tę myśl, Jeremy znowu kurczowo trzyma koc, ma uczucie, że się ześlizguje, spada.

Gail znowu zamyka oczy i pokazuje mu to, co było przed nim ukryte w ciasnym guzie skrywanej tajemnicy.

Strach przed deformacjami. Dziecko może być nienormalne. Lęk przed posiadaniem dziecka niedorozwiniętego. Lęk przed urodzeniem dziecka, które nigdy nie podzieli naszego myślotyku i zawsze będzie między nami obce. Strach, że dziecko odziedziczy tę ich zdolność i zostanie doprowadzone

do szaleństwa dorosłymi myślami rodziców, wciskającymi się w jego niemowlęcą świadomość.

Lęk przed normalnym dzieckiem, które zepsuje idealną równowagę jego związku z Gail.

Lęk, że będzie musiał ją dzielić z niemowlakiem.

Lęk, że ją utraci.

Lęk przed własnym zagubieniem.

Dreszcze zaczynają się na nowo i tym razem ani ściskanie koca, ani kurczowe trzymanie w dłoni piasku nie pomaga.

Czuje, że za chwilę ogarnie go wielki wstyd i przerażenie.

Gail obejmuje go ramionami i tuli, aż dreszcze ustępują.

– Gail, kochanie. Tak mi przykro, tak przykro.

Jej myślotyk sięga za jego umysł, do jakiegoś głębszego miejsca.

– Wiem. Wiem.

Zasypiają w cieniu wydmy. Gernisavien zasadza się na koniki polne. W wysokiej trawie wzmaga się wiatr. Jeremy śni, a jego sny mieszają się swobodnie ze snami Gail i w żadnym z nich, po raz pierwszy, nie pojawia się nawet najmniejszy ból.

OCZU NAPOTKAĆ NIE ŚMIEM W MOICH

W wieczornym chłodzie Jeremy spaceruje po sadzie i próbuje rozmawiać z Bogiem.

– Robby? – szepcze, lecz słowa wydają się zbyt głośne w tej wieczornej ciszy. – Robby? Jesteś tam?

Zbocza pagórków od wschodu są zupełnie ciemne. Niebo jest bezchmurne. Barwy wyciekają ze świata, wszystkie przedmioty nabierają odcieni szarości. Jeremy przystaje, spogląda na dom, widzi, jak Gail przygotowuje kolację w kuchni oświetlonej lampą naftową. Czuje jej delikatny myślotyk: ona się przysłuchuje.

– Robby? Czy mnie słyszysz? Porozmawiajmy.

W stodole nagle załopotały jaskółcze skrzydła i Jeremy podskakuje. Uśmiecha się, kręci głową, chwytą dolną gałąź wiśni i opiera się o nią, kładąc brodę na rękach. Przy strumieniu zapanowała ciemność, w czerni migoczą świetliki.

– Czy naprawdę to wszystko pochodzi z naszych wspomnień? Cały ten świat?

Cisza. Słyszać tylko brzęczenie owadów i cichy szum strumyka. Nad głową, wśród ciemnych geometrycznych prześwitów między gałęziami drzew wschodzą pierwsze gwiazdy.

– Robby – mówi głośno Jeremy – jeśli chcesz z nami porozmawiać, będziemy radzi z twego towarzystwa.

To tylko częściowa prawda, lecz Jeremy nie wypiera się tej drugiej części, tej przeczącej wypowiedzianemu przed chwilą zdaniu. Nie wypiera się też głębokiego pytania, tkwiącego za wszystkimi innymi myślami, niczym uskok geologiczny, grożący trzęsieniem ziemi.

Co masz zrobić, gdy umiera Bóg twojego Stworzenia?

Zapada całkowita ciemność. Jeremy stoi w sadzie, oparty o gałąź obserwuje pojawiające się gwiazdy i czeka na głos, który nie nadchodzi. Wreszcie Gail nawołuje go, więc wraca z boczem do domu, na kolację.

– Chyba wiem – mówi Gail, kiedy dopijają kawę – dlaczego Jacob się zastrzelił.

Jeremy odstawia kubek, skoncentrowany czeka, aż jej myśli skryształizują

się w słowa.

– To ma związek z naszą rozmową podczas kolacji w Durgan Park – mówi Gail. – Przedtem tego wieczoru zmierzył nasz rezonans magnetyczny.

Jeremy pamięta tamtą kolację i rozmowę, ale porównuje swoje wspomnienia ze wspomnieniami Gail.

– Jauntowanie – przesyła Gail.

– Jauntowanie? Co to takiego?

– Czy pamiętasz, jak rozmawiałam z Jacobem o książce *Gwiazdy moim przeznaczeniem* Alfreda Bestera?

Jeremy potrząsa głową, mimo że dzieli z nią wspomnienie o książce.

– Powieść SF?

– Fantastyka naukowa – poprawia go automatycznie Gail.

Jeremy usiłuje sobie przypomnieć.

– Taa, chyba pamiętam. Okazało się, że i ty, i on jesteście fanami SF. Ale co ma do tego „jauntowanie”... to była teleportacja typu: „Przepromieniuj mnie, Scotty”, prawda? Gail niesie naczynia do zlewu i zmywa. Opiera się plecami o blat i krzyżuje ramiona.

– Nie – mówi, a jej głos przybiera lekko obronny ton, jakim zawsze dyskutuje o fantastyce naukowej czy religii. – To nie było „przepromieniuj mnie, Scotty”. To była historia człowieka, który nauczył się teleportacji zupełnie sam...

– Przez „teleportację” rozumiesz momentalny skok z jednego miejsca w inne, prawda, mała? Musisz wiedzieć, że to jest jedna z najbardziej niemożliwych...

– Tak, tak – mówi Gail, ignorując jego słowa. – Bester nazwał osobistą teleportację jauntowaniem... ale Jacob i ja nie mówiliśmy tak naprawdę o jauntowaniu, tylko o tym, jak pisarz nauczył tego ludzi.

Jeremy sadowi się wygodniej, sący kawę.

– W porządku. Słucham cały czas.

– O ile pamiętam, pomysł polegał na tym, że mieli laboratorium na jakimś asteroidzie i pewni uczeni usiłowali badać, czy ludzie mogą jauntować. Okazało się, że nie mogą...

– To wspaniałe – przesyła Jeremy, dodając obraz uśmiechniętego szeroko Kota z Cheshire – niechże nauka powróci do fantastyki naukowej, tak?

– Spokój, Jerry. W każdym razie, ich doświadczenia nie udawały się, ale wybuchł pożar czy nastąpiła inna katastrofa w zamkniętej sekcji laboratorium i jeden technik, czy ktoś tam, po prostu teleportował się na zewnątrz...

jauntował w bezpieczne miejsce.

– Wszyscy byśmy chcieli, by życie okazało się aż tak proste.

Próbuje zasłonić wspomnienia, jak wdrapywał się po zamrożonym trupie, a uzbrojona pani Morgan zbliżała się z psami.

Gail skupia się.

– Nie, pomysł polegał na tym, że mnóstwo ludzi miało zdolność jauntowania, ale tylko jedna osoba na tysiąc potrafiła ją zastosować i tylko wtedy, gdy jej życie znajdowało się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Więc naukowcy zaplanowali te doświadczenia...

Jeremy dostaje migawki tych eksperymentów. Przykładali naładowane pistolety do głów badanych osób i naciskali spust, poinformowawszy je, że jauntowanie jest jedynym sposobem ucieczki? Narodowa Akademia Nauk może mieć zastrzeżenia do tej metodyki, mała.

Gail potrząsa głową.

– Z Jacobem rozmawialiśmy tylko o tym, jak pewne rzeczy wynikają z podobnie rozpaczliwych sytuacji. Właśnie wtedy zaczął opowiadać o falach prawdopodobieństwa i drzewach Everetta, więc wyłączyłam się. Pamiętam jednak, jak mówił, że będzie to przypominać rozstrzygające doświadczenie z dwiema szczelinami. Właśnie dlatego interesowało mnie to, co mówiłeś, gdy wracaliśmy pociągiem do domu... rzeczywistości alternatywne i te inne sprawy...

Jeremy wstaje tak szybko, że krzesło za jego plecami przewraca się na podłogę. Nie zauważa tego.

– Mój Boże, mała, Jacob nie zabił się po prostu z rozpaczy.

Próbował jauntować.

– Ale przecież powiedziałaś, że teleportacja jest niemożliwa.

– To nie teleportacja... – Zaczyna chodzić tam i z powrotem, trąc policzek. Następnie ryje w zabałaganionej szufladzie, wyciąga stamtąd pióro, podnosi krzesło, przysuwa je do stołu obok Gail i zaczyna rysować na serwetce. – Pamiętasz ten wykres? Pokazywałem ci go, gdy po raz pierwszy zanalizowałem dane Jacoba.

Gail patrzy na nabazgrane drzewo i wielokrotnie rozgałęziające się konary.

– Me, ja... ach, tak, ta idea ze światami równoległymi, wymyślona przez jakiegoś matematyka. Mówiłam ci, że to stary pomysł w fantastyce naukowej.

– To nie są światy równoległe – mówi Jeremy bazgrząc kolejne

odgałęzienia – lecz wariacje prawdopodobieństwa, opracowane w latach pięćdziesiątych przez Hugh'a Everetta, by w bardziej racjonalny sposób wyjaśnić interpretację kopenhaską. Zobacz, kiedy wykonujesz doświadczenie z dwiema szczelinami i spojrzysz na to jak Everett, naruszając paradoksy mechaniki kwantowej, wszystkie oddzielne elementy superpozycji stanów spełniają równanie falowe, całkowicie niezależnie od rzeczywistości innych elementów...

Obok drzewa Jeremy bazgrze równania.

– Poczekaj. Zwolnij. Myśl słowami.

Jeremy odkłada pióro i znowu pociera policzek.

– Jacob pisywał do mnie o swej teorii rozgałęziającej się rzeczywistości...

– Tak jak twoja fala prawdopodobieństwa? Wszyscy surfujemy na grzbiecie tej samej fali, ponieważ nasze umysły załamują ten sam front fali, o to chodzi?

– Taa. To była moja interpretacja. To jedyna teoria, która wyjaśniała, dlaczego różne holograficzne czoła fal... te wszystkie różne umysły... widziały bardzo podobną rzeczywistość.

Innymi słowy, interesowałem się, dlaczego wszyscy widzimy tę samą cząsteczkę czy falę, przechodzące przez tę samą szczelinę. Ale kiedy ja interesowałem się mikroświatem, Jacob chciał rozmawiać o makroświecie...

– Mojżesz, Gandhi, Jezus i Newton – odpowiedziała Gail porządkując jego pomieszane myśli. – Einstein, Freud i Budda.

– Taa. – Jeremy nadal bazgrze równania na serwetce, lecz nie zwraca uwagi na to, co pisze. – Jacob myślał, że w historii było kilku ludzi – nazywał ich ostatecznymi intuicjonistami – kilku ludzi, których nowe wizje praw fizycznych, moralnych, czy czegoś tam jeszcze, były tak wszechogarniające i potężne, że spowodowały zmianę paradygmatów dla całej rasy ludzkiej.

– Ale my wiemy, że zmiany paradygmatów przychodzą z wielkimi, nowymi ideami.

– Nie, nie, mała. Jacob uważał, że to nie jest po prostu zmiana perspektywy. Był przekonany, że umysł, który potrafi zapoczątkować tak znaczące przesunięcie w rzeczywistości, może dosłownie zmienić wszechświat... spowodować, że prawa fizyczne zmienią się i będą pasować do ogólnej percepcji.

Gail chmurzy się.

– Twierdzisz, że fizyka newtonowska nie działała przed Newtonem? Albo

teoria względności przed Einsteinem. Ani nie było prawdziwej medytacji przed Buddą?

– Coś w tym rodzaju. Nasiona wszystkie już istniały, lecz ogólny plan nie był realizowany, dopóki jakiś wielki umysł się na nim nie skoncentrował...

Jeremy porzuca język, kiedy widzi wszystko w postaci modelu matematycznego. Atraktory rozmyte Kołmogorowa zwijają się jak niewiarygodnie pokręcone kable z włókna szklanego, a małe wysepki węzłów rezonansowych klasycznych funkcji kwaziliniowych tulą się jak nasionka w substancji nie załamanej prawdopodobieństwa.

Gail rozumie. Podchodzi do stołu na niepewnych nogach i zwała się na krzesło.

– Jacob... jego obsesja holocaustu... jego rodzina...

Jeremy dotyka jej dłoni.

– Zgaduję, że próbował się absolutnie skoncentrować na świecie, gdzie holocaust nigdy się nie wydarzył. Pistolet nie był dla niego po prostu narzędziem śmierci, był środkiem, przy pomocy którego mógł wpłynąć na przebieg doświadczenia. To była oś prawdopodobieństwa... rozstrzygający akt obserwacji w doświadczeniu z dwiema szczelinami.

Gail obejmuje dłonią jego rękę.

– Czy... jauntował? Czy przeniósł się do innej gałęzi?

Gdzieś, gdzie jego rodzina nadal żyje?

– Nie – szepcze Jeremy. Dotyka nabazgranego wykresu drżącym palcem.

– Widzisz, gałęzie nigdy się nie przecinają... nie ma sposobu, by przejść z jednej do drugiej. Elektron A nigdy nie stanie się elektronem B, a tylko „stworzy” inny. Jacob umarł.

W tym momencie wyczuwa rodzący się w Gail żal, blokuje go, gdy wpada mu do głowy nowa myśl, tak intensywna, że stwarza między nimi jakby myślotarczę.

– Co takiego? – pyta Gail.

– Jacob to wiedział – przesyła Jeremy, myśli nachodzą go tak szybko, że nie zdąża ich formułować. – Wiedział, że nie może pojechać do superpozycyjnej rzeczywistości w oddzielnej gałęzi Everetta... na przykład w świecie, gdzie holocaust nigdy się nie zdarzył... ale sam Jacob mógł tam istnieć.

Gail potrząsa głową.

Jeremy chwytą ją za ramiona.

– Widzisz, mała, on mógł tam istnieć. Jeśli dostatecznie się skupił... jeśli

wszystko w nim zawarł... wtedy w tamtej mikrosekundzie, nim kula zniszczyła mu mózg, mógł powołać do istnienia kontrrealność Everetta. I ta gałąź... – Jeremy stuka na chybił trafił w jedną z gałęzi na swym rysunku. – Ta gałąź może go zawierać... a także jego rodzinę, zmarłą podczas holocaustu... i miliony innych.

– A jego córka, Rebecca? – pyta cicho Gail. – Albo jego druga żona? One były częścią jego... częścią naszej rzeczywistości właśnie z powodu holocaustu.

Jeremy'emu kręci się w głowie. Podchodzi do kranu, nalewa sobie wody do szklanki.

– Nie wiem – mówi wreszcie – Po prostu nie wiem. Ale Jacobowi musiało się tak wydawać.

– Jerry, jakiego typu umysłu potrzeba, by... jak ty to określasz?... by objąć całą kontrrzeczywistość? Czy jakiś człowiek naprawdę potrafiłby tego dokonać?

Jeremy milczy. Wie, jak niechętnie Gail przyjmuje metafory religijne, a jednak musi z nich skorzystać.

– Może o to chodziło w Ogrodzie Getsemani. A może nawet w Ogrodzie Edenu.

Nie czuje błysku gniewu, jakim zwykle Gail reaguje na pojęcie religijne. Czuje za to wielką zmianę w sposobie jej myślenia, kiedy Gail styka się z głęboką prawdą religijną, pozbawioną otoczki religijnych absurdów. Po raz pierwszy w życiu Gail odczuwa to, co czuli jej rodzice: nabożną cześć wobec duchowego potencjału wszechświata.

– Jerry – dzieli się szeptem refleksją – opowieść o Rajskim Ogrodzie... nie chodziło o zakazany owoc czy wiedzę o grzechu, którą miał on reprezentować... chodziło o Drzewo!

Drzewo życia to dokładnie to... twoje drzewo prawdopodobieństwa... gałęzie rzeczywistości Jacoba! Mama stale cytowała powiedzenie Jezusa: „Dom mojego Ojca ma wiele pokojów...”. Światy bez końca.

Przez chwilę milczą. Nie dzielą się myślotykami. Spacerują samotnie po swych myślach. Oboje są senni, ale żadne nie chce jeszcze iść do łóżka. Gaszą lampę i wychodzą przed dom, by pokołysać się przez chwilę na huśtawce na ganku, posłuchać, jak Gernisavien mruczy, ułożona na kolanach Gail, i oglądać płonące na wschodzie, nad zboczem wzgórza gwiazdy.

OCZU NAPOTKAĆ NIE ŚMIEM W MOICH SNACH

Następnego dnia zabierają obiad do koszyka, omijają Big Slide Mountain i schodzą na plażę na północ od poprzedniego miejsca. Niebo jest nieskazitelnie błękitne. Ciepło. Gernisavien zbudziła się z południowej drzemki. Patrzy na nich bez zainteresowania sennymi oczyma i nie okazuje najmniejszej chęci, by im towarzyszyć. Polecili jej pilnować domu. Kot mrużył tylko oczy, widząc, jacy są naiwni.

Po obiedzie Jeremy oświadcza, że ma zamiar zastosować się do napomnień swej matki i przed wejściem do wody odczekać godzinę, lecz Gail śmieje się tylko i wbiega w przybrzeżne fale.

– Jaka ciepła dziś woda! – woła, kilka metrów od brzegu. – Naprawdę.

– Aha, na pewno – odkrzykuje Jeremy, lecz nie chce mu się w tej chwili drzemać. Wstaje, wychodzi z szortów i zaczyna ku niej iść.

NIE!!!

Ryk rozlega się z nieba, ziemi i morza. Przewraca Jeremy'ego na fale i wciska pod wodę głowę Gail. Gail młóci rękami, by dostać się na płyciznę, i dysząc, wypelza z cofających się fal.

NIE!!!

Jeremy zatacza się przez mokry piasek ku Gail, podnosi ją i trzyma w objęciach, chroniąc przed tą gwałtowną siłą. Wkoło ryczy wiatr, wyrzuca piasek trzydzieści metrów w górę. Niebo skręca się jak wiszące prześcieradło szarpane huraganem i zmienia barwę z niebieskiej na cytrynową, potem na martwą szarość. Jeremy mocno przywiera do Gail, gdy padają na kolana, a morze w gigantycznym leniwym odpływie zostawia po sobie suchy martwy ugór. Ziemia wokół nich wznosi się i przesuwana. Po horyzoncie mkną błyskawice.

NIE!!! PROSZĘ!

Nagle nie ma wydm, nie ma skał, a wycofujące się morze znika. Zostawia po sobie nieskończenie rozległy jednolity obszar płaskiej słonej równiny. Niebo nadal ciemnieje przez coraz bardziej ponure odcienie szarości.

Nagle na wschodzie coś błyska, jakby znowu wschodziło słońce. Nie – Jeremy i Gail uświadamiają sobie, że światło się porusza. Coś zmierza ku nim przez pustkowie.

Wstają. Gail próbuje się odsunąć, lecz Jeremy trzyma ją mocno. Nie mają dokąd uciec. Nie ma już za nimi ani plaży, ani skał, ani góry... jedynie ciągnące się w nieskończoność pustkowia... I światło zmierzające ku nim nad martwą krainą.

Promienność coraz bardziej jaśnieje, przesuwa się, wypuszcza smugi światła. Jeremy i Gail muszą mrużyć oczy, przesłaniać je dłońmi. Powietrze pachnie ozonem, włoski na ich ramionach stają na sztorc.

Jeremy i Gail mimowolnie, jakby pod wpływem silnego wiatru, nachylają się ku czystemu światłu. Ich cienie wydłużają się nagle do dwudziestu metrów, a światło uderza w ich ciała jak podmuch atomowej eksplozji. Między palcami obserwują, jak światłość przybliża się i rozdziela, tworząc podwójną postać, ledwo widoczną przez aureolę.

To postać człowieka siedzącego okrakiem na wielkiej bestii. Gdyby Bóg miał naprawdę pojawić się na ziemi, przybrałby właśnie ten doskonały ludzki kształt. Bestia, której dosiada bóg, jest bezkształtna, lecz prócz swej własnej świetlistej aury roztacza ona poczucie... ciepła, miękkości, nieskończonego pocieszenia.

Mają przed sobą Robby'ego, wysoko na grzbiecie misia.

ZA SŁABY! NIE MOGĘ UTRZYMAĆ

Bóg nie ma zwyczaju ograniczać się do przekazu słownego, ale teraz zadaje sobie ten trud. Każda sylaba trafia w mózg Gail i Jeremy'ego elektryczną falą.

Jeremy próbuje sięgnąć umysłem, lecz bezskutecznie. Kiedyś w Haverfordzie poszedł z jednym zdolnym studentem na stadion, gdzie przygotowywano koncert rockowy. Stał przed ustawioną na podwyższeniu kolumną głośników, gdy właśnie sprawdzano wzmacniacze. Tutaj doznawał czegoś znacznie gorszego.

Stoją na płaskiej, posiatkowanej równinie. Nie ma horyzontów. Kolejne warstwy przezroczystej, szarawej nicości pokrywają ich jak zimne fałdy plastikowego całunu. Ze wszystkich stron nadchodzą teraz białe ławice kłębiącej się mgły.

Jedyne światło pochodzi od stojącej przed nimi, podobnej do Apolla postaci. Jeremy obraca głowę i obserwuje nadejście mgły, która unicestwia wszystko, czego dotknie.

– Jerry, co... – Gail przekrzykuje narastający wicher, który zagłusza ich myślotyk.

Nagle myśli Robby'ego znowu uderzają ich z wielką siłą.

Robby porzucił język i zalewa ich kaskadą obrazów. Dźwięki i wizje są zniekształcone, o niewłaściwych kolorach, zabarwione zdziwieniem otaczającym rdzeń smutku. Jeremy i Gail aż cofają się przed ich naporem, biały pokój bicie serca maszyny światło słoneczne na prześcieradłach ukłucie igły poruszające się kształty i głosy prąd ciągnie, ciągnie, ciągnie Z obrazami nadchodzi emocjonalna nakładka, prawie nie do zniesienia z powodu swej ostrej jak nóż intensywności: odkrycie, samotność, koniec samotności, zadziwienie, zmęczenie, miłość, smutek, smutek, smutek.

Przerażona Gail patrzy, jak mgła się gotuje i wyciąga po nich swe macki. Otacza boga na wierzchołku, przygaszając jego światłość.

Gail przytula twarz do twarzy męża.

– Mój Boże, dlaczego on to robi? Dlaczego nie może zostawić nas w spokoju?

Jeremy wzmacnia swe myśli ponad panujący wokół ryk.

– Dotknij go! Dotknij!

Dają razem krok w przód i Gail wyciąga drżącą rękę. Mgła zaciemnia

wszystko prócz gasnącej aury. Kiedy Gail wkłada rękę w światłość, szarpie nią wstrząs elektryczny, lecz nie cofa dłoni.

– Boże, Jerry, to po prostu dziecko. Przestraszone dziecko.

Jeremy wyciąga rękę – wszyscy troje tworzą nieprzerwany pierścień.

– On umiera, Gail. Trzymał mnie tutaj na przekór strasznym mocom... usiłował utrzymać nas razem, ale nie mogę zostać. Jest za słaby, by mnie utrzymać... nie może przeciwstawić się ciągnięciu.

– Jerry!

Jerry wycofuje się, rozrywa pierścień.

– Jeśli zostanę tu dłużej, zniszczę nas wszystkich.

Z tą myślą podchodzi bliżej i dotyka policzka żony. Gail widzi jego zamiary i zaczyna protestować, lecz on przyciąga ją do siebie i gwałtownie przyciska. Obydwoje czują Robby'ego w swych objęciach, Jeremy myślątkiem wzmacnia uścisk, dodaje takich uczuć, których ani ludzki dotyk, ani ludzki język nie potrafiłyby w pełni przekazać.

Potem odpycha się od nich, odwraca, nim zdążą zmienić decyzję. W jednej chwili widać Robby'ego jako żarzącą się, przygasającą plamę w białej mgle, dziecko–Apollo, ściskające za szyję misia, i Gail – stojący obok niego gestykulujący cień.

W następnej chwili już ich nie ma, a Jeremy opada niżej i niżej w zimną biel.

Po pięciu krokach we mgle nie widzi nic, nawet swego ciała.

Trzy dalsze kroki – i ziemia osuwa mu się pod stopami.

A potem Jerry spada.

PADA CIEŃ

Pokój był biały, łóżko było białe i okna były prostokątami białego światła. Niewidoczny monitor elektronicznie powtarzał echem bicie jego serca.

Bremen jęknął i poruszył głową.

Pod nosem syczała mu plastikowa rurka z tlenem. Od butelki kroplówki odbijało się światło – widział siniaki na wewnętrznej stronie swego ramienia, gdzie pod gazą ukryto igłę.

Ciało i czaszkę Bremena ogarniał jeden rozległy, zintegrowany ból.

Lekarze mieli białe stroje. Oczy odmówiły mu posłuszeństwa i nie chciały się zogniskować, więc nadal odbierał ludzi jako białe plamy obdarzone głosami.

– Przestraszył nas pan – rzekła biała plama głosem kobiety. – Pięć dni zupełnie płaskiego EEG – przez poszarpane dziury w myślotarczy doszła go ostrzejsza myśl. – Gdybyśmy tylko mogli znaleźć jakiegoś bliższego krewnego, odłączylibyśmy cię już kilka dni temu od systemów podtrzymujących życie. Dziwaczna sprawa.

– Jak się pan teraz czuje? – zapytała plama głosem jednego z lekarzy. – Czy chce pan, byśmy się z kimś skontaktowali?

Trzeba by zawiadomić policję, że pan Bremen jednak wyszedł z tej – naszym zdaniem – niemal nieodwracalnej śpiączki. Na razie nigdzie się stąd nie ruszy, ale lepiej powiem temu detektywowi... jak–mu–tam?

Bremen jęknął, usiłował coś powiedzieć. Wydawał dźwięki, które nawet dla niego nie miały sensu.

Plama–lekarz opuściła salę, ale biała plama–kobieta podeszła bliżej, poprawiła koce na łóżku i kroplówkę.

– Mamy ogromne, ogromne szczęście, panie Bremen. Ten wstrząs musiał być znacznie poważniejszy, niż przypuszczano.

Ale teraz jest już z nami wszystko w porządku, kilka dni tutaj na oddziale intensywnej terapii i...

Bremen odchrząknął i spróbował jeszcze raz.

– Jeszcze żyje?

Plama nachyliła się nad nim nisko, tak że niemal rozróżniał szczegóły jej twarzy. Pachniała pastylkami od kaszlu.

– Czemu pan pyta, oczywiście, że wciąż żyjemy. Najgorsze mamy już za sobą i możemy się spodziewać...

– Robby – wychrypiał Bremen. Gardło tak go piekło, że dokładnie wyobrażał sobie te wszystkie rurki, które przez nie przedtem wpychano. – Chłopiec... w moim pokoju... przedtem. Jeszcze żyje?

Plama zamilkła na chwilę, potem wprawnie zaczęła opatulać go kocami.

– O, tak, nie trzeba się martwić o tego malca – odparła głosem lekkim, niemal żartobliwym. – Ma się doskonale. Musimy się troszczyć o nas. Musimy wydobrzczyć. Czy chciałby pan, byśmy się z kimś skontaktowali... z powodów osobistych lub w sprawie ubezpieczenia?

A sekundę przedtem, nim się odezwała:

– Robby? Ślepy, niedorozwinięty chłopak z sali 726? Jest w znacznie głębszej śpiączce niż ty byłeś, przyjacielu. Doktor McMurtry powiada, że uszkodzenia mózgu są bardzo rozległe... wewnętrzne uszkodzenia zbyt długo nie były leczone.

Jest podłączony do respiratora, ale to chyba potrwa najwyżej jeszcze kilka godzin. Może kilka dni, jeśli biedny dzieciak ma pecha.

Plama nadal mówiła, zadawała przyjacielskie pytania, lecz Bremen odwrócił twarz ku białej ścianie i zamknął oczy.

Wczesnym rankiem, kiedy korytarze były ciemne i ciche, odbył krótką podróż. Niekiedy tylko słyszał przelotny szelest fartucha pielęgniarki lub niskie jęki któregoś z pacjentów.

Poruszał się wolno, od czasu do czasu korzystając z umieszczonej wzdłuż ścian poręczy. Dwukrotnie wchodził do zaciemnionych pokoi, gdy usłyszał cichy pisk gumowych podeszew butów którejś z pielęgniarek. Na schodach miał trudności. Kilkakrotnie musiał opierać się o zimną metalową barierkę, by przegnać ciemne plamy pływające na granicy pola widzenia.

Robby znajdował się w tym samym pokoju, który kiedyś Bremen z nim dzielił, lecz teraz dziecko było samo wśród urządzeń podtrzymujących życie. Otaczały go jak padlinożerne ptaszyska. Ekrany mrugały różnymi barwami, diody świetlne migotały bezgłośnie. Skurczone, lekko cuchnące ciało leżało w embrionalnej pozycji, dłonie były w przegubach mocno zgięte, palce rozłożone na przepoconych prześcieradłach. Z odwróconej do góry twarzy Robby'ego patrzyły na wpół otwarte, niewidzące oczy. Napuchnięte, poranione wargi drżały lekko, gdy chłopiec oddychał szybkimi urywanymi westchnieniami.

Bremen czuł, że dziecko umiera.

Roztrzęsiony usiadł na brzegu łóżka. Noc zdawała się gęsta, niemal dotykalna. Gdzieś na zewnątrz, na pustych ulicach wybrzmiewało echo

syreny, aż dźwięk wchłonęła cisza. W głębi korytarza rozległ się sygnał i odgłos cichnących kroków.

Bremen delikatnie położył dłoń na policzku Robby'ego.

Tam, w głębi czuł miękkość.

Mógłbym znowu spróbować. Połączyć się z nimi na pustkowiach w świecie Robby'ego. Być z nimi.

Czule, prawie z czcią dotknął zmalretowanej głowy. Palce mu drżały.

Mógłbym ich uratować. Podjąć próbę. Niech do mnie dołączą.

Zrobił wdech. Jęknął. Dłonią przykrył czaszkę Robby'ego, jakby gestem błogosławieństwa. Dołączyć gdzieś do mnie?

Jak pamięciowe czoła fal zamknięte w moim mózgu? Pogrzebać ich, tak jak pogrzebałem Gail? Przez całe życie nieść ich jako pozbawione duszy, oczu, mowy homunkulusy... czekając na kolejny cud, czekając, aż ktoś taki jak Robby ofiaruje nam dom?

Policzki mu nagle zwilgotniały. Uderzył się brutalnie wierzchem dłoni. Wytarł łzy, by lepiej widzieć. Czarne, proste włosy Robby'ego sterczały między palcami Bremena w zabawnych kępkach. Spojrzał na poduszkę, która zwisała z jednej strony łóżka. Mógł wszystko skończyć. Tu, teraz. Dla nich. Tak, by dwoje ludzi, których kochał, nie było już porzuconych w tym umierającym pustkowiu. Czoła fal załamują się, gdyż wszystkie możliwości skasowano. Śmierć sinusoidalnych fal w ich zawikłanym tańcu. Mógłby podejść do okna i dołączyć do nich kilka sekund później.

Nagle przypomniał sobie fragment jakiegoś poematu, który Gail czytała mu przed laty, jeszcze przed ślubem. Nie pamiętał nazwiska poety... może Yeats. Wspomniał tylko kawałek wiersza:

Nie tu są oczy

Nie ma tu oczu

W tej dolinie umierających gwiazd

W tej wydrążonej dolinie

Złamanej szczęce naszych utraconych królestw

W tym ostatnim miejscu spotkania

Na oślepy szukamy

Nieufni i niemi

Na żwirach zgromadzeni nad opuchłą rzeką

Na zawsze niewidomi

Bo nie ukazą się oczy

Gwiazda nieustająca
Wielolistna róża
Królestwa śmierci bez światła ni cienia
Nadzieja tylko
Pustych ludzi

Po raz ostatni dotknął policzka Robby'ego, szepnął coś im obydwójgu i opuścił pokój.

I TAK SIĘ WŁAŚNIE KOŃCZY ŚWIAT

Trzy doby jechał volvem stażysty z St. Louis na Wschodnie Wybrzeże. Często zatrzymywał się na parkingach przy międzystanowej, zbyt wyczerpany, by jechać dalej, ale napastowany przez obsesyjne myśli nie mógł spać. Gdy w szpitalu otworzył szafkę Bradleya, znalazł w jego portfelu tylko trzysta dolarów, ale na benzynę starczyło z nadwyżką. W drodze nic nie jadł.

Wyjeżdżał z Filadelfii godzinę przed świtem prawie pustym mostem Benamina Franklina. Na podwójnym paśmie szosy przez New Jersey ruch był niewielki. Niekiedy Bremen opuszczał trochę myślotańczę, lecz zawsze wzdrygał się i znów ją podnosił, smagany rykiem neurogwaru.

Jeszcze nie.

Przezwyćżył migrenę i skupił się na prowadzeniu samochodu. Zerkał od czasu do czasu w schowek na rękawiczki, myśląc o znajdującym się tam zawiniętym w szmaty pakunku.

Wydarzyło się to na przydrożnym parkingu gdzieś w Indianie czy może w Ohio. Obok niego zaparkował pikap, a kierowca, niski mężczyzna o żółtawej twarzy, pośpieszył do toalety. Bremen odczuł otaczającą tego człowieka chmurę nieufności i gniewu, lecz uśmiechnął się, gdy tamten zniknął z pola widzenia.

Rewolwer kalibru trzydzieści osiem leżał schowany pod siedzeniem kierowcy pikapa. Wyglądał prawie identycznie jak broń, którą Bremen wyrzucił w bagno na Florydzie. Pod siedzeniem były też dodatkowe naboje, lecz Bremen je zostawił. Jeden nabój w komorze najzupełniej mu wystarczał.

Wjechał na Long Beach Island i skręcił na północ, na drogę do Barnegat Light. Słońce jeszcze nie wzeszło, lecz dachy domów oświetlała już blada poświata. Zaparkował obok latarni morskiej, włożył rewolwer do brązowej torby i starannie zamknął na klucz. Za wycieraczkę włożył kartkę papieru z nazwiskiem i adresem Bradleya.

Do tenisówek nabierał się wierzchem piasek, jeszcze chłodny po nocy. Plaża była pusta. Bremen usiadł w zakolu niskiej wydmy, skąd widział wodę.

Zdjął koszulę, ułożył ją starannie za sobą na piasku i wyjął rewolwer z torby. Miał wrażenie, że broń jest lżejsza, niż wydawało mu się przedtem. Słabo pachniała olejem.

Żadnej magicznej pałeczki. Żadnego cudotwórcy. Tylko całkowity koniec

tego wewnętrznego, matematycznie idealnego tańca. Jeśli jest coś jeszcze, Gail, kochanie, musisz mi pomóc to znaleźć.

Opuścił myślotańczę.

Miliony bezładnych myśli dźgnęły go boleśnie za oczami jak ostrze czekana. Myślotańcza wzniosła się automatycznie – zawsze tak było od dnia, gdy uświadomił sobie swoją zdolność. Wzniosła się, by przytłumić hałas, złagodzić ból.

Na siłę opuścił tę barierę, przytrzymał, gdy ona starała się wznieść i go ochronić. Po raz pierwszy w życiu Jeremy Bremen otworzył się w pełni na ból, na świat, który go powodował i na niezliczone głosy, wołające w swoich izolowanych kręgach.

Gail. Wołał i ją, i dziecko, lecz nie mógł ich wyczuć, nie słyszał ich głosów, gdyż wielki chór uderzył w niego jak huragan.

Aby przyjąć tych troje, musi wraz z nimi przyjąć ich wszystkich.

Podniósł pistolet, przyłożył lufę do czaszki i odciągnął kurek. Tarcie było prawie niewyczuwalne. Palec Bremena zagiął się na spuście.

Przecierpiał wszystkie kręgi piekieł i opuszczenia.

Wszystkie drobne nikczemności, brudne popędy, złośliwe myśli. Gwałt, zdradę, chciwość i egoizm.

Wszystko to przepływało ku niemu, wokół niego i z niego.

Szukał jednego głosu w tej wzbierającej kakofonii, która zagroziła, że wypełni wszechświat. Ból był niewyobrażalny, nie do zniesienia.

I nagle z lawiny hałaso-bólu nadszedł szept innych głosów, głosów, których Bremenowi odmówiono, gdy długo schodził do psychicznego piekła. Cichych głosów rozsądku i współczucia; głosy rodziców, dodających otuchy swoim dzieciom w ich pierwszych krokach; pełne nadziei głosy kobiet i mężczyzn dobrej woli, nie idealnych wprawdzie, ale w codziennym trudzie usiłujących stać się lepszymi ludźmi, niż wskazywałyby na to ich własny charakter i wychowanie.

Nawet w tych cichych głosach pobrzmiwał ból: ból z powodu wymuszanych przez życie kompromisów; ból na myśl o własnej śmiertelności i przerażającej śmiertelności własnych dzieci; ból wywołany arogancją wszystkich, którzy chętnie zadawali ból, jak ci, których Bremen spotkał w swych podróżach; i wreszcie ostateczny ból z powodu nieuniknionej straty, nawet gdy doznaje się wszystkich ziemskich, podtrzymujących na duchu przyjemności.

Owe ciche głosy – włączając w to głos Gail i głos Robby'ego – stanowiły

dla Bremena jakiś punkt orientacyjny w mroku. Skupiony, wyławiał je, choć zanikały zalewane kakofonią hałasu i bólu.

Ponownie zdał sobie sprawę, że jeśli chce znaleźć cichsze głosy, będzie musiał całkowicie się poddać bolesnym wołaniom o pomoc. Będzie musiał przyjąć je wszystkie, wszystkie wchłonąć, przełknąć je jak ostry opłatek komunii świętej.

Czuł na skroni chłodną lufę pistoletu. Palec na krzywiznie spustu napiął się.

Ból stał się niewyobrażalny, przekroczył wszelkie doświadczenie. Bremen przyjął go. Pragnął go przyjąć. Zawarł go w sobie, przepuścił przez siebie i otworzył się na niego szerzej.

Jeremy Bremen nie widział, jak wschodzi słońce. Słuch stępsiał mu, aż zanikł. Sygnały strachu i zmęczenia nie dochodziły już od ciała; wzrastający nacisk na spust stał się sprawą odległą i zapomnianą. Bremen skoncentrował się z niezwykłą siłą, mógł poruszać przedmioty, rozbijać na pył cegły, wstrzymywać w locie ptaki. Przez ułamek milisekundy miał wybór między czołem fali i cząsteczką – wybór rzeczywistości. Świat wrzasnął na niego pięcioma miliardami zbolełych głosów żądających wysłuchania, pięcioma miliardami zagubionych dzieci, czekających, by je przytulić. Otworzył się dostatecznie szeroko, by przyjąć je wszystkie. Nacisnął spust.

ALBOWIEM *TUUM EST* ŻYCIE JEST ALBOWIEM *TUUM EST*

Plażą nadchodzi dziewczynka w ciemnym za małym kostiumie – kupiono go przed dwoma laty. Biegnie po brzegu, po ubitym wilgotnym piasku, lecz teraz przerywa swą zabawę i we wschodzącym słońcu oddala się od morza.

Cały czas obserwuje morze, które posuwistym dotykiem głaszcze ląd, a potem się wycofuje. Dziewczynka podchodzi bliżej, tańczy z falami. Opalone nogi niosą ją aż na sam brzeg oceanu, a potem z powrotem na ląd, w milczącym, lecz doskonałym w swej choreografii balecie.

Nagle zaskakuje ją odgłos strzału.

Nagle zaskakują ją...

Nagle zaskakuje ją krzyk mewy. Zamiera w tańcu, fale rozbijają się o jej kostki z zimnym triumfem.

Mewy nurkują, wznoszą się i odpływają na zachód. Na ich skrzydłach odbija się blask wschodzącego słońca. Dziewczynka obraca się tanecznym ruchem, patrzy na ptaki, słony prysznic obryzguje jej włosy i twarz. Mruży oczy i przeciera je lekko, by nie podrażnić ich solą. Zatrzymuje się i widzi, jak z wydm za plażą wyłaniają się trzy postacie. Wydaje się, że mężczyzna, kobieta i dziecko między nimi nie mają na sobie żadnych kostiumów, ale oczy dziewczynki są zamglone morską wodą, a tamta trójka jest zbyt daleko, nie widać dokładnie szczegółów. Dziewczynka jest natomiast pewna, że trzymają się za ręce.

Wznawia swój walc z morzem, a z tyłu za nią, mrużąc lekko oczy w czystym, ostrym świetle poranka, Jeremy, Gail i Robby oglądają wschód słońca nowo otwartymi oczyma.

Spis treści

Tytułowa

Podziękowania

CIEŃ, KTÓRY WIECZOREM WSTAJE

PROPORZEC TAM, NAD MGŁĄ

OCZY

Z NIEŻYWEJ KRAINY

NA BEZRADOSNYCH ŻWIRACH

OCZY

LASCIATE OGNI SPERANZA, VOI CH'ENTRATE

OCZY

GDZIE UMARLI POZOSTAWILI SWOJE KOŚCI

OCZY

W KRÓLESTWACH BEZ ŚWIATŁA NI CIENIA

O FIOLETOWEJ GODZINIE

OCZY

NA SZCZURZEJ ULICY

OCZY

PATYKI STRACHA NA POLU, SZCZURZĄ SIERŚĆ, PIÓRA WRONIE

OCZY

W TEJ WYDRAŻONEJ DOLINIE

W TEJ DOLINIE UMIERAJĄCYCH GWIAZD

OCZY

KRAINA KAKTUSOWA

OCZY

SUCHA TRAWA, PRZEZ KTÓRĄ WIATR DMIE

OCZY

NIE MA TU OCZU

OCZY

NIE TU SĄ OCZY

OCZY

I WIDZIAŁ POD SKÓRĄ CZASZKI

OCZY

MY, WYDRAŻENI LUDZIE

OCZY
ZŁE DOŁY
OCZY
GEVION
OCZY
MY, CHOCHOŁOWI LUDZIE
OCZY
NA ZAWSZE NIEWIDOMI
OCZU NAPOTKAĆ
OCZU NAPOTKAĆ NIE
OCZU NAPOTKAĆ NIE ŚMIEM
OCZU NAPOTKAĆ NIE ŚMIEM W
OCZU NAPOTKAĆ NIE ŚMIEM W MOICH
OCZU NAPOTKAĆ NIE ŚMIEM W MOICH SNACH
ZA SŁABY! NIE MOGĘ UTRZYMAĆ
PADA CIEŃ
I TAK SIĘ WŁAŚNIE KOŃCZY ŚWIAT
ALBOWIEM TUUM EST ŻYCIE JEST ALBOWIEM TUUM EST

Torres